

**KLASYKA
KRYMINAŁU
Z JOHNEM
REBUSEM**

IAN RANKIN

**SEKS MOŻE ZNISZCZYĆ NAWET
NAJBARDZIEJ OBIECUJĄCEGO POLITYKA.
A POLITYKA MOŻE BYĆ ZABÓJCZA.**

ZAGRAJMY W BUTELKĘ?

ALBATROS

IAN RANKIN

ZAGRAJMY W BUTELKĘ

**Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁA
MAGDA ZUBRYCKA-WERNEROWSKA**



ALBATROS

Wydanie elektroniczne

POLITYK TO TEŻ CZŁOWIEK.

KAŻDY MOŻE ULEC POKUSIE, A POLICJA NIE JEST OD TEGO, BY WYDAWAĆ OCENY MORALNE.

ALE JEŚLI DOCHODZI DO ZABÓJSTWA, KTÓRE MOŻE SIĘ WIĄZAĆ Z SEKSAFERĄ, TO NAWET JOHN REBUS – NIE NALEŻĄCY DO BIGOTÓW – MUSI ZACZAĆ WIĄZAĆ ZE SOBĄ FAKTY.

Po nalocie na ekskluzywny dom publiczny w Edynburgu wybucha skandal, gdy policja i dziennikarze odkrywają, że jednym z klientów był Gregor Jack, popularny członek Parlamentu.

Inspektor Rebus – zawsze trzymający się z dala od elit władzy – nie może uwierzyć własnym oczom, widząc swojego ulubionego pośła w niedwuznacznej sytuacji, i próbuje pomóc zaszczytemu przez media politykowi.

Wkrótce okazuje się jednak, że sprawa jest znacznie poważniejsza, niż można było przypuszczać. Skandal obyczajowy, choć wciąż elektryzuje paparazzich, zostaje przesłonięty przez zabójstwo, związane z Gregorem Jackiem. A Rebus musi odpowiedzieć na pytanie, czy poseł maczał w nim palce, czy może ktoś próbuje go wrobić.

IAN RANKIN

(ur. 1960) – szkocki pisarz, absolwent uniwersytetu w Edynburgu. Zanim odniósł sukces wydawniczy, pracował przy zbiorach winogron, był poborcą podatkowym, świniopasem, dziennikarzem i muzykiem punkowym. Wydana w 1987 roku pierwsza powieść kryminalna z inspektorem Rebusem – **Supelki i krzyżyki** – przyniosła mu niesłabnącą do dziś sławę. Kolejne książki – m.in. **Mętna woda**, **Miecz i tarcza**, **Święci Biblii**, **Cienia**, **Sprawy wewnętrzne** i **Nawet zdziczałe psy** – trafiły na najwyższe pozycje list bestsellerów w Wielkiej Brytanii i zostały przetłumaczone na kilkanaście języków.

Od wielu lat Ian Rankin znajduje się w ścisłej czołówce najpopularniejszych brytyjskich pisarzy. Jest dwukrotnym zdobywcą prestiżowej nagrody Dagger, a także laureatem Edgar Allan Poe Award i kilkunastu innych nagród.

Rankin od wielu lat jest stałym gościem (bądź gospodarzem) licznych programów telewizyjnych o tematyce kryminalnej.

ianrankin.net

Tego autora

OTWARTE DRZWI
SPRAWY WEWNĘTRZNE
NA KRAWĘDZI CIEMNOŚCI

John Rebus

SUPEŁKI I KRZYŻYKI
MĘTNA WODA
KIEŁ I PAZUR
CZARNA KSIĘGA
MIECZ I TARCZA
PRÓBA KRWI
ZAUŁEK SZKIELETÓW
MEMENTO MORI
POŻEGNALNY BLUES
STOJĄC W CUDZYM GROBIE
ŚWIĘCI BIBLII CIENIA
NAWET ZDZICZAŁE PSY
WSZYSCY DIABLI

Tytuł oryginału:

STRIP JACK

Copyright © John Rebus Limited 1992

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Magda Zubrycka-Wernerowska, Storytel 2022

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki i serii: Agnieszka Drabek

Zdjęcie na okładce: © Gavin Prest/Arcangel Images

ISBN 978-83-6751-218-3



ALBATROS

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

tel:691962519

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Katarzyna Rek

woblink

woblink.com

SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

1.Dojarnia

2.Człowiek ze skazą

3.Zdradzieckie kroki

4.Drobne ślady

5.Rzeka tajemnic

6.Gry w górach

7.Duthil

8.Kot i mysz

9.Upiekło się

10.Ludzie z burdelu

11.Szkolne więzy

12.Pełna usługa

13.Gorąca głowa

Podziękowania

DETEKTYW EDYNBURSKIEJ POLICJI

John Rebus

Szkocki twardziel, który podczas konfliktu irlandzkiego służył w brytyjskiej armii i przeszedł szkolenie w elitarniej jednostce SAS.

Słucha muzyki klasycznej, jazzu, ale też rocka: Rolling Stonesów, The Who czy Jethro Tull. Ma imponującą kolekcję płyt – winylowy gość w zdigitalizowanym świecie.

Jeździ kultowym Saabem 900.

Powiedzieć, że nie stroni od alkoholu, to niedomówienie: pije piwo (głównie IPA) i whisky (jego ulubiona to Bell's), najchętniej w edynburskim Oxford Bar. I pali, o wiele za dużo.

Ma córkę i jest rozwiedziony. Jeśli chodzi o kobiety, raczej brakuje mu szczęścia.

Nieufny wobec autorytetów, postrzega świat w czarno-białych kolorach, a ludzi dzieli na dobrych i złych.

Szlachetny samotnik, trochę nieokrzesany, który dobre serce maskuje szorstkim usposobieniem i złośliwym poczuciem humoru.

I za to go kochamy!

Dla jedynego Jacka, jakiego kiedykolwiek obraziłem

On nic nie wie; i myśli, że wie wszystko. To wyraźnie wskazuje na karierę polityczną.

George Bernard Shaw, *Major Barbara*

Zwyczaj przyjaźni dojrzewa dzięki stałym stosunkom towarzyskim.

Libaniusz, IV wiek n.e., cytowany w *Edynburgu*
przez Charlesa McKeana

Dojarnia

ZADZIWIAJĄCE, ŻE SĄSIEDZI SIĘ nie skarżyli, a nawet – jak wielu z nich mówiło później dziennikarzom – nie byli niczego świadomi. Do czasu, aż tamtej nocy sen zakłóciły im nagłe hałasy na ulicy. Samochody osobowe, furgonetki, policjanci, monotony szum krótkofalówek. Ale hałas nie wymknął się spod kontroli. Operację wykonano tak szybko i co więcej, policjanci byli w tak dobrym humorze, że niektórzy przespali całe zamieszanie.

– Oczekuję dobrych manier – wyjaśnił tego wieczoru swoim ludziom w sali odpraw komendant Watson, nazywany Farmerem. – Nawet jeśli jest to burdel, to znajduje się po odpowiedniej stronie miasta, jeśli rozumiecie, co chcę powiedzieć. Nie wiadomo, kogo tam zastaniemy, może nawet trafimy na naszego drogiego komendanta głównego.

Szerokim uśmiechem dał do zrozumienia, że żartuje, na co kilku funkcjonariuszy w sali odpraw, którzy znali komendanta głównego lepiej niż on, wymieniło spojrzenia i ironiczne uśmieszki.

– W porządku – rzucił Watson. – Jeszcze raz powtórzmy plan ataku...

Chryste, on jest wniebowzięty, pomyślał detektyw inspektor John Rebus. Cieszy się każdą minutą. Ale właściwie dlaczego miałby się nie cieszyć? Ta akcja była przecież dzieckiem Watsona i miał to być domowy poród, co oznaczało, że Watson zamierzał dowodzić nią od niepokalanego poczęcia do niepokalanych narodzin.

A może ta potrzeba naprężenia mięśni to andropauza? Większość komendantów, których Rebus poznał przez dwadzieścia lat kariery w policji, zadowalała się papierkową robotą i wyczekiwaniem na emeryturę. Ale nie Watson. On był jak Kanał Czwarty: pełen niezależnych programów, które cieszyły się znikomym zainteresowaniem. Niewiele wynikało z tego, co robił, ale szumu było od cholery.

Teraz najwyraźniej miał informatora, niewidzialną postać, która szepnęła mu do ucha: „Burdel, grzech i rozpusta!”. W twardym prezbiteriańskim sercu Watsona wzniecił się żar sprawiedliwego oburzenia. Był typem chrześcijanina z Highlands uważającego za ledwie do przyjęcia seks małżeński – którego dowodami byli syn i córka – i gardził każdą formą lubieżności. Jeżeli w Edynburgu był jakiś czynny burdel, Watson chciał zamknąć jego diabelskie podwoje.

Tylko że kiedy informator podał adres, Watson się zawahał. Burdel mieścił się na jednej z lepszych ulic New Town, pośród cichych georgiańskich szeregowców zamieszkałych przez uznanych profesjonalistów: prawników, chirurgów, profesorów uniwersyteckich. Przy domach rosły drzewa i parkowały saaby albo volvo. To nie była dymalnia dla marynarzy, z ciągiem wilgotnych ciemnych pokoi nad pubem w porcie. Był to, jak Rebus zasugerował, dom towarzyski śmietanki towarzyskiej. Watson nie podchwycił żartu.

Przez kilka dni i nocy prowadzono obserwację, wykorzystując nieoznakowane samochody i niewyróżniających się niczym funkcjonariuszy w cywilu. Jedno nie ulegało wątpliwości: cokolwiek

odbywało się za zamkniętymi okiennicami pomieszczeń domu, działo się to po północy i przebiegało szybko. Co ciekawe, niewielu spośród licznych mężczyzn podjeżdżało pod budynek samochodami. Przyczynę odkrył detektyw posterunkowy, który skrył się w kącie, bo musiał się wysikać: goście parkowali auta w bocznych uliczkach, a potem przemierzali pieszo jakieś sto metrów do frontowych drzwi trzypiętrowego budynku. Być może taka była polityka właścicieli przybytku: trzaskanie drzwiami samochodów po godzinach wzbudzałoby podejrzenia na cichej ulicy. A może w interesie gości nie leżało zostawianie aut w pełnym świetle ulicy, gdzie mogliby zostać rozpoznani...

Spisano i zweryfikowano numery rejestracyjne, zrobiono odwiedzającym zdjęcia. Namierzono też człowieka, do którego należał budynek. Był współwłaścicielem francuskiej winnicy oraz kilku posiadłości w Edynburgu i przez cały rok mieszkał w Bordeaux. Jego prawnik zajął się wynajęciem domu w New Town niejakiej pani Croft, dystyngowanej kobiecie po pięćdziesiątce. Według niego opłacała czynsz bez zwłoki i w gotówce. Czy był jakiś problem?

Żadnego, zapewniono, ale gdyby był pan łaskaw zachować tę rozmowę dla siebie...

Mężczyźni, na których były zarejestrowane parkujące nieopodal pojazdy, okazali się biznesmenami, niektórzy lokalnymi, lecz większość przyjeżdżała do Edynburga z Anglii. Rozgoryczony Watson zaczął planować nalot. Z typową dla siebie mieszkanką dowcipu i błyskotliwości postanowił nazwać go operacją Burda.

– Burda, burdel, rozumiesz, John.

– Tak, panie komendancie – odpowiedział Rebus. – Zastanawiałem się kiedyś, czy nazwa burdel wzięła się od burdy.

Watson wzruszył ramionami. Nie był typem człowieka, który wchodzi w dygresje.

– Mniejsza o burdę – powiedział. – Biermy się za burdel.

OCENIANO, ŻE KOŁO PÓŁNOCY ruch w burdelu będzie największy, więc na czas obławy wybrano sobotę, godzinę pierwszą. Nakazy leżały gotowe. Każdy w zespole znał swoje miejsce. Prawniki dostarczyli nawet plany budynku i funkcjonariusze się z nimi zapoznali.

– Cholerna kręta nora – powiedział Watson.

– Nie ma problemu, dopóki mamy pod dostatkiem kretów.

Prawdę mówiąc, Rebus nie czekał entuzjastycznie na tę akcję. Może burdele były nielegalne, ale zaspokajały pewne potrzeby, a jeśli zachowywały przy tym pozory obyczajności, to w czym tkwił problem? W oczach Watsona można było dostrzec wątpliwości, skoro jednak od początku tryskał entuzjazmem, to wycofanie się teraz było nie do pomyślenia i wydawałoby się oznaką słabości. Choć więc nikt nie rwał się do tej operacji, ruszyła z impetem. Tymczasem ulice, na których dochodziło do przestępstw, nie były nawet patrolowane, przemoc domowa zbierała swoje żniwo, a sprawa utonięcia w rzece Water of Leith wciąż pozostawała nierozwiązana.

– Dobra, zaczynamy.

Zostawili samochody i ruszyli w kierunku wejścia. Cicho zastukali. Drzwi stały otworem, a potem wszystko zaczęło się kręcić jak na kasecie wideo na szybkim przewijaniu. Otworzyły się kolejne drzwi... Ile może ich być w takim budynku? Najpierw stukanie, potem otwieranie. O tak, przede wszystkim maniery.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, prosimy włożyć ubranie...

– Zechce pan łaskawie zejść na dół...

– Może pan najpierw włożyć spodnie, jeżeli pan sobie życzy...

A potem...

– Chryste Panie, musi pan to zobaczyć – powiedział detektyw posterunkowy z zarumienioną młodzieńczą twarzą.

Rebus poszedł za nim.

– Tutaj, inspektorze. Niech pan popatrzy.

Ach, tak, sala tortur. Łańcuchy, pasy, pejczy. Kilka wielkich luster, szafa pełna sprzętu.

– Tu jest więcej skóry niż w cholernej dojrani.

– Widzę, że znasz się na krowach, synu. – Rebus dziękował Bogu, że w tym pokoju nikogo poza nimi nie było. Czekąco go jednak więcej niespodzianek.

Ten przybytek nie wydawał się znacznie bardziej lubieżny niż bal przebierańców – pielęgniarki i matrony, czepki zakonnice i szpilki – tyle że większość kostiumów więcej odsłaniała, niż ukrywała. Jakaś młoda kobieta miała na sobie gumowy kombinezon do nurkowania z wyciętymi otworami na krocze i sutki. Inna wyglądała jak skrzyżowanie Heidi z Evą Braun. Watson obserwował tę paradę rozogniony sprawiedliwą furią – nie miał już wątpliwości, że to miejsce należy bezwzględnie zamknąć. Rozmawiał z panią Croft, podczas gdy szef dochodzeniówki, inspektor Lauderdale, kontrolował sytuację z bliska. Nalegał, żeby komendant mu towarzyszył, bo znał przełożonego na tyle dobrze, że spodziewał się wielkiej zadymy. Na szczęście nikt nie próbuje wydymać nas, pomyślał Rebus z uśmiechem.

Pani Croft posługiwała się czymś w rodzaju zgentryfikowanego cockneyowskiego slangu, który jednak z każdą chwilą stawał się mniej zgentryfikowany, podczas gdy kolejne pary sunęły po schodach do dużego salonu z kanapami, gdzie unosił się zapach drogich perfum i markowej whisky. Pani Croft wszystkim zaprzeczała. Zaprzeczała nawet, że w ogóle znajdują się w burdelu.

Nie mój cyrk, nie moje małpy, pomyślał Rebus. Mimo to na swój sposób podziwiał jej przedstawienie. Jest kobietą biznesu, płacącą podatki, ma swoje prawa, powtarzała. A poza tym żądała kontaktu z adwokatem.

– Myślałem, że ona jest tu doradcą prawnym – mruknął Lauderdale i był to rzadki moment humoru jednego z najbardziej ponurych gnojków, z jakimi Rebus pracował.

Docenił to i uśmiechnął się.

– Co się tak szczerzysz? – rzucił Lauderdale. – Nie wiedziałem, że jest przerwa. Bierz się za robotę.

– Tak jest. – Rebus poczekał, aż przełożony odwróci się, żeby dosłyszeć, co mówi Watson, i pokazał mu środkowy palec.

Zauważyła to pani Croft i być może sądząc, że gest był skierowany do niej, odwzajemniła go. Lauderdale i Watson spojrzeli w stronę Rebusa, ale zdołał czmychnąć z ich pola widzenia.

Funkcjonariusze, którzy pilnowali ogrodów na tyłach domu, wprowadzili z powrotem do budynku kilka błądych dusz. Jeden z mężczyzn wyskoczył z okna na pierwszym piętrze, w wyniku czego kuśtykał, upierał się jednak, że lekarz nie jest mu potrzebny i nie trzeba wzywać karetki. Kobiety wydawały się rozbawione i zadowolone z wyrazu twarzy klientów, zawstydzonych i zażenowanych, wściekłych albo zakłopotanych. W kilku przypadkach nie obyło się też bez chwilowej brawury typu „Znam swoje prawa”, ale na ogół wszyscy robili, co im kazano, to znaczy: zamykali się i uzbrajali w cierpliwość.

Wstyd i konsternacja po części wyparowały, gdy jeden z mężczyzn przypomniał sobie, że odwiedzanie burdelu nie jest nielegalne – nielegalne było jedynie prowadzenie go albo pracowanie

w nim – i nie mylił się. Mimo to panowie nie zamierzali pierzchnąć ukradkiem w anonimową noc. Logika była prosta: najpierw ich wystraszyć, potem odesłać. Jeśli pozbawi się burdele klientów, przybytki znikną. Policjanci wyciągali z rękawa wyświechtane historyjki, którymi karmili zwykłe klientów stojących na ulicach prostytutek.

– A tak między nami, proszę pana... na pana miejscu zrobiłbym badania na AIDS. Mówię poważnie. Większość tych kobiet może roznosić choroby, nawet jeśli nie widać symptomów... Przeważnie nie widać, dopóki nie jest za późno. Jest pan żonaty? Może ma pan dziewczynę? Najlepiej im powiedzieć, żeby również się przebadaly. W przeciwnym razie nigdy nie wiadomo, prawda?

Metoda okrutna, lecz konieczna i – jak w przypadku większości okrutnych słów – kryło się w niej ziarno prawdy.

Pani Croft jako biura używała małego pokoju na zapleczu. Znalaziono kasetkę z pieniędzmi, a także terminal do kart kredytowych. Opłaty pobierano na pensjonat Crofter. Z tego, co Rebus wykalkulował, koszt pokoju jednoosobowego wynosił siedemdziesiąt pięć funtów. Drogo jak na bed & breakfast, ale ilu księgowych zadałoby sobie trud, żeby to sprawdzić? Rebus nie zdziwiłby się, gdyby odprowadzono od tego VAT...

– Inspektorze? – zwrócił się do niego detektyw sierżant Brian Holmes, świeżo po awansie i rwący się do pracy. Stał w połowie schodów na piętro. – Lepiej tu przyjdź.

Rebus się nie kwapił. Mieszkał na drugim piętrze kamienicy i miał naturalną awersję do schodów. Oczywiście Edynburg był ich pełen, tak jak pełen był wzgórz, uciążliwych wiatrów i ludzi, którzy lubili narzekać na wzgórze, schody i wiatr...

– Idę.

Za drzwiami sypialni stał detektyw posterunkowy i szeptem rozmawiał z Holmesem. Kiedy ten zauważył Rebusa wchodzącego na podest, odprawił posterunkowego.

– Tak, sierżancie?

– Proszę zobaczyć.

– Chcesz mi coś najpierw powiedzieć?

Holmes pokręcił głową.

– Zakładam, że już widziałeś członka... męskiego członka.

Rebus otworzył drzwi sypialni. Co spodziewał się odkryć? Podróbkę lochu z golasem rozciągniętym na krzyżu świętego Andrzeja? Scenę jak z farmy z paroma kurczakami i owcami? Członek... męski. Może pani Croft powiesiła ich kolekcję na ścianie swojej sypialni. „Ten jest z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego. Stoczyłam ciężką walkę, ale w końcu go posiadałam”.

Alte nie, to było coś gorszego. Dużo gorszego. Pomieszczenie wyglądało na zwyczajną sypialnię, choć kilka lampek emitowało czerwone światło. W zwyczajnym łóżku leżała dość zwyczajnie wyglądająca kobieta, z łokciem wciśniętym w poduszkę i przechyloną głową opartą na zaciśniętej pięści. A na łóżku, ze wzrokiem wbitym w podłogę, siedział, całkowicie ubrany, ktoś, kogo Rebus od razu rozpoznał: członek Parlamentu z okręgu Północnego i Południowego Esk.

– Jezu Chryste – westchnął inspektor.

Holmes wsunął głowę za drzwi.

– Nie pracuję przed pieprzoną publicznością! – wykrzyczała kobieta.

Akcent, jak zauważył Rebus, miała angielski. Holmes ją zignorował.

– Jaki zbieg okoliczności – zwrócił się do posła Gregora Jacka. – Właśnie przeprowadziliśmy się z dziewczyną do pańskiego okręgu wyborczego.

Posel podniósł oczy, bardziej ze smutkiem niż z gniewem.

– Zaszła pomyłka – odezwał się. – Straszliwa pomyłka.

– Oczywiście, proszę pana. Uprawiacie tu... agitację?

Kobieta, z głową wciąż spoczywającą na ręce, ryknęła śmiechem. Czerwone światło lampki wypełniło jej rozchylone usta. Gregor Jack przez chwilę wyglądał, jakby miał zamiar zadać jej cios pięścią. Spróbował jednak wymierzyć jej policzek otwartą dłonią, ale udało mu się tylko złapać kobietę za rękę, tak że jej głowa opadła na poduszkę. A ona wciąż się śmiała, jak młoda dziewczyna. Uniosła wysoko nogi, zsuwając z nich pościel; z rozbawienia tłukła rękoma w materac. Jack podniósł się i nerwowo podrapał się po palcu.

– Jezu Chryste – powtórzył Rebus. – Zabieramy pana na dół.

NIE WATSON. TEN MÓGLBY SIĘ ROZSYPACĆ. Już lepiej Lauderdale. Rebus podszedł do niego z taką pokorą, jaką zdołał z siebie wykrzesać.

– Mamy mały problem.

– No jasne. Ten bęczał Watson chciał swoich pięciu minut chwały. Zawsze lubił rozgłos, powinieś o tym wiedzieć.

Czy to był szyderczy uśmieszek, ten grymas na twarzy Lauderdale'a? Z wychudzoną sylwetką i pozbawioną krwi twarzą szef dochodzeniówki przypominał Rebusowi pewien obraz, przedstawiający kalwinistów czy secesjonistów... jakąś ponurą bandę tego typu. Gotową spalić każdego, kto nawinie się pod rękę. Rebus trzymał się na dystans i cały czas tylko kręcił głową.

– Nie jestem pewien, czy...

– Pismaki już tu są – syknął Lauderdale. – Szybko się uwinęli, co? Nawet jak na naszych „przyjaciół” z prasy. Ten cholerny Watson musiał ich uprzedzić. Jest teraz z nimi. Próbowałem go powstrzymać.

Rebus podszedł do jednego z okien i wyjrzał na zewnątrz. Rzeczywiście, przy schodach prowadzących do drzwi wejściowych zebrało się kilku reporterów. Komendant zakończył oświadczenie i odpowiadał na pytania, jednocześnie powoli wycofując się w górę po schodach.

– Mój Boże... – Rebus podziwiał swoją zdolność do wymownego milczenia. – On tylko pogarsza sprawę...

– Co pogarsza?

Rebus powiedział mu i został nagrodzony największym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widział na gębie przełożonego.

– No, no... – rzucił Lauderdale. – I kto tu był niegrzecznym chłopcem? Ale ja wciąż nie widzę problemu.

Rebus wzruszył ramionami.

– Nikomu to nie wyjdzie na dobre – odparł.

Za oknem pojawiły się furgonetki. Dwie, żeby zabrać na komendę kobiety, a kolejne dwie po ich klientów. Mężczyznom zada się kilka pytań, spíše się nazwiska i adresy, a potem wypuści. Kobiety... cóż, to już zupełnie inna bajka. Zostaną im postawione zarzuty, co Gill Templer, dawna koleżanka

Rebusa, nazwałyby kolejnym przejawem społeczeństwa fallocentrycznego czy jakoś tak. Odkąd wpadły jej w ręce książki o psychologii, nie była to już ta sama Gill...

– Nonsens – powiedział Lauderdale. – Pretensje może mieć tylko do siebie. Co mielibyśmy zrobić? Wyciągnąć go tylnymi drzwiami z kocem na głowie?

– Nie, ale...

– Zostanie potraktowany tak samo jak pozostali, inspektorze. Znasz zasady.

– Tak, ale...

– Ale co?

Ale co? Oto jest pytanie. Dlaczego Rebus czuł ten dyskomfort? Odpowiedź – na swój skomplikowany sposób – była prosta: bo to był Gregor Jack. Większością innych posłów Rebus nie zaprzętały sobie głowy. Ale Gregor Jack był... no cóż... Gregorem Jackiem.

– Furgonetki już są, inspektorze. Zwijajmy się.

Ręka Lauderdale'a na jego plecach była zimna i stanowcza.

– Tak jest – potwierdził Rebus.

Wyszedł na zewnątrz w chłodną, ciemną noc, rozświetloną pomarańczowymi lampami sodowymi, blaskiem reflektorów i przyciemnionym światłem dobiegającym zza otwartych drzwi i poruszanych żaluzji. Lokalsi byli niespokojni. Niektórzy wychodzili na próg, w szlafrokach w tureckie wzory albo innych chwyconych naprędce ubraniach, które na nich wisiały.

Policja, tubylcy, no i oczywiście dziennikarze. Chryste, oczywiście zleźli się też fotoreporterzy z fleszami w pogotowiu. Nie było natomiast ekip filmowych, żadnych kamer. To już coś: Watson nie namówił stacji telewizyjnych do wzięcia udziału w jego nocnym przedstawieniu.

– Do furgonetki, natychmiast! – zawołał Brian Holmes.

Czyżby w jego głosie pojawiła się stanowczość wynikająca ze świeżo nabytego autorytetu? Zabawne, jak awans wpływa na młodych. Ale wszyscy natychmiast ruszyli. Rebus wiedział, że nie tyle wykonywali rozkazy Holmesa, ile chcieli uciec przed kamerami. Parę kobiet pozowało, wyginało się koślawo, żeby było seksownie, aż wreszcie dały się przekonać funkcjonariuszce, że to nie czas ani miejsce na to.

Reporterzy jednak zwlekali. Rebus zastanawiał się dlaczego. I właściwie co tu robili? Czy skandal był aż tak godny uwagi? Czy zapewniłby Watsonowi przydatny rozgłos? Jeden z dziennikarzy złapał za ramię fotoreportera i ostrzegł przed robieniem zbyt wielu zdjęć. Nagle jednak się rozochocili i zaczęli wrzeszczeć. Flesze strzelały jak ogień przeciwlotniczy. Wszystko dlatego, że rozpoznali twarz. Po schodach, a potem wąskim chodnikiem szedł prosto do furgonetki eskortowany Gregor Jack.

– Chryste, to Gregor Jack!

– Panie Jack! Chociaż słowo!

– Jak pan to skomentuje?

– Co pan robił w...

– Żadnego komentarza?

Drzwi się zamknęły. Jeden z funkcjonariuszy rąbnął dłonią w bok furgonetki i powoli ruszyła. Reporterzy popędzili za nią. Jedno Rebus musiał przyznać: Jack podniósł głowę. Nie, to niezbyt precyzyjne określenie. Trzymał ją dostatecznie nisko, by okazać skrucę, ale nie wstyd; pokorę, ale nie zażenowanie.

– Siedem dni był moim posłem – odezwał się Holmes, siedzący u boku Rebusa. – Siedem dni.

– Musiałeś mieć na niego zły wpływ, Brian.

– Przecież to oburzające, nie sądzisz?

Inspektor wzruszył ramionami. Wyprowadzano właśnie kobietę, która była w sypialni z Gregorem Jackiem. Zdołała włożyć dzinsy i T-shirt. Na widok reporterów uniosła go, ukazując nagie piersi.

– Co, chcecie się pogapić? No to macie!

Dziennikarze zajęli się jednak porównywaniem notatek, a fotoreporterzy wkładali do aparatów nowe filmy. Planowali udać się pod komendę, żeby dorwać posła, gdy będzie wychodził. Nikt nie zwrócił na kobietę uwagi, opuściła więc T-shirt i wsiadła do furgonetki.

– Nie jest zbyt wybredny, co? – zapytał Holmes.

– A cholera wie – odparł Rebus. – Może właśnie jest...

Triumfujący Watson pocierał lśniąco czoło, co nie było proste, bo zdawało się sięgać aż po czubek jego głowy.

– Misja zakończona – oznajmił. – Dobra robota.

– Dziękuję, panie komendancie – powiedział uroczyście Holmes.

– Nie było problemów?

– Gdzie tam – rzucił Rebus. – Chyba że liczyć Gregora Jacka.

Komendant skinął głową, lecz po chwili zmarszczył brwi.

– Kogo? – zapytał.

– Brian wszystko panu powie. – Rebus poklepał detektywa sierżanta po plecach. – Brian to pański człowiek od wszystkiego, co śmierdzi polityką.

Watson, zawieszony gdzieś między uniesieniem a przerażeniem, wlepił spojrzenie w Holmesa.

– Polityką? – zapytał.

Holmes tylko się uśmiechnął, jakby chciał powiedzieć: „Proszę o łagodne potraktowanie”.

A potem obserwował, jak inspektor Rebus kieruje się do domu. I czuł się tak, jakby podcięto mu skrzydła. No ale przecież Rebus to skurwieli...

Człowiek ze skazą

JEST PRAWDĄ POWSZECHNIE ZNANĄ, że są członkowie Parlamentu, którzy nie potrafią trzymać w spodniach swoich klejnotów. Ale Gregor Jack w oczach opinii publicznej do nich nie należał. Zresztą często w ogóle unikał spodni i pojawiał się na wieczorach wyborczych i publicznych imprezach w kilcie. W Londynie przyjmował kpiny z pokerową twarzą, a na stare jak świat pytania recytował odpowiedzi jak katechizm.

– Powiedz nam, Gregor, co nosisz pod kiltem?

– Och, nic, zupełnie nic. Wszystko jest tam w doskonałym porządku.

Gregor Jack nie był członkiem Szkockiej Partii Narodowej, choć w młodości miał z nią romans. Wstąpił do Partii Pracy, zrezygnował jednak z członkostwa w niej z bliżej nieokreślonych powodów. Nie był liberalnym demokratą. Nie zasilał też rzadkiego gatunku posłów: szkockich torysów. Gregor Jack był posłem niezależnym i jako taki od czasu dość zaskakującego zwycięstwa w wyborach uzupełniających w 1985 roku sprawował mandat w okręgu Północny i Południowy Esk, leżącym na południe i wschód od Edynburga. „Umiarkowany” – tego określenia często używano w stosunku do Jacka, podobnie jak: „uczciwy”, „praworządny” i „przyzwoity”.

Rebus znał to wszystko z przeszłości, ze starych gazet, magazynów i wywiadów radiowych. Ale ten darzony szacunkiem człowiek musiał skrywać słaby punkt, jakąś skazę w swojej lśniącej zbroi. Nie martw się o to, operacja Burda ją znajdzie. Przejrzał sobotnią prasę w poszukiwaniu artykułu. Nic nie znalazł. Ciekawe, zwłaszcza że w nocy dziennikarze wyglądali na gorliwych. I z pewnością było dostatecznie dużo czasu, by ich materiał z pierwszej trzdzieści... trafił do druku porannych wydań. Chyba że reporterzy nie byli miejscowi. Ale przecież musieli być. Mimo to Rebus nie rozpoznał w gazetach żadnej twarzy. Czy Watson naprawdę miał na tyle mocne plecy, by zaangażować w sprawę londyńską prasę? Rebus się uśmiechnął. Ten człowiek miał mocne plecy, o które dbała jego żona. Trzy posiłki dziennie, trzydaniowe.

Nakarm ciało, mawiał, a napoisz ducha. Coś w tym stylu. I kolejna rzecz: choć bardzo religijny, nie żałował sobie alkoholu. Różany blask na policzkach i podbródku, wyraźny zapach wyjątkowo mocnych miętówek. Inspektor Lauderdale, gdy wchodził do biura komendanta, węszył niczym pies gończy. Tyle że nie szukał krwi, ale awansu.

Stracisz Farmera, zyskasz Fart.

Ten przydomek był nieunikniony. Zwyczajna gra słów. Nazwisko Lauderdale skojarzyło się z Fortem Lauderdale, a Fort szybko zmienił się w Fart². I jakież to było trafne! Gdziekolwiek Lauderdale się udał, zostawiał po sobie smród, jakby puścił bąka. Jak wtedy ze sprawą kradzieży książek. W chwili, gdy Lauderdale wszedł do jego biura, Rebus już wiedział, że trzeba będzie otworzyć okna.

– Weź się za to porządnie, John. Profesor Costello to ceniony międzynarodowy autorytet w tej dziedzinie...

– I?

– I... I jest przyjacielem komendanta Watsona – odparł Lauderdale takim tonem, jakby nie przywiązywał do tego znaczenia.

– Ach.

– Co to ma być? Tydzień monosylabowy?

– Monosylabowy? – Rebus uniósł brwi. – Wybacz, szefie, muszę zapytać detektywa sierżanta Holmesa, co to znaczy.

– Nie próbuj być zabawny...

– Nie, mówię szczerze. Sierżant Holmes w przeciwieństwie do mnie studiował na uniwersytecie. Jakieś... pięć miesięcy. Będzie odpowiednim człowiekiem do koordynowania gliniarzy pracujących nad tą niezwykle delikatną sprawą.

Lauderdale bardzo długo taksował go wzrokiem – a przynajmniej tak się Rebusowi zdawało. Boże, czy ten człowiek jest naprawdę aż tak głupi? Czy w dzisiejszych czasach nikt już nie docenia ironii?

– Słuchaj – odezwał się w końcu Lauderdale. – Potrzebuję kogoś nieco starszego niż detektyw świeżo awansowany na sierżanta. I przykro mi to stwierdzić, ale ty, Boże, dopomóż nam wszystkim, jesteś nieco starszy.

– Schlebia mi pan, szefie.

Na biurku Rebusa z głuchym hukiem wylądowały akta. Lauderdale odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Rebus podniósł się z krzesła, podszedł do okna i szarpnął je z całej siły. Było jednak mocno zakleszczone. Nie miał wyjścia; westchnął, zawrócił i usiadł przy biurku. A potem otworzył teczkę.

To był klasyczny przypadek kradzieży. Profesor James Aloysius Costello wykładał teologię na Uniwersytecie Edynburskim. Pewnego dnia ktoś wszedł do jego gabinetu, a następnie wyszedł z niego, zabierając kilka rzadkich książek. Bezcennych, jak twierdził profesor, ale nie według księgarzy i domów aukcyjnych w mieście. Lista była dość eklektyczna: wczesne wydanie traktatu o predestynacji Knoxa, kilka pierwszych wydań Waltera Scotta, *Wisdom of Angels* Swedenborga, wczesne wydanie *Tristrama Shandy'ego* z podpisem autora oraz tomy Montaigne'a i Woltera.

Pozycje te niewiele mówiły Rebusowi i nie zdawał sobie sprawy z ich wartości, dopóki nie zobaczył wyceny dzieł dostarczonej przez dom aukcyjny na George Street. Pytanie brzmiało: co te książki w ogóle robiły w gabinecie profesora?

– Służyły do czytania – odpowiedział beztrząsco Costello. – Do cieszenia oka i podziwiania. Jaki byłby pożytek z ukrycia ich w sejfie lub starej bibliotecznej gablocie?

– Czy ktoś jeszcze o nich wiedział? Chodzi mi o to, czy ktoś wiedział, jak bardzo są cenne?

Profesor wzruszył ramionami.

– No cóż, inspektorze, sądziłem, że jestem wśród przyjaciół.

Głos miał wilgotny jak torfowisko, oczy błyszczące jak kryształ. Studiował w Dublinie, lecz życie, jak to ujął, „klasztorne” spędził w Cambridge, Oksfordzie, St Andrews i w końcu osiadł w Edynburgu. Życie poświęcone gromadzeniu książek. Te, które zostały w jego gabinecie, warte były co najmniej tyle co ukradzione tomy, a może i więcej.

– Mówią, że piorun nie uderza dwa razy w to samo miejsce – powiedział.

– Piorun może nie, ale złoczyńcy owszem – odparł Rebus. – Proszę zamykać drzwi na klucz, gdy pan wychodzi, co? Chociaż tyle.

Profesor znów wzruszył ramionami. Czy to rodzaj stoicyzmu? – zastanawiał się Rebus. Siedząc w gabinecie przy Buccleuch Place, był zdenerwowany. Z jednej strony sam był chrześcijaninem i chętnie porozmawiałby na ten temat z tym mądrym człowiekiem... Mądrym? Hm... nie na tyle mądrym, by wiedzieć, jak działają zamki i ludzkie umysły, lecz mądrym pod innymi względami. Z drugiej strony był poirytowany, bo miał siebie za mądrego człowieka, który mógłby być mądrzejszy, gdyby sobie nie odpuścił. Nie studiował na uniwersytecie i nigdy nie miał takiego zamiaru. Zastanawiał się, kim byłby teraz, gdyby się jednak zdecydował...

Profesor zatopił spojrzenie w brukowanej ulicy za oknem. Po jednej stronie Buccleuch Place stał rząd schludnych kamienic należących do uniwersytetu, zagospodarowanych przez różne wydziały. Profesor nazywał je Botany Bay, od miejsca dawnej australijskiej kolonii karnej. A po drugiej stronie wznosiły się szpetniejsze nowoczesne kamienne gmachy głównego kompleksu uniwersyteckiego. Jeśli to ta strona ulicy była Botany Bay, Rebus nie miałby nic przeciwko temu, żeby go tam zesłano.

Pozostawił profesora z jego myślami i refleksjami. Czy książki skradziono przypadkowo? A może rabunek zaplanowano, może złodziej krał na zlecenie? Być może znaleźliby się pozbawieni skrupułów kolekcjonerzy, którzy bez zadawania pytań zapłaciliby ładną sumkę za wczesne wydanie *Tristrama Shandy'ego*. Choć nazwiska autorów wydawały się znajome, to tylko ten tytuł coś Rebusowi mówił. Miał zresztą egzemplarz tej książki w miękkiej oprawie, kupiony za dziesięć pensów przy parku miejskim The Meadows, gdzie sprzedawano starocie prosto z samochodów. Może profesor chciałby go pożyczyć...

I tak oto inspektor John Rebus wszczął dochodzenie w sprawie kradzieży książek. Jak wskazywały raporty ze sprawy, przeprowadzono wstępne rozeznanie, ale trzeba było je powtórzyć. Były domy aukcyjne, księgarnie, prywatni kolekcjonerzy... wszyscy do przesłuchania. I to tylko po to, by podtrzymać wątpliwą przyjaźń między komendantem edynburskiej policji a profesorem teologii. Strata czasu. Książki zniknęły w poprzedni wtorek. Była sobota, więc bez wątpienia znajdowały się pod kluczem w jakimś sekretnym ciemnym kącie.

Co za sposób na spędzenie soboty! Szczercze mówiąc, gdyby Rebus mógł dysponować własnym czasem, byłoby to miłe popołudnie, ale z drugiej strony może właśnie dlatego nie wzbierał się przed podjęciem tego śledztwa. Bo Rebus sam kolekcjonował książki. No, może to zbyt mocne słowa. Kupował książki. Kupował ich więcej, niż miał czasu na czytanie, zwabiony a to okładką, a to tytułem, a to recenzją. Po namyśle więc stwierdził, że zamiast na zakupach w księgarniach może spędzać dni wolne na służbowych rozmowach; inaczej zbankrutowałby w rekordowym tempie.

Poza tym to nie literatura zaprzętała mu głowę. Wciąż myślał o pewnym członku Parlamentu. Czy Gregor Jack miał żonę? Rebus przypuszczał, że tak. Czy kilka lat wcześniej nie trąbiono o jego wystawnym ślubie? Tyle że żonaci mężczyźni to chleb powszedni dla prostytutek, które po prostu ich pożerały. Szkoda, że znalazł się wśród nich Jack. Rebus zawsze szanował tego człowieka – co, gdy teraz o tym myślał, oznaczało, że dał się nabrać na jego publiczny wizerunek. Ale to nie mógł być tylko wizerunek. Jack wywodził się z klasy robotniczej, piął się stopniowo po szczeblach kariery i sprawdził się jako poseł. Północny i Południowy Esk – po części z górniczymi wioskami, po części z posiadłościami – był trudnym okręgiem wyborczym, ale Jack potrafił się w nim odnaleźć. Udało mu się zmienić trasę paskudnej nowej drogi, tak by biegła z dala od jego zamożnych wyborców, ale też

ciężko walczył o wprowadzenie na ten obszar zaawansowanego technologicznie przemysłu i pracował nad przekwalifikowaniem górników, żeby mogli znaleźć w nim pracę.

Zbyt dobry, żeby był prawdziwy. Zbyt cholernie dobry, żeby był prawdziwy...

Księgarnie. Rebus musiał skupić się na księgarniach. Do sprawdzenia pozostało tylko kilka, takich, których nie otwierano wcześniej. Taką pracę na nogach powinien zlecać młodszemu stopniem detektywom. Ale w praktyce oznaczałoby to tylko tyle, że musiałyby chodzić za nimi i sprawdzać, co w danej sprawie zrobili. Gdy ruszał sam, oszczędzał sobie komplikacji.

Buccluech Street stanowiła dziwny melanz ponurych sklepów z rupieciami i jasnych wegetariańskich barów z daniami na wynos. Dzielnica studencka, położona niedaleko jego mieszkania, chociaż rzadko zapuszczał się w tę część miasta. Jedynie służbowo. Zawsze tylko służbowo.

Wreszcie znalazł tę księgarnię. U Samoba. Tym razem wyglądała na otwartą, bo w środku paliło się światło, co najwyraźniej było konieczne nawet w blasku wiosennego słońca. Był to mały sklepik z niezbyt porywającą wystawą starych książek w twardych oprawkach, które w większości miały szkockie motywy. Na środku witryny zadomowił się ogromny czarny kot i złośliwie mrugał do Rebusa. Szkło wystawowe wymagało czyszczenia. Tytułów książek nie dało się odczytać bez przyciśnięcia nosa do szyby, a sprawę dodatkowo utrudniał czarny stary rower oparty o front budynku. Rebus pchnął drzwi. Wnętrze sklepu sprawiało wrażenie jeszcze bardziej zapuszczonego, niż można było przypuszczać, patrząc z zewnątrz. Tuż za drzwiami leżała wycieraczka z włosia. Rebus zapisał sobie w pamięci, żeby wytrzeć buty, zanim wróci na ulicę...

Półki, niektóre ze szklanymi drzewczkami, były przepełnione, a w powietrzu unosił się zapach domów starych krewnych, strychów i zawartości ławek szkolnych. Przejścia były tak cholernie ciasne, że nawet mysz by się nie prześliznęła. Gdzieś za nim rozległ się huk. Obawiał się, że zrzucił którąś z książek, ale kiedy się odwrócił, zobaczył, że to kot. Zwierzę ominęło go i ruszyło na tyły sklepu, w stronę biurka, nad którym dyndała goła żarówka.

– Szuka pan czegoś konkretnego?

Siedziała przy biurku ze stertą książek. W jednej ręce trzymała ołówek i prawdopodobnie zapisywała ceny na wewnętrznych stronach okładek. Z daleka scena jak z Dickensa. Z bliska zupełnie inna historia. Dziewczyna, jeszcze nastolatka, a już z ufarbowanymi sterczącymi krótkimi włosami. Oczy za okrągłymi przyciemnianymi okularami również były okrągłe i ciemne; w każdym uchu po trzy kolczyki, a na lewym nozdrzu połyskiwał jeszcze jeden. Rebus nie wątpił, że ma trupio bladego chłopaka z długimi dreadami i chartem angielskim na sznurku.

– Szukam kierownika – oznajmił.

– Nie ma go. Mogę w czymś pomóc?

Wzruszył ramionami i jego wzrok padł na kota, który bezszelestnie wskoczył na biurko i ocierał się o książki. Dziewczyna wyciągnęła w jego stronę ołówek i zwierzak musnął jego czubek pyszczkiem.

– Inspektor Rebus – przedstawił się. – Przychodzę w sprawie skradzionych książek. Chciałbym wiedzieć, czy ktoś nie próbował ich sprzedać.

– Ma pan listę?

Miał; wyjął ją z kieszeni i podał.

– Proszę to zatrzymać – powiedział. – Na wszelki wypadek.

Zerknęła w dół na listę tytułów i wydała, po czym zacisnęła wargi.

– Nie sądzę, żeby Ronald mógł sobie na nie pozwolić, nawet gdyby go kusilo.

– Ronald to kierownik?

– Tak. Skąd ukradziono te książki?

– Z Buccleuch Place, za rogiem.

– Za rogiem? Złodziej raczej by ich tu przyniósł, nie sądzi pan?

Rebus uśmiechnął się.

– Ma pani rację – przyznał. – Ale musimy to sprawdzić.

– No dobrze, zatrzymam to – powiedziała, składając kartkę, i włożyła ją do szuflady biurka.

Rebus wyciągnął rękę, żeby pogłaskać kota, lecz czarna łapa niczym błyskawica poderwała się do góry i przejechała pazurami po jego nadgarstku. Cofnął dłoń i syknął, gwałtownie wciągając powietrze.

– Jejku – rzuciła dziewczyna. – Rasputin nie przepada za kontaktem z obcymi.

– Nie wątpię. – Rebus gapił się na nadgarstek, na którym widniały trzy długie na kilka centymetrów ślady pazurów. Białe zadrapania wyrzyszały się, skóra puchła i pękała, a po chwili wypłynęły krople krwi. – Jezu. – Zaczął ssać zadrapaną rękę. Popatrzył na kota; ten odwzajemnił spojrzenie, zeskoczył z biurka i już go nie było.

– Wszystko w porządku?

– No, powiedzmy. Powinnaś, młoda damo, trzymać to coś na łańcuchu.

Uśmiechnęła się.

– Słyszał pan o obławie z wczorajszej nocy?

Rebus zamrugał, wciąż wsysając się w ranę.

– O jakiej obławie?

– Słyszałam, że policja zrobiła obławę na dom publiczny.

– Tak?

– I że złapali posła, Gregora Jacka.

– Naprawdę?

Znów się uśmiechnęła.

– Wszyscy o tym mówią.

Nie mieszkam w mieście, lecz na cholernej wsi, pomyślał Rebus, nie po raz pierwszy.

– Myślałam, że może pan coś wie. To znaczy, czy to prawda. Bo jeśli tak, to... – Westchnęła. – Biedny Nędzacz.

Rebus uniósł brwi.

– To jego ksywa – wyjaśniła. – Nędzacz. Ronald tak go nazywa.

– Twój szef zna pana Jacka?

– O tak, chodzili razem do szkoły. Nędzacz jest właścicielem połowy tego lokalu. – Zatoczyła ręką łuk, jakby to był dom towarowy na Princes Street. Zauważyła, że na Rebusie nie zrobiło to wrażenia. – Za kulisami robimy wiele interesów – dodała, jakby się broniła. – Dużo kupujemy i sprzedajemy. Może tego nie widać, ale to miejsce jest kopalnią złota.

Skinął głową.

– Skoro o tym mowa, to nie wiem, jak ze złotem, ale wierzę, że można tu klientom dokopać. – Nadgarstek piekł, jakby go włożył w pokrzywy. Cholerny kot. – No dobrze, proszę mieć oko na te książki, zgoda?

Nie odpowiedziała, niewątpliwie urażona jego żartem. Otworzyła książkę, gotowa do zapisania ceny. Rebus pokiwał głową, podszedł do drzwi, głośno wytarł buty o wycieraczkę i opuścił sklep. Kot siedział znów w oknie, wylizując ogon.

– Pierdol się, kolego – mruknął Rebus.

Zwierzęta domowe wyzwały w nim zwierzęce instynkty.

DOKTOR PATIENCE AITKEN MIAŁA zwierzęta. Za dużo zwierząt. Małe tropikalne rybki... oswojonego jeża w ogrodzie... dwie papużki w klatce w salonie... i, tak, kota. Bezpańskiego, który ku uldze Rebusa nadal lubił spędzać większość czasu na polowaniu. Był cętkowany, brązowo-czarno-żółty i nazywał się Lucky. I co gorsza, przepadał za Rebusem.

– To zabawne – powiedziała Patience. – Koty zawsze lgną do tych, którzy ich nie lubią, nie chcą ich lub są na nie uczuleni. Nie pytaj mnie dlaczego.

Gdy to mówiła, Lucky zaczął wspinaczkę na ramiona Rebusa, lecz ten warknął i strząsnął go z siebie. Kot spadł na podłogę, lądując na czterech łapach.

– Och, John, musisz popracować nad cierpliwością.

Tak, miała rację. Jeśli nie będzie dość cierpliwy, może stracić swoją Patience. No więc próbował. Naprawdę się starał. Być może właśnie dlatego dał się nabrać na próbę pogłaskania Rasputina. Rasputin! Dlaczego zwierzętom zawsze nadaje się takie same imiona? Lucky, Goldie, Piękna, Puszek, Kropek... albo Rasputin, Belzebub, Kieł, Nirwana, Bodhisattwa? Wina rasy właściciela.

Wcześniej był w barze Rutherford, popijał klasyczne szkockie piwo i patrzył na podawane w telewizji wyniki meczów piłki nożnej, kiedy nagle przypomniał sobie, że tego wieczoru miał być w nowym domu Briana Holmesa i zjeść kolację z Holmesem i Nell Stapleton. Jęknął. Potem przypomniał sobie, że jego jedyny czysty garnitur wisi w mieszkaniu Patience Aitken. I to go zaniepokoiło. Czy naprawdę się do niej wprowadził? Bez dwóch zdań spędzał tam ostatnio bardzo dużo czasu. No cóż, lubił ją, nawet jeśli traktowała go jak kolejnego zwierzętka. Poza tym podobało mu się jej mieszkanie. Podobało mu się nawet to, że znajdowało się pod ziemią.

Może nie całkiem pod ziemią. W niektórych częściach miasta mogło być kiedyś określane jako mieszkanie „w piwnicy”, ale na Oxford Terrace, dobrze wyposażonym Oxford Terrace w dzielnicy Stockbridge, było to mieszkanie z ogrodem. I rzeczywiście miało ogród, wąski trójkąt równoramienny ziemi. Rebusa interesowało jednak tylko mieszkanie, sprawiające wrażenie schronienia, beztroskiego obozowiska dla dzieci. Mogłeś stać w jednym z pokoi i patrzeć w górę przez okno, jak po chodniku nad tobą poruszają się stopy i nogi. Ludzie rzadko patrzą w dół. Rebus, którego mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze kamienicy w Marchmont, cieszył się tą nową perspektywą. Inni mężczyźni w jego wieku wyprowadzali się do domów pod miastem, a jego przesywał dreszcz emocji, kiedy schodził w dół po schodach do drzwi wejściowych, zamiast się wspinać. Nie była to nowość, ale poważna zmiana, przełom, który napełniał życie nadzieją.

Patience również miała wielkie nadzieje. Chciała, żeby przyniósł więcej swoich rzeczy, „poczuł się jak w domu”. Dała mu nawet klucz. Kiedy więc Rebus wypił piwo i udało mu się skłonić samochód do pięciominutowej jazdy, mógł wejść do mieszkania Patience i załatwić sprawę. Garnitur, świeżo wyczyszczony, leżał na łóżku w sypialni. Tak samo jak Lucky. Ścisłej mówiąc, to Lucky leżał na garniturze, tarzał się na nim i skubał pazurami, zostawiając sierść i znacząc go jako swój teren. Rebus, gdy zmiatał kota z łóżka, oczami wyobraźni zobaczył Rasputina. Wziął garnitur, poszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi, żeby spokojnie wziąć kąpiel.

OKRĘG PARLAMENTARNY Północny i Południowy Esk był duży, ale niezbyt zaludniony. Populacja jednak rosła. Nowe osiedla mieszkaniowe wznoszono w ciasnych skupiskach zabudowań na obrzeżach górniczych miasteczek i wsi. Obszar podmiejski. O tak, region się zmieniał. Nowe drogi, nawet nowe stacje kolejowe. Nowy typ człowieka wykonującego nowy rodzaj pracy. Brian Holmes i Nell Stapleton zdecydowali się jednak kupić stary dom w zabudowie szeregowej w sercu jednej z najmniejszych wiosek, Eskwell. Właściwie wciąż był to Edynburg. Miasto rosło, rozprzestrzeniało się. Pochłaniało wioski, rodziło nowe posiadłości. Ludzie nie wprowadzali się do Edynburga; to miasto się do nich wprowadzało...

Zanim Rebus dotarł do Eskwell, nie był już w nastroju do kontemplacji zmieniającego się oblicza prowincjonalnego życia. Miał problem z uruchomieniem silnika. Zawsze miał problem z uruchomieniem silnika, lecz tym razem garnitur, koszula i krawat znacznie utrudniały majstrowanie pod maską. Pewnego pięknego weekendu rozbierze ten silnik na części. Zrobi to. A potem się podda i zadzwoni po lawetę.

Dom nietrudno było znaleźć. Eskwell szczyła się jedną główną drogą i tylko kilkoma bocznymi. Rebus podszedł ogrodową ścieżką do wejścia i stanął z butelką wina w ręce. Zaciął wolną pięść i uderzył w drzwi.

Otworzyły się niemal od razu.

– Spóźniłeś się – powiedział Brian Holmes.

– Przywilej, jaki daje wyższa ranga, Brian. Wolno mi się spóźnić.

– Powiedziałem „nieformalnie”, prawda? – spytał Holmes, gdy wprowadził gościa do przedpokoju.

Rebus przez chwilę rozważał jego słowa, po czym zorientował się, że to komentarz do jego garnituru. Dopiero teraz zauważył, że gospodarz ma na sobie koszulę z rozpiętymi górnymi guzikami i dżinsy, a na bosych stopach mokasyny.

– Aha – wyjąkał.

– Nieważne, pójdę na górę i przebiorę się.

– Nie z mojego powodu. To jest twój dom, Brian. Rób, co chcesz.

Holmes pokiwał głową; wyglądał na zadowolonego. Rebus miał rację: to był jego dom. A przynajmniej hipoteka była jego... połowa hipoteki.

– Wchodź. – Holmes wskazał ręką koniec korytarza.

– Pozwól, że skoczę do toalety. – Rebus wręczył mu butelkę. Uniósł dłonie, najpierw wierzchem, a następnie je odwrócił, pokazując ślady brudu i oleju.

– Kłopoty z samochodem – skwitował gospodarz, kiwając głową. – Łazienka jest po prawej stronie.

– Jasne.

– Zdrapania też są paskudne. Porozmawiałbym o nich z lekarzem.

Rebus pomyślał, że ten młody człowiek pewnie zakłada, że to pewna lekarka jest za niego odpowiedzialna.

– Kot – wyjaśnił Rebus. – Kot, któremu zostało osiem żyć.

Na górce poczuł się wyjątkowo niezdarne. Opłukał po sobie umywalkę, potem musiał zmyć brud z mydła, a następnie znów opłukać umywalkę. Nad wanną wisi ręcznik, ale kiedy Rebus zaczął wycierać ręce, spostrzegł, że wcale nie wyciera ich o ręcznik, lecz o łazienkową matę; ręcznik był na haczyku za drzwiami. „Spokojnie, John”, wymamrotał do siebie. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Życie towarzyskie było jeszcze jedną umiejętnością, której nigdy tak naprawdę nie opanował.

Zajrzał za drzwi na dole.

– Wchodź, wchodź – rzucił Holmes i podał mu szklankę whisky. – Proszę. I na zdrowie.

– Na zdrowie.

Wypili i Rebus poczuł się lepiej.

– Później oprowadzę cię po domu – zapowiedział Holmes. – A teraz siadaj.

Rebus zrobił to i rozejrzał się.

– Prawdziwy z ciebie pan domu – skomentował.

W powietrzu unosił się przyjemny zapach. Z kuchni dobiegały odgłosy gotowania i stukania naczyń. W rogu prostokątnego salonu stał stół zastawiony na trzy osoby, w drugim rogu fotel, w trzecim telewizor, a w czwartym, standardowo, lampa.

– Bardzo ładnie – ocenił Rebus.

Holmes siedział na dwuosobowej kanapie, za którą było duże okno, wychodzące na ogród na tyłach domu. Wzruszył skromnie ramionami.

– Myślę, że tyle nam wystarczy.

– Z całą pewnością.

Do pokoju wkroczyła Nell Stapleton. Imponująca jak zawsze, niemal zbyt wysoka w stosunku do otoczenia, jak Alicja po ciastku z napisem *Zjedz mnie*. Wycierając ręce w ścierkę do naczyń, uśmiechnęła się do Rebusa.

– Witaj.

Rebus wstał, a ona pocałowała go w policzek.

– Cześć, Nell.

Podeszła do Holmesa i wyjęła mu szklankę z ręki. Na czole miała pot; ona również była ubrana swobodnie. Pociągnęła łyk whisky, głośno wypuściła powietrze i oddała szklankę.

– Kolacja za pięć minut – zapowiedziała. – John, szkoda, że nie ma z nami twojej przyjaciółki, pani doktor.

Wzruszył ramionami.

– Była już umówiona. Kolacja z innymi lekarzami. Dzięki za pretekst, żeby się z niej wykręcić.

Posłała mu uśmiech, który wydawał się zbyt przyklejony do twarzy.

– No dobrze. Zostawię was we dwóch, pogadajcie sobie o swoich męskich sprawach.

Gdy zniknęła, w salonie nagle powiało pustką. Cholera, co on wtedy powiedział? Rebus próbował znaleźć słowa, żeby trafnie opisać Nell, gdy opowiadał o niej Patience Aitken. Ale słowa nie oddawały w pełni jej osoby. Dominująca, zawzięta, żywiołowa, sprytna, wysoka, błyskotliwa, cwana... niczym przydomki kolejnych siedmiu krasnoludków. Z pewnością nie powielala stereotypu uniwersyteckiej bibliotekarki. Ale Brian Holmes był nią oczarowany. Uśmiechał się, wpatrując się w to, co zostało z jego whisky. Wstał po dolewkę – Rebus odrzucił propozycję – i wrócił do niego z tekturą teczką.

– Proszę – powiedział.

– Co to jest? – spytał Rebus, biorąc ją do ręki.

– Sam zobacz.

Głównie wycinki z gazet, artykuły z czasopism, informacje prasowe... Wszystko na temat posła Gregora Jacka.

– Skąd ty to...?

Holmes wzruszył ramionami.

– Wrodzona ciekawość. Czekala mnie przeprowadzka do jego okręgu wyborczego, więc pomyślałem, że chciałbym wiedzieć więcej.

– Wygląda na to, że ostatniej nocy dziennikarze milczeli.

– Może zostali ostrzeżeni. – W głosie Holmesa pobrzmiwał sceptycyzm. – Albo czekają na odpowiedni moment. – Ledwo usiadł, a znów poderwał się na nogi. – Zobaczę, czy Nell nie potrzebuje pomocy.

Rebusowi nie pozostało nic innego, jak zagłębić się w wycinki, z których dowiedział się niewiele więcej niż to, o czym już słyszał. Pochodzenie z klasy robotniczej. Szkoła średnia w Fife, następnie Uniwersytet Edynburski. Studia ekonomiczne. Dyplomowany księgowy. Ożenił się z Elizabeth Ferrie, którą poznał na uniwersytecie. Ona, córka biznesmena, sir Hugh Ferriego. Jedyna córka i jedyne dziecko. Ojciec ją uwielbiał i rozpieszczał, spełniał wszelkie zachcianki, bo przypominała mu żonę nieżyjącą od dwudziestu trzech lat. Ostatnią „towarzyszką” pana Hugh była modelka, młodsza od niego ponad dwukrotnie. Może ona też przypominała mu żonę...

Zabawne. Elizabeth Jack była kobietą atrakcyjną, wręcz piękną, a jednak Rebus nie słyszał o niej wiele. Czy szczerwani politycy nie traktują atrakcyjnych żon jak karty atutowe? A może chciała mieć własne życie? Wakacje na nartach i w kurortach, a nie poselską rutynę: przycinanie wstęg na otwarciach fabryk, wieczorki z herbatką i tego rodzaju rzeczy.

Rebus przypomniał sobie, co lubił w Gregorze Jacku. Podobne jak on pochodzenie. Jack urodził się w hrabstwie Fife i tam chodził do podstawówki, tak jak on. Szkoła Rebusa była w Cowdenbeath, a Jacka w Kirkcaldy. Całkiem niedaleko od siebie.

Jedynie błoto, jakim dotychczas obrzucono Jacka, wytrysnęło z nowej fabryki elektroniki, którą ulokowano w jego okręgu wyborczym. Powtarzano plotki, że jego teść pociągnął za kilka sznurków... Sprawa ucichła jednak dość szybko. Brak dowodów, a potem smród pozwów o zniesławienie. Ile lat miał Jack? Rebus przestudiował ostatnie zdjęcie z gazety. Jack wyglądał na nich młodziej niż w rzeczywistości – ludzie w mediach zawsze wyglądają młodziej. Trzydzieści siedem, trzydzieści osiem, coś koło tego. Piękna żona, mnóstwo pieniędzy.

I kończy w łóżku dziwki podczas nalotu na burdel. Rebus potrząsnął głową. Świat jest okrutny. Potem się uśmiechnął: dobrze mu tak, mógł trzymać się łóżka żony.

Holmes wrócił do pokoju i ruchem głowy wskazał teczkę.

– Dają do myślenia, prawda?

Rebus wzruszył ramionami.

– Nie bardzo, Brian. Nie bardzo.

– No dobrze, dokończ whisky i chodź do stołu. Kierownictwo poinformowało mnie, że zaraz zostanie podana kolacja.

JEDZENIE BYŁO WYŚMIENITE. Rebus nalegał, by wznieść trzy toasty: jeden za szczęście pary gospodarzy, drugi za ich nowy dom, a trzeci za awans Holmesa. Do tego czasu siedzieli już przy drugiej butelce wina i głównym daniu wieczoru – rostbefie. Później były sery, a na deser cranachan. A po tym wszystkim kawa i single malt Laphroaig oraz senność w fotelu i na kanapie wszystkich uczestników kolacji. Rebus nie potrzebował wiele, żeby się odprężyć – wystarczył alkohol. Ale był to nerwowy rodzaj odprężenia; czuł, że powiedział za dużo i że w większości były to bzdury.

Rozmawiali oczywiście również o sprawach służbowych, na co Nell pozwalała dopóty, dopóki były interesujące. Za interesujące uznała to, że komendant Farmer Watson nie stroni od alkoholu. („Może on wcale nie pije. Może jest po prostu uzależniony od mocnych miętówek”). Ciekawym tematem okazały się również ambicje szefa dochodzeniówki, inspektora Lauderdale’a. Opowieści o nalocie na dom publiczny również brzmiały interesująco. Nell chciała wiedzieć, dlaczego ludziom sprawia frajdę bicie, zakładanie komuś pieluch czy seks z pletwonurkiem. Rebus przyznał, że nie zna odpowiedzi.

– Sprawdź sama, a się przekonasz. – To był wkład w rozmowę Briana Holmesa, za który zarobił poduszką w głowę.

Kwadrans po jedenastej Rebus był świadomy dwóch rzeczy. Po pierwsze, był zbyt pijany, żeby prowadzić. Po drugie, nawet gdyby chciał jechać (a raczej: żeby go odwieziono), to nie znał celu podróży: Oxford Terrace czy własne mieszkanie w Marchmont? Gdzie on właściwie mieszkał? Już sobie wyobrażał, jak parkuje samochód na Lothian Road, w połowie drogi między tymi dwoma adresami, i tam uderza w kimono, kiedy decyzję podjęła za niego Nell.

– Łóżko w jednym pokoju jest pościelone. Potrzebujemy kogoś, kto je ochrzci, żebyśmy mogli nazywać to poniewczasie sypialnią dla gości. Więc dlaczego nie ty?

Jej cichy autorytet nie mógł być kwestionowany. Rebus wzruszył ramionami, akceptując zaproszenie. Nieco później gospodyni poszła spać. Holmes włączył telewizor, lecz nie znalazł niczego wartego obejrzenia, więc uruchomił zestaw hi-fi.

– Nie mam jazzu – przyznał, bo znał gust Rebusa. – Ale co powiesz na to...?

To był album *Sergeant Pepper*. Rebus się zgodził.

– Jeśli nie mogę prosić o Rolling Stonesów, zadowolę się drugą najlepszą opcją.

Spierali się o muzykę pop z lat sześćdziesiątych, dyskutowali chwilę o piłce nożnej i znowu o sprawach zawodowych.

– Jak sądzisz, ile czasu potrzebuje doktor Curt? – Holmes miał na myśli jednego z patologów regularnie angażowanych przez policję i ciało, które wyłowiono z rzeki Water of Leith, tuż pod Dean Bridge. Samobójstwo, wypadek czy zabójstwo? Mieli nadzieję, że wyniki badań Curta wskażą właściwy kierunek.

Rebus wzruszył ramionami.

– Niektóre z tych badań trwają tygodniami, Brian. Ale z tego, co słyszałem, tym razem pójdzie szybko. Dzień lub dwa.

– I jak myślisz, co powie?

– Bóg jeden wie.

Wymienili uśmiechy; Curt słynął z kiepskich żartów i braku powagi w najmniej odpowiednich momentach.

– Czy powinniśmy być w gotowości do wymiany dowcipów? – zapytał Holmes. – Co powiesz na to: „Zmarła została znaleziona w pobliżu wodospadu, ale badanie oczu nie wykazało żadnych oznak katarakty”.

Rebus się roześmiał.

– To nie jest złe. Może trochę przekombinowane, ale całkiem dobre.

Przez kilkanaście minut wspominali niektóre z prawdziwych perełek Curta, a potem rozmowa w jakiś sposób zeszała na politykę. Rebus przyznał, że głosował tylko trzy razy w życiu.

– Raz Partia Pracy, raz Narodowa i raz torysi.

To wyznanie rozbawiło Holmesa. Zapytał, jaki był porządek chronologiczny, ale Rebus nie potrafił sobie przypomnieć, co również rozsmieszyło jego młodszego kolegę.

– Może następnym razem powinieneś spróbować na niezależnego.

– Masz na myśli kogoś pokroju Gregora Jacka? – Rebus pokręcił głową. – Nie sądzę, żeby w Szkocji byli „niezależni”. To jak mieszkać w Irlandii i próbować nie opowiadać się po żadnej ze stron. Cholernie ciężka robota. A skoro mowa o robocie... niektórzy z nas dzisiaj pracowali. Jeśli nie masz nic przeciwko, Brian, pozwól, że dołączę do Nell...

Holmes znowu parsknął śmiechem.

– Źle mnie zrozumiałeś – rzucił Rebus.

– Jasne, śmiało. Ja jeszcze czuję się nieźle. Może obejrzę jakiś film. Do zobaczenia rano.

– Uważaj, żeby mnie nie obudzić – ostrzegł Rebus i mrugnął do niego.

NIE OBUDZIŁOBY GO CHYBA nawet stopienie rdzenia reaktora w Torness. Śnili mu się księża i zakonnice, pletwonurkowie, koty i gole strzelone w ostatniej chwili. A gdy otworzył oczy, zobaczył nad sobą mroczną postać.

Podparł się na łokciach. To był Holmes w dżinsowej kurtce. W jednej jego ręce pobrzękiwały kluczyki do samochodu, w drugiej trzymał plik gazet. Rzucił je na łóżko.

– Dobrze spałeś? Zwykle nie kupuję tych szmatławców, ale pomyślałem, że cię zainteresują. Śniadanie będzie gotowe za dziesięć minut.

Rebus zdołał wybełkotać kilka sylab. Wyprostował się i przejrzał pierwszą stronę leżącego przed nim tabloidu. Oto w rękach miał to, na co czekał, i poczuł, jak napięcie opuszcza jego ciało i mózg. Nagłówek był całkiem subtelny: JACK BAWIDAMEK!, ale podtytuł już wystarczająco dobitny: POSEŁ ARESZTOWANY W SEKSMELINIE. A do tego fotografia, na której Gregor Jack idzie po schodach do furgonetki, i informacja o kolejnych zdjęciach w środku gazety. Rebus przewrócił strony. Błada twarz Farmera Watsona, dwie pozujące przed fotoreporterami prostytutki i następne cztery zdjęcia z Jackiem, ukazujące jego haniebną drogę do policyjnej furgonetki. Żadnych fotografii spod komisariatu, poseł musiał się więc stamtąd niepostrzeżenie ulotnić, z asystą lub sam. Nie mógł jednak liczyć, że ulotni się z gazet, niezależnie od tego, czy był fotogeniczny, czy nie. W tle jednej z fotografii Rebus zauważył cherubinowe rysy detektywa sierżanta Briana Holmesa. W sam raz do kolekcji, bez dwóch zdań.

Jeszcze w dwóch gazetach znalazły się podobne relacje, opatrzone bardzo podobnymi (niemal identycznymi) zdjęciami. CZŁONEK PARLAMENTU W NIESŁAWIE. WIELKA WTOPA! Ogromny nagłówek niedzielnej gazety, wymyślony przez stroniących od alkoholu prawników szczyjących się mądrością Salomona i wielkodusznością fanatyków, zniesmaczył Rebusa, który sam nie był świętoszkiem. Podniósł się z łóżka i wstał. Alkohol w jego wnętrzu też się podniósł i zaczął uderzać do głowy. Czerwone wino i whisky. Złe wiadomości plus kac. Jak brzmiało to powiedzenie o łączeniu alkoholi? Nigdy nie mieszaj ziarna z winogronem. Nieważne, kilka litrów soku pomarańczowego powinno załatwić sprawę.

Ale najpierw trzeba było wrzucić coś na ruszt. Nell sprawiała wrażenie, jakby całą noc spędziła w kuchni. Zmyła resztki po wieczornej kolacji, a teraz podawała śniadanie jak w hotelu. Płatki zbożowe, tosty, bekon, kiełbaski i jajka. I dzbanek kawy na środku stołu. Brakowało tylko jednej rzeczy.

– Macie może sok pomarańczowy? – spytał Rebus.

– Przykro mi – powiedział Holmes. – Miałem nadzieję, że będą go mieli w kiosku z gazetami, ale im się skończył. Jest za to dużo kawy. Często się. – Zaciekawiała go kolejna gazeta, z dłuższym artykułem. – Wbicie noża w plecy nie zajęło im dużo czasu, co?

– Masz na myśli Gregora Jacka? Nie, ale czego innego można było się spodziewać?

Holmes odwrócił stronę.

– Mimo wszystko to dziwne... – Zawiesił głos.

Rebus musiał się domyślać, co chciał powiedzieć.

– Dziwi cię, że londyńska prasa niedzielna dowiedziała się o operacji Burda? – spytał.

Jego młodszy kolega przewrócił kolejną stronę. W dzisiejszych czasach czytanie prasy nie trwało długo, chyba że interesowały cię ogłoszenia. Holmes złożył gazetę na cztery części i odłożył na stół.

– Owszem. – Uniósł do ust tost. – Tak jak powiedziałem, to dziwne.

– Daj spokój, Brian. Gazety zawsze dostają cynk o soczystych historiach. Gliniarz potrzebujący forsy na piwo i tak dalej. Zrobisz nalot na ekskluzywny burdel i jest szansa, że wyjdiesz z jakimiś znanymi ludźmi.

Chwila... Już kiedy Rebus to mówił, przemknęło mu przez głowę, że kryje się w tym coś więcej. Fotoreporterzy nie spieszyli się z fotografowaniem osób wychodzących z budynku w New Town. Jakby dokładnie wiedzieli, na kogo czekają.

Holmes świdrował go wzrokiem.

– Co konkretnie masz na myśli? – zapytał Rebus.

– Nic. Naprawdę nic... na razie. To nie nasza sprawa, a poza tym cieszymy się niedzielą.

– Jesteś przebiegłym gnojkiem, Brianie Holmes.

– Mam dobrego mentora, nie uważasz?

Do pokoju weszła Nell, niosąc dwa talerze ze smażonym jedzeniem. Żołądek błagał Rebusa, by nie robił niczego pochopnego... Niczego, czego by potem żałował.

– Napracowałaś się – zwrócił się Rebus do Nell. – Nie pozwól, żeby Brian się tobą wysługiwał.

– O to nie musisz się martwić – odparła. – Podział obowiązków jest uczciwy. Brian wieczorem zmywał naczynia i po śniadaniu też pozmywa.

Holmes jęknął. Rebus otworzył jeden z tabletołów i stuknął palcem w fotografię.

– Może lepiej go nie obciążać, Nell... teraz, gdy pojawia się na zdjęciach...

Wyrwała mu z rąk pismo, przez chwilę się przyglądała, a potem krzyknęła:

– Mój Boże, Brian! Wyglądasz jak muppet!

Holmes skoczył jak za naciśnięciem guzika i spojrzął jej przez ramię.

– A tak wygląda nasz komendant? – spytał Holmes. – Jak tuczne cielę z Aberdeen?

Mężczyźni wymienili się uśmiechami. Nie bez powodu Watsona nazywano Farmerem.

REBUS ŻYCZYŁ MŁODYM wszystkiego najlepszego. Podjęli decyzję o wspólnym życiu. Razem kupili dom i urządzili się. Wyglądali na szczęśliwych. Tak, z całego serca życzył im szczęścia.

Ale jego mózg dawał im dwa, góra trzy lata.

Taki już też los policjantów. Jeśli Holmes będzie dążył do uzyskania stopnia inspektora, będzie musiał pracować jeszcze ciężiej. Jeżeli po powrocie do domu – wieczorem albo rano – wyłączy umysł, to w porządku. Rebus wątpił jednak, czy ten młody człowiek to potrafi. Holmes był typem, który

angażował się w sprawę, pozwalał, by panowała nad jego myślami, na służbie i poza nią, a coś takiego szkodzi relacjom.

Szkodzi i czasem całkowicie niszczy. Rebus znał więcej rozwiedzionych czy żyjących w separacji gliniarzy (łącznie z nim) niż tych szczęśliwie żonaty. W tym fachu nie chodziło o przepracowane godziny; ta praca przenikała tkanki jak pasożyt, zakopywała się w nich głęboko i zżerała człowieka od środka. Dla ochrony przed tym pasożytem musisz zakładać panczerze – może silniejsze, niż to konieczne – a te separują cię od przyjaciół i rodziny, ogólnie od „cywilów”...

Ach, jakie przyjemne myśli, w sam raz na niedzielny poranek. A przecież nie wszystko malowało się w ciemnych barwach. Samochód odpałił bez problemu (czyli bez konieczności dowiezienia go do najbliższego warsztatu), a niebo było dostatecznie błękitne, by ci wytrwali zdecydowali się na wyprawę za miasto. Rebus również zamierzał się przejechać. Wycieczka bez celu, powiedział sobie. Ładny dzień na przejażdżkę. Wiedział jednak, dokąd zmierza. Wiedział dokąd, jeśli nawet nie zdawał sobie sprawy po co.

Gregor Jack i jego żona mieszkali w otoczonej murem dużej, starej rezydencji na obrzeżach Rosebridge, kawałek na południe od Eskwell, na obszarze nieco bardziej rolniczym. Zgentryfikowana wieś. Pola, falujące wzgórza i koncesje na nową zabudowę. Rebus nie miał żadnego usprawiedliwienia, by tędy jechać, poza ciekawością... ale najwyraźniej nie on jeden. Dom Jacków łatwo było poznać po samochodach zaparkowanych przed bramą i dziennikarzach, którzy kręcili się w pobliżu, rozmawiając lub instruując znużonych fotoreporterów, jak daleko mogą się posunąć (chodziło bardziej o kwestie moralne niż geograficzne) dla jednego trudno osiągalnego zdjęcia. Wdrapać się na ścianę? Wspiąć na pobliskie drzewo? Spróbować z tyłu domu? Ci z aparatami fotograficznymi nie pałali do tego chęcią. Nagle jednak coś ich zelektryzowało.

Rebus zdążył już zaparkować samochód kawałek dalej przy drodze. Po jednej jej stronie stało kilka domów, z których żaden nie był zbyt imponujący, jeśli chodzi o architekturę czy rozmiary. Miały długie podjazdy, bez wątplenia rozległe ogrody na tyłach, a od reszty świata odcinały je wysokie mury. Po drugiej stronie drogi było pastwisko. Zdezorientowane krowy i utuczone owce. Kilka sporych jagniąt, beczących tak, jakby jeszcze nie przeszły mutacji. Scenerię kończyły strome wzgórza oddalone o jakieś pięć kilometrów. Piękny widok; nawet taki troglodyta jak Rebus potrafił go docenić.

Może dlatego obecność reporterów pozostawiała na jego języku smak bardziej gorzki niż zazwyczaj. Stał za nimi i obserwował. Dom Jacków był ciemny i z tej odległości wydawał się czerwony. Dwukondygnacyjny, prawdopodobnie z początku XX wieku. Z jednej strony do budynku przylegał spory garaż, a przed domem, na szczycie podjazdu, stał biały saab 9000. Solidny i niezawodny, nie tani, lecz jeszcze nie efekciarski. I z pewnością reprezentacyjny: pojazd dla reprezentantów.

Młody mężczyzna, tuż po trzydziestce, z szyderczym uśmiechem na twarzy, otwierał bramy na tyle szeroko, by młodsza od niego kobieta, która choć lata nastoletnie zostawiła już za sobą, starała się wyglądać na dziesięć lat starszą, mogła wręczyć reporterom srebrną tacę. Mówiła głośniejsz, niż było potrzeba.

– Gregor pomyślał, że może chcieliby państwo napić się herbaty. Proszę wybaczyć, że nie ma zbyt wielu filiżanek, może będą musieli się państwo nimi podzielić. A tu są ciastka. Niestety, nie ma imbirowych. Skończyły się nam.

Pojawiły się uśmiechy, ukłony uznania. I przez cały czas padały pytania:

– Czy jest szansa na rozmowę z panem Jackiem?

- Możemy spodziewać się oświadczenia?
- Jak on to znosi?
- Czy pani Jack jest w domu?
- Byłaby szansa na słowo komentarza?
- Ian, czy on nam cokolwiek powie? – zwrócił się ktoś do mężczyzny przy bramie. Ten podniósł rękę, prosząc o ciszę. Zaczekał cierpliwie, aż wszyscy umilkną.
- Bez komentarza – rzucił i zaczął zamykać bramę.

Rebus przepchnął się przez łagodnie usposobiony tłum i stanął przed mężczyzną z szyderczym uśmiechem.

- Inspektor Rebus – przedstawił się. – Czy mógłbym zamienić słowo z panem Jackiem?

Mężczyzna i kobieta przy bramie byli bardzo podejrzliwi, nawet po tym, jak zobaczyli policyjny identyfikator. Może i mieli rację; Rebus znał reporterów, którzy uciekali się do różnych chwytów, z fałszywym identyfikatorem włącznie. Mężczyzna jednak skinął w końcu głową, brama otworzyła się na tyle szeroko, by Rebus mógł się przez nią przecisnąć, po czym została zamknięta i zatrzasknięta z hukiem. Z Rebusem w środku.

Co ja tu, do cholery, robię? – pomyślał. I nie potrafił sobie odpowiedzieć na to pytanie. Coś w scenie przy bramie sprawiło, że zapragnął znaleźć się po jej drugiej stronie. I oto tu był. Prowadzony zwirowym podjazdem w stronę ogromnego domu, przed którym stał duży samochód i do którego przylegał garaż. Prowadzony do członka Parlamentu Gregora Jacka, bo chciał z nim zamienić słowo.

„Zamierza mnie pan przesłuchać, inspektorze?”

„Nie, proszę pana, jestem tylko wścibski”.

Kiepski pomysł na rozpoczęcie rozmowy. Watson już wcześniej przestrzegął go przed... przed... Czy to była wada? Ta potrzeba wpychania się w centrum wydarzeń, angażowania się, przekonania na własnej skórze, zamiast przyjąć na wiarę czyjeś słowa niezależnie od tego, kim ten ktoś był.

„Och, po prostu przejeżdżałem obok i pomyślałem, że złożę wyrazy szacunku”. Jezu, przecież Jack i tak by go rozpoznał. Z burdelu. Siedział na łóżku, kiedy tamta kobieta unosiła nogi, rycząc ze śmiechu. Ale może nie pamiętał, miał przecież inne sprawy na głowie.

– Nazywam się Ian Urquhart i jestem szefem kampanii wyborczej Gregora. – Teraz, kiedy stał odwrócony plecami do dziennikarzy, szyderstwo zniknęło z twarzy Urquharta, a to, co pozostało, było mieszaniną troski i oszołomienia. – Wczoraj wieczorem zapowiedziano nam, czego możemy się spodziewać. Od tamtej pory tu jestem.

Rebus skinął głową. Urquhart był drobny, ale dobrze skrojony garnitur podkreślał jego wysportowaną sylwetkę. Nieco niższy od posła i nieco mniej przystojny. Innymi słowy: idealny materiał na szefa kampanii wyborczej. Wyglądał też na skutecznego, co Rebus uznał za zaletę.

– A to Helen Greig, sekretarka Gregora. – Urquhart skinął głową w stronę młodej kobiety i ta automatycznie uśmiechnęła się do Rebusa. – Helen przyjechała dziś rano, bo uznała, że może pomóc.

– Herbata to właściwie mój pomysł – wtrąciła.

Urquhart skarcił ją wzrokiem.

– Pomysł Gregora, Helen.

– Oczywiście. – Zacerwieniła się.

Skuteczny i wierny, pomyślał Rebus. A to cechy niespotykane. Helen Greig, podobnie jak szef kampanii wyborczej, mówiła ze szkockim akcentem, zdradzającym jej wykształcenie, ale nie hrabstwo,

z którego pochodziła. Rebus przypuszczał, że oboje są ze wschodniego wybrzeża, nie potrafił jednak bardziej zawęzić obszaru. Helen prezentowała się, jakby dopiero co wyszła z nabożeństwa Kościoła Szkocji albo się na nie wybierała. Miała na sobie jasny wełniany kostium, a do tego prostą białą bluzkę i prosty złoty łańcuszek na szyi; na nogach przyzwoite czarne buty i grube czarne rajstopy. Była wzrostu Urquharta, jakieś metr siedemdziesiąt, i nawet przypominała go budową. Trudno było uznać ją za piękną, raczej przystojną, jak Nell Stapleton, mimo że bardzo się różniły.

Minęli saaba. Urquhart szedł pierwszy.

– Czy ma pan konkretną sprawę, inspektorze? Zakładam, że rozumie pan, że pan Jack nie jest w stanie...

– To nie potrwa długo – rzucił Rebus.

– W takim razie proszę wejść.

Drzwi frontowe otworzyły się i Urquhart wprowadził inspektora i Helen Greig do domu. Rebusa natychmiast zaskoczył nowoczesny wystrój wnętrza. Wypolerowana sosnowa podłoga, tu i tam dywany, designerskie krzesła z wysokimi oparciami w stylu Mackintosh oraz niskie stoliki wyglądające na włoskie. Przeszli przez hol i znaleźli się w dużym pokoju, również nowoczesnie umeblowanym. Na długiej skórzanej kanapie ze stelażem z chromu siedział – w podobnej pozycji jak wtedy, gdy Rebus ujrzał go po raz pierwszy – Gregor Jack. Poseł drapał się bezmyślnie w palec i posępnie wpatrywał w podłogę. Urquhart odchrząknął.

– Mamy gościa, Gregor.

Efekt był taki, jakby utalentowany aktor w okamgnieniu zmienił rolę z tragicznej na komiczną. Gregor Jack wstał z przyklejonym uśmiechem. Jego oczy błyszczały, sugerując zainteresowanie, a cała twarz tryskała szczerością. Rebus docenił łatwość tej przemiany.

– Detektyw inspektor Rebus – przedstawił się, ujmując wyciągniętą do niego dłoń.

– Inspektorze, co możemy dla pana zrobić? Proszę usiąść. – Jack wskazał przysadzisty czarny fotel pasujący do kanapy.

Rebus poczuł się, jakby zatapiał się w cukrowej piance.

– Czy podać coś do picia? – zaproponował poseł, po czym, jakby o czymś sobie przypomniał, zwrócił się do sekretarki: – Helen, zanosłaś herbatę naszym przyjaciołom?

Skinęła głową.

– Świetnie. Panowie dziennikarze potrzebują przerw na małe co nieco. – Uśmiechnął się do Rebusa i opadł na brzeg kanapy; oparł ręce na kolanach tak, by mógł poruszać dłońmi. – No dobrze, inspektorze, o co chodzi?

– Prawdę mówiąc, tak się złożyło, że przejeżdżałem obok i zobaczyłem tę bandę przy bramie, więc się zatrzymałem.

– Wie pan, dlaczego tu są?

Rebus musiał skinąć głową. Urquhart ponownie odchrząknął.

– Przygotujemy dla nich oświadczenie – wtrącił. – Wygłosimy je w porze lunchu. Prawdopodobnie nie wystarczy, żeby ich odprawić, ale może w tym pomóc.

– Rozumiem. – Rebus, zdając sobie sprawę, że stąpa po kruchym lodzie, ostrożnie zwrócił się do posła: – Nie zrobił pan nic złego. To znaczy... nic nielegalnego.

Jack uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Legalne czy nie, inspektorze, to nieważne. Po prostu musi być news. – Jego ręce wciąż się trzęsły, podobnie jak głowa. Sprawiał wrażenie, jakby myślni błdził daleko. Potem coś jakby zaskoczyło. – Nie powiedział pan, inspektorze... kawa czy herbata? Może coś mocniejszego?

Rebus powoli pokręcił głową. Kac stopniowo zniknął i nie byłoby rozsądnie ściągać go z powrotem.

Jack spojrział na swoją sekretarkę.

– Za to ja chętnie napiję się herbaty, Helen. Inspektorze, jest pan pewien...?

– Tak, dziękuję.

– Ian?

Urquhart skinął głową.

– Helen, czy mogłabyś? – poprosił Jack.

Jaka kobieta by odmówiła? – pomyślał Rebus i coś sobie uświadomił.

– Pana żony nie ma w domu, panie Jack?

– Jest na wakacjach – odparł szybko poseł. – Mamy domek letniskowy w Highlands. Niewielki, ale go lubimy. Przypuszczam, że żona tam jest.

– Przypuszcza pan? A więc nie ma pan pewności?

– Nie przedstawiła mi planu swojej podróży, inspektorze.

– Czy ona wie...?

Jack wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – rzucił. – Może tak. Jest nienasyconą czytelniczką prasy. Nasz domek letniskowy stoi w pobliżu wioski, w której żona zaopatruje się w prasę niedzielną.

– Czyli nie kontaktowała się z panem?

Urquhart tym razem nie zawracał sobie głowy odchrząkiwaniem, zanim zabrał głos.

– W domku nie ma telefonu.

– To właśnie w nim lubimy, można odciąć się od świata – wyjaśnił Jack.

– Ale gdyby wiedziała, zakładałam, że by się skontaktowała? – nie dawał za wygraną Rebus.

Jack westchnął i znów zaczął drapać się po palcu. Po chwili zreflektował się i przestał.

– Egzema – wyjaśnił. – Tylko na jednym palcu, ale to i tak irytujące. – Zawiesił głos. – Liz... moja żona... jest niezależną kobietą, inspektorze. Może by się odezwała, może nie. Niewykluczone, że w ogóle nie będzie chciała rozmawiać o tym zajściu. Rozumie pan, co mam na myśli? – Kolejny uśmiech, tym razem słabszy, jakby Jack prosił o współczucie.

Przejechał palcami po gęstych, ciemnych włosach. Rebus zastanawiał się, czy jego idealne zęby to nie korony. Może włosy też nie były naturalne. Koszula z rozpiętymi pod szyją guzikami nie wyglądała na kupioną w sieciówce...

Urquhart wciąż stał. Albo raczej był na nogach, bo wciąż się poruszał. Podszedł do okna, żeby wyjrzeć na dwór spoza zasłon. Potem zbliżył się do szklanego stolika, by przejrzeć leżące tam gazety, a później do mniejszego, na którym stał telefon odłączony od mocowania na ścianie. Nawet gdyby pani Jack próbowała się dodzwonić... Ani Urquhartowi, ani Jackowi nie przyszło to do głowy. Ciekawe. Salon, styl jego urzędzenia, pachniał Rebusowi gustem żony, nie Jacka. Ten wyglądał na człowieka lubiącego solidne stare meble: bezpieczne, wygodne fotele, kanapy Chesterfield. Jeśli chodzi o gusta, był konserwatywny. Wystarczyło spojrzeć na samochód, który sobie wybrał...

Ach, samochód Jacka: dobry pomysł, a raczej pretekst na usprawiedliwienie obecności Rebusa.

– Może uda nam się wydać oświadczenie do lunchu, Gregor – odezwał się Urquhart. – Im wcześniej wyciszymy sprawę, tym lepiej.

Nieszczególnie subtelny, pomyślał Rebus. Przekaz brzmiał: „Do rzeczy i do widzenia”. Rebus dobrze wiedział, o co chce zapytać: „Czy uważasz, że ktoś cię wrobił, Jack?”. Chciał, lecz nie miał śmiałości. Oficjalnie go tu nie było, ot, przelotny turysta.

– Przychodzę w związku z pańskim samochodem, panie Jack – zaczął. – Kiedy się zatrzymałem, zauważyłem, że stoi na podjeździe, na pełnym widoku, że tak powiem. A przecież pełno tam fotoreporterów. Jeśli zdjęcia pańskiego samochodu trafią do gazet...

– Wszyscy go potem rozpoznają? – Posel skinął głową. – Widzę, do czego pan zmierza, inspektorze. Ma pan rację, dziękuję. Nie pomyśleliśmy o tym, prawda, Ian? Zaparkuj go w garażu. Lepiej, żeby każdy czytelnik gazety nie wiedział, jakim jeżdżę samochodem.

– I znał rejestrację – dodał Rebus. – Czytelnicy są różni... Terrorysty... ludzie żywiący urazy... po prostu wariaci. Ujawnianie zbyt wielu informacji nie wróży nic dobrego.

– Dziękuję, inspektorze.

Otworzyły się drzwi i weszła Helen Greig z dwoma dużymi kubkami herbaty – bardzo prostymi w porównaniu z eleganckimi filiżankami na srebrnej tacy, które wyniosła przed bramę. Jeden podała posłowi, a drugi szefowi jego kampanii wyborczej, po czym wyjęła spod pachy wąskie pudełko. Ciastka imbirowe. Rebus uśmiechnął się.

– Cudownie, Helen, dziękuję – powiedział Jack, biorąc dwa ciastka.

Rebus podniósł się na nogi.

– No cóż... lepiej już pójdę. Jak już wspomniałem, wpadłem tylko...

– Doceniam pański gest, inspektorze. – Jack postawił kubek na podłodze i również wstał. Wyciągnął do Rebusa dłoń, ciepłą, mocną i nieskazitelną. – Miałem zapytać... Mieszka pan w tym okręgu wyborczym?

Rebus pokręcił głową.

– Kolega z pracy mieszka, gościłem u niego wczoraj wieczorem i zatrzymałem się na noc.

Jack powoli uniósł głowę, a potem nią skinął – co mogło oznaczać wszystko.

– Otworzę panu bramę – zaofiarował się Ian Urquhart.

– Zostań i napij się herbaty – wtrąciła Helen Greig. – Ja odprowadzę inspektora.

– Jak sobie życzysz – powiedział powoli szef kampanii wyborczej. Czy w jego głosie kryło się ostrzeżenie? Jeżeli tak, to Helen Greig prawdopodobnie go nie wyczuła. Urquhart przeszukał kieszenie, wyjął klucze i wręczył jej.

– No dobrze – rzucił Rebus. – Do widzenia, panie Jack... Panie Urquhart. – Ujął na chwilę prawą dłoń szefa kampanii wyborczej i uściśnął ją, ale jego uwagę przykuła lewa ręka mężczyzny. Na jednym palcu obrączka ślubna, na drugim sygnet.

Gregor Jack nosił złotą grubą obrączkę, lecz nie na palcu serdecznym, tylko na środkowym. Serdeczny był tym z egzemą... A Helen Greig? Kilka pierścionków na obu dłoniach, lecz nie była ani mężatką, ani kobietą zaręczoną.

– Do widzenia – pożegnał się Rebus.

Sekretarka posła wyszła z domu jako pierwsza. Czekala na Rebusa przy samochodzie, pobrzękując kluczykami trzymanymi w prawej ręce.

– Długo pracuje pani dla Jacka?

– Wystarczająco długo.

– Praca posła jest ciężka, zgodzi się pani? Przypuszczam, że od czasu do czasu pani szef potrzebuje chwili relaksu...

Zatrzymała się i obrzuciła go spojrzeniem.

– A więc pan też! Jest pan tak samo niegodziwy jak tamci! – Wskazała kluczykami w kierunku bramy i postaci za nią. – Nie chcę słyszeć ani słowa więcej przeciwko Gregorowi. – Energicznie ruszyła przed siebie.

– Czyli jest dobrym pracodawcą?

– On w ogóle nie jest jak pracodawca. Kiedy jesienią zachorowała moja matka, dał mi premię, żebym mogła zabrać ją na krótkie wakacje na wybrzeżu. Wspaniała z niego człowiek. – W jej oczach pojawiły się łzy, ale zapanowała nad nimi.

Reporterzy wciąż podawali sobie filiżanki, narzekając na nadmiar albo brak cukru. Nie spodziewali się zbyt wiele po zbliżającej się do nich dwójce. Mimo to jeden zawołał:

– Porozmawiaj z nami, Helen!

– Jedno słowo z Gregorem i wszyscy wrócimy do domów! – dorzucił następny. – Wiesz, że mamy rodziny, o które musimy zadbać!

– Mnie właśnie omija komunია! – krzyknął inny.

– Taaa, komunია z dużym piwem w porze lunchu! – zażartował jego kolega.

Jeden z miejscowych reporterów – a sądząc po akcentach, nie było ich wielu – rozpoznał Rebusa.

– Inspektorze, ma pan coś do powiedzenia?

Kilku zebranych wyteżyło słuch na słowo „inspektor”.

– Tak – odparł Rebus, tak że Helen Greig zeszytniała. – Odwalcie się!

Reakcją były uśmiechy i nieco jęków. Brama otworzyła się i zaraz miała się zamknąć, tym razem pozostawiając Rebusa na zewnątrz. Ale on oparł się na niej całym ciężarem i pochylił do ucha młodej kobiety.

– O czymś zapomniałem, muszę wrócić.

– O czym?

– Zapomniałem, a właściwie pan Jack zapomniał. Chciał, żebym sprawdził, jak miewa się jego żona, na wypadek gdyby źle przyjęła wiadomości...

Zaczekał, aż te słowa dotrą do sekretarki posła. Chyba dotarły, bo jej usta ułożyły się w kształt litery O.

– Problem w tym, że zapomniałem wziąć adres – powiedział.

Stanęła na palcach i tak, by nie usłyszeli jej dziennikarze, szepnęła mu do ucha:

– Deer Lodge. Między Knockandhu i Tomnavoulin.

Rebus skinął głową i pozwolił jej zamknąć bramę. Ta wizyta nie zaspokoiła do końca jego ciekawości; tak naprawdę był jeszcze bardziej ciekaw, niż zanim wszedł do środka. Knockandhu i Tomnavoulin: nazwy destylarni whisky. Rozum mówił mu, żeby już więcej nie pił. Serce mówiło coś zgoła innego...

Cholera! Miał zadzwonić do Patience z domu Holmesa, by dać jej znać, że wraca. Nie żeby musiał jej przedstawiać plany swoich podróży... Jak to się wyraził Gregor Jack? Ech, wszystko jedno. Ruszył w stronę reportera, którego rozpoznał, miejscowego chłopaka, Chrisa Kempa.

– Cześć, Chris. Masz telefon w samochodzie? Mogę od ciebie zadzwonić?

- NO WIĘC JAK TAM WASZ TRÓJKĄCIK? – spytała doktor Patience Aitken.
- Nieźle – odparł Rebus i cmoknął ją głośno w usta. – A jak twoja orgietka? Przewróciła oczami.
 - Rozmowy służbowe i rozgotowane lasagne. Nie wróciłeś do domu? Rebus rzucił jej tępe spojrzenie.
 - Próbowałam się dodzwonić na Marchmont, ale tam również cię nie było. Twój garnitur wygląda, jakbyś w nim spał.
 - Wina tego cholernego kota.
 - Lucky’ego?
 - Tańczył twista na marynarce, dopóki jej nie uratowałem.
 - Twista? Nic tak nie ujawnia prawdziwego wieku mężczyzny jak jego wybór kroku tanecznego. Rebus zdjął marynarkę.
 - Nie masz czasem soku pomarańczowego?
 - Głowa boli? Czas skończyć z picciem, John.
 - Czas się ustatkować, chciałaś powiedzieć. – Ściągnął spodnie. – Pozwolisz, że się wykąpię? Zatopiła w nim spojrzenie.
 - Przecież wiesz, że nie musisz pytać.
 - Wiem, ale lubię pytać.
 - Pozwolenie udzielone... jak zawsze. Czy to też sprawka Lucky’ego? – Wskazała na zadrapania na jego nadgarstku.
 - Gdyby tak było, trafiłyby do mikrofalówki. Uśmiechnęła się.
 - Sprawdzę, czy jest sok pomarańczowy.
- Rebus odprowadził ją wzrokiem do kuchni, nieudanie próbując gwizdnąć z podziwem. Jedna z papużek falistych pokazała mu, jak to się robi. Patience odwróciła się do papugi z uśmiechem.
- Położył się w wannie pełnej piany, zamknął oczy i zaczął oddychać głęboko, tak jak polecił mu lekarz. Nazywał to techniką relaksacyjną. Chciał, żeby Rebus trochę się odprężył. Wysokie ciśnienie krwi, nic poważnego, ale jednak... Oczywiście były tabletki, które mógłby zażywać – beta-blokery – ale lekarz zamiast środków farmakologicznych doradzał mu głęboki relaks i autohipnozę. Rebus czuł pokusę, by powiedzieć mu, że jego ojciec był hipnotyzerem, a brat być może nadal trudnił się hipnozą zawodowo...
- Oddychaj głęboko... opróżnij umysł... rozluźnij głowę, czoło, żuchwę, mięśnie szyi, klatki piersiowej, ramion. Odliczaj do zera... nie czujesz stresu... nie czujesz napięcia...
- Najpierw Rebus uważał, że lekarz nie chciał przepisywać pacjentom drogich leków, żeby oszczędzać pieniądze kasy chorych. Ale jego cholerne rady najwyraźniej działały. Rebus rzeczywiście mógł sobie sam pomóc. Mógł sobie pomóc, myśląc o Patience Aitken...
- Proszę bardzo – powiedziała, wchodząc do łazienki z wysoką szklanką soku pomarańczowego. – Wyciśnięty przez samą doktor Aitken.
 - Rebus chwycił ją namydloną ręką za pośladek.
 - Ściśnięte przez samego inspektora Rebusa.
 - Pochyliła się i pocałowała go w głowę, a potem musnęła palcem jego włosy.
 - Powinieneś używać odżywki, John. Z twoich mieszków włosowych uchodzi całe życie.

– To dlatego, że kieruje się gdzie indziej.

Zmrużyła oczy.

– Spocznij, chłopcze – powiedziała.

Zanim zdążył ją ponownie chwycić, uciekła z łazienki. Z uśmiechem znów położył się wygodnie w wannie.

Oddychaj głęboko... opróżnij umysł... Czy Gregor Jack został wrobiony? Jeżeli tak, to przez kogo? I w jakim celu? Był to skandal, ponad wszelką wątpliwość. Skandal polityczny, skandal z pierwszych stron gazet. Ale atmosfera w domu Jacka wydawała się... hm... dziwna. Napięta, ale też zimna i nerwowa, jakby najgorsze miało się dopiero wydarzyć.

Żona... Elizabeth... Coś tu Rebusowi nie grało. Małżeństwo posła też było dziwne. Informacje, potrzebował więcej informacji. Musiał się upewnić. Adres domu letniskowego zanotował w pamięci, ale na ile znał komisariaty policji w Highlands, niewiele by uzyskał, dzwoniąc tam w niedzielę. Informacje... Pomyślał o reporterze Chrisie Kempie. Tak, czemu nie? Ocknijcie się, ramiona. Ocknij się, klatko piersiowa, szyjo, głowo. Niedziela nie jest czasem na odpoczynek. Dla niektórych. Niedziela jest dniem pracy.

Patience wsunęła głowę zza drzwi.

– Miły wieczór w domu? – zasugerowała. – Ugotuję nam...

– Do diabła z miłym wieczorem w domu – odparł Rebus, wynurzając się imponująco z wody. – Chodź na drinka.

– ZNASZ MNIE, JOHN. Nie mam nic przeciwko odrobinie brudu, ale to zarośnięta brudem tania speluna. Nie sądzisz, że zasługuję na coś lepszego?

Rebus pogłaskał Patience po policzku, postawił trunki na stole i usiadł obok niej.

– Przyniosłem ci podwójny – powiedział.

– Nie da się ukryć. – Podniosła szklanke. – Niewiele miejsca zostawiłeś mi na tonik, co?

Siedzieli w drugiej sali pubu Horsehair przy Broughton Street. Przez drzwi widać było bar, hałaśliwy jak zawsze. Goście, którzy chcieli pogadać, stawali w odległości dobrych dziesięciu kroków od rozmówców, jak przy pojedynku. W rezultacie panowała wrzawa, wszyscy krzyczeli do siebie z jednego końca sali na drugi i nie mogli się dogadać. Głośno, ale wesoło. W tylnej sali było ciszej. Miała kształt litery U i były w niej miękkie siedzenia przy ścianach oraz rozklekotane krzesła pośrodku. Wąskie stoliki w kształcie rombów przymocowano do podłogi. Plotka głosiła, że w latach dwudziestych dwudziestego wieku siedzenia wypchano końskim włosiem i od tamtej pory ich nie uzupełniano. Stąd też nazwa pubu, Horsehair – ta prawdziwa i prozaiczna już dawno została zapomniana.

Patience wlała do swojego ginu połowę małej butelki toniku, a Rebus miał duże piwo IPA.

– Na zdrowie – powiedziała bez entuzjazmu i po chwili dodała: – Znam cię cholernie dobrze i wiem, że musi być jakiś powód... to znaczy powód, dla którego tu jesteś. Przypuszczam, że ma związek z twoją pracą?

Rebus odstawił szklanke.

– Zgadłaś.

Podniosła oczy na sufit w kolorze nikotyny.

– Boże, daj mi siłę – wycedziła.

– To nie potrwa długo – obiecał Rebus. – Pomyślałem, że potem możemy pójść gdzieś... no wiesz, do lokalu trochę bardziej w twoim stylu.

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie, ty świniu.

Wpatrzony w piwo, zastanawiał się nad różnymi znaczeniami tego słowa. Nagle dostrzegł przy barze nowego klienta i pomachał mu przez drzwi. Młody mężczyzna podszedł, uśmiechając się mimo ewidentnego zmęczenia.

– Nieczęsto cię tu widuję, inspektorze – powiedział.

– Usiądź – zaproponował Rebus. – Ja stawiam. Patience, pozwól, że przedstawię ci jednego z najlepszych młodych reporterów w Szkocji, Chrisa Kempa.

Wstał i poszedł do baru. Chris Kemp przysunął sobie krzesło i po przetestowaniu go rozsiaął się wygodnie.

– Musi czegoś chcieć – zwrócił się do Patience, ruchem głowy wskazując bar. – Wie, że jestem łasy na pochlebstwa.

Nie były to jednak czcze pochlebstwa. Chris Kemp zdobywał nagrody już za czasów swojej pierwszej pracy w wieczornej gazecie w Aberdeen, a gdy potem przeniósł się do Glasgow, ogłoszono go Młodym Dziennikarzem Roku. W Edynburgu był od półtora roku i „robił tu zamieszanie” (jak sam to określili). Wszyscy wiedzieli, że pewnego dnia wyruszy do Anglii. Sam też to wiedział. To nieuniknione, zwłaszcza że w Szkocji nie zostało mu wiele do zrobienia. Jedynym problemem była jego dziewczyna, która dopiero za rok skończy studia i nie brała pod uwagę wcześniejszej przeprowadzki do Anglii... jeśli w ogóle brała ją pod uwagę.

Gdy Rebus wrócił z baru, Patience wiedziała już o nim wszystko, a nawet więcej. Przed jej oczami przewijał się film, którego Chris Kemp, przy wszystkich swoich talentach, nie potrafił zobaczyć. Opowiadał głodne kawałki, a ona w tym czasie snuła refleksje: czy John Rebus jest tego wszystkiego wart? Czy jest wart wysiłku, który wkładam w ten związek? Nie kochała go, to zrozumiała. „Miłość” przydarzyła jej się kilka razy w życiu, kiedy była nastolatką, dwudziestolatką, a nawet... tak, trzydziestolatką. Zawsze kończyła się niewesoło lub wręcz potwornie. Dlatego teraz uważała, że „miłość” równie dobrze może oznaczać początek związku, co jego koniec.

Obserwowała takie historie w szpitalu. Widywała mężczyzn i kobiety (przede wszystkim kobiety) chorych z miłości – kochali za bardzo, za mało dostając w zamian. Byli tak samo chorzy jak dziecko z bólem ucha czy emeryt cierpiący na anginę. Miała dla nich litość i słowa, ale nie miała lekarstw.

Czas leczy rany, mogłaby powiedzieć w chwili nieuwagi. Prawda, leczy, lecz tworzy nad raną twardą bliznę ochronną. Sama tak się czuła: twarda, chroniąca własne wnętrze. Ale czy John Rebus potrzebował jej ochrony?

– Proszę – powiedział, wracając do stołu. – Barman się dziś guzdrze, wybaczcie.

Chris Kemp przyjął drinka z półuśmiechem.

– Właśnie mówiłem Patience...

O Boże, pomyślał Rebus, siadając. Ona wygląda jak wiadro lodu. Nie powinienem był jej tutaj przyprowadzać. Ale gdybym powiedział, że wychodzę spędzić wieczór sam... wyszłoby na jedno. Załatw sprawę i do widzenia, może uda się uratować noc.

– No dobrze, Chris – powiedział, przerywając młodemu człowiekowi. – Więc jakie brudy mamy na Gregora Jacka?

CHRIS KEMP ZAKŁADAŁ, że jest ich mnóstwo, a temat Gregora Jacka nieco ożywił Patience; na chwilę zapomniała nawet, że nie jest jej do śmiechu.

Rebus był zainteresowany głównie Elizabeth Jack, ale Kemp zaczął od jej męża, a to, co miał do powiedzenia, było naprawdę interesujące. Oto inspektorowi ukazał się zupełnie inny Jack, jakże odległy od publicznego wizerunku, powszechnej opinii, lecz także od jego własnych wyobrażeń po spotkaniu z tym człowiekiem. Nie wzięłyby Jacka, na przykład, za alkoholika.

– Przesadza zwłaszcza z whisky – powiedział Kemp. – Chleje pewnie więcej niż pół butelki dziennie, a z tego, co mówią, jeszcze więcej, kiedy jest w Londynie.

– Przecież on nigdy nie wygląda na pijanego.

– Dlatego, że się nie upija. Ale chleje.

– Co jeszcze?

Było tego więcej, znacznie więcej.

– Jack to lawirant, tyle że sprytny. W głębi duszy cholernie przebiegły. Nie ufałbym mu za grosz. Rozmawiałem z kimś, kto znał go na uniwersytecie. Mówi, że Gregor Jack nigdy w życiu nie zrobił niczego, nie mając w tym własnego celu. Łącznie z upolowaniem żony.

– O czym ty mówisz?

– Historia jest taka, że poznali się na uczelni, na imprezie. Gregor widywał ją wcześniej, ale nie zwracał na nią uwagi... dopóki się nie dowiedział, że ma kasę. Zaczął ją zarywać, oczarował ją i majtki jej spadły. – Kemp odwrócił się do Patience. – Przepraszam za dobór słów.

Była po drugim drinku, więc tylko lekko kiwnęła głową.

– Typ jest wyrachowany, rozumiesz? – ciągnął dziennikarz. – Pamiętaj, że był szkolony na księgowego i ma umysł księgowego. Czego się napijesz?

Rebus już się podnosił.

– Nie, Chris, ja stawiam.

Kemp nie chciał o tym słyszeć.

– Nie myśl, że mówię ci o tym za kilka piw, inspektorze – zastrzegł.

Kiedy wrócił od baru z drinkami, spojrzął na Rebusa.

– Po co właściwie chcesz to wiedzieć? – spytał.

Inspektor wzruszył ramionami.

– Jest w tym temat na artykuł? – rzucił Kemp.

– Być może. Za wcześniej, żeby to stwierdzić.

Rozmawiali teraz jak profesjonalści: sedno tkwiło w tym, co pozostało niedopowiedziane.

– Ale jest szansa na materiał? – dopytywał się dziennikarz.

– Tak, Chris, będziesz go mieć, jeżeli to ode mnie zależy.

Kemp łyknął piwa.

– Wiesz, stałem pod jego domem przez cały dzień. A dostaliśmy tylko oświadczenie. Krótkie i proste. Żadnych dalszych komentarzy i tak dalej. Więc ten materiał wiąże się z Jackiem?

Rebus ponownie wzruszył ramionami.

– Już ci powiedziałem, za wcześniej na fakty. Ciekawe jest natomiast to, co napomknąłeś o jego żonie...

Z oczu Kempa ziało chłodem.

– Dostanę wyłączność?

Rebus rozmasował sobie kark.

– Jeżeli to będzie ode mnie zależy...

Dziennikarz zastanawiał się. Rebus wiedział, że nie może dać mu żadnych gwarancji. Kemp postawił szklanę na stole, gotów zdradzić nieco więcej.

– Jack nie wiedział, że Liz Ferrie obracała się w bardzo imprezowym towarzystwie. Ludzi bogatych i popularnych. Zawsze była lubiana. Zajęło mu sporo czasu wśliznięcie się do jej paczki. Pamiętaj, że był chłopakiem z klasy robotniczej, wciąż nieco niezgrabnym i bez ogłady. Ale w końcu mu się udało, złapał Liz. Gdzie on, tam i ona, i tak dalej. A Jack miał własny gang. Nadal ma.

– Nie nadajam – przyznał Rebus.

– Głównie starzy znajomi ze szkoły, kilka osób, które poznał na uniwersytecie. Jego paczka, można to tak nazwać.

– Czy jeden z nich prowadzi księgarnię?

Kemp skinął głową.

– Ronald Steele. Znany jako Samob. Stąd nazwa jego księgarni: U Samoba.

– Śmieszne przezwisko – wtrąciła Patience.

– Nie wiem, skąd się wzięło – rzucił Kemp. – Chciałbym wiedzieć, ale nie mam pojęcia.

– Kto jeszcze jest w tej paczce Jacka? – zapytał Rebus.

– Nie mam pewności, ilu ich tam jest. Na uwagę zasługują Rab Kinnoul i Andrew Macmillan.

– Rab Kinnoul, ten aktor?

– Tak.

– To zabawne, muszę z nim porozmawiać – mruknął inspektor. – A raczej z jego żoną.

– Z żoną?

Kemp próbował coś z niego wyciągnąć, lecz Rebus pokręcił głową.

– Bez związku z Jackiem. Chodzi o kilka skradzionych książek. Pani Kinnoul jest kolekcjonerką.

– Mówisz o zaginionym skarbie profesora Costella?

– Owszem.

– Jakiś postęp? – chciał wiedzieć Kemp, jak to dziennikarz.

Rebus po raz kolejny wzruszył ramionami.

– Nie mów mi tylko, że za wcześniej na fakty – prychnął Kemp.

Zaniósł się śmiechem, a Patience razem z nim. I w tym momencie Rebusa coś tknęło.

– Chodzi o tego Andrew Macmillana?

Dziennikarz skinął głową.

– Chodzili razem do szkoły.

– Chryste.

Rebus wlepił wzrok w plastikowy blat stołu, a Kemp wytłumaczył Patience, kim jest Andrew Macmillan.

– Odnosił sukcesy w różnych branżach. Ale pewnego dnia mu odwalilo. Poszedł do domu i odpiłował żonie głowę.

Patience syknęła.

– Pamiętam to – powiedziała. – Nie znaleziono jej głowy, prawda?

Kemp pokręcił głową, mocno osadzoną na karku.

– Załatwiły też córkę, ale ta uciekła i uratowała życie. Teraz sama jest trochę szurnięta i nie ma co się dziwić.

– Co się z nim stało? – zastanawiał się na głos Rebus. Do tej tragedii doszło kilka lat temu w Glasgow, a nie w Edynburgu. Nie w jego rewirze.

– Ech... siedzi w tym nowym psychiatryku, co go przed chwilą zbudowali – odparł dziennikarz.

– Mówisz o Duthil? – zapytała Patience.

– Właśnie tam. W Highlands. Niedaleko Grantown, dobrze mówię?

No cóż, pomyślał Rebus, coraz bardziej zaciekawiony. Z geografii nie był genialny, ale nie uważał, żeby Grantown leżało zbyt daleko od Deer Lodge, domu letniskowego posła.

– Czy Jack nadal się z nim kontaktuje?

Tym razem to Kemp wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – odparł.

– Więc mówisz, że chodzili razem do szkoły?

– Na sto procent. Ale szczerze mówiąc, Liz Jack jest zdecydowanie ciekawszą postacią. Ludzie Jacka skrupulatnie trzymają ją od niego z dala.

– Z jakiego powodu?

– Bo ona nadal jest córeczką bogatych rodziców. Wciąż trzyma się starego towarzystwa. Jamie Kilpatrick, Matilda Merriman, ludzie tego pokroju. Imprezy, gorzała, narkotyki, orgie... Bóg jeden wie, co jeszcze. A prasa nigdy nic nie zwąchała. – Zwrócił się ponownie do Patience: – Proszę wybaczyć wyrażenie, my nie wążamy. A teksty dostajemy pokreślone po redakcji, porządnie ocenzone.

– Tak?

– Niestety, redaktorzy przy najlepszych materiałach bywają nerwowi. I trzeba pamiętać, że sir Hugh Ferrie nie zwleka z pozwami o zniesławienie, jeśli chodzi o jego rodzinę.

– Mówisz o tej aferze z fabryką elektroniki? – spytał Rebus.

– Sprawa jest w toku.

– Więc co z tym „starym towarzystwem” pani Jack?

– Elity, głównie stare pieniądze, trochę nowobogackich.

– A ona?

– Na początku z pewnością wspierała Jacka. Myślę, że on zawsze chciał wejść w politykę, ale wiesz, posłowie nie mogą sobie pozwolić na stan kawalerski. Ludzie zaczynają brać ich za gejów. Domyślam się, że szukał kobiety atrakcyjnej, z pieniędzmi i wpływowym ojcem. Znalazł ją i nie zamierzał odpuścić. I to chyba udane małżeństwo, przynajmniej w oczach opinii publicznej. Liz pojawia się na fotkach, wygląda tak, jak powinna, a potem znika. Jest zupełnie inna niż mąż... Ogień i lód. Ona to ogień, a on lód, zazwyczaj z dodatkiem whisky...

Kemp był w nastroju do rozmowy. Zdradził jeszcze więcej szczegółów, ale były to głównie spekulacje. Mimo wszystko ciekawie było zyskać inną perspektywę. Rebus zastanawiał się nad tym, kiedy poszedł do toalety. Pisuary w Horsehair przypominały koryto dla konia, co – zgodnie z najlepszą wiedzą Rebusa – nie było czymś niezwykłym. Para skroplona na spluczce ciśnieniowej kapiała prosto na głowy klientów, którzy z braku rozwagi podeszli za blisko, a graffiti wyglądało na dzieło dyslektycznego bigota: PAMIĘTAMY 1960. Na ścianach widniało też kilka nowszych haseł nabazgranych długopisem. *Pijany jak Modlitwa Pańska* – przeczytał Rebus. – *Ojciec nasz, który jesteś po mocnym, Alloo imię twoje...*

Rebus uznał, że nawet jeżeli nie usłyszał wszystkiego, czego potrzebował, to Chris Kemp nie był w stanie przekazać mu nic więcej. Nie widział więc powodu, żeby przeciągać spotkanie. Najmniejszego powodu. Kiedy wyszedł żwawym krokiem z toalety, zobaczył przy stole młodego mężczyznę, który zatrzymał się, żeby zamienić parę słów z Patience. Gdy oddalał się do baru, Patience uśmiechała się do niego na pożegnanie.

– Kto to był? – zapytał Rebus, nie siadając.

– Mieszka obok na Oxford Terrace – odparła Patience. – Urzędnik do spraw norm handlowych. Dziwne, że go wcześniej nie spotkałeś.

Rebus mruknął coś i postukał palcem w zegarek.

– Chris, to wszystko twoja wina – powiedział. – Jesteś zbyt interesującym rozmówcą. Dwadzieścia minut temu mieliśmy być w restauracji. Kevin i Myra nas zabijają. Chodź, Patience. Słuchaj, Chris, będziemy w kontakcie. Tymczasem... – Pochylił się do dziennikarza i zniżył głos. – Spróbuj się dowiedzieć, kto powiadomił gazety o łapance w burdelu. To może być początek dobrego materiału. – Wyprostował się. – Do zobaczenia wkrótce, co? Na razie.

– Pa, Chris. – Patience wstała.

– W porządku, trzymajcie się. Do zobaczenia. – Chris Kemp został sam i zastanawiał się, czy wyszli z powodu czegoś, co powiedział.

Na zewnątrz Patience zwróciła się do Rebusa:

– Kevin i Myra...

– Nasi najstarsi przyjaciele – wyjaśnił Rebus. – I równie dobry pretekst do wyjścia jak każdy inny. Poza tym obiecałem ci kolację. Teraz możesz mi opowiedzieć o swoim sąsiedzie.

Wziął ją pod rękę i poszli do samochodu – jej samochodu. Patience nigdy wcześniej nie miała szansy widzieć Johna Rebusa zazdrosnego, trudno więc było jej to stwierdzić, ale mogłaby przysiąc, że teraz był zazdrosny. Cóż, cuda się zdarzają.

* *Fart* (ang.) – pierdnięcie.

Zdradzieckie kroki

WIOSNA W EDYNBURGU. Zacinający prawie poziomo deszcz i lodowaty wiatr. Ach, ten wiatr w Edynburgu. Wiatr żartowniś z tą swoją czarną farsą. Sprawiał, że ludzie chodzili jak mimowie, wzbudzał łzawienie w oczach, a potem wysuszał łyż do postaci skorupy na czerwonych policzkach. A na domiar wszystkiego w powietrzu unosił się lekko kwaśny drożdżowy zapach: zapach pobliskich browarów. Noc była mroźna. Nawet wałęsający się futrzasty Lucky miauczał pod oknem sypialni, domagając się wejścia. Kiedy Rebus wpuścił go do środka, ćwierkały już ptaki. Sprawdził zegarek: druga trzydzieści. Dlaczego, do diabła, ptaki śpiewały tak wcześniej? Kiedy obudził się po raz kolejny, o szóstej, już milczały. Może chciały uniknąć godzin szczytu...

Tego ranka całe pięć minut zajęło mu uruchomienie tego cholernego samochodu w temperaturze poniżej zera (może najwyższy czas kupić nowy). A potem musiał ostrożnie stawiać kroki na schodach przy wejściu na komendę przy Great London Road, bo kamienne stopnie popękały od mrozu.

Zdradzieckie schody. Naprawy nie planowano. Plotki wciąż krążyły – że Great London Road jest wyniszczona, rozjechana, po dacie ważności. Chodziły słuchy, że komenda zostanie zamknięta, bo stała na terenie, który świetnie się nadawał pod kolejny hotel albo biurowiec. A personel? Cóż, miał zostać rozrzucony. Takie krążyły plotki. Większość policjantów trafiłaby na St Leonard's. Znacznie bliżej mieszkania Rebusa w Marchmont i jednocześnie dużo dalej od Oxford Terrace i doktor Patience Aitken. Zawarł ze sobą mały pakt, coś w rodzaj kontraktu: jeżeli w ciągu miesiąca lub dwóch plotki staną się faktem, będzie to znak z góry, że nie powinien wprowadzać się do Patience. Jeśli jednak Great London Road pozostanie czynna albo policjanci trafią do siedziby przy Fettes (pięć minut od Oxford Terrace)... no właśnie, co wtedy? Co wtedy? Treść tego, co miało się znaleźć drobnym drukiem u dołu kontraktu, wciąż była ustalana.

– Dzień dobry, John.

– Witaj, Arthur. Jakież wiadomości?

Sierżant dyżurny pokręcił głową. Rebus przetarł dłońmi uszy i twarz, próbując je ogrzać, po czym wyszedł po schodach do swojego biura, gdzie zdradzieckie linoleum zastąpił zdradziecki kamień. A potem na domiar złego zadzwonił zdradziecki telefon...

– Mówi Rebus.

– John? – odezwał się komendant Watson. – Znajdziesz dla mnie chwilę?

Rebus urządził głośny pokaz szelestu papierów na biurku z nadzieją, że przełożony pomyśli, że od wielu godzin jest w biurze i ciężko pracuje.

– No cóż, panie komendancie...

– Nie pajacuj, John. Próbowałem cię złapać pięć minut temu.

Rebus przestał przekładać papiery.

– Zaraz będę.

– Tak jest, będziesz.

Rebus zdjął płaszcz nieprzemakalny, który na ramionach zawsze przepuszczał wodę, i sprawdził marynarkę. Była na górze wilgotna, co nie zwiększyło jego zapału do poniedziałkowego spotkania z Farmerem. Wziął głęboki oddech i rozłożył przed sobą ręce jak aktor na scenie.

– Czas na przedstawienie – powiedział do siebie.

Tylko pięć dni roboczych do weekendu. Wykonał szybki telefon na komisariat w Dufftown i poprosił o sprawdzenie lokalizacji Deer Lodge.

– D-e-a-r? Przez „e” i „a”?

– Nie, podwójne „e” – sprostował Rebus, myśląc o tym, że dom z pewnością był drogi, kiedy Jackowie go kupili.

– Szukamy czegoś szczególnego?

Żony posła... pozostałości po orgii... worów na mąkę wypchanych kokainą...

– Nie, niczego szczególnego – odparł. – Po prostu proszę mi dać znać, kiedy coś znajdziecie.

– W porządku. Ale to może trochę potrwać.

– Najszybciej, jak się da, okej? – Rebus przypomniał sobie, że powinien być teraz gdzie indziej. – Najszybciej.

KOMENDANT WATSON BYŁ TAK TĘPY jak brzytwa włóczęgi.

– Co ty wczoraj, do diabła, robiłeś u Gregora Jacka?

Rebus był zaskoczony. Ale tylko trochę.

– Kto mnie sprzedał?

– Nieważne. Daj mi po prostu cholerną odpowiedź – zażądał Watson, a po chwili spytał: – Kawy?

– Nie odmówię.

Żona Watsona kupiła mu ekspres jako prezent gwiazdkowy. Albo jako wskazówkę, że powinien ograniczyć spożywanie whisky Teacher's. A może po to, żeby miał szansę na trzeźwość, gdy wraca wieczorem do domu. Jak dotąd jednak jedynym efektem była poranna nadpobudliwość komendanta. Po południu natomiast, po kilku łykach alkoholu w porze lunchu, ogarniała go senność. Dlatego najlepiej było unikać go rano. Poczekać do popołudnia z pytaniem o urlop, który planowałeś, lub z informacją o ostatniej nieudanej operacji. Wtedy przy odrobinie szczęścia można było nie usłyszeć cmoknięcia dezaprobaty. Ale poranki...

Rebus przyjął kubek z mocną kawą, która wyglądała, jakby połowa paczki espresso trafiła do pojemnego filtra. Teraz przelała się prosto do krwiobiegu Rebusa.

– Zabrzmi to głupio, panie komendancie, ale tylko tamtędy przejeżdżałem – odpowiedział na pytanie.

– Owszem, to brzmi głupio. – Watson usiadł za biurkiem. – Nawet jeśli założymy, że rzeczywiście tylko przejeżdżałeś...

– No cóż, mówiąc szczerze, to nie wszystko.

Watson z kubkiem w obu dłoniach rozparł się na fotelu i czekał na opowieść. Bez wątplenia myślał, że będzie dobra. Ale Rebus niewiele by zyskał, kłamiąc.

– Lubię Gregora Jacka – powiedział. – Lubię go jako członka Parlamentu. Zawsze uważałem go za cholernie dobrego posła. Czułem się trochę... hm... pomyślałem, że nalot na burdel zrobiliśmy

w kiepskim momencie, w czasie, kiedy on tam był... – Kiepski moment? Czy naprawdę wierzył, że obecność Jacka w tym miejscu była niefortunna? – No więc, kiedy przejeżdżałem obok... nocowałem w nowym domu sierżanta Holmesa, który mieszka w okręgu wyborczym Jacka... W każdym razie pomyślałem, że zatrzymam się na chwilę i rzucę okiem. Wokół kręciło się pełno dziennikarzy. Nie wiem do końca, po co się zatrzymałem, ale wtedy zobaczyłem samochód Jacka na podjeździe, na pełnym widoku. Pomyślałem, że to niebezpieczne. No bo gdyby zdjęcie pojazdu trafiło do gazet, ludzie rozpoznaliby samochód i numery rejestracyjne. W dzisiejszych czasach nie można się czuć w pełni bezpiecznie, zgodzi się pan, szefie. Wszedłem więc do środka i zasugerowałem, żeby wprowadził auto do garażu. – Rebus zawiesił głos. I to tyle? Chyba wystarczyło, żeby się wykręcić.

Watson patrzył przed siebie w zamyśleniu. Sięgnął po kolejny zastrzyk kawy, a potem się odezwał:

– Nie jesteś w tym sam, John. Ja też czuję się winny z powodu operacji Burda. Nie ma powodów do wyrzutów sumienia, ale... No tak, historią zajęła się prasa i będzie ją drążyć tak długo, aż ten biedny kawał drania poda się do dymisji.

Rebus w to wątpił. Jack nie wyglądał na człowieka gotowego, chętnego czy mającego zamiar podać się do dymisji.

– Jeżeli możemy mu pomóc... – Watson zrobił przerwę, żeby przykuć uwagę Rebusa.

Ostrzegął go w ten sposób, że wszystko jest nieoficjalne, niezapisane, ale już zostało przedyskutowane na pewnym poziomie, znacznie powyżej tego, na którym poruszał się Rebus. Być może nawet ponad poziomem Watsona. Czyżby komendant dostał po łapach od najgrubszych ryb?

– Jeżeli w jakikolwiek sposób możemy mu pomóc – ciągnął Watson – to chciałbym, żeby otrzymał tę pomoc. Rozumiesz mnie, John?

– Chyba rozumiem, panie komendancie. – Sir Hugh Ferrie miał potężnych przyjaciół. Rebus zaczął się zastanawiać, jak potężnych...

– No dobrze – rzucił Watson.

– Jeszcze jedna mała sprawa. Kto dał panu cynk o tym burdelu?

Komendant pokręcił głową.

– Nie mogę ci powiedzieć, John. Wiem, co myślisz. Zastanawiasz się, czy Jack nie został wrobiony. Nawet jeśli tak, to mój informator nie ma z tym nic wspólnego. Mogę ci to zagwarantować. Zresztą nawet jeżeli Jack został wrobiony, to raczej trzeba by odpowiedzieć na pytanie, dlaczego on tam był, a nie dlaczego my tam byliśmy.

– Dziennikarze też wiedzieli... o naszej operacji.

Watson kiwał głową.

– To również nie ma związku z moim informatorem. Ale owszem, zastanawiałem się nad tym. Sygnał musiał wyjść od jednego z nas, prawda? Od kogoś z naszego zespołu.

– Więc nikt inny nie wiedział o tej operacji?

Komendant jakby na chwilę wstrzymał oddech, po czym pokręcił głową. Oczywiście kłamał. Rebus wiedział to, nie było jednak sensu dociekać, w każdym razie jeszcze nie teraz. Za kłamstwem Farmera musiał kryć się powód, który ujawni się w odpowiednim czasie. W tej chwili – właściwie bez żadnego konkretnego powodu – Rebus bardziej martwił się o żonę Jacka. Martwił? No, może nie do końca. Prawdopodobnie nie był nawet zaniepokojony. Powiedzmy, że... był zainteresowany. O tak, dokładnie. Był nią zainteresowany.

– Jakież postępy w sprawie zaginionych książek? – spytał Watson.

Jakie zaginione książki? Ach, te. Rebus wzruszył ramionami.

– Przesłuchaliśmy wszystkich księgarzy. Lista książek jest w obiegu; może nawet będą o nich wzmianki w branżowych magazynach. Nie sądzę, żeby jakikolwiek księgarz je kupił. Ale są jeszcze do przesłuchania prywatni kolekcjonerzy. Jednym z nich jest żona Raba Kinnoula.

– Tego aktora?

– Tak. Facet mieszka w pobliżu South Queensferry. A jego żona kolekcjonuje pierwsze wydania.

– Najlepiej, John, żebyś sam się tym zajął. Nie chciałbym do Raba Kinnoula wysłać posterunkowego.

– Tak jest.

To była odpowiedź, jakiej Watson oczekiwał. Rebus dopił kawę. Nerwy mu skwierczały jak bekon na patelni.

– Coś jeszcze, panie komendancie?

Watson już nic do niego nie miał i właśnie podnosił się z fotela po dolewkę.

– To cholerstwo uzależnia – poskarżył się, gdy Rebus wychodził z biura. – Ale, na Boga, dodaje wigoru.

Inspektor nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać...

RAB KINNOUL BYŁ NA EKRANIE zabójcą.

Zasłynął najpierw dzięki serii ról telewizyjnych: szkockiego imigranta w londyńskim sitcomie i młodego wiejskiego lekarza w serialu o farmerach. Od czasu do czasu pojawiał się gościnnie w bardziej znaczących produkcjach, takich jak *The Sweeney* (gdzie grał uciekiniera z Glasgow) czy serial dramatyczny *Na ostrzu noża*, gdzie zagrał płatnego zabójcę.

To właśnie ta ostatnia rola zaważyła na jego losach. Dostrzeżony przez szefa londyńskiej agencji castingowej, otrzymał rolę zabójcy w niskobudżetowym brytyjskim thrillerze, który, o dziwo, zebrał dobre recenzje w USA i Europie. Reżysera filmu wkrótce namówiono do przeprowadzki do Hollywood i skłonił producentów do zaangażowania Raba Kinnoula jako idealnego odtwórcy roli gangstera w adaptacji filmowej książki Elmore'a Leonarda.

Kinnoul wyjechał więc do Hollywood, by grać drugorzędne role w bardziej lub mniej głośnych filmach kryminalnych, i znowu odniósł sukces. Miał twarz i oczy, z których można było wyczytać wszystko, po prostu wszystko. Jeśli miał być zły, to był zły; jeśli miał być psychopata, był psychopata. Obsadzano go w rolach złoczyńców, bo do nich pasował, ale gdyby jego kariera potoczyła się inaczej, mógłby równie dobrze skończyć jako odtwórca ról w romansach, sympatyczny przyjaciel lub krystalicznie czysty moralnie bohater.

Potem wrócił do Szkocji. Wieść niesła, że czyta scenariusze, że zamierza założyć własną wytwórnę filmową albo że przechodzi na emeryturę. Rebus nie potrafił sobie wyobrazić przejścia na emeryturę w wieku trzydziestu dziewięciu lat. Może po pięćdziesiątce, ale nie teraz, kiedy miał trzydzieści dziewięć lat. Co miałyby robić całymi dniami? Kiedy przemierzał drogę do domu Kinnoula, mieszczącego się tuż za South Queensferry, odpowiedź przyszła mu do głowy sama. Mógłby spędzać całe dnie, malując zewnętrzne ściany własnego domu. I tak jak było z mostem Forth Rail Bridge, zanim uwinąłby się z robotą, pierwszy zamalowany fragment znów pokryłby się brudem. Zakładając oczywiście, że jego dom wielkością dorównywałby temu, który należał do Raba Kinnoula.

Bo dom Kinnoula był bardzo duży i widziało się go z daleka. Stał na wzgórzu w dość ponurym otoczeniu. Wysoka trawa i kilka zniszczonych drzew. W pobliżu płynęła rzeka wpadająca do zatoki Firth of Forth. Ponieważ nie było ani śladu ogrodzenia oddzielającego posiadłość od reszty okolicy, Rebus uznał, że Kinnoul musi być właścicielem dużego terenu.

Dom był nowoczesny, jeśli architekturę lat sześćdziesiątych można jeszcze nazwać „nowoczesną”; stylizowany na wiejski, tyle że jakieś pięć razy większy. Przypominał Rebusowi szwajcarskie domki, które widywał na pocztówkach, z tą różnicą, że tamte były z drewna, podczas gdy ten miał surową elewację z wapna i kruszonych kamieni.

– Widywałem lepiej wykończone domy komunalne – szepnął do siebie, parkując na zwirowym podejździe. Kiedy jednak wysiadł z samochodu, zobaczył jedną z niewątpliwych atrakcji tego domu: rozciągający się stamtąd widok. Oba imponujące mosty Forth w pobliżu, łśniący i spokojna zatoka, a po jej drugiej stronie słońce rozświetlające zielone i przyjemne tereny Fife. Miasto Rosyth było poza zasięgiem wzroku, ale ze wschodu wylaniało się nadmorskie Kirkcaldy, w którym Gregor Jack – i prawdopodobnie również Rab Kinnoul – chodzili do szkoły.

– Nie – powiedziała pani Kinnoul, Cath Kinnoul, wchodząc chwilę później do salonu. – Ludzie zawsze popełniają ten błąd.

Podeszła do drzwi, kiedy Rebus wciąż chłonał oczami krajobraz.

– Podziwia pan widok?

Uśmiechnął się do niej.

– Czy to Kirkcaldy?

– Myślę, że tak. Na pewno tak.

Rebus odwrócił się i ruszył schodami ku drzwiom wejściowym. Po obu ich stronach znajdowały się skalniaki i zadbane klomby. Pani Kinnoul wyglądała na kobietę, która lubi zajmować się ogrodnictwem. Była swobodnie ubrana i uśmiechała się swobodnie; włosy po trwałej miała zaczesane do tyłu i ściągnięte kłamrą. Było w niej coś z lat pięćdziesiątych. Rebus sam nie wiedział, czego spodziewał się, jadąc tutaj – może hollywoodzkiej blondynki – ale z pewnością nie tego.

– Cath Kinnoul, miło mi. – Wyciągnęła rękę. – Przepraszam, zapomniałam, jak się pan nazywa.

Zadzwoił, by uprzedzić o swojej wizycie, a także żeby się upewnić, że zastanie któregoś z domowników.

– Detektyw inspektor Rebus – przypomniał jej.

– Ach, tak. Proszę wejść.

Sprawę można było załatwić przez telefon. „Skradziono następujące rzadkie książki... czy ktoś się z panią kontaktował? Gdyby ktoś się zgłosił, proszę o bezzwłoczny kontakt”. Ale jak każdy policyjny detektyw, Rebus lubił widzieć, z kim i z czym ma do czynienia. Ludzie często zdradzają się podczas osobistego kontaktu. Są zagubieni i podenerwowani. Choć Cath Kinnoul nie wyglądała na zdenerwowaną. Weszła do salonu z tacą herbaty. Rebus patrzył za okno, chłonać panoramę.

– Pani mąż chodził do szkoły w Kirkcaldy, prawda?

I właśnie wtedy powiedziała:

– Nie, ludzie zawsze popełniają ten błąd. Myślę... że to przez Gregora Jacka. No, wie pan... tego posła.

Położyła tacę na stoliku do kawy. Rebus odwrócił się od okna i rozejrzał po salonie. Na ścianach wisiały oprawione zdjęcia Raba Kinnoula, kadry z jego filmów, a także podpisane zdjęcia aktorów

i aktorek, których Rebus powinien znać. Pokój wydawał się zdominowany przez trzydziestoosmiocalowy telewizor, na którego szczycie stał magnetowid. Po obu stronach telewizora ułożono w wysokie stopy na podłodze kasyety wideo.

– Proszę usiąść, inspektorze. Cukier?

– Tylko mleko, proszę. Wspomniała pani o swoim mężu i Gregorze Jacku...

– Ach, tak... Przypuszczam, że ponieważ obaj występują w mediach... to znaczy w telewizji... ludzie zakładają, że muszą się znać.

– A tak nie jest?

Zaśmiała się.

– Jasne, że się znają. Ale wyłącznie dzięki mnie. Ludzie... mieszą cudze historie, więc w gazetach i czasopismach padały słowa, że Rab i Gregor... znają się ze szkoły, co jest bzdurą. Rab chodził do szkoły w Dundee. To ja uczyłam się z Gregorem... Również na uniwersytecie.

Więc nawet najlepsi młodzi szkoccy dziennikarze nie zawsze mieli rację. Rebus przyjął porcelanową filiżankę i skłonił głowę w ramach podziękowania.

– Byłam wtedy zwyczajną Catherine Gow – ciągnęła kobieta. – Raba poznałam później, kiedy pracował w telewizji. Grał w sztuce w Edynburgu. Wpadłam na niego w barze po przedstawieniu. – Zamieszała herbatę z roztargnieniem. – Teraz jestem Cath Kinnoul, żoną Raba Kinnoula. Już prawie nikt nie nazywa mnie Gapą...

– Gapą? – Rebus pomyślał, że się przesłyszał.

Spojrzała na niego.

– To było moje przezwisko. Wszyscy mieliśmy przezwiska. Na Gregora mówiono Nędzarcz.

– A na Ronalda Steele'a Samob.

Przestała mieszać i spojrzała na niego, jakby zobaczyła go po raz pierwszy.

– Owszem. Ale skąd...?

– Tak się nazywa jego sklep – wyjaśnił Rebus.

– Ach, tak. W każdym razie, co do tych książek...

Rebusa uderzyły trzy rzeczy. Po pierwsze, jak na dom kolekcjonerki, książek było tu niewiele. Po drugie, za szybko przestali mówić o Gregorze Jacku. Po trzecie, Cath Kinnoul najwyraźniej była na prochach, na jakichś środkach uspokajających. Jej ustom sekundę za długo zabierało ułożenie każdego słowa, a powieki opadały. Przepam? Benzodiazepiny?

– No właśnie – rzucił. – Książki. – Rozejrzał się. Każdy aktor poznałby ten tani chwyt. – Pana Kinnoula nie ma w domu?

Uśmiechnęła się.

– Większość ludzi nazywa go po prostu Rab. Sądzą, że skoro widzieli go w telewizji, to go znają, a poznanie go daje im prawo do nazywania go Rabem. Pan Kinnoul... Widać, że jest pan policjantem. – Prawie pogroziła mu palcem, ale zmieniła zdanie i zamiast tego łyknęła herbaty. Trzymając kruchą filiżankę nie za niezgrabne uszko, opróżniła ją do ostatniej kropli, po czym wypuściła powietrze. – Jestem dziś bardzo spragniona... – oznajmiła. – Przepraszam, co pan mówił?

– Opowiadała mi pani o Gregorze Jacku.

Wyglądała na zaskoczoną.

– Naprawdę?

Rebus skinął głową.

– Ach, tak. Czytałam o tym w gazetach. Straszne rzeczy wypisują. O nim i Liz.

– O pani Jack?

– O Liz, tak.

– Jaka ona jest?

Cath Kinnoul chyba drżała. Powoli wstała i postawiła pustą filiżankę na tacy.

– Jeszcze herbaty? – zapytała.

Rebus pokręcił głową.

Kobieta wlała mleko do filiżanki, dodała dość dużo cukru, a potem dopełniła to gorącą herbatą.

– Spragniona... – powiedziała. – Dziś...

Podeszła do okna, trzymając oburącz filiżankę.

– Liz jest kobietą niezależną. Należy ją za to podziwiać. To nie może być łatwe... żyć z mężczyzną, który wiecznie jest na celowniku opinii publicznej. On jej praktycznie nie widuje.

– Chodzi o to, że pan Jack często jest w rozjazdach?

– Hm... tak. Ale ona też często wyjeżdża. Ma własne życie, własnych przyjaciół.

– Dobrze ją pani zna?

– Nie, nie... nie określiłabym tego w ten sposób. Nie uwierzyłby pan, co wyczynialiśmy w szkole. Kto by pomyślał... – Dotknęła okna. – Podoba się panu nasz dom, inspektorze?

Zwrot w rozmowie był niespodziewany.

– Jest... hm... duży, prawda? – odparł. – Mnóstwo miejsca.

– Siedem sypialni. Rab kupił go od jakiejś gwiazdy rocka. Nie sądzę, żeby zawracał sobie niemię głowę, gdyby to nie był dom gwiazdy. Po co nam siedem sypialni? Jest nas tylko dwoje... Och, o wilku mowa.

Rebus podszedł do okna i zobaczył na podjeździe land rovera. Z przodu siedziała masywna postać z dłońmi ściskającymi kierownicę. Samochód zahamował, tak że zapiszczwały opony.

– Wracając do książek – odezwał się Rebus i nagle stał się bardzo oficjalny. – Kolekcjonuje pani książki, prawda?

– Białe kruki, tak. Głównie pierwsze wydania. – Cath Kinnoul zaczęła odgrywać kolejną rolę, tym razem kobiety, która pomaga policji w...

Drzwi wejściowe otworzyły się i zaraz potem zamknęły.

– Cath? Czyj samochód stoi na podjeździe?

Rab Kinnoul wszedł ciężkim krokiem do salonu. Mierzył prawie metr dziewięćdziesiąt, a ważył ze sto kilogramów. Na ogromnej klatce piersiowej napinała się tartanowa koszula w czerwonej tonacji. Brązowe sztruksy przytrzymywał cienki pasek, który wpijał się w brzuch. Kinnoul zaczął zapuszczać rudawą brodę, a jego brązowe włosy, dłuższe, niż Rebus pamiętał z filmów, kręciły się nad uszami. Spojrzał wyczekująco na gościa i Rebus do niego podszedł.

– Inspektor Rebus – przedstawił się.

Kinnoul wyglądał na zaskoczonego, potem na zadowolonego, a następnie – jak uznał Rebus – na zaniepokojonego. Problemem były jego oczy, które nie zmieniały wyrazu, inspektor zaczął się więc zastanawiać, czy zaskoczenie, ulga i zaniepokojenie były w umyśle Kinnoula czy tylko w jego własnym.

– Inspektorze, co się... To znaczy... czy coś się stało?

– Nie, nie, proszę pana. Skradziono kilka rzadkich książek i rozmawiamy z prywatnymi kolekcjonerami.

– Aha.

Posępną twarz Kinnoula rozchmurzył uśmiech. Rebus chyba nie widział tego człowieka uśmiechniętego w jakiegokolwiek roli telewizyjnej czy filmowej i teraz pojął dlaczego. Uśmiech zmienił go ze złowrogiego osiłka w przerośniętego nastolatka – rozświetlał jego twarz, czynił ją niewinną i łagodną.

– A zatem pan do żony? – Kinnoul spojrzał na żonę przez ramię Rebusa. – Wszystko w porządku, Cath?

– Tak, Rab.

Kiedy ponownie popatrzył na Rebusa, już się nie uśmiechał.

– Może chciałby pan zobaczyć bibliotekę, inspektorze? Cath może tam z panem porozmawiać.

– Chętnie. Dziękuję.

REBUS WRACAŁ DO EDYNBURGA bocznymi drogami. Były ładniejsze, a na pewno mniej uczęszczane. W bibliotece pani Kinnoul nie dowiedział się wiele poza tym, że Rab Kinnoul okazał się tak bardzo opiekuńczy wobec żony, że nie chciał zostawić jej z nim samej. Czego się bał? Przechadzał się po bibliotece, udawał, że przegląda tomy, po czym usiadł z książką i przysłuchiwał się czujnie, jak Rebus zadaje proste pytania, zostawia prostą listę tytułów i prosi Cath Kinnoul, by miała ją na uwadze. Kobieta skinęła głową, trzymając w ręce skserowaną kartkę papieru.

Biblioteka była pokojem na pierwszym piętrze, prawdopodobnie przeznaczonym pierwotnie na sypialnię. Dwie ściany zastawiono półkami, większość z nich za przesuwanymi szklanymi drzwiami. Za tymi taflami szkła znajdowała się zupełnie nieciekawa kolekcja książek – nieciekawa dla oczu Rebusa, lecz wystarczająco ciekawa, żeby wyrwać Cath Kinnoul ze snu na jawie. Wskazała inspektorowi niektóre z eksponatów.

– Znakomite pierwsze wydanie... oprawione w cielistą skórę... niektóre strony wciąż nie zostały rozcięte. Proszę sobie wyobrazić, że ta książka została wydrukowana w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku, ale gdybym rozcięła te strony, byłabym pierwszą osobą, która je przeczytała. Ach, a to jest poezja Burnsa wydana przez Creecha... pierwsze wydanie Burnsa w Edynburgu. Mam również kilka dwudziestowiecznych książek. Muriel Spark... *Dzieci północy*... George Orwell...

– Przeczytała pani je wszystkie?

Spojrzała na Rebusa, jakby zapytał ją o preferencje seksualne. Przerwał im Kinnoul.

– Cath jest kolekcjonerką, inspektorze. – Podszedł do niej i objął ją ramieniem. – Równie dobrze mogłyby to być znaczki, porcelana albo stare porcelanowe lalki, prawda, kochanie? Ale to są książki. Moja żona zbiera cenne książki. – Ucisnął ją. – Nie czyta ich. Kolekcjonuje.

Rebus pokręcił teraz głową, stukając palcami w kierownicę. Włożył do samochodowego magnetofonu kasetę Rolling Stonesów – pomoc w konstruktywnym myśleniu. Z jednej strony głowy miał profesora Costella z jego cudowną biblioteką, książkami czytаныmi, ba, wielokrotnie przeczytanymi, wartymi fortunę, a mimo to wciąż do wypożyczenia... do przeczytania. Z drugiej strony – Cath Kinnoul. Sam nie bardzo wiedział, dlaczego tak bardzo jej współczuł. To nie mogło być

łatwe: żyć z... Czy sama tego nie powiedziała? Tyle że mówiła o Elizabeth Jack. Rebusa zaintrygowała pani Jack. Co więcej, zaczynał się nią fascynować. Miał nadzieję, że wkrótce ją pozna...

KTOŚ Z DUFFTOWN ZADZWONIŁ akurat wtedy, gdy Rebus wchodził do swojego biura. Na schodach przekazano mu plotkę: w połowie następnego tygodnia miało się pojawić oficjalne powiadomienie, że Great London Road zostanie zamknięta. No to wracam na Marchmont, pomyślał.

Telefon dzwonił. Zawsze dzwonił, kiedy Rebus wchodził albo wychodził. Mógł wysiadywać w hotelu godzinami i ani razu...

– Halo, mówi Rebus.

Odpowiedziała mu cisza, a po chwili w słuchawce rozległo się tyle trzasków, jakby to było połączenie transsyberyjskie.

– Czy rozmawiam z inspektorem Rebusem?

Westchnął i opadł na fotel.

– Przy telefonie.

– Dzień dobry panu. Okropne połączenie. Posterunkowy Moffat się kłania. Chciał pan, żeby ktoś sprawdził Deer Lodge.

Rebus się ożywił.

– Owszem.

– Właśnie tam byłem i... – I rozległ się dźwięk przypominający pobudzony licznik Geigera. Rebus odsunął słuchawkę od ucha. Kiedy hałas ucichł, posterunkowy ciągnął: – Nie wiem, co więcej mogę panu powiedzieć.

– Najpierw może mi pan opowiedzieć tę cholerną historię jeszcze raz – odparł Rebus. – Połączenie na minutę wsiądko w czarną dziurę.

Moffat zaczął więc ponownie; powoli artykułował słowa, jakby rozmawiał z kimś opóźnionym w rozwoju.

– Mówiłem, panie inspektorze, że pojechałem do Deer Lodge, ale nikogo tam nie ma. Nie ma też żadnego samochodu na zewnątrz. Zajrzałem przez okna. Powiedzielibyśmy, że ktoś tam wcześniej przebywał. Wyglądało mi to na jakąś imprezę. Butelki po winie, kieliszki i tak dalej. Ale w tej chwili nikogo tam nie ma.

– Rozmawiał pan z sąsiadami? – Rebus wiedział, że to głupie pytanie, już w chwili, gdy je zadawał.

Posterunkowy parsknął śmiechem.

– Tam nie ma żadnych sąsiadów, panie inspektorze. Najbliżej mieszkają państwo Kennowayowie, ale to dwa kilometry drogi za wzgórzami.

– Rozumiem. I nic więcej nie może mi pan powiedzieć?

– Nic mi nie przychodzi do głowy. Pyta pan o coś konkretnego? Wiem, że dom jest własnością posła, a w prasie widziałem...

– Nie – przerwał mu Rebus. – Ta sprawa nie ma z tym nic wspólnego. – Nie chciał, żeby krążyło jeszcze więcej plotek. – Chciałem tylko zamienić słowo z panią Jack. Pomyśleliśmy, że może tam być.

– Podobno czasem bywa, tak słyszałem.

– No dobrze, jeśli usłyszysz pan coś jeszcze, proszę mi dać znać, zgoda?

– Ma się rozumieć, panie inspektorze.

Rebus wcale nie był tego taki pewien, bo posterunkowy sprawiał wrażenie nieco urażonego.

– I dzięki za pomoc – dodał Rebus, ale dosłyszał tylko „Tak jest” tuż przed tym, jak połączenie się urwało. – Pierdol się, kolego – powiedział do siebie, a potem wyruszył na poszukiwanie numeru telefonu do domu Gregora Jacka.

OCZYWIŚCIE ISTNIAŁO OGROMNE prawdopodobieństwo, że telefon nadal będzie odłączony. Mimo to warto było spróbować. Sam numer był zapewne w komputerze, ale Rebus uznał, że najszybciej znajdzie go w szafce z dokumentami. Na kartce z nagłówkiem *Parlamentarne okręgi wyborcze w Edynburgu i Lothian* były wypisane adresy domowe oraz numery telefonów jedenastu posłów. Wstukał dziesięć cyfr, odczekał i w nagrodę usłyszał dźwięk dzwonka. Choć nie oznaczało to jeszcze...

– Słucham?

– Czy to pan Urquhart?

– Przepraszam, pana Urquharta w tej chwili nie ma.

Rebus oczywiście rozpoznał już ten głos.

– Czy to pan, panie Jack? Mówi inspektor Rebus. Byłem u pana wczoraj...

– Ależ tak. Dzień dobry, inspektorze. Ma pan szczęście. Dzisiaj rano podłączyliśmy telefon i Ian spędził cały dzień na odbieraniu połączeń. Właśnie zrobił sobie przerwę. Uznał, że powinniśmy znowu wyłączyć telefon, mimo to włączyłem go, kiedy Ian wyszedł. Nie lubię świadomości, że jestem całkowicie odcięty od świata. Moi wyborcy mogą potrzebować...

– A co z pana sekretarką?

– Pracuje. Obowiązki należy wypełniać, inspektorze. Na tyłach domu jest biuro i Helen tam pracuje: pisze na maszynie i tak dalej. Naprawdę jest...

– A pana żona? Ma pan o niej jakieś wieści?

Nagle potok słów posła jakby wysechł. Rozległ się za to suchy kaszel. Rebus potrafił sobie wyobrazić zmianę rysów jego twarzy, może nawet drapanie po palcu, przeciągnięcie dłonią po włosach...

– Dlaczego...? Hm... zabawne, że pan o tym wspomina. Dzwoniła dziś rano.

– Tak?

– Biedactwo. Powiedziała, że od wielu godzin próbowała się dodzwonić, ale telefon był odłączony przez całą niedzielę, a dziś przez większość czasu zajęty...

– Więc jest w państwa domu letniskowym?

– Owszem, tak. Spędzi tam cały tydzień. Radziłem jej, żeby została. Nie ma sensu wciągać jej w te wszystkie brudy tutaj. Niebawem afera wygaśnie. Mój prawnik...

– Sprawdziliśmy Deer Lodge, panie Jack.

W słuchawce panowała przez chwilę cisza, a potem rozległo się ciche westchnienie.

– Och...

– Najwyraźniej pana żony tam nie ma. Żadnych oznak życia.

Pod kołnierzykiem koszuli Rebusa skraplał się pot. Mógł to zrzucić na karb ogrzewania, wiedział jednak, że chodzi o coś innego. Dokąd ta rozmowa zmierzała? W co on się pakował?

– Och. Rozumiem.

– Panie Jack, czy chciałby mi pan o czymś powiedzieć?

– Owszem, inspektorze, chyba tak.

Rebus postanowił zadać ostrożne pytanie.

- Czy chce pan, żebym przyjechał?
 - Tak.
 - Dobrze. Będę tak szybko, jak tylko zdołam. Proszę siedzieć i się nie ruszać, w porządku?
- Brak odpowiedzi.
- W porządku, panie Jack?
 - Tak.
- Ale Gregor Jack nie powiedział tego z przekonaniem.

SAMOCHÓD REBUSA OCZYWIŚCIE nie chciał zapalić. Dźwięk, jaki wydawał, z każdą chwilą coraz bardziej przypominał ostatni chrypiący śmiech chorego na rozedniętą płuc. Herka-herka-herka-ka-ka. Herka-herka-herka-her.

– Problemy? – krzyknął z drugiego końca parkingu Brian Holmes, machając ręką. Zamierzał wsiąść do swojego auta.

Rebus zatrzasnął drzwi i podszedł do niego szybkim krokiem. Holmes za pierwszym przekręceniem kluczyka uruchomił swojego austina metro.

- Wracasz do domu? – spytał Holmes.
- Tak.

Detektyw sierżant ruchem głowy wskazał przekłętego saaba.

- Nie wygląda na to. Podwieźć cię?
- Prawdę mówiąc, spadłeś mi z nieba, Brian. I możesz mnie zabrać na przejażdżkę, jeśli chcesz.
- Nie rozumiem.

Rebus próbował otworzyć drzwi od strony pasażera, ale bez powodzenia. Holmes zawahał się chwilę, zanim je odblokował.

– Dzisiaj wypadła moja kolej na gotowanie – oznajmił. – Nell trafi szlag, jeśli się spóźnię...

Rebus usadowił się na siedzeniu pasażera i zapiął pas.

- Opowiem ci o tym po drodze.
- Po drodze dokąd?
- Niedaleko twojego domu. Nie spóźnisz się, daję słowo. Potem wezmę taksówkę do miasta. Ale bardzo bym chciał, żebyś mi towarzyszył.

Holmes nie był powolny. Ostrożny, owszem, ale nigdy nie powolny.

- Ach, chodzi o członka... męskiego członka – powiedział. – Co znowu zrobił?
- Aż się boję o tym pomyśleć, Brian. Uwierz mi, boję się o tym pomyśleć...

BRAMY TYM RAZEM NIE okupowali dziennikarze; co więcej, była otwarta. Saab został odstawiony do garażu i pod domem nie stał żaden samochód. Holmes zaparkował przy drodze przed posesją.

- Całkiem niezła miejscówka – skomentował.
 - Poczekaj, aż zobaczysz wnętrze. Jest jak plan filmowy. Ingmar Bergman albo coś w tym stylu.
- Detektyw sierżant pokręcił głową.

- Nadal nie mogę uwierzyć, że byłeś tu wczoraj i wtargnąłeś do...
- E tam – przerwał mu Rebus. – Trudno to nazwać wtargnięciem. Posłuchaj, Brian, zamienię słowo z Jackiem, a ty zwróć uwagę, czy nic tutaj nie śmierdzi zgnilizną.

– Masz na myśli, że dosłownie gnije?

– Nie spodziewam się znaleźć rozkładających się ciał w klombach, jeśli o to pytasz. Nie, po prostu miej oczy i uszy otwarte.

– I czujny nos?

– Jeśli nie masz przy sobie chusteczki, to tak.

Rozdzielili się; Rebus ruszył do drzwi wejściowych, a Holmes do bocznej części budynku, w stronę garażu. Inspektor zadzwonił do drzwi. Była prawie osiemnasta. Bez wątpienia Helen Greig wracała już do domu...

A jednak to ona otworzyła drzwi.

– Dzień dobry – powiedziała. – Proszę wejść. Gregor jest w salonie, zna pan drogę.

– Jasne. Nie daje pani wytchnienia, co? – Położył palec na zegarku.

– Ależ nie. – Uśmiechnęła się. – To prawdziwy pan i władca.

Rebusowi wpadł do głowy nieprzyjemny wizerunek Jacka w skórzanym ubraniu i Helen Greig na smyczy... Szybko go wyrzucił.

– Czy wszystko z nim w porządku?

– Z Gregorem? – Roześmiała się cicho. – Radzi sobie, przynajmniej na ile to możliwe w tych okolicznościach. Dlaczego pan pyta?

– Tak tylko pomyślałem.

Zastanowiła się nad czymś przez chwilę; wydawało się, że zamierza coś powiedzieć, ale przypomniała sobie, gdzie jest jej miejsce.

– Czy coś panu podać?

– Nie, dziękuję.

– W takim razie do zobaczenia później.

Odeszła i minęła kręte schody, zmierzając do swojego biura na tyłach domu. Cholera, nie powiedział o niej Holmesowi. Jeśli ten zaglądał przez okno do biura... No trudno. Jeżeli usłyszy krzyk, będzie wiedział, co się stało. Otworzył drzwi salonu.

Gregor Jack siedział sam i słuchał muzyki z hi-fi. Nie była głośna, Rebus rozpoznał jednak Rolling Stonesów. To był album, którego słuchał wcześniej, *Let It Bleed*.

Jack podniósł się ze skórzanej kanapy ze szklanką whisky w ręce.

– Inspektorze, rzeczywiście nie trwało to długo. Przyłapał mnie pan na oddawaniu się mojemu sekretnemu nawykowi. Cóż, każdy z nas ma choćby jedną małą tajemnicę, zgodzi się pan?

Rebus pomyślał o scenie w burdelu, a Jack, jakby czytając w jego myślach, uśmiechnął się z zakłopotaniem i wyciągnął do niego dłoń. Inspektor ucisnęła ją i zauważył, że na palec lewej ręki został przyklejony plaster. Jeden sekretny nawyk i jedna mała skaza...

Jack zwrócił uwagę na to, że Rebus dostrzegł opatrunek.

– Egzema – wyjaśnił z wyrazem twarzy, jakby zamierzał powiedzieć coś więcej.

– Tak, wspominał pan.

– Tak?

– Wczoraj.

– Musi mi pan wybaczyć, inspektorze. Zwykle się nie powtarzam. Ale po tamtym zajściu i w ogóle...

– To zrozumiałe.

Rebus zobaczył na kominku kartkę pocztową. Wczoraj jej tam nie było. W tym momencie Jack przypomniał sobie, że trzyma w ręce szklankę.

– Czy mogę zaproponować coś mocniejszego?

– Może pan, a ja przyjmuję propozycję.

– Whisky? Nie sądzę, żeby było coś jeszcze...

– Cokolwiek, panie Jack – odparł Rebus i z jakiegoś powodu dodał: – Ja też lubię Rolling Stonesów, zwłaszcza ich wcześniejsze utwory.

– Tu się z panem zgodzę. Rynek muzyczny w dzisiejszych czasach jest bezwartościowy, prawda? – Jack podszedł do ściany na lewo od kominka, gdzie na szklanych półkach stały butelki i szklanki. Kiedy nalewał, Rebus zatrzymał się przy stole, przy którym poprzedniego dnia Urquhart przeglądał jakieś papiery. Były tam dokumenty czekające na podpis (głównie z Izby Gmin), a także notatki dotyczące spraw parlamentarnych.

– Ta praca... – zaczął Jack, podchodząc z trunkiem do Rebusa. – To od pana zależy, co z nią zrobi. Są tacy, którzy wykonują niezbędne minimum, a proszę mi wierzyć, że to i tak dużo. Na zdrowie.

– Na zdrowie.

Obaj wypili.

– Są też tacy – ciągnął Jack – którzy dają z siebie wszystko. Wkładają maksimum wysiłku w aktywność w okręgach wyborczych i angażują się w proces parlamentarny w całym kraju. Debatują, piszą, uczestniczą...

– A pan do którego obozu należy? – Chłapie ozorem, pomyślał Rebus, a treści w tym mało...

– Ja jestem w samym środku – odpowiedział Jack. – Proszę usiąść.

– Dziękuję.

Usiedli, Rebus na fotelu, gospodarz na kanapie. Inspektor od razu się zorientował, że whisky jest rozwodniona, i zastanawiał się: przez kogo? I czy Jack o tym wiedział?

– Powiedział pan przez telefon, że jest coś... – zaczął.

Gospodarz sięgnął po pilota, żeby wyłączyć muzykę. Rebusowi wydawało się, że wycelował go w ścianę, ponieważ w zasięgu wzroku nie było systemu hi-fi.

– Chciałbym wyjaśnić sprawę zniknięcia mojej żony, inspektorze – oznajmił Jack. – Liz... Martwię się o nią, przyznaję. Nie chciałem wcześniej nic mówić...

– Dlaczego nie?

Jak dotąd przemówienie pana wyglądało na dobrze przygotowane – miał w końcu na to ponad godzinę – ale historia musiała się skończyć. Rebus potrafił być jednak cierpliwy. Zastanawiał się, gdzie jest Urquhart...

– Rozgłos, inspektorze. Ian nazywa Liz moim zobowiązaniem. Myślę, że posuwa się trochę za daleko, ale Liz... cóż... może nie tyle jest wybuchowa...

– Myśli pan, że widziała gazety?

– Jestem prawie pewien. Zawsze kupuje tablety. Lubi plotki...

– Więc się nie kontaktowała?

– Nie, nie kontaktowała się.

– To trochę dziwne, nie uważa pan?

Jack zmarszczył czoło.

– Tak i nie, inspektorze. To znaczy... sam nie wiem, co myśleć. Z jednej strony Liz jest zdolna do zlekceważenia całej tej sprawy. Z drugiej jednak...

– Myśli pan, że może zrobić sobie krzywdę?

– Zrobić sobie krzywdę? – Te słowa powoli docierały do Jacka. – Ma pan na myśli samobójstwo? Nie, nie sądzę... nie, nie. Jeżeli była zażenowana, mogła po prostu zniknąć. Albo coś się stało, miała jakiś wypadek... Bóg jeden wie co. Jeśli natomiast się rozzłościła... to możliwe, że... – Oparł łokcie na kolanach i pochylił głowę.

– Myśli pan, że to sprawa dla policji? – spytał Rebus.

Jack spojrzął na niego błyszczącymi oczami.

– I w tym tkwi haczyk. Jeśli zgłoszę jej zaginięcie... to znaczy zgłoszę je oficjalnie... i Liz zostanie odnaleziona, a potem okaże się, że po prostu trzymała się z dala od afery...

– Czy pana żona jest typem osoby, która trzymałaby się z dala od afery? – Myśli w głowie Rebusa zataczały kręgi. Ktoś wrobił Jacka... Czy tym kimś na pewno nie była jego żona? To pomysły z prasy brukowej, ale i tak zaniepokoiły inspektora.

Jack wzruszył ramionami.

– Raczej nie. Trudno mi jednoznacznie powiedzieć, jaka jest Liz. Bywa zmienna.

– No cóż, moglibyśmy przeprowadzić małe dyskretne dochodzenie. Sprawdzić hotele, pensjonaty...

– W przypadku Liz muszą to być hotele, inspektorze. Drogie hotele.

– Dobrze, sprawdzimy hotele, popytamy. Są jacyś przyjaciele, których mogła odwiedzić?

– Niewielu.

Rebus czekał, zastanawiając się, czy Jack kogoś jednak nie wymieni. W końcu zawsze pozostawał Andrew Macmillan, morderca. Ktoś, kogo prawdopodobnie znała, ktoś w pobliżu. Ale Jack tylko wzruszył ramionami.

– Niewielu – powtórzył.

– Mimo wszystko lista by nam pomogła. Nawet pan może się z nimi skontaktować... no wie pan, zadzwonić na pogaduszki. Jeśli pana żona tam jest, na pewno pana poinformują.

– Chyba że im zabronią.

To prawda.

– Ale – ciągnął Jack – gdyby się okazało, że wyjechała na jakąś wyspę i nic nie słyszała...

Polityka, wszystko sprowadzało się do polityki. Rebus darzył Gregora Jacka coraz mniejszym szacunkiem, ale – paradoksalnie – coraz bardziej go lubił. Wstał i podszedł do szklanych półek, na pozór po to, by odstawić kieliszek. Przy kominku zatrzymał się obok pocztówki i po chwili ją podniósł. Z przodu widniał rysunek przedstawiający młodego mężczyznę w sportowym samochodzie z otwartym dachem i szampanem w wiaderku z lodem na siedzeniu pasażera. Powyżej był napis POWODZENIA! Z tyłu zobaczył wiadomość napisaną flamastrem: *Nie bój się, Paczka jest z tobą.* A pod spodem sześć podpisów.

– Przyjaciele ze szkoły – oznajmił Jack. Podszedł do Rebusa i stanął obok niego. – I parę osób z czasów uniwersyteckich. Przez lata trzymaliśmy się blisko.

Kilka z tych nazwisk Rebus rozpoznał, lecz udął zdziwionego i pozwolił, żeby Jack go poinformował.

– Gapa to Cathy Gow. Teraz nazywa się Cath Kinnoul, Kinnoul jak Rab, aktor. – Jego palec przesunął się do następnego podpisu. – Tampon, Tom Pond. Jest architektem w Edynburgu. Bilbo to Bill

Fisher, pracuje w Londynie dla jakiegoś magazynu. Zawsze miał fioła na punkcie Tolkiena.

Głos Jacka zmiękł sentymentalnie. Rebus pomyślał o swoich kolegach ze szkoły, z którymi nadal utrzymywał kontakty – nie było takich.

– Samob to Ronnie Steele – ciągnął Jack.

– Dlaczego ma ksywkę Samob?

Jack uśmiechnął się.

– Nie jestem pewien, czy powinienem zdradzać jego sekret. Ronnie by mnie zabił. – Zastanawiał się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami. – No cóż, byliśmy na wycieczce szkolnej w Szwajcarii i do pokoju Ronniego weszła dziewczyna, a on w tym w czasie... coś robił. Poszła i rozpowiedziała o tym wszystkim, a on był tak zawstydzony, że wybiegł na zewnątrz i położył się na drodze. Ogłosił, że chce się zabić, tyle że nie przejeżdżał żaden samochód, więc w końcu wstał z ulicy.

– Samob to skrót od samobójstwa?

– Owszem. – Jack ponownie przestudiował pocztówkę. – Sexton, czyli Alice Blake. Jak Sexton Blake, ten detektyw z opowieści... taki jak pan. – Jack uśmiechnął się. – Alice też pracuje w Londynie. Coś związanego z PR-em.

– A co z...? – Rebus wskazał na ostatni podpis, Mack.

Twarz Jacka nagle zmieniła wyraz.

– A to jest... Andy Macmillan.

– Czyż zajmuje się obecnie pan Macmillan? – Mack, pomyślał Rebus. Jak Mackie Majcher, w ponury sposób trafne...

Jack był powściągliwy.

– Chyba siedzi w więzieniu. Okropna historia, tragiczna.

– W więzieniu? – Rebus chętnie zagłębił się w ten temat, lecz Jack miał inne pomysły. Wskazał na podpisy na kartce.

– Zauważył pan coś, inspektorze?

Tak, Rebus coś spostrzegł, chociaż nie zamierzał o tym wspominać. Teraz to zrobił:

– Wszystkie pseudonimy zostały wypisane przez jedną osobę.

Jack uśmiechnął się.

– Brawo!

– No cóż, pan Macmillan jest w więzieniu, a pan Fisher i pani Blake nie zdołaliby się podpisać, ponieważ mieszkają w Londynie. Artykuły ukazały się dopiero wczoraj...

– Tak, słuszna uwaga.

– Kto zatem...?

– Cathy. Jest biegła w fałszerstwach, choć patrząc na nią, można na to nie wpaść. Już dawniej kaligrafowała z pamięci wszystkie nasze podpisy.

– Ale pan Pond mieszka w Edynburgu... Dlaczego nie mógł się podpisać?

– Chyba jest w Stanach, w interesach.

– A pan Steele...? – Rebus postukał w podpis *Samob*.

– Samoba trudno złapać, inspektorze.

– Skoro pan tak twierdzi. – Rebus się zadumał. – Skoro pan tak twierdzi...

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejdz, Helen.

Sekretarka wsunęła głowę do salonu. Miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i właśnie wiązała jego pasek.

– Skończyłam, Gregor. Ian jeszcze nie wrócił?

– Jeszcze nie. Zakładam, że nadrabia zaległości w spaniu.

Rebus odłożył pocztówkę na kominek. Zastanawiał się, czy Gregora Jacka otaczali przyjaciele, czy może wręcz przeciwnie...

– A właśnie! – rzuciła Helen Greig. – Jest tu jeszcze jeden policjant. Stał przy tylnych drzwiach...

Drzwi otworzyły się na pełną szerokość i do salonu wparował Brian Holmes. Sytuacja zrobiła się niezręczna. Rebus uzmysłowił sobie, że detektyw sierżant w ogóle zachowywał się niezręcznie w obecności pośła.

– Dziękuję, Helen – powiedział Jack. – Do zobaczenia jutro.

– Jutro jesteś w Westminsterze, Gregor.

– Boże, rzeczywiście. Dobrze, do zobaczenia pojutrze.

Gdy dziewczyna wyszła, Rebus przedstawił młodszego kolegę Jackowi. Holmes, co było dla niego nietypowe, miał dziwną minę. O co chodzi, do diabła? Czyżby nie tylko o Jacka?

Holmes odchrząknął i wlepił spojrzenie w przełożonego, unikając przy tym kontaktu wzrokowego z gospodarzem.

– Inspektorze... hm... powinieneś coś zobaczyć. Z tyłu domu. W śmietniku. Miałem w kieszeniach trochę śmieci, więc pomyślałem, że się ich pozbędę. Uniosłem wieko kosza...

Twarz Gregora Jacka pobladła.

– Dobrze. – Rebus energicznie poderwał się z fotela. – Prowadź, Brian. – Wskazał ręką gospodarza. – Ja za panem, panie Jack.

TYŁ DOMU BYŁ DOBRZE OŚWIETLONY. Obok krzewu rododendronu stały dwa solidne czarne kontenery z plastiku. W każdym był czarny plastikowy worek na śmieci. Holmes podniósł pokrywę lewego kosza i przytrzymał ją w górze, tak by Rebus mógł zajrzeć do środka. Inspektor wpatrywał się w zgniecione opakowania po płatkach kukurydzianych i herbatnikach.

– Pod spodem – rzucił Holmes.

Rebus podniósł opakowanie po płatkach. Pod spodem kryła się skarbnica: dwie kasety wideo z połamanymi obudowami i wypadającymi taśmami, plik fotografii, dwa małe wibratory w złotym kolorze, dwie pary tandetnych kajdanek i odzież: body z siatki na całe ciało, majtki z zamkami... Rebus nie zdołał opędzić się od myśli, co zrobiliby pismacy, gdyby jako pierwsi znaleźli ten skarb.

– Mogę to wyjaśnić – odezwał się załamany Jack.

– Nie musi pan. To nie nasza sprawa. – Rebus powiedział to w taki sposób, żeby przekaz był jasny: może to nie nasza sprawa, ale lepiej dla ciebie, jeżeli to wyjaśnisz.

– Hm... spanikowałem. Nie, to nie była panika. Po prostu cała ta historia z domem publicznym... a teraz Liz gdzieś wyjechała... i wiedziałem, że inspektor jest w drodze... Postanowiłem się tego pozbyć. – Był spocony. – Wiem, jak to musi wyglądać... właśnie dlatego chciałem to wszystko wyrzucić. To nie moje rzeczy, to rzeczy Liz. Jej przyjaciele... imprezy, które urządzają... Nie chciałem, żeby odniósł pan mylne wrażenie.

Albo właściwie, pomyślał Rebus. Gdy podnosił plik fotografii, wysłiznęły mu się z rąk.

– Przepraszam – rzucił i zaczął je zbierać. To były polaroidy zrobione na imprezie. Nie dało się ukryć, że na całkiem niezłej imprezie. Ale proszę, któż to na nich był?

Rebus uniósł jedną z fotografii tak, by poseł mógł ją zobaczyć. Przedstawiała Gregora Jacka, któremu dwie kobiety zdejmowały koszulę. Oczy wszystkich były czerwone.

– Pierwsza i ostatnia tego typu impreza, na której byłem – powiedział Jack.

– Oczywiście.

– Proszę mnie wysłuchać, inspektorze. Moja żona prowadzi własne życie. Jej decyzje... nie mam na nie wpływu. – Na jego twarzy złość powoli wypierała wstyd. – Może mi się to nie podobać, mogę nie lubić jej przyjaciół, ale to jej wybór.

– Jasne. – Rebus wyrzucił zdjęcia z powrotem do kosza. – Może więc... „przyjaciele” pańskiej małżonki będą wiedzieli, gdzie ona przebywa, co? A tymczasem nie zostawiałbym tego na zewnątrz, chyba że znowu chce się pan zobaczyć na czołówkach gazet. Kosze to pierwsze miejsce, do którego zaglądną dziennikarze. Nie bez powodu nazywają swój fach „zbieraniem brudów”. I jak już mówiłem, panie Jack, to nie nasza sprawa... jeszcze nie.

Ale już niedługo będzie; Rebus czuł to w kościach.

Już niedługo będzie.

WRACAJĄC DO DOMU, Rebus próbował skupić się na jednej rzeczy. Niełatwa sprawa, wcale niełatwa. Jack zapisał nazwiska i adresy kilku przyjaciół żony. Jeśli ci ludzie nie byli z wyższych sfer, to z pewnością plasowali się kilka szczebli nad Horsehair. Potem Rebus zapytał o samochód Liz.

– Czarne bmw – odparł Jack. – Trójka. Mój prezent na jej urodziny w zeszłym roku.

Rebus pomyślał o swoim saabie.

– Ładne auto – rzucił. – A numery rejestracyjne?

Jack natychmiast je wyrecytował. Inspektor wyglądał na nieco zaskoczonego, na co poseł uśmiechnął się nieznacznie.

– Z wykształcenia jestem księgowym – powiedział. – Nigdy nie zapominał liczb.

– Rozumiem. No cóż, lepiej będzie...

Rozległ się odgłos otwierania i zamykania drzwi wejściowych i z holu dobiegły głosy. Może żona marnotrawna wróciła? Jack, Rebus i Holmes odwrócili się w stronę drzwi do salonu, które się otworzyły.

– Gregor? Zobacz, kogo spotkałem na podjeździe...

Ian Urquhart spostrzegł, że jego szef ma gości, i zatrzymał się zaskoczony. Za nim wgramolił się zmęczony mężczyzna. Był wysoki i chudy, miał długie czarne włosy i najwyklesze okrągłe okulary.

– Gregor! – Podeszedł do gospodarza i uściśli sobie dłonie.

Jack położył rękę na jego ramieniu.

– Chciałem zająć wcześniej, ale wiesz, jak to jest – powiedział nieznajomy, który naprawdę wyglądał na wyczerpanego; miał podkrążone ciemne oczy i był mocno zgarbiony. Jego mowa i ruchy były powolne. – Zebrałem niezłą kolekcję włoskich książek o sztuce...

Dopiero gdy Rebus przywitał się z Urquhartem uściskiem dłoni, nieznajomy raczył zareagować na obecność gości.

– Pan musi być inspektorem Rebusem – powiedział.

– Owszem.

– Skąd to wiesz? – Gregor Jack był pod wrażeniem.
– Ślady zadrapań na nadgarstku – wyjaśnił gość. – Vanessa mówiła mi, że inspektor Rebus zjawił się w księgarni i Rasputin odcisnął na nim swój ślad... nie mały ślad, z tego, co widać.

– A zatem pan nazywa się Steele. – Rebus podał mu rękę.

– We własnej osobie – odparł księgarz. – Proszę wybaczyć, że mnie nie było, kiedy pan dzwonił. Gregor może panu powiedzieć, że jestem człowiekiem trudnym do...

– ...złapania – zakończył za przyjaciela Jack. – Tak, Ronnie, już wspominałem o tym inspektorowi.

– Nadal żadnych wieści w sprawie książek? – zapytał Steele'a Rebus.

Księgarz wzruszył ramionami.

– Jeszcze jest za gorąco, inspektorze. Czy ma pan pojęcie, jak cenne są te pozycje? Postawiłbym na prywatnego kolekcjonera.

– Skradzione na zamówienie?

– Być może. Co ciekawe, w dość szerokim tematycznie zakresie...

Steele szybko stracił zainteresowanie tym tematem, odwrócił się do przyjaciela i szeroko rozłożył ramiona.

– Gregor, co oni, do licha ciężkiego, próbują ci zrobić?

– Najwyraźniej ktoś liczy na jego rezygnację – odpowiedział Urquhart, który bez pytania nalewał sobie drinka.

– Ale przede wszystkim... co ty tam robiłeś?

To było kluczowe pytanie. I zadał je Steele... Zapadła cisza, która ciągnęła się w nieskończoność. Urquhart nalał księgarzowi whisky, a Gregor Jack śledził wzrokiem czterech mężczyzn w pokoju, jakby któryś z nich mógł znać odpowiedź. Rebus zauważył, że Brian Holmes wpatruje się w jeden z obrazów na ścianie, jakby nie zwracał uwagi na całą rozmowę. Wreszcie Jack wydał z siebie jęk rozdrażnienia i pokręcił głową.

Ciszę przerwał Rebus.

– Chyba na mnie pora, żeby się pożegnać.

– PROSZĘ PAMIĘTAĆ O OPRÓŻNIENIU kosza na śmieci, panie pośle.

Tak brzmiały ostatnie słowa skierowane do Jacka przez Rebusa, zanim poprowadził Holmesa podjazdem w kierunku drogi. Detektyw sierżant zgodził się podrzucić go do Bonnyrigg, gdzie Rebus mógł złapać taksówkę do miasta. Holmes sięgnął do klamki, otworzył austina i bez komentarza uruchomił silnik. Kiedy wrzucił drugi bieg, w końcu się odezwał.

– Miły facet. Myślisz, że dałby nam zaproszenie na jedną z tych imprez?

– Brian – rzucił Rebus ostrzegawczo. A potem dodał: – To nie są jego imprezy, tylko imprezy jego żony. To miejsce na zdjęciach nie wyglądało na ich dom.

– Mówisz? Nie przyjrzałem się tak dokładnie. Widziałem jedynie, jak mojego posła rozbiera kilka uczynnych dam. – Holmes roześmiał się.

– Co?

– Zabawa w rozbieranego... albo inaczej w butelkę.

– Pardon?

– To taka gra – wyjaśnił Holmes. – No wiesz, jak przegrywasz, musisz coś z siebie zdjąć, i w końcu zostajesz nagi.

– Tak? – Rebus starał się nie zdradzać zainteresowania. Ale czy właśnie tego nie próbowano zrobić, obnażyć Jacka, ograbić go z jego okręgu wyborczego, zrujnować nieskazitelny wizerunek, a może nawet małżeństwo? Czy próbowali pozbawić wszystkiego człowieka, który miał ksywę Nędzarz?

A może Jack nie był taki niewinny, na jakiego wyglądał? Do diabła, John, bądź szczery wobec siebie! Gregor Jack wcale nie wyglądał na niewinnego. No tak, odwiedził burdel. I próbował pozbyć się dowodów na to, że uczestniczył w co najmniej jednej „porywającej” imprezie. A żona się z nim nie skontaktowała. Wielka rzecz! Rebus wciąż postawiłby pieniądze na tego człowieka. Mimo że z wyznania był bardziej pesymistarianinem niż prezbiterianinem, w pewnych kwestiach John Rebus wciąż trzymał się wiary.

Wiary i nadziei. Jedynie miłości bliźniego zwykle mu brakowało.

Drobne ślady

– MUSIMY TRZYMAĆ TO Z DALA OD gazet – oświadczył komendant Watson. – Tak długo, jak się da.

– Tak jest, szefie – powiedział Lauderdale.

Rebus milczał. Nie rozmawiali o Gregorze Jacku, lecz o podejrzanym w sprawie utonięcia w Water of Leith, który siedział w sali przesłuchań z dwoma detektywami i dyktafonem. Pomagał w dochodzeniu. Najwyraźniej jednak mówił niewiele.

– Może się okazać, że to nic wielkiego – dodał Watson.

– Tak, panie komendancie.

W pokoju unosił się popołudniowy zapach mocnych miętówek i być może dlatego inspektor Lauderdale był bardziej oziębiały niż zwykle. Za każdym razem, kiedy Watson odwracał od niego spojrzenie, drgały mu nozdrza. Rebusowi zrobiło się nagle żal szefa dochodzeniówki, tak jak było mu żal szkockiej drużyny, ilekroć przegrywała mecze z amatorami z krajów trzeciego świata. I pomyśleć, że gdyby nie moja całkowita nieumiejętność dostosowywania się, może byłbym na jego miejscu, przemknęło mu przez głowę.

– Tylko przechwałki – rzucił komendant. – Może podsłuchał coś w pubie. Facet był pijany. Wiesz, jak to jest.

– Tak, panie komendancie.

– Mimo wszystko...

Mimo wszystko w sali przesłuchań trzymali człowieka, który w wypełnionym po brzegi pubie Leith informował każdego, kto był skory do nadstawienia ucha, że to on porzucił ciało pod Dean Bridge.

– To byłem ja! No? No i co mi powiesz? Ja! Ja! Ja to zrobiłem. Zasłużyła na najgorsze. Wszyscy zasługują.

Zgłosiła to na policję przerażona barmanka, która za miesiąc kończyła dziewiętnaście lat i była to jej pierwsza praca w pubie.

Zasłużyła na najgorsze... No a jak?! Wszyscy zasługują... Dopiero gdy do pubu weszła policja, gaduła nabrał wody w usta i zaszył się w kącie z głową pochyloną pod ciężarem papierosa. Szklanka też wydała mu się ciężka, tak że jego nadgarstek się pod nią ugiął i piwo kapało mu na buty i deski podłogi.

– A teraz proszę nam opowiedzieć wszystko, czym pan się chwalił tamtym ludziom. Śmiało. Może pan nam opowiedzieć? Na komendzie. Mamy tam miejsca siedzące. Usiądziesz pan i się pochwalisz...

Siedział, ale się nie chwalił. Nie podał nazwiska ani adresu, a w pubie nikt go nie rozpoznał. Rebus przyjrzał się mu – tak jak większość detektywów i mundurowych na komendzie – lecz twarz nic mu nie

mówiła. Smutny, słaby przedstawiciel gatunku ludzkiego. Pod czterdziestkę, ale już z siwymi i rzadkimi włosami, z twarzą z kilkudniowym zarostem i z knykciami pełnymi otarć i strupów.

– Skąd się wzięły te strupy? Brałeś pan udział w walce? Uderzyłeś kilka razy tę kobietę, zanim wrzuciłeś ją do rzeki?

I nic. Wyglądał na przestraszonego, ale się opierał. Szanse na zatrzymanie go były, łagodnie mówiąc, niewielkie. Nie potrzebował adwokata; wiedział, że musi po prostu trzymać głębę na kłódkę.

– Miałeś już kiedyś kłopoty, co? Wiesz, czym to grozi, hm? Dlatego milczysz. Wiesz, że na tym zyskasz, kolego. Dużo zyskasz.

Patolog, doktor Curt, był teraz pod presją. Musieli wiedzieć: wypadek, samobójstwo czy morderstwo? Desperacko potrzebowali to wiedzieć. Ale zanim nadeszły jakiegokolwiek wieści, aresztowany mężczyzna wreszcie przemówił.

– Byłem pijany – powiedział. – Nie wiedziałem, co plotę. Nie wiem, co mi strzeliło do łba, żeby tak klepać bez sensu.

To była wersja, której się trzymał; powtarzał ją i udoskonalał. Naciskali, by podał swoje nazwisko i adres.

– Byłem pijany. To wszystko, co mam do powiedzenia. Teraz jestem trzeźwy i chcę już iść. Przepraszam, że gadałem, że to zrobiłem. Mogę już iść?

Nikt w pubie nie chciał wnieść oskarżenia, a przynajmniej nie po tym, jak potencjalny przestępca został usunięty z lokalu. Nieopłacani bramkarze, pomyślał Rebus – oto kim jesteśmy. Czy mają tak po prostu pozwolić mu odejść? Stracić go z oczu? Nie bez walki.

– Potrzebujemy pana danych personalnych i adresu, żeby pana wypuścić.

– Byłem pijany. Czy mogę już iść?

– Nazwisko!

– Proszę. Mogę iść?

Curt wciąż nie był gotowy do ogłoszenia raportu z sekcji. Potrzebował kilku godzin. Nie miał jeszcze paru wyników badań.

– Po prostu podaj nam nazwisko, co? Przestań stwarzać problemy.

– Nazywam się William Glass. Mieszkam przy Semple Street czterdzieści osiem w Granton.

Zapadła cisza i przerwały ją westchnienia.

– Sprawdź to, okej? – poprosił jeden detektyw drugiego, po czym zwrócił się do zatrzymanego: – No i co, nie bolało, prawda, panie Glass?

Drugi detektyw uśmiechnął się i powiedział:

– Ból... szkło... można się pokaleczyć, rozumiesz?

– Po prostu sprawdź go, co? – Jego kolega potarł głowę, która bolała go od kilku dni.

– PUŚCILI GO – POINFORMOWAŁ Rebusa Holmes.

– Najwyższa pora. Bieganie za Glassem to jak pościg za mitycznym stworem, jak Dziki Haggis.

Holmes wszedł do biura i rozsiadł się na wolnym krześle.

– Nie stój na baczność tylko dlatego, że jestem starszy stopniem – powiedział Rebus zza biurka. – Może spocznieś i zajmiesz miejsce, sierżancie?

– Dziękuję, inspektorze. Nie odmówię tej wspaniałomyślnej propozycji – odparł Holmes z krzesła i dodał: – Podał swój adres, na Semple Street w Granton.

– Gdzieś w okolicach Granton Road?

– Tak. – Holmes się rozejrzył. – Tu jest jak w piekarniku. Nie możesz otworzyć okna?

– Zacięło się, a ogrzewanie...

– No tak, albo na pełnych obrotach, albo wcale. To miejsce... – Holmes pokręcił głową.

– Nic, czego nie dałoby się załatwić małym remontem.

– Zabawne – rzucił Holmes. – Nie podejrzewałbym cię o sentyment.

– O sentyment?

– Do tego miejsca. Ja się chętnie przeniosę na St Leonard's albo do Fettes, w każdej chwili.

Rebus zmarszczył nos.

– Nie masz charakteru.

– Skoro mowa o braku charakteru... Są jakieś wieści o męskim członku?

– Ten żart jest cienki jak moje włosy, Brian. Może wymyślisz jakiś nowy? – Rebus wypuścił głośno powietrze przez nos i rzucił na biurko długopis, którym się bawił. – Jeśli chciałeś zapytać, czy mamy jakieś wiadomości na temat pani Jack, to odpowiedź brzmi: żadnych, zero, *nada*. Przekazałem opis jej samochodu, sprawdzane są wszystkie luksusowe hotele. Ale jak dotąd nic nie mamy.

– Z czego wnioskujemy, że...

– Ta sama odpowiedź – przerwał młodszemu koledze Rebus. – Nic. Kobieta może być w jakiejś duchowej podróży na wyspie Iona, żyć na kocią łapę z gaelickim dzierzawcą albo wspinać się na szczyty Munros. Może być wkurzona na męża albo nic nie wiedzieć o skandalu.

– A ten zestaw, który znalazłem? Ten z wyprzedzący zapasów sex shopu?

– Tak?

– Hm... – Holmes zamotał się, szukając odpowiedzi. – Nieważne.

– Trafiałeś w dziesiątkę, sierżancie. Owszem, to nic takiego. Tymczasem mam sporo konkretnej roboty. – Rebus położył ostentacyjnie dłoń na stosie raportów i notatek, które przed nim leżały. – A ty, Brian?

Holmes podniósł się z krzesła.

– Mam mnóstwo roboty. Nie musisz się o mnie martwić.

– To naturalne, że się martwię. Jesteś dla mnie jak syn.

– A ty jesteś mi drogi jak ojciec – odpowiedział Holmes, ruszając do drzwi. – Ale im więcej tej drogi do ciebie, tym moje życie wydaje się łatwiejsze.

Rebus zwinął kartkę papieru w kulkę i zamachnął się, żeby ją rzucić, ale drzwi się zamknęły, nim zdążył wycelować. W niektóre dni praca była kupą śmiechu. A przynajmniej odrobiną uśmiechu. Gdyby zapomniał o Gregorze Jacku, ciężar byłby mniejszy. Gdzie on teraz mógł być? W Izbie Gmin? Na posiedzeniu jakiegoś komitetu? Celebrowany na fetach przez biznesmenów i lobbystów? Ależ odległe od biura Rebusa i od jego życia było życie posła.

William Glass... nie, to imię i nazwisko nic mu nie mówiły. Bill Glass, Billy Glass, Willie Glass, Will Glass... dalej nic. Mieszkanie przy Semple Street 48. Chwileczkę... Semple Street w Granton. Podszedł do szafki z dokumentami i wyciągnął akta. Tak, sprawa z zeszłego miesiąca. Incydent z pchnięciem nożem w Granton. Rana poważna, ale nie śmiertelna. Ofiara mieszkała przy Semple Street 48. Rebus przypomniał sobie to miejsce. Pokoje wydzielone w całym domu, wszystkie wynajmowane. Wynajęta kawalerka. Jeśli William Glass mieszkał przy Semple Street 48, to znaczy, że zajmował

wynajmowaną kawalerkę. Rebus sięgnął po telefon, zadzwonił do Lauderdale'a i opowiedział o swym odkryciu.

– Ktoś tam za niego poręczył, gdy odwieziono go radiowozem – oznajmił szef dochodzeniówki. – Funkcjonariusze mieli się upewnić, że on tam mieszka, i to zostało potwierdzone. Gość nazywa się William Glass, tak jak twierdził.

– Tak, ale te kawalerki są pod wynajem tymczasowy. Lokatorzy dostają czeki socjalne i z tego, co wiem, połowę forsy przekazują właścicielowi, może nawet więcej niż połowę. Chodzi mi o to, że to nie jest wiarygodny adres. Może stamtąd prysnąć, kiedy tylko zechce.

– Skąd nagle taka podejrzliwość, John? Myślałem, że twoim zdaniem marnujemy czas?

Lauderdale zawsze wiedział, jakie zadać pytanie: takie, na które Rebus z reguły nie znał odpowiedzi.

– To prawda, szefie – przyznał. – Pomyślałem jednak, że poinformuję cię o tym.

– Doceniam to, John. Miło być informowanym na bieżąco. – Nastąpiła przerwa, jakby zaproszenie dla Rebusa, by dołączył do „obozu” Lauderdale'a. A potem: – Jakież postępy w sprawie książek profesora Costella?

Rebus westchnął ciężko.

– Niestety, nie.

– No dobra, wobec tego nie zatrzymuję cię. Czołem, John.

– Do widzenia. – Rebus otarł dłonią czoło. W pomieszczeniu było gorąco jak na próbie generalnej przed kalwińskim piekłem.

REBUS WŁĄCZYŁ WIATRAK, a mniej więcej godzinę później doktor Curt dostarczył gówno, które mogło w niego wpaść.

– Zabójstwo – powiedział. – Niemal na pewno zabójstwo. Przedyskutowałem swoje odkrycia z kolegami i jesteśmy zgodni. – A potem perorował o pianie, niezaciśniętych dłoniach i okrzemkach. O problemach z odróżnieniem zanurzenia w wodzie od utonięcia. Zmarła, kobieta przed trzydziestką lub tuż po trzydziestce, wypila przed śmiercią sporo alkoholu. Była jednak martwa, zanim trafiła do wody, a przyczyną śmierci był prawdopodobnie cios w tył głowy zadany przez praworęcznego napastnika (wymierzony z prawej strony).

Kim była ofiara? Otrzymali zdjęcie jej twarzy, ale nie była to fotografia do oglądania przy śniadaniu. Chociaż podano rysopis i opisano, co na sobie miała, nikt nie potrafił jej zidentyfikować. Żadnych dokumentów, żadnej torebki czy portfela, pustki w kieszeniach...

– Trzeba jeszcze raz rozejrzeć się po okolicy. Może uda nam się znaleźć torbę albo portfel. Musiała coś przy sobie mieć.

– I przeszukać rzekę?

– Trochę na to za późno, ale tak, warto spróbować.

– Alkohol zmącił wodę – mówił doktor Curt każdemu, kto był gotowy go słuchać. Wykrzywił przy tym twarz w grymasie, który miał być uśmiechem. – Ryby najadły się do syta: paluszki rybne, rybne nóżki, rybnie brzuszki...

– Tak, doktorze, rozumiem. – Rebus nie wchodził w tę rozmowę. Kiedyś popełnił błąd, rewanżując się patologowi jeszcze bardziej chorą grą słów, w rezultacie czego zyskał jego względy. Liczył na to, że

pewnego dnia Holmes ułoży jeszcze lepszy kalambur, a wtedy Curt zobaczy w nim nowego pupila i powiernika...

Omijając doktora, Rebus poszedł do gabinetu Lauderdale'a.

Ten właśnie kończył rozmowę i na jego widok zamarł. Rebus domyślał się dlaczego.

– Właśnie wysłałem ludzi do mieszkania Glassa – powiedział Lauderdale.

– I już go tam nie ma.

– Tak. – Lauderdale wciąż trzymał rękę na słuchawce. – Nie zostawił po sobie żadnego, nawet najmniejszego, śladu.

– Namierzenie go nie powinno być trudne.

– Zajmij się tym, John, dobra? On musi być nadal w mieście. Ile czasu minęło, odkąd zniknął? Hm... jakaś godzina. Prawdopodobnie kręci się jeszcze w okolicy Granton.

– Zaraz tam pojedziemy – powiedział Rebus, zadowolony, że mała akcja daje mu pretekst do wyjścia.

– Aha... John?

– Tak?

– Nie masz się z czego cieszyć, jasne?

TAK OTO DZIEŃ SAM się zapełnił, a potem z zadziwiającą szybkością nastał wieczór. Wciąż jednak nie znaleźli Williama Glassa. Ani w Granton, ani w Pilmuir, Newhaven, Inverleith, Canonmills, Leith czy Davidson's Mains... Ani śladu w autobusach, w pubach, na plaży, w Ogrodzie Botanicznym, w barach z frytkami czy na boiskach. Nie znaleźli żadnych przyjaciół, rodziny; uzyskali jedynie parę informacji z Departamentu Zdrowia i Spraw Społecznych. Rebus miał świadomość, że ten człowiek może okazać się niewinny, na razie jednak był jedyną brzytwą, której tonący mógł się chwycić. Nie była to w tych okolicznościach najsmaczniejsza metafora, ale jak mógłby powiedzieć doktor Curt: nie ma co się przejmować, ofiara czuła się jak ryba w wodzie.

– Nic nie mamy – zameldował Rebus po powrocie szefowi dochodzeniówki.

To był jeden z tych dni, gdy suma rezultatów jego wysiłków równała się zeru, choć czuł się wykończony, po prostu padał ze zmęczenia. Do tego stopnia, że odrzucił uprzejmą propozycję Holmesa, by wybrać się na drinka, wsiadł do samochodu i ruszył, nie zastanawiając się, dokąd jedzie. Jechał w stronę Oxford Terrace i mieszkania doktor Patience Aitken (oraz kota Lucky'ego, wyjącego jak wilki papug, rybek tropikalnych i oswojonego jeża, którego jeszcze nie widział).

W ŚRODĘ Z SAMEGO RANA Rebus zadzwonił do domu Gregora Jacka. Poseł miał zmęczony głos po wczorajszym dniu spędzonym w Parlamencie i wieczorze na jakiejś „idiotycznej imprezie, i proszę mnie nie dopytywać o szczegóły”. Rebus doskonale wiedział, skąd się bierze ta nowa, całkowicie fałszywa, serdeczność Jacka: z tego, że inspektor zobaczył poprzedniego dnia zawartość śmietnika.

Obaj byli jednak zmęczeni; różniło ich tylko to, ile im płacą za to męczenie się...

– Ma pan jakieś informacje o żonie? – spytał Rebus.

– Nic.

Znowu to słowo. Nic.

– A jak pańskie dochodzenie, inspektorze? Jakież wieści?

– Żadnych.

– No cóż, brak wiadomości jest lepszy niż złe wiadomości, jak mawiają. A właśnie! Czytałem rano, że ta biedna kobieta znaleziona pod Dean Bridge została zamordowana.

– To, niestety, prawda.

– Ta sprawa może zmienić perspektywę patrzenia na moje problemy, nie sądzi pan? Dziś mam spotkanie w swoim okręgu wyborczym, więc kłopoty dopiero mogą się zacząć... Proszę mi dać znać, jeżeli dowie się pan czegoś o mojej żonie. Jeżeli coś pan usłyszy...

– Oczywiście.

– Dziękuję, inspektorze. Do widzenia.

– Do widzenia panu.

To była oficjalna i poprawna rozmowa i takie powinny być relacje członka Parlamentu i inspektora policji. Nie było nawet miejsca na „Powodzenia na spotkaniu”. Rebus wiedział, czego będzie ono dotyczyć. Ludzie nie lubią, kiedy ich posłowie pakują się w skandale. Padną pytania. Trzeba będzie udzielić odpowiedzi...

Rebus otworzył szufladę biurka i wyjął listę przyjaciół Elizabeth Jack, jej „paczki”. Jamie Kilpatrick, handlarz antykami (i najwyraźniej czarna owca w arystokratycznej rodzinie); czciogodna Matilda Merriman, sławna po rzekomych całonocnych ekscesach seksualnych z członkiem rządu; Julian Kaymer, jakiś artysta; Martin Inman, właściciel ziemski; Louise Patterson-Scott, żona milionera, z którym jest w separacji...

Nazwisk było wiele, większość z nich to – jak powiedział Jack, sporządzając listę – wytrawni rozpustnicy i wazeliniarze. Głównie stare pieniądze, jak zauważył Chris Kemp; ludzie całkowicie inni niż przyjaciele Gregora Jacka. Znalazł się wśród nich jednak osobliwy przypadek, wyjątek, przynajmniej z pozoru. Nawet Rebus go rozpoznał, gdy Gregor Jack pisał jego nazwisko na liście.

– Co? Ten Barney Byars? Ten od tirów?

– Przewoźnik, tak.

– Hm... Pasuje do towarzystwa jak kwiatek do kozucha – skwitował Rebus.

Jack przyznał mu rację.

– Właściwie Barney jest moim starym kumplem ze szkolnych czasów, ale z biegiem czasu zaprzyjaźnił się z Liz. Czasami tak się zdarza.

– Mimo to nie pasuje mi do tej grupy.

– Zdziwiłby się pan, inspektorze. Proszę mi wierzyć, zdziwiłby się pan... – Jack powiedział to powoli i dobitnie, tak by Rebus nie miał wątpliwości do powagi tych słów.

Byars był cwanyym mieszkańcem Fife, kolejnym sławnym synem tej ziemi. W szkole dał się poznać jako autostopowicz, który często opowiadał, jak spędzał weekendy w Londynie, nie płacąc za dojazd ani grosza. Po szkole zrobił furorę, przemierzając autostopem Francję, Włochy, Niemcy i Hiszpanię. Zakochał się w tirach, w całym tym biznesie, więc oszczędzał, zdobył pozwolenie na prowadzenie ciężarówek, kupił jedną... a teraz był największym znanym Rebusowi niezależnym szkockim przewoźnikiem. Nawet podczas zeszłorocznej wizyty w Londynie inspektor musiał zmierzyć się z tirem firmy PRZEWOZY BYARS, torującym sobie drogę przez Piccadilly Circus.

Zadaniem Rebusa było wypytać, czy ktoś widział Liz Jack albo coś o niej wie. Chętnie przekazałby innym ciężką robotę z takimi typami jak Jamie Kilpatrick czy ponury Julian Kaymer, ale Barneya Byarsa zatrzymał dla siebie. Jeszcze trochę, a będnę musiał kupić zeszyt na autografy, pomyślał.

TAK SIĘ ZŁOŻYŁO, ŻE Byars był w Edynburgu – „pozyskiwał klientów”, jak to określiła dziewczyna z jego biura. Rebus dał jej swój numer telefonu i godzinę później Byars oddzwonił. Miał być zajęty przez całe popołudnie, a wieczorem iść na kolację „z kilkoma grubymi rybami”, ale mógłby spotkać się na drinka o osiemnastej, jeśli to pasuje inspektorowi. Rebus zastanawiał się, w którym luksusowym hotelu wypiją te drinki, i z trudem ukrył oszołomienie, a może nawet rozczarowanie, gdy Byars zasugerował bar Sutherland, jeden z przybytków, w których Rebus często bywał.

– Zgoda – powiedział. – O szóstej.

Co oznaczało, że miał do zagospodarowania cały dzień. Miał wciąż na głowie sprawę skradzionych książek, ale nie zamierzał wstrzymywać oddechu w oczekiwaniu na jej rozwiązanie; książki gdzieś się pojawiają albo nie i był gotowy się założyć, że do tej pory miały szansę znaleźć się po drugiej stronie Atlantyku. No i był jeszcze William Glass, podejrzany o zabójstwo, który przepadł jak kamień w wodę; ukrywał się w jakimś zaułku czy brukowanej bocznej uliczce. Mówi się trudno; Glass być może pojawi się w dniu odbioru zapomogi, a jeśli tak, to okaże się jeszcze większym głupcem, niż się wydawał. Ale jeśli jest przebiegłym sukinsynem, to nie zbliży się do biura ośrodka socjalnego ani nie wróci do swojej kwatery; potrzebował jednak pieniędzy i musiał je skądś wziąć.

Trzeba więc porozmawiać z włóczęgami, z bezdomnymi. Glass albo kradł, albo żebrał. Jeśli żebrał, to tam, gdzie byli też inni żebracy. Można by było rozwiesić jego rysopis, może zaproponować dychę jako nagrodę, i niech inni wykonają brudną robotę za policję. Rebus pomyślał, że powinien o tym wspomnieć Lauderdale’owi. Tyle że nie chciał wyświadczać szefowi dochodzeniówki zbyt wielu przysług, bo ten mógłby jeszcze pomyśleć, że Rebus mu nadskakuje.

– Wolałbym skakać przed owczarkiem niemieckim – powiedział do siebie.

Brian Holmes z niezłym wyczuciem czasu wszedł do biura, trzymając białą papierową torbę i duży kubek.

– Co tam masz? – zapytał Rebus, który nagle poczuł głód.

– Jesteś detektywem, sam mi powiedz. – Holmes wyjął z torby kanapkę i przystawił pod nos Rebusa.

– Peklowana wołowina.

– Źle. Pastrami na żytnim chlebie.

– Co takiego?

– A do tego kawa bezkofeinowa. – Holmes podniósł pokrywkę kubka i z uśmiechem zadowolenia powąchał jej zawartość. – To z tych nowych delikatesów przy światłach.

– Nell nie robi ci kanapek?

– W tych czasach kobiety mają równe prawa.

Rebus uwierzył na słowo. Pomyślał o inspektor Gill Templer, jej książkach psychologicznych i feminizmie. O wymagającej doktor Patience Aitken. Pomyślał nawet o niezależnej Elizabeth Jack. Silne kobiety dla mężczyzny... Ale potem przypomniał sobie Cath Kinnoul. Wyjątki od reguły wciąż istniały.

– Dobrze? – zapytał.

Detektyw sierżant ugryzł kawałek kanapki i przyjrzał się temu, co z niej zostało.

– Okej – powiedział. – Interesujące.

Pastrami nieprędko miało zawitać do baru Sutherland.

BARNEYOWI BYARSOWI DOTARCIE na miejsce zajęło nieco czasu. Rebus stawił się w pubie za pięć szóstą, Byars dwadzieścia pięć po. Ale warto było na niego poczekać.

– Inspektorze, przepraszam za spóźnienie. Pewien kutas próbował mnie orznąć na pięć procent w kontrakcie za cztery tysiące i na dodatek chciał sześćdziesięciu dni na zapłatę. Wie pan, jak coś takiego odbija się na płynności finansowej? Powiedziałem mu, że prowadzę firmę z ciężarówkami, a nie z pieprzonymi rikszami.

Cały monolog wygłoszony był w topornym języku rodem z Fife, tak głośno, że wybijał się ponad wieczorny jazgot telewizji i rozmów w barze. Rebus siedział na barowym stołku, ale wstał i zaproponował, żeby zajęli miejsce przy stoliku. Byars jednak już rozgościł się na stołku obok, położył krzepkie ramiona na blacie baru i lustrował szereg kranów. Wskazał na szklanę Rebusa.

– Dobre?

– Niezłe.

– W takim razie wezmę.

Czy to z podziwu, ze strachu, czy po prostu na skutek właściwego obchodzenia się z klientami, barman pojawił się błyskawicznie i napełnił piwem dużą szklanę.

– Jeszcze jedno, inspektorze?

– Nie, dziękuję.

– I jeszcze whisky – rzucił Byars. – Podwójna, a nie dla posmaku w gębie. – Wręczył barmanowi banknot pięćdziesięciofuntowy. – Reszta dla ciebie. – Ryknął śmiechem. – Żartowałem, synu, tylko żartowałem.

Młody barman był nowy. Trzymał banknot tak, jakby ten miał się zaraz zapalić.

– Hm... nie ma pan drobnych? – Mówił z delikatnym akcentem, chyba z zachodniego wybrzeża Szkocji. Rebus zastanawiał się, jak długo wytrzyma w tym pubie.

Byars był zirytowany; odrzucił propozycję Rebusa, że to on zapłaci, sięgnął do kieszeni i wygrzebał dwa pogniecione banknoty jednofuntowe oraz trochę drobnych. Przyjął z powrotem pięćdziesiątkę, pchnął monety w stronę barmana, po czym puścił oko do Rebusa.

– Zdradzę panu tajemnicę, inspektorze. Gdybym miał wybierać między posiadaniem pięciu dziesiątek a jednej pięćdziesiątki, za każdym razem wybrałbym pięćdziesiątkę. Chce pan wiedzieć dlaczego? Bo jak masz w kieszeni same dychy, to ludzie się nad tym nie zastanawiają. Ale jak wyciągniesz pięć dych, mają cię za bogacza. – Odwrócił się do barmana, który liczył monety w otwartej kasie. – Hej, synu, masz coś do jedzenia?

Chłopak drgnął, jakby został trafiony śrutem.

– Eee... Chyba zostało trochę szkockiego krupniku po lunchu. – Zabrzmiało to tak, jakby powiedział „kurwnik”.

Byars pokręcił głową.

– Pasztecika albo kanapkę – zażądał.

Barman zaserwował ostatnią samotną kanapkę w tym lokalu. Wyglądała, jakby była z pastrami, ale okazało się to, jak to ujął Byars, „zaczynem rostbefem”.

– Funt dziesięć – powiedział barman.

Byars ponownie wyjął pięćdziesięciofuntowy banknot, prychnął, a potem wyciągnął pięć funtów. Odwrócił się do Rebusa i podniósł szklanę.

– Na zdrowie.

Obaj wypili.

– No, całkiem niezłe – ocenił piwo Byars.

Rebus wskazał na kanapkę.

– Myślałem, że idzie pan później na kolację.

– Idę, tylko że to ja płacę. Nie zjem więc za dużo i się nie wykosztuję. – Znowu puścił oko. – Może powinienem napisać książkę, co? Porady biznesowe dla osób prowadzących działalność gospodarczą. A co do napiwków, to zapytałem kiedyś kelnera, dlaczego w ogóle mam im dawać napiwki. Wie pan, co odpowiedział?

Rebus zaryzykował w ciemno:

– Żeby zapewnić sobie szybką obsługę?

– Nie, żeby nie szczali do zupy! – Głos Byarsa wrócił do poziomu dyplomacji przez megafon. Roześmiał się, po czym ugryzł kawałek kanapki i kiedy ją przeżuwał, wciąż rechotał.

Nie był wysokim mężczyzną; miał mniej więcej metr siedemdziesiąt. Krępe ciało okrywały nowe dżinsy i czarna skórzana kurtka, pod którą nosił białą koszulkę polo. W barze takim jak ten można by go wziąć za... no, właściwie za każdego. Rebus wyobraził go sobie, jak stroszy piórka w luksusowych hotelach i eleganckich barach. Wizerunek, pomyślał. Tylko kolejny wizerunek: twardego, rzeczowego mężczyzny, który ciężko pracuje i oczekuje, że inni też będą ciężko pracować... oczywiście dla niego.

Byars skończył kanapkę i strząsał okruchy z kolan.

– Jest pan z Fife – rzucił, wachając whisky.

– Tak – przyznał Rebus.

– Widać. Wie pan, Gregor Jack też jest z Fife. Powiedział pan, że chce o nim pogadać. Chodzi o tę historię z burdelem? Trudno ją było przełknąć. – Ruchem głowy wskazał pusty talerz przed sobą. – No, nie tak bardzo jak tę kanapkę.

– To, o czym chciałem z panem rozmawiać, nie ma nic wspólnego z... z panem Jackiem... Chodzi o panią Jack.

– O Lizzie? A co z nią?

– Nie jesteśmy pewni, gdzie przebywa. Ma pan jakieś pomysły?

Byars wyglądał, jakby miał pustkę w głowie.

– Na ile znam Lizzie, to raczej sprawa dla Interpolu. Równie dobrze może być w Stambule, co w Inverness.

– Dlaczego akurat Inverness?

Byars chwilę się zastanawiał.

– Pierwsze miejsce, które przyszło mi na myśl – odparł w końcu i pokiwał głową. – Ale wiem, do czego pan zmierza. Myślał pan, że może być w Deer Lodge, bo to w tamtym kierunku. Sprawdził pan to?

Rebus skinął głową.

– Kiedy widział ją pan ostatnio?

– Kilka tygodni temu. Może trzy weekendy. Mogę to sprawdzić. I to właśnie w Deer Lodge. Impreza weekendowa. Głównie Paczka. – Podniósł wzrok znad drinka. – Może to wyjaśnię...

– W porządku, wiem, kto jest w Paczce. Trzy weekendy temu, mówi pan?

– Tak, ale mogę sprawdzić, jeśli pan chce.

– Impreza weekendowa... Czy to znaczy, że trwała cały weekend?

– Nooo, tylko kilku przyjaciół... wszyscy bardzo cywilizowani. – W oczach Byarsa pojawił się błysk. – Aha... wiem do czego pan zmierza. Słyszał pan o... przyjęciach Liz. Nie, nie, to było normalne przyjęcie: kolacja, kilka drinków i krótki spacer w niedzielę. Nie do końca moje klimaty, ale Liz mnie zaprosiła, więc...

– Woli pan jej inne przyjęcia?

Byars roześmiał się.

– No a jak! Raz jest się młodym, inspektorze. Takie rzeczy są legalne... zgadza się?

Wydawał się szczerze zaciekawiony – nie bez powodu – skąd inspektor mógł wiedzieć o „tych” imprezach. Kto mu o nich powiedział, jeśli nie Gregor Jack, i co dokładnie powiedział?

– Być może, o ile mi wiadomo – odparł Rebus. – Nie widzi więc pan żadnego powodu, dla którego pani Jack mogłaby chcieć zniknąć?

– Kilka przychodzi mi do głowy. – Byars dopił piwo i whisky, ale chyba nie miał ochoty na kolejnego drinka. Wiercił się na stołku, jakby mu było niewygodnie. – Na początek ten artykuł w gazecie. Na miejscu Lizzie chciałbym trzymać się od tego z dala, a pan, inspektorze? Widzę, jak ta sprawa szkodzi wizerunkowi Gregora, zwłaszcza że nie ma przy sobie żony, ale równocześnie...

– A inne powody?

Byars podniósł się nieco, tak że na wpół siedział, na wpół stał.

– Kochanek – zasugerował. – Może zabrał ją na Teneryfę... na spacer przy zachodzie słońca. – Puścił oko, a potem jego twarz spoważniała, jakby właśnie coś sobie przypomniał. – Były te... telefony.

– Telefony?

Teraz Byars już całkiem stał.

– Głuche telefony. Lizzie mi o nich opowiedziała. Nie do niej, ale do Gregora. To musiało się wydarzyć, w tej grze, w której on jest. Dzwoniący przedstawiał się jakoś, ale kiedy Gregor podchodził do telefonu i sięgał po słuchawkę, połączenie było przerywane. Tak mi powiedziała Lizzie.

– Czy te telefony ją niepokoiły?

– O tak, widać było, że jest zmartwiona. Próbowwała to ukryć, nie udawało jej się jednak. Gregor zupełnie to ignorował. Nie mógł sobie pozwolić, żeby coś takiego go zdenerwowało. Lizzie chyba wspominała też coś o listach... że Gregor jakiegoś dostawał, ale dał je, zanim ktokolwiek mógł do nich zajrzeć. Ale co ja tam wiem? Musiałby pan zapytać Lizzie. – Byars przerwał. – Albo Gregora.

– Oczywiście.

– W porządku... – Byars wyciągnął rękę. – Ma pan mój numer, gdyby mnie pan potrzebował, inspektorze.

– Tak. – Rebus uściśnął jego dłoń. – Dzięki za pomoc, panie Byars.

– O każdej porze, inspektorze. Aha, i jeśli będzie pan kiedyś potrzebował podwózki do Londynu, mam ciężarówkę, które jeżdżą tam cztery razy w tygodniu. Nie zapłaci pan ani grosza, a przejazd będzie pan mógł wliczyć w koszty.

Byars puścił oko jeszcze raz, uśmiechnął się ogólnie do baru i wymaszerował tak samo demonstracyjnie, jak wszedł. Barman podszedł, by zabrać talerze i szkło. Rebus zauważył, że krawat, który miał na sobie młody człowiek, jest na zatrask. Standardowe wyposażenie w pubie Sutherland. Jeśli jakiś klient chwycił pracownika za krawat, ten zostawał mu w ręce...

– Czy on mówił o mnie? – spytał chłopak.

Rebus zamrugął.

– Skąd to przypuszczenie?

– Miałem wrażenie, że słyszę, jak mówi moje imię.

Rebus wlał resztki ze szklanki do ust i przełknął. Niemożliwe, żeby ten dzieciak miał na imię Gregor... Albo Lizzie...

– A jak masz na imię?

– Lawrie.

REBUS BYŁ DALEJ NIŻ W POŁOWIE drogi, kiedy zdał sobie sprawę, że nie zmierza do wygód Stockbridge i Patience Aitken, ale na Marchmont, do swojego zaniedbanego mieszkania. No trudno. W mieszkaniu czuło się chłód i stęchliznę. Zawartość kubka z kawą obok telefonu nieco przypominała barwami Glasgow, miasto zielono-białej kultury.

Ale nawet jeśli w salonie rosła pleśń, to w kuchni z pewnością było jeszcze gorzej. Rebus opadł na swój fotel, włączył automatyczną sekretarkę i rozsiadł się wygodnie, by przesłuchać nagrania. Nie było ich wiele. Gill Templer zastanawiała się, gdzie Rebus się ostatnio podziewa... jakby tego nie wiedziała! Jego córka Samantha dzwoniła z nowego mieszkania w Londynie, podała adres i numer telefonu. Potem było jeszcze kilka innych połączeń, ale dzwoniący postanowili się nie nagrywać.

– No i dobrze. – Rebus wyłączył sekretarkę, wyciągnął z kieszeni notes, znalazł numer Gregora Jacka i zadzwonił. Chciał wiedzieć, dlaczego poseł nic mu nie wspomniał o anonimowych telefonach. Gra w butelkę. Pozbawić rywala, czego się da. Jeśli ktoś chciał pozbawić czegoś Gregora Jacka, to ten nie wydawał się tym zbytnio przejęty. Nie wyglądał na zrezygnowanego, raczej na obojętnego. Chyba że grał z Rebusem... A Rab Kinnoul, ekranowy zabójca? Co robił przez cały ten czas, kiedy nie był z żoną? No i jeszcze Ronald Steele, „człowiek trudny do złapania”. Czy oni wszyscy coś kombinowali? Nie chodziło o to, że Rebus nie ufał ludziom... ani też o to, że stał się pesymistą. Był pewien, że coś się dzieje, nie wiedział tylko co.

W domu Jacka nikogo nie było. Albo nikt nie odbierał. Albo aparat znowu odłączono od prądu. Albo...

– Halo?

Rebus spojrzął na zegarek. Piętnaście po siódmej.

– Pani Greig? – zapytał. – Mówi inspektor Rebus. Sześć trzyma panią do późna, co?

– Jak widać, pan też pracuje do późna, inspektorze. O co chodzi tym razem?

Jej głos ociekał zniecierpliwieniem. Może Ian Urquhart ostrzegł ją przed spoufalaniem się z inspektorem. Może odkryli, że przekazała Rebusowi adres Deer Lodge...

– Chciałbym zamienić słowo z panem Jackiem, jeśli to możliwe.

– Niestety, to niemożliwe. – Nie wydawała się przestraszona, wręcz przeciwnie, jakby zadowolona z siebie. – Przemawia dziś wieczorem na przyjęciu.

– Och. A jak udało się jego wcześniejsze spotkanie?

– Spotkanie?

– Wydaje mi się, że miał dziś spotkanie w swoim okręgu wyborczym...

– Ach, to. Poszło bardzo dobrze.

– Więc go nie wyrzucą?

Spróbowała się roześmiać.

– Wyborcy z Północnego i Południowego Esk musieliby postradać zmysły, żeby pozbyć się Gregora.

– Pan Jack zasługuje na odpoczynek.

– Jakbym o tym nie wiedziała. Całe popołudnie spędził na polu golfowym.

– No proszę, jak miło.

– Myślę, że poseł ma prawo do jednego wolnego popołudnia w tygodniu. Nie zgodzi się pan ze mną, inspektorze?

– Ależ tak, absolutnie. Właśnie o to mi chodziło. – Rebus przerwał. Tak naprawdę nie miał nic do powiedzenia; liczył tylko na to, że kontynuując rozmowę, skłoni Helen Greig do nieumyślnego wyznania czegoś, o czym nie wiedział. – Aha... a co do tych telefonów...

– Jakich telefonów?

– Mówię o głuchych telefonach, które otrzymywał pan Jack. Anonimowych.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Przepraszam, muszę już iść. Mama spodziewa się mnie w domu przed ósmą.

– Dobrze, pani Gr...

Ale już odłożyła słuchawkę.

Golf? Dziś po południu? Jack musiał być wielkim fanem golfa, zwłaszcza że od południa w Edynburgu nieprzerwanie padał deszcz. Rebus wyjrzał przez nieumyte okno. Teraz już nie padało, lecz mokre ulice połyskiwały. W mieszkaniu nagle zrobiło się pusto i zimniej niż kiedykolwiek. Podniósł słuchawkę i zadzwonił. Do Patience Aitken, żeby powiedzieć, że już jest w drodze. Zapytała go, gdzie dokładnie.

– W domu.

– Tak? Pakujesz więcej rzeczy?

– Owszem.

– Przydałby ci się zapasowy garnitur, jeśli taki masz.

– Oczywiście.

– I kilka twoich cennych książek, bo podejrzewam, że nie pochwalasz mojego gustu literackiego.

– Romanse nigdy nie były w moim guście, Patience.

Zarówno w literaturze, jak i w życiu, pomyślał. Na podłodze wokół niego leżały niektóre z jego „cennych książek”. Podniósł jedną. Usiłował sobie przypomnieć, gdzie i kiedy ją kupił, ale bez skutku.

– No dobrze, przywieź, co chcesz, John, i tyle, ile chcesz. Wiesz, ile mamy tu miejsca.

My. Mamy.

– Dobrze, Patience. Do zobaczenia wkrótce.

Z westchnieniem odłożył słuchawkę i rozejrzał się. Po tylu latach na półkach wciąż były puste miejsca, z których jego żona Rhona zabrała swoje rzeczy. W kuchni było podobnie: luki w przestrzeni zajmowanej wcześniej przez suszarkę i jej „cenną” zmywarkę. Wciąż czyste prostokątne ślady na ścianach, gdzie wisiły jej plakaty i zdjęcia. Kiedy ostatnio przemeblował mieszkanie? W osiemdziesiątym pierwszym, może osiemdziesiątym drugim roku. E tam, nadal nie wyglądało najgorzej... zaraz, kogo on chciał oszukać? Jego mieszkanie przypominało squat.

Co ty zrobiłeś ze swoim życiem, Johnie Rebus? Odpowiedź brzmiała: niewiele. Młodszy od niego Gregor Jack odnosił większe sukcesy. Młodszy od niego Barney Byars też odnosił większe sukcesy. Czy Rebus znał kogoś starszego od siebie, odnoszącego mniejsze sukcesy? Ani jednej duszy. Chyba że

liczyć żebraków w centrum miasta, z którymi spędził popołudnie – bez rezultatu, za to z niekomfortowym poczuciem przynależności...

O czym on w ogóle myślał? Przeradzasz się w ponurego starego dziada. Użalanie się nad sobą nie rozwiązuje problemu. Problem rozwiązałyby zamieszkanie z Patience... Dlaczego więc tego nie czuł? Dlaczego miał z tym kolejny cholerny problem?

Ugrzęzłem między ciepłem ogniska domowego a własną strefą komfortu, pomyślał. Odchylił głowę na oparcie krzesła. Siedział tam jeszcze przez dłuższą chwilę i wpatrywał się w sufit. Na zewnątrz panował mrok i była słaba widoczność; nad miastem unosiła się gęsta mgła nadpływająca od strony Morza Północnego. A Edynburg we mgle zdawał się cofać w czasie... Niemal mógłbyś się spodziewać, że na ulicach portowej dzielnicy Leith zobaczysz marynarzy werbujących niechętnych młodzieńców do zaciągnięcia się na statek, usłyszysz stukot powozów na bruku i okrzyki *Gardy-loo!*^{*} na High Street.

Gdyby sprzedał mieszkanie, mógłby kupić nowy samochód i wysłać trochę pieniędzy Samancie. Gdyby sprzedał mieszkanie... gdyby zamieszkał z Patience...

„Gdyby gównem było złotem – mawiał jego ojciec – miałbyś kundla w galotach”. Stary biedak nigdy nie wyjaśnił, co miał znaczyć ten kundel...

Jeżu, dlaczego przyszło mu to do głowy właśnie teraz?

Nie było dobrze. Nie był w stanie jasno myśleć, nie tutaj. Może dlatego, że te cztery ściany kryły w sobie ogrom wspomnień, tych dobrych i tych złych. A może to atmosfera wieczoru...

A może to obraz twarzy Gill Templera, który pojawiał się nieproszony (tłumaczył sobie, że nieproszony) w jego głowie...

^{*} Okrzyk, który w dawnej Szkocji miał ostrzegać przechodniów przed wylewanymi z domów pomyjami.

Rzeka tajemnic

WŁAMANIE Z BRUTALNĄ NAPAŚCIĄ – w sam raz na dżdżysty czwartkowy poranek. Ofiara była w szpitalu, z opaską na głowie oraz posiniaczoną twarzą. Rebus zamierzał z nią porozmawiać, a tymczasem w jej domu w Jock's Lodge nadzorował zbieranie odcisków palców i spisywanie zeznań. Wtedy właśnie dotarła do niego wiadomość z Great London Road. Dzwonił Brian Holmes.

– Tak, Brian?

– Mamy kolejne utonięcie.

– Utonięcie?

– To znaczy kolejne ciało w rzece.

– O Chryste... Gdzie tym razem?

– Za miastem, w kierunku Queensferry. Kolejna kobieta. Znalazona dziś rano przez spacerowniczkę...

Któs podał coś Holmesowi i ten na chwilę zawiesił głos. Rebus usłyszał ciche „dziękuję”.

– To może być nasz Glass, nie sądzisz? – odezwał się znów detektyw sierżant, po czym przerwał ponownie, tym razem by łyknąć kawy. – Spodziewaliśmy się, że będzie w Edynburgu, ale równie dobrze mógł ruszyć na północ. Droga do Queensferry jest przyjemna, szlak wiedzie głównie przez otwarty teren, z dala od dróg, na których mógłby zostać zauważony. Gdybym to ja uciekał, wybrałbym właśnie ten kierunek...

Tak. Rebus znał tamte strony. Czy nie był tam niedawno? Ciche boczne drogi, żadnego ruchu i żadnego człowieka, który mógłby go rozpoznać... Zaraz... obok domu Kinnoulów płynął strumień... nie, raczej rzeka.

– Brian... – zaczął.

– Jest coś jeszcze – przerwał mu Holmes. – Kobieta, która znalazła ciało... Zgadnij, kto to.

– Cathy Gapa – rzucił Rebus.

Jego młodszy kolega był zaskoczony.

– Kto? Nie, żona Raba Kinnoula. Wiesz... tego aktora. Kim jest ta Cathy Gapa...?

TRASA PROWADZIŁA OD POSESJI Kinnoula pod górę, zboczem wzgórze. Nieszczerólnie daleko, ale obszar z każdym kolejnym krokiem stawał się bardziej ponury. Pięćdziesiąt metrów od rwącej rzeki biegła wąska droga, prowadząca do szerszej, która wiła się w dół aż do wybrzeża. Gdyby ktoś chciał się tu dostać, musiałby przejść obok domu Kinnoula albo zejść z drogi.

– Nie ma śladu samochodu? – zapytał Rebus Holmesa.

Obaj zapięli kurtki pod szyję, żeby ochronić się przed przeroźliwie zimnym wiatrem i pojawiającą się co jakiś czas mżawką.

– Pytasz o jakiś konkretny samochód? – odpowiedział Holmes. – Droga jest asfaltowa. Rozglądałem się i nie widziałem śladów opon.

– Dokąd prowadzi?

– Kończy się jak typowa droga do farmy. I nie zgadniesz, co jest na jej końcu: farma. – Holmes przestępował z nogi na nogę, na próżno starając się utrzymać ciepło.

– Najlepiej będzie sprawdzić tę farmę i zobaczyć...

– Nasz człowiek właśnie to robi.

Rebus skinął głową. Detektyw sierżant znał ten scenariusz już niemal na pamięć: on coś robił, a Rebus sprawdzał, czy to zostało zrobione.

– A pani Kinnoul? – spytał inspektor.

– Jest w domu, z policjantką, pije herbatę, mocno posłodzoną.

– Nie pozwól jej zażyć zbyt wielu środków uspokajających. Będziemy potrzebowali zeznań.

Holmes wybałuszył oczy, na co Rebus opowiedział mu o swojej poprzedniej wizycie tutaj.

– A co z jej mężem? – chciał wiedzieć.

– Wyjechał gdzieś wcześniej rano. To dlatego pani Kinnoul poszła na spacer. Zeznała, że pod jego nieobecność zawsze wybiera się rano na spacer.

– Wiemy, gdzie on się podział?

Holmes wzruszył ramionami.

– Sprawy biznesowe, tylko tyle mogła nam powiedzieć. Nie wie, gdzie jest i jak długo to potrwa, ale uważa, że wieczorem powinien wrócić.

Rebus ponownie skinął głową. Stali nad rzeką, w pobliżu drogi. Pozostali krzatali się na dole, przy samej wodzie, która wezbrała po niedawnym deszczu, tak że nurt miał dostateczną szerokość i głębokość, by zaklasyfikować go jako rzekę, a nie strumień. Policjanci w woderach zanurzali ręce w lodowatej wodzie, by szukać dowodów, które prawdopodobnie i tak już zostały splukane. Nad zwłokami pochylali się technicy, specjaliści od badania miejsc zbrodni, uzbrojeni w aparaty fotograficzne i kamery, oraz doktor Curt, w powiewającym długim płaszczu przeciwdeszczowym z podniesionym kołnierzem. Podeszedł do Rebusa i Holmesa, recytując:

– *Gdzie, kiedy nowe spotkanie? Dlaczego na tym dzikim stepie*^{*}... Dzień dobry, inspektorze.

– Dzień dobry, doktorze. Co pan dla nas ma?

Patolog zdjął okulary i wytarł z nich krople wody.

– Obustronne zapalenie płuc, co w tych okolicznościach wcale mnie nie dziwi – odparł i z powrotem założył okulary.

– Wypadek, samobójstwo czy zabójstwo? – zapytał Rebus.

Curt cmoknięciem wyraził dezaprobatę i pokręcił smutno głową.

– Wie pan, że nie mogę wydawać pochopnych opinii, inspektorze. Owszem, ta biedna kobieta nie przebywała w wodzie tak długo jak poprzednia, mimo to...

– Jak długo?

– Najwyżej dobę. Ale przy ciężarze wody z całą resztą... mułem i tak dalej... troszkę została naruszona. Szczęście w nieszczęściu, że w ogóle ją znaleziono.

– Jak to?

– Sierżant nic nie powiedział? Biedaczka zahaczyła nadgarstkiem o martwą gałąź. W przeciwnym razie prawie na pewno popłynęłaby do morza.

Rebus próbował sobie przypomnieć bieg rzeki, do której wpadał ten strumień. Omijała tereny zasiedlone, więc zwłoki rzeczywiście mogły zniknąć bez śladu...

– Czy ktoś wie, kim ona jest?

– Na ciele nie ma żadnych znaków szczególnych. Ale ofiara ma na sobie bardzo przyzwoitą sukienkę, a na palcach mnóstwo pierścionków. Chce pan rzucić okiem?

– Dlaczego nie? Chodź, Brian.

Holmes zastygł w miejscu.

– Rzuciłem okiem wcześniej. Ale ty oczywiście możesz iść.

Rebus zszedł więc za patologiem do strumienia. Ciało trudno byłoby znieść na dół... ale gdyby tak je stoczyć, pomyślał. Tak, stoczyć... a potem: plusk! Ten ktoś mógł założyć, że wpadło do wody, i nie miał świadomości, że nadgarstek zaczepił się o gałąź. Ale do dostarczenia tu ofiary – żywej lub martwej – z pewnością potrzebny był samochód. Czy William Glass był zdolny do kradzieży samochodu? Czemu nie? W dzisiejszych czasach wielu to potrafiło. Nawet dzieciaki z podstawówki mogły zademonstrować, jak to się robi...

– Jak wspomniałem, ciało zostało trochę naruszone – powiedział doktor. – Nie wiem jeszcze, czy po śmierci, czy wcześniej. A co do utonięcia w okolicy Dean Bridge...

– Tak?

– Ofiara przed śmiercią odbyła stosunek płciowy. W pochwie znaleziono ślady nasienia. Powinniśmy pozyskać DNA. No dobrze, zaczynamy...

Ciało ułożono na plastikowej płachcie. Sukienka, chociaż podarta i umazana błotem, wyglądała na drogą. Twarz kobiety była ubłocona, pocięta i spuchnięta; włosy, odgarnięte do tyłu, odsłaniały część czaszki. Rebus z trudem przełknął ślinę. Czy tego się spodziewał? Nie był pewien. Zdjęcia, które miał okazję widzieć, nie pozostawiały jednak wątpliwości...

– Wiem, kto to jest – oznajmił.

– Co? – Nawet technicy spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

To musiało zaalarmować Briana Holmesa, bo potykając się, zszedł ze zbrocza i do nich dołączył.

– Powiedziałem, że wiem, kim jest ofiara – powtórzył Rebus. – Przynajmniej tak mi się wydaje. Nie, jestem pewien. To Elizabeth Jack. Przyjaciele nazywają ją Liz albo Lizzie. Ta kobieta jest... była... żoną Gregora Jacka... członka Parlamentu.

– Dobry Boże – wycedził doktor Curt.

Rebus spojrział na Holmesa, ten na niego, i żaden nie wiedział, co powiedzieć.

DO IDENTYFIKACJI ZWŁOK trzeba było oczywiście czegoś więcej. Znacznie więcej. Śmierć z pewnością nasuwała pewne podejrzenia, ale oficjalnie musiał o tym zdecydować człowiek z biura prokuratora; ten rozmawiał teraz z doktorem Curtem, kiwając głową z powagą, podczas gdy patolog wykonywał rękami gesty, jakich nie powstydziliby się rozentuzjzmowany Włoch. Wyjaśniał – niestrudzenie, po raz tysięczny – ruch okręmków w organizmie, podczas gdy jego słuchacz z każdą chwilą robił się bledszy, coraz bardziej upodabniając się do ściany.

Specjaliści od badania miejsc zbrodni wciąż byli pochłonięci robieniem zdjęć, kręceniem filmów i wycieraniem obiektywów mniej więcej co trzydzieści sekund. Deszcz nasilał się, a niebo miało

nieprzerywaną ani jednym promieniem słońca szaro-czarną barwę. Potrzebna była autopsja, przyznał człowiek z biura prokuratora. Ciało miało zostać przewiezione do kostnicy przy Cowgate w Edynburgu na oficjalną identyfikację z udziałem dwóch osób, które znały zmarłą za życia, oraz dwóch policjantów, którzy widzieli ją po śmierci. Gdyby się jednak okazało, że to nie jest Elizabeth Jack, Rebus miałby przechłapano. Obserwując wynoszone ciało, kichnął. Być może diagnoza doktora Curta, sugerująca zapalenie płuc, była słuszna. Rebus wiedział, dokąd teraz powinien się udać: do domu Kinnoula. Przy odrobinie szczęścia dostanie gorącą herbatę. Przemoczeni technicy kryminalistyczni wtoczyli się do jednego samochodu i wyruszyli do siedziby policji na Fettes Avenue.

– Chodź, Brian – rzucił Rebus. – Sprawdzimy, jak sobie radzi pani Kinnoul.

WSZYSTKO WSKAZYWAŁO NA TO, że Cath Kinnoul jest w szoku. Był u niej lekarz, ale wyszedł, zanim detektywi dotarli na miejsce. Gdy zrzucali w holu przemoczone kurtki, Rebus zamienił dyskretnie kilka słów ze znajdującą się tam funkcjonariuszką.

– Ani śladu męża? – spytał.

– Nie, panie inspektorze.

– Jak ona się czuje?

– Wygodnie odrętwiała.

Rebus starał się sprawiać wrażenie biednego i wykończonego, co nie było trudne. Policjantka odczytała to właściwie i uśmiechnęła się.

– Zaparzę herbaty, dobrze?

– Wszystko, co gorące, będzie strzałem w dziesiątkę.

Cath Kinnoul siedziała w salonie w jednym z ogromnych foteli, który wyglądał, jakby miał ją za chwilę pochłonąć. Wydawała się o połowę niższa i o jedną czwartą młodszą niż wtedy, kiedy Rebus był tu ostatnio.

– Dzień dobry! Znowu się widzimy – powiedział wesoło, z nutą kpiny w głosie.

– Inspektor... Rebus?

– Zgadza się. A to jest sierżant Holmes. Żadnych żartów na temat jego nazwiska, proszę, już wszystkie słyszał. Prawda, sierżancie?

Holmes zorientował się, że odgrywają komediowy duet, żeby spróbować choć trochę przywrócić panią Kinnoul do życia. Pokiwał głową. A tak naprawdę rozglądał się tęsknie za kominkiem z płonącymi polanami. Ale nie było nawet pieca gazowego, przed którym mógłby stanąć; zobaczył jedynie włączony elektryczny grzejnik z jednym prętem i dwa kaloryfery. Podeszedł do jednego z nich, stanął i próbował odkleić mokre spodnie od nóg. Udawał, że podziwia zdjęcia na ścianie przed sobą. Rab Kinnoul z aktorem serialowym... z komikiem z telewizji... z gospodarzem teleturnieju...

– Mój mąż pracuje w telewizji – wyjaśniła gospodyni.

– I nie ma pani pojęcia, gdzie dzisiaj jest? – spytał Rebus.

– Nie, nie mam pojęcia – wyszeptała.

Dwoje świadków, którzy znali zmarłą za życia... Dobra, odpuścić Cath Kinnoul, pomyślał Rebus. Rozpadłaby się na kawałki, gdyby się dowiedziała, że ofiarą jest Liz Jack, nie wspominając już o konieczności zidentyfikowania ciała. Prawdopodobnie ktoś już spróbował skontaktować się z Gregorem Jackiem, a ten zjawił się w kostnicy z Ianem Urquhartem albo Helen Greig i skinęli głowami, gdy zobaczyli zwłoki. Nie ma potrzeby zwracać głowy Cath Kinnoul.

– Przemókl pan – powiedziała. – Podać coś do picia?

– Funkcjonariuszka robi herbatę... – Już kiedy to mówił, Rebus wiedział, że nie to proponowała gospodyni. – Ale kropelka whisky jednak nie zaszkodzi, jeśli to nie kłopot.

Wskazała barek ruchem głowy.

– Prawa półka – rzuciła. – Proszę się obsłużyć.

Rebus chciał zapytać, czy ona też się napije, nie wiedział jednak, jakie tabletki podał jej lekarz. I jakie zażyła sama. Nalał glenmorangie do dwóch wysokich szklanek i podał jedną Holmesowi, który wciąż stał przy kaloryferze.

– Uważaj, bo zaczniesz parować – szepnął Rebus.

W tym momencie weszła policjantka, niosąc tacę z herbatą. Zobaczyła alkohol i niemal uniosła brwi.

– Nasze zdrowie! – powiedział Rebus i jednym haustem opróżnił szklankę.

W KOSTNICY GREGOR JACK zachowywał się tak, jakby w ogóle nie rozpoznawał Rebusa. Ian Urquhart wyjaśnił inspektorowi konspiracyjnym szeptem, że poseł, jak co tydzień, przyjmował petentów w biurze w swoim okręgu wyborczym. Zwykle odbywało się to w piątek, ale w ten piątek w Izbie Gmin miał zostać przedstawiony projekt ustawy poselskiej i Jack chciał wziąć udział w debacie. Zdecydowano więc, że z wyborcami spotka się w czwartek.

Rebus słuchał szefa kampanii wyborczej w milczeniu. Po co mi to mówisz? – zastanawiał się. Ale Urquhart był wyraźnie zdenerwowany i czuł potrzebę rozmowy. Hm... kostnice wywierają na ludziach wrażenie, nawet na tych, których pracodawcy są bohaterami kolejnych skandali. Nawet na tych, których praca miała się wkrótce skomplikować bardziej niż kiedykolwiek.

– Jak poszła gra w golfa? – zapytał Rebus.

– Jaka gra w golfa?

– Wczorajsza.

– Ach, tak. – Urquhart skinął głową. – Ma pan na myśli grę Gregora. Nie wiem, jeszcze go nie pytałem.

A zatem on w niej nie uczestniczył. Szef kampanii wyborczej tak długo milczał, że Rebus pomyślał, że facet znalazł się w ślepych zaułku, ale potrzeba mówienia Urquharta okazała się zbyt wielka.

– To regularne spotkania. Gregor i Ronnie Steele. Najczęściej w środowe popołudnia.

Ach, Samob, niedoszły nastoletni samobójca...

– Czy pana szef w ogóle pracuje? – Rebus miał nadzieję, że to pytanie zostanie potraktowane jako żart.

Urquhart wyglądał jednak na oburzonego.

– On zawsze pracuje. Ta gra w golfa... to chyba jedyny wolny czas, jakim w ogóle dysponuje.

– Ale chyba nie bywa zbyt często w Londynie.

– No cóż, okręg wyborczy jest dla Gregora priorytetem.

– Zadbaj o ludzi, którzy cię wybrali, a oni zadbają o ciebie?

– Coś w tym stylu – przyznał Urquhart.

Rozmowa dobiegła końca, bo za chwilę miała nastąpić identyfikacja.

Jeśli Gregor Jack wyglądał źle, zanim zobaczył ciało, to potem przypominał szmacianą lalkę, z której wyjęto połowę wypełnienia.

– O Chryste, ta sukienka... – Wydawało się, że się przewróci, ale Ian Urquhart mocno go przytrzymał.

– Proszę spojrzeć na twarz – powiedział ktoś. – Musimy mieć pewność...

Na twarz spojrzeli wszyscy. Tak, pomyślał Rebus, to właśnie tę kobietę widziałem nad strumieniem.

– Tak – wycedził z trudem Gregor Jack. – To moja... to Liz.

Rebus odetchnął z ulgą.

PROBLEMEM, KTÓREGO NIE przewidzieli, był sir Hugh Ferrie.

– Może trochę go... przyciśniemy – powiedział komendant Watson.

Rebus, jak zwykle, nie potrafił utrzymać języka za zębami.

– Nie ma jak naciskać! Czy jest coś, czego jeszcze nie zrobiliśmy?

– Sir Hugh uważa, że do tej pory powinniśmy już byli dorwać Williama Glassa.

– Ale nawet nie wiemy...

– Wszyscy wiemy, że sir Hugh bywa nieco porywczy – przyznał Watson. – Ma jednak rację...

Przede wszystkim ma przyjaciół na wysokich stanowiskach, pomyślał Rebus.

– Ma rację – powtórzył komendant. – A dla nas byłoby lepiej, gdybyśmy uniknęli burzy medialnej, która z pewnością wybuchnie. Mówię tylko, że powinniśmy maksymalnie zintensyfikować śledztwo. Zatrzymajmy Glassa, upewnijmy się, że wszyscy są na bieżąco informowani, i naciskajmy na patologa, żeby jak najszybciej dostarczył raport z autopsji.

– W przypadku utonięcia nie będzie to takie łatwe – powiedział Rebus.

– John, znasz dość dobrze doktora Curta, prawda?

– Owszem.

– Co powiesz na to, żeby go trochę pogonić?

– A jeśli to on mnie pogoni, panie komendancie?

Watson wyglądał jak dobrotliwy wujek, którego nagle zmęczył przedwcześnie dojrzały siostrzeniec.

– To go pogoń jeszcze mocniej. Wiem, że jest zajęty. Wiem, że ma wykłady, pracę na uniwersytecie i Bóg wie co jeszcze. Ale im dłużej będziemy czekać, tym bardziej media zaczną zapychać luki spekulacjami. Utnij sobie z nim pogawędkę, John, co? Tylko upewnij się, że zrozumiał wiadomość.

WIADOMOŚĆ? JAKĄ WIADOMOŚĆ? Doktor Curt powiedział Rebusowi to, co zawsze mu powtarzał. Nie można mnie popędzać... delikatna sprawa, decyzja o tym, czy to był wypadek, czy nie... reputacja zawodowa... nie ośmieliłbym się popełnić błędu... więcej pośpiechu, mniej skuteczności... cierpliwość jest towarzyszką mądrości... w zbytnim pośpiechu suka rodzi ślepego szczeniaka...

Wszystko to Rebus usłyszał w czasie wizyty w gabinecie doktora przy Teviot Place. Wydział Patologii i Medycyny Sądowej, podzielony na Instytut Medycyny i Instytut Prawa, miał siedzibę na Uniwersytecie Medycznym przy Teviot Place. To zresztą wydawało się Rebusowi całkiem naturalne. Bo kto by chciał, żeby studenci prawa handlowego zadawali się z ludźmi z ekscytacją ślęczącymi nad zwłokami?

– Okrzemki... – mówił doktor Curt. – Skóra praczek... krwista piana... rozcięcie płuc... – Cała litania, ale nic z tego nie prowadziło do jakichkolwiek wniosków. – Testy na tkance... badanie... okrzemki... toksykologia... złamania... okrzemki. – Curt naprawdę miał kręcka na punkcie jednokomórkowych glonów. – *Unicellular algae* – uściślił.

Rebus skinął głową.

– No dobrze – rzucił i wstał. – Najszybciej, jak się da, doktorze. Jeśli nie złapie mnie pan na komendzie, zawsze może pan próbować dzwonić na telefon „jednokomórkowy”.

– Najszybciej, jak się da – zgodził się patolog i zaśmiał się. On również wstał. – Och, jedną rzecz mogę panu powiedzieć od razu. – Otworzył przed Rebusem drzwi gabinetu.

– Tak?

– Pani Jack została wydepilowana. Nikt już jej nie wytarł za krótkie, kręcone...

PONIEWAŻ Z TEVIOT PLACE nie było daleko na Buccleuch Street, Rebus postanowił przespacerować się do księgarni U Samoba. Nie spodziewał się złapać Ronalda Steele’a, przecież ten był trudnym do złapania człowiekiem. Zajęty za kulisami, zajęty poza zasięgiem wzroku. Sklep był otwarty, rozklekotany rower nadal stał oparty o mur na zewnątrz. Rebus ostrożnie pchnął drzwi.

– W porządku! – dobiegł go głos z tyłu księgarni. – Rasputin wybrał się na wędrowkę.

Rebus zamknął drzwi i podszedł do biurka. Siedziała przy nim ta sama dziewczyna co poprzednim razem, ta, do której obowiązków należała wycena książek, choć na półkach nie było już na nie miejsca. Zastanawiał się, dokąd powędrują te nowe tytuły.

– Skąd pani wiedziała, że to ja? – zapytał.

– Okno. – Ruchem głowy wskazała witrynę. – Z zewnątrz wygląda na brudne, ale ze środka wszystko widać. Trochę tak jak z lustrami weneckimi.

Rebus spojrział we wskazanym kierunku. Wewnątrz sklepu było ciemniej niż na ulicy, więc obraz za oknem był wyraźny.

– Nadal nic nie wiemy o pana książkach, jeśli o to chodzi – oznajmiła dziewczyna.

Rebus skinął powoli głową. Nie o to mu chodziło.

– A Ronalda nie ma – dodała i spojrzała na wielką tarczę swojego zegarka. – Powinien był się zjawić pół godziny temu. Coś musiało go zatrzymać.

Rebus znowu skinął głową. Steele wspominał, jak dziewczyna ma na imię. Jak ono brzmiało...?

– A wczoraj był w księgarni?

Pokręciła głową.

– Mieliśmy zamknięte. Cały dzień. Nie czułam się najlepiej, więc nie przyszłam do pracy. Na początku roku akademickiego w środy robimy niezłe interesy, bo na uniwersytecie nie ma wtedy zajęć, ale nie teraz...

Vanish, ten środek do usuwania plam, przypomniał sobie Rebus. Vanessa! Tak miała na imię.

– Rozumiem, mimo wszystko dzięki. Proszę mieć oko na listę skradzionych książek...

– O! Jest Ronald.

Rebus obrócił się w momencie, gdy drzwi otworzyły się z hukiem. Ronald Steele trzasnął nimi za sobą, ruszył do głównego przejścia z książkami, ale stracił równowagę i musiał oprzeć się o regał. Jego uwagę przyciągnął grzbiet jednego z tomów i zdjął go z półki.

– Jak ryba bez wody – powiedział. – Bez wody... – Rzucił książką z całej siły. Uderzyła o stojący metr dalej regał i spadła otwarta na podłogę.

Steele zaczął losowo zdejmować tomy z półek i rzucać nimi bezładnie; jego oczy były czerwone od łez.

Vanessa krzyknęła, zerwała się od biurka i pobiegła w jego stronę. Steele przepchnął się jednak obok niej, omal nie wpadł na Rebusa, przemknął obok biurka, wypadł za drzwi na samym końcu księgarni i zamknął je z hukiem.

– Co tam jest? – spytał Rebus.

– Toaleta – odparła Vanessa, schylając się, by podnieść książki. – Co się z nim dzieje, do cholery?

– Może otrzymał złe wieści.

Kiedy pomagał dziewczynie zrobić porządek, popatrzył na okładkę książki *Jak ryba bez wody*. Ilustracja na froncie przedstawiała kobietę siedzącą niezbyt skromnie na szezlongu i pochylającego się nad nią krzepkiego zalotnika z ustami przy jej odsłoniętym ramieniu.

– Chyba mógłbym to kupić – powiedział. – Wygląda na lekturę w moim guście.

Vanessa wzięła od niego książkę i wlepiała w niego wzrok; niełatwo było cokolwiek wyczytać z twarzy dziewczyny, bo wciąż malował się na niej szok po dramatycznej scenie sprzed chwili.

– Pięćdziesiąt pensów – wycedziła.

– Pięćdziesiąt pensów... w porządku.

PO OFICJALNEJ IDENTYFIKACJI ciała rozpoczął się precyzyjny i żmudny proces sekcji zwłok i pojawiły się pytania. Obrzydliwie dużo pytań.

Trzeba było przesłuchać Cath Kinnoul – z mężem u boku i krwiobiegami przytępienymi środkami uspokajającymi. Nie, tak naprawdę nie przyjrzała się ciału z bliska. Już z daleka rozpoznała, co to jest. Widziała sukienkę... widziała, że to była sukienka. Wróciła biegiem do domu i zadzwoniła na policję. Dziewięć-dziewięć-dziewięć, tak jak się to robi w nagłych wypadkach. Nie, nie poszła z powrotem nad rzekę. Wątpi, czy kiedykolwiek jeszcze tam pójdzie.

A co do jej męża: gdzie był rano? Na spotkaniach biznesowych, oznajmił. Spotkaniach z potencjalnymi partnerami oraz potencjalnymi sponsorami. Chciał założyć niezależną firmę producencką, ale byłby wdzięczny, gdyby ta informacja „została między nami”. A poprzedni wieczór? Spędził go w domu z żoną. I nic nie widzieli ani nie słyszeli? Absolutnie nic. Całą noc oglądali telewizję; nie program bieżący, lecz stare nagrania, z kaset wideo, z udziałem Kinnoula. *Na ostrzu noża*. Ekranowy zabójca.

– W swoim czasie musiał się pan nauczyć kilku sztuczek, panie Kinnoul.

– Ma pan na myśli fach aktorski?

– Nie, mam na myśli fach zabójcy...

A potem był Gregor Jack... Rebustrzymał się od tego z daleka; podjął decyzję, że po wszystkich przejrzy raporty i stenogramy. Nie chciał się mieszać. Za dużo już wiedział, za dużo słyszał przedczesnych sądów, które tak naprawdę były uprzedzeniami. Pozwolił innym pracownikom dochodzeniówki rozmawiać z Jackiem, Ianem Urquhartem, Helen Greig, a także z przyjaciółmi Elizabeth Jack. Nie chodziło już tylko o zaginięcie kobiety, w grę wchodziła jej śmierć. Jamie Kilpatrick, Matilda Merriman, Julian Kaymer, Martin Inman, Louise Patterson-Scott, a nawet Barney Byars. Wszyscy zostali przesłuchani albo wkrótce miało to nastąpić; niewykluczone, że będą musieli składać zeznania raz jeszcze, w późniejszym terminie. Należało uzupełnić ogromne luki w życiu Liz Jack, w tym cały ostatni tydzień jej życia. Gdzie była? Z kim się widziała? Kiedy umarła? (Pospiesz się, doktorze Curt, raz-dwa!) Jak umarła? (Doktorze, jak wyżej). I wreszcie: gdzie przepadł jej samochód?

Rebus przeczytał wszystkie protokoły, każdą notatkę, stenogram z przesłuchania Gregora Jacka i Ronalda Steele'a. Na pole golfowe Braidwater wysłano detektywa posterunkowego, by zweryfikował informację, że Jack był tam w środę po południu. Zeznanie Steele'a Rebus przeczytał z wielką uwagą. Zapytany o Elizabeth, przyznał: „Zawsze mi zarzucała, że nie jestem zbyt rozrywkowy. Prawdopodobnie miała rację. Z pewnością nie jestem... jak mawiają... zwierzęciem imprezowym. I nigdy nie miałem wystarczająco dużo pieniędzy. Lubiła ludzi, którzy mieli pieniądze do roztrwonienia, albo takich, którzy je trwonili, mimo że ich nie mieli”.

Odrobina gorczy? Czy cała gorzka prawda?

Do tego wszystkiego Rebus dorzucił jeszcze jedno pytanie: czy Elizabeth Jack w ogóle opuściła Edynburg?

Urządzono też polowanie na Williama Glassa. Gdyby rzeczywiście udał się do Queensferry, to gdzie skierowałby się potem? Na zachód, w kierunku Bathgate, Linlithgow czy Bo'ness? Albo na północ, przez Forth do Fife? Zmobilizowano siły policyjne. Rozesłano zdjęcia. Czy Liz Jack w ogóle spędzała czas w Deer Lodge? Czy William Glass mógł tak po prostu rozpułnąć się w powietrzu? Czy istniało powiązanie między śmiercią pani Jack a wizytą jej męża w burdelu w Edynburgu?

Prasa najchętniej podejmowała tę ostatnią kwestię. Jeśli chodzi o śmierć Elizabeth Jack, to dziennikarze stawiali na samobójstwo. Podczas wyjazdu kobieta dowiaduje się o hańbie męża i w drodze do domu stwierdza, że nie zdoła stawić temu czoła; być może odwiedza przyjaciela, aktora Raba Kinnoula, ale jej desperacja narasta, a że słyszała o kobiecie, która utonęła koło Dean Bridge, postanawia to wszystko zakończyć. Rzuciła się do rzeki w pobliżu domu przyjaciela. Koniec historii.

Tyle że to wcale nie był koniec historii. Dla gazet był to dopiero początek, bo przecież w tej sprawie kryło się tyle medialnych atrakcji – od aktora telewizyjnego, przez członka Parlamentu i skandal seksualny, po śmierć... Autorzy nagłówków mieli nie lada kłopot, próbując zdecydować, w jakiej formie sprzedać newsy. *Żona posła umoczonego w sekskandal tonie w rzece na terenie posiadłości gwiazdora filmowego? A może: Upadek gwiazdy telewizji po samobójstwie żony jego przyjaciela, członka Parlamentu?* Trudno się zdecydować.

A zrozpaczony mąż? Trzymany z dala od mediów przez opiekuńczych przyjaciół i współpracowników? Zawsze jednak do dyspozycji policji, gdy trzeba było wyjaśnić szczegóły. Jego teść natomiast udzielał mediom niezliczonych wywiadów, choć komentarze zachowywał dla policji – związane i kąśliwe.

– Po co w ogóle chcecie ze mną rozmawiać? – pytał. – Znajdźcie sukinsyna, który to zrobił, a potem będziecie mogli gadać do woli. Chcę, żeby zwierzę, które to zrobiło, trafiło za kratki! I mam nadzieję, że to będą cholernie mocne kraty, w przeciwnym razie sam je wyrwę i uduszę sukinsyna!

– Robimy, co w naszej mocy, proszę mi wierzyć, sir Hugh.

– Ale czy to wystarczy? Tylko to chcę wiedzieć!

– Wszystko, co w naszej mocy...

O tak, wszystko. Pozostawało tylko jedno, ostatnie pytanie: czy ktokolwiek to zrobił? A na nie odpowiedź znał jedynie doktor Curt.

* William Szekspir, *Makbet*, przeł. Leon Ulrich.

Gry w górach

REBUS SPAKOWAŁ TORBĘ NA NOC. Była to duża sportowa torba, którą dostał w prezencie od Patience Aitken, kiedy uznała, że powinien zadbać o formę. Zapisali się razem do klubu fitness i spa, kupili niezbędny sprzęt i cztery, pięć razy w tygodniu chodzili do niego wspólnie. Grali w squasha, poddawali się masażom, korzystali z sauny, basenu, pływali, a nawet znosili ćwiczenia w ekskluzywnie wyposażonej siłowni i próbowali biegać. Z czasem jednak coraz więcej czasu spędzali w klubowym barze, co było głupotą, bo drinki kosztowały tam dwa razy więcej niż w przyjemnym pubie tuż za rogiem.

Teraz to już nie była torba sportowa, tylko torba „na noc”. Rebus nie zabierał w drogę wielu rzeczy. Spakował koszulę na zmianę, skarpetki i bieliznę, szczoteczkę do zębów, aparat fotograficzny, notatnik, płaszcz przeciwdeszczowy. Czy będzie potrzebował rozmówek? Prawdopodobnie, ale wątpił, czy taki słownik istnieje. Coś do czytania... lektura przed snem. Znalazł książkę *Jak ryba bez wody* i dorzucił do bagażu. Usłyszał dzwonek telefonu, ale był w mieszkaniu Patience, a ona miała automatyczną sekretarkę. Wszystko jedno...

Przeszedł do salonu i wsłuchał się w wiadomość. Rozpoznał głos dzwoniącego.

– Mówi Brian Holmes. Próbuję się skontaktować z...

Rebus podniósł słuchawkę.

– Brian, co się dzieje?

– Ach, złapałem cię. Pomyślałem, że może już ruszyłeś w góry.

– Właśnie wychodziłem.

– Jesteś pewien, że nie chcesz najpierw wpaść na komendę?

– A powinienem?

– Doktor Curt ma zaraz ogłosić...

PROBLEM Z UTONIĘCIEM POLEGAŁ na tym, że utonięcie i zwykłe zanurzenie to dwa zupełnie różne przypadki. Ciało (przytomne bądź nieprzytomne) może spaść (albo zostać wepchnięte) do wody, a następnie utonąć (lub zostać utopione). Można też wrzucić martwe już ciało do wody, żeby je ukryć albo wyprowadzić policję w pole. Problematiczna może być zarówno przyczyna zgonu, jak i jego czas. Stężenie śmiertelne może się pojawić lub nie. Siniaki i uszkodzenia ciała mogą być wynikiem okaleczenia kamieniami czy innymi przedmiotami znajdującymi się w wodzie.

O tym, że człowiek żył, kiedy wpadał do wody, świadczy „grzybek piany” wydobywający się z ust i nosa po uciśnięciu klatki piersiowej; wskazuje na to również obecność okrzemków w mózgu, szpiku,

nerkach i tak dalej. Okrzemki, jak niestrudzenie wyjaśniał doktor Curt, są mikroorganizmami, które przenikają przez błonę płucną, skąd są wpompowywane do krwiobiegu przez wciąż bijące serce.

Mogą też być inne oznaki, na przykład zamulone oskrzela świadczą o „wdychaniu” wody. Żywy człowiek po tym, jak wpadnie do wody, próbuje się czegoś chwycić (chwytą się przysłowiowej brzytwy), stąd też jego dłonie są zacisnięte. „Skóra praczek”, wypadanie paznokci i włosów, opuchlizna ciała – wszystko to może pozwolić oszacować czas, jaki ciało spędziło w wodzie.

Jak zauważył Curt, w przypadku Liz Jack nie wszystkie niezbędne badania zostały zakończone. Należało poczekać jeszcze kilka dni na wyniki analizy toksykologicznej, było więc trudno przedwcześnie wyrokować, czy ofiara przed śmiercią piła alkohol lub zażywała narkotyki. W pochwie nie znaleziono nasienia, ale mąż zmarłej przekazał informację, że żona „miała problem” z pigułkami antykoncepcyjnymi, więc mogła być użyta prezerwatywa.

Chryste, pomyślał Rebus, kiedy próbował sobie wyobrazić, jak biedny Gregor Jack mówi o tym na przesłuchaniu. A miały paść jeszcze mniej przyjemne pytania, które potrzebowały odpowiedzi.

– To, co do tej pory mamy – powiedział Curt, podczas gdy wszyscy w duchu błagali go o wskazówki – to brak piany z ust i nosa... brak zamulonej materii... brak zacisniętych dłoni. A stężenie pośmiertne sugerowałoby, że ciało było martwe przed zanurzeniem i przetrzymywane w zamkniętej przestrzeni. Na zdjęciach zobaczycie, że nogi są zgięte w sposób dość nienaturalny.

W tym momencie już to wiedzieli, ale milczeli.

– Powiedziałbym, że ciało przebywało w wodzie nie krócej niż osiem godzin i nie dłużej niż dwadzieścia cztery. Co do czasu zgonu... to nastąpił on oczywiście wcześniej, kilka godzin wcześniej.

– A przyczyna śmierci?

Patolog uśmiechnął się.

– Na zdjęciach czaszki widać wyraźne pęknięcie z prawej strony głowy. Ofiara została bardzo mocno uderzona od tyłu. Powiedziałbym, że śmierć była niemal natychmiastowa...

Było jeszcze trochę szczegółów, ale niewiele. Policjanci szeptali między sobą. Rebus wiedział, co myślą i mówią: ten sam modus operandi co w przypadku zabójstwa pod Dean Bridge. A jednak byli w błędzie. Kobietę znaną pod Dean Bridge zamordowano przy moście, na ścieżce przy rzece w środku miasta, i ciała nie przetransportowano, a nie... No właśnie, gdzie zginęła Liz Jack? Gdzieś. W dowolnym miejscu. Kiedy inni przebąkaliwali, że trzeba znaleźć Williama Glassa, myśli Rebusa płynęły w innym kierunku: trzeba znaleźć bmw Liz Jack, i to jak najszybciej. Był już spakowany i Lauderdale zgodził się na jego podróż. Na miejscu z Rebusem miał się spotkać posterunkowy Moffat, a Gregor Jack uprzejmie przekazał mu klucze.

– A więc, panie i panowie, moim zdaniem mamy do czynienia z zabójstwem – oświadczył Curt. – Tak, zabójstwem. Reszta należy do waszych specjalistów od kryminalistyki i do was.

– GOTÓW DO DROGI? – SPYTAŁ Lauderdale, patrząc na Rebusa niosącego torbę.

– Tak jest.

– Udanego polowania, inspektorze. Jeszcze raz... jak się nazywa to miejsce?

– Gdzie zasiadają masoni i drogo za to płacą?

– Nie nadążam... Aaa, tak: w drogiej łoży.

– Zgadza się. Deer Lodge, przez dwa „e”. – Rebus puścił oko do przełożonego i skierował się do auta.

SZKOCJA WPRAWIAŁA W ZACHWYT; zmieniała swoje szaty średnio co pięćdziesiąt kilometrów, jeśli chodzi krajobraz, charakter i dialekt. Wsiadasz do samochodu i wkrótce możesz nie wiedzieć, gdzie jesteś. Tylko drogi się nie różniły, podobnie jak stacje benzynowe. A miasta – proste główne ulice, przy których stały supermarkety, sklepy obuwnicze albo z wełną i bary z frytkami – jakby przechodziły jedno w drugie. Ale mogłeś też sięgnąć wzrokiem poza nie lub przyjrzeć im się bliżej, spojrzeć w głąb... Taki mały kraj, a tak różnorodny, pomyślał Rebus. W szkole nauczyciel geografii mówił, że Szkocję można podzielić na trzy odrębne regiony: wyżynne południe, niziny i górzasty obszar Highlands na północy... coś w tym stylu. Ale to, co widział za szybą samochodu, chyba tego nie potwierdzało.... A może jednak tak. Zmierzał na północ, ku ludziom bardzo różniącym się od mieszkańców miast na południu Szkocji albo nadmorskich miasteczek.

Zatrzymał się w Perth i kupił trochę zapasów: jabłka, czekoladę, małą butelkę whisky, gumę do żucia, pudełko daktyli, pół litra mleka... Nigdy nie wiadomo, czego zabraknie w Highlands. Na szlaku turystycznym spodziewał się udogodnień, ale gdyby z niego zбочzył...

W Blairgowrie zrobił postój i w tanim barze z fast foodem zjadł rybę z frytkami przy stole z laminowanym blatem. Frytki z sołą, octem i brązowym sosem. Dwie kromki białego chleba cienko posmarowanego margaryną. I filiżanka ciemnobrązowej herbaty. Łupacz pokryty był panierką, którą Rebus zdjął i pożałował w pierwszej kolejności, nim zabrał się za rybę.

– Wygląda pan na zadowolonego – powiedziała żona właściciela baru, przecierając mu stół pod nosem.

Był zadowolony. Tym bardziej że tego wieczoru Patience nie będzie go obwąchiwać, by sprawdzić poziom cholesterolu, sodu i węglowodanów...

Zerknął na listę przysmaków wypisaną nad ladą. Pudding czerwony, biały i czarny, haggis, wędzone kielbaski, kielbaski w cieście, tarta z wołowiną, babeczki z bakaliami, kurczak... z marynowaną cebulką albo marynowanymi jajkami. Rebus nie potrafił się oprzeć. Kupił kolejną porcję frytek, żeby miał co pogryzać podczas jazdy.

Był wtorek. Od znalezienia ciała Elizabeth Jack minęło pięć dni i prawdopodobnie sześć od jej śmierci. Rebus wiedział, że pamięć jest krótkotrwała... Jej fotografia pojawiła się we wszystkich gazetach, w telewizji i na kilkuset policyjnych plakatach, a mimo to nadal nikt nie zgłosił się z informacjami. Pracował przez cały weekend – nieczęsto widywał się z Patience – i właśnie wtedy wpadł na ten pomysł: na brzytwę, której chwyta się tonący...

Krajobraz wokół nabierał wyrazistości, stawał się coraz bardziej dziki, ale też cichy. Rebus dotarł do Glenshee, w centrum Szkocji, i przejechał przez wąwóz na pełnych obrotach silnika. Było w tym miejscu coś złowrogiego i opustoszałego, co rozniecało kasandryczne poczucie niepokoju. Ostry podwójny zakręt zwany Diabelskim Łokciem nie był już tak zdradzieckim miejscem, jakim wydawał się Rebusowi w latach młodości; droga została jak gdyby wyrównana i zakręt trochę wyprostowano. Wioska Braemar... Zamek Balmoral... skręcił tuż przed Ballater na drogę do Cockbridge i Tomintoul; ten odcinek drogi zawsze zamykali zimą pierwszy z powodu śniegu. Ponury? Tak, ten szlak można nazwać ponurym. Ale był również imponujący. Ciągnął się, ciągnął i ciągnął. Głębokie doliny wykute przez lodowce, cały ciąg piargów. Nauczyciel geografii zachwycał się nimi.

Rebus był już blisko, coraz bliżej celu. Sięgnął po kartkę, na której zapisał wskazówki na podstawie tego, co usłyszał od posterunkowego Moffata i Gregora Jacka. Gregor Jack...

Jack chciał z nim o czymś koniecznie porozmawiać, ale Rebus nie dał mu szansy, bo zaangażowanie się w to uznał za zbyt niebezpieczne. Wprawdzie nawet przez moment nie wierzył, że Jack ma coś do

ukrycia, mimo to... Za to inni – Rab Kinnoul, Ronald Steele i Ian Urquhart – byli z pewnością... no może nie „z pewnością”... ale byli... Szlag by to trafił, nie potrafił tego wyrazić. Tak naprawdę nie chciał nawet o tym myśleć. Myślenie o... o wszystkich możliwościach, o wszystkich „a co jeśli” wywoływało zawroty głowy.

– W lewo, a potem w prawo... wzdłuż ścieżki obok szkółki jodły... na szczyt wzniesienia... przez bramę. Prawie jak poszukiwanie skarbów.

Samochód sprawował się nienagannie (odpukać w niemalowane). Odpukać w niemalowane? Wystarczyło się zatrzymać i wysunąć rękę przez okno. Teraz nie jechał obok szkółki, ale przez dziki las mocno wyboistym traktem z trawą rosnącą wysoko na pasie pomiędzy kolejnami. Mimo że niektóre większe wyboje zasypało żwirem, Rebus jechał teraz z prędkością jakichś ośmiu kilometrów na godzinę, a może nawet wolniej. Nie uchroniło to jednak jego kości przed wstrząsami, a głowy przed rzucaniem nią z boku na bok. Wykluczone, żeby przed nim znajdował się jakiś budynek mieszkalny. Może źle skręcił. Ale ślady opon, po których jechał, były wystarczająco świeże, a poza tym nie miał ochoty wycofywać się na wstecznym, czego nie mógłby uniknąć, bo droga była zbyt wąska, żeby na niej zawrócić.

Wreszcie nawierzchnia się poprawiła i jechał po szutrze. Wziął ostry zakręt i nagle znalazł się przed domem. Na zewnątrz stał zaparkowany na trawie policyjny austin metro. Przed wejściem do domu płynął wąski strumyk. Nie było żadnego ogrodu, tylko łąka, a dalej las; w powietrzu unosił się zapach mokrej sosny. Za domem teren bez końca wznosił się w oddali. Rebus wysiadł z samochodu i poczuł, jak nerwy wracają mu na swoje miejsce. Drzwi austina się otworzyły i wyszedł zza nich robotnik rolny w mundurze policjanta.

Musiało to być wyzwanie na miarę rekordu Guinnessa: jak zmieścić tak rosnącego mężczyznę za kierownicą tak małego pojazdu. Facet był bardzo młody, koło dwudziestki. Na rumianej twarzy miał szeroki uśmiech.

– Inspektor Rebus? Posterunkowy Moffat.

Ręką, którą uściśnął Rebus, była wielka jak łopata do węgla, ale zaskakująco gładka, niemal delikatna.

– Miał tutaj być detektyw sierżant Knox, ale coś mu wypadło. Przesyła przeprosiny i ma nadzieję, że ja się tym zajmę, bo ten teren to moje oczko w głowie, że tak powiem.

Rebus, który w tym momencie masował sobie głowę, uśmiechnął się. Potem przycisnął kciuki po obu stronach kręgosłupa i wyprostował się, wydychając głośno powietrze. Kręgi kliknęły i chrupnęły.

– Długa jazda, co? – skomentował posterunkowy. – Ale przyjechał pan w samą porę, sam jestem tu od pięciu minut.

– Rozejrzałeś się jeszcze raz?

– Nie. Pomyślałem, że lepiej poczekam na pana.

Rebus skinął głową.

– Zacznijmy od zewnątrz. Całkiem spora posesja, prawda? Sądząc po drodze dojazdowej, spodziewałem się czegoś skromniejszego.

– To pewnie dlatego, że najpierw postawili tu dom. Kiedyś miał piękny ogród, zadbany podjazd, a tego lasu w ogóle nie było. To oczywiście było nie za moich czasów. Dom wybudowano chyba w latach dwudziestych. Należał do posiadłości Kelmanów, która potem została wyprzedana, kawałek po kawałku. Kiedyś porządku pilnowali robotnicy, a teraz nie ma o to komu dbać.

– Ale dom jest nadal w dobrym stanie.

– No tak, ale jak zaraz pan zobaczy, brakuje kilku dachówek, a rynny przydałoby się załatać.

Moffat mówił z pewnością siebie majsterkowicza. Okrążyli piętrowy budynek z solidnego kamienia. Według Rebusa komponowałyby się całkiem nieźle z posiadłościami na obrzeżach Edynburga; prawdę mówiąc, byłby bardziej na miejscu tam niż na tej polanie na pustkowiu. Obok tylnych drzwi stał pojemnik na śmieci.

– Czy ktoś przyjeżdża tu po...?

– Tak, tylko trzeba przytargać pojemniki na pobocze drogi.

Rebus podniósł pokrywę i uderzył go przeraźliwy odór. Sądząc po kształcie, jego źródłem były kości kurczaka albo kaczki i gnijący kawałek łososia.

– Dziwne, że zwierzyna tego nie pożarła – powiedział Moffat. – Jeleń albo zbiki...

– Wygląda na to, że resztki długo leżały w tym pojemniku... Co o tym sądzisz?

– Nie powiedziałbym, że są to zeszlotygodniowe resztki, jeśli do tego pan zmierza...

Rebus spojrział na posterunkowego.

– Do tego właśnie zmierzam – przyznał. – Od ponad tygodnia pani Jack przebywała poza domem. Jeździła czarnym bmw. Podobno zatrzymała się tutaj.

– Nikt, z kim rozmawiałem, jej nie widział.

Rebus podniósł klucz.

– Zobaczymy więc, czy wewnątrz domu nie opowie nam innej historii.

Najpierw jednak wrócił do samochodu po dwie pary przezroczystych rękawiczek polietylenowych. Jedną parę wręczył posterunkowemu.

– Nie jestem pewien, czy będą na ciebie pasować – powiedział.

Pasowały.

– No dobrze, postaraj się niczego nie dotykać, nawet w rękawiczkach, żeby nie rozmazać lub nie zetrzeć odcisków palców. Pamiętaj, że to dochodzenie w sprawie zabójstwa, a nie wesoła przejażdżka kolejką górską czy kradzież bydła. Dobra?

– Tak jest, panie inspektorze. – Moffat wciągnął powietrze. – Smakowały panu frytki? Nawet stąd czuję zapach octu.

Rebus zatrzaskał drzwi samochodu.

– Chodźmy.

DOM PACHNIAŁ WILGOCIĄ, przynajmniej w wąskiej sieni. Drzwi na jej końcu stały otworem. Rebus wszedł przez nie do pokoju, który rozciągał się od frontu aż po tył domu. Urządzono go z myślą o wygodzie: trzy kanapy, kilka foteli, duże poduchy do siedzenia i porzucane dookoła mniejsze poduszki. Był też telewizor, wideo oraz zestaw hi-fi z jednym z głośników przewróconym na bok. Generalnie panował tu straszny bałagan.

Wszędzie stały kubki, filiżanki i szklanki. Rebus powąchał jeden z kubków: wino – a raczej ocet, który kiedyś był winem. Puste butelki po burgundzie, szampanie, armaniaku. I plamy: na dywanie, na rozrzuconych poduszkach i na jednej ścianie, gdzie trafiła rzucona z pewną siłą szklanka, roztrzaskując się przy uderzeniu. Popielniczki były przepelnione, a spod jednej z poduszek na podłodze wystawało małe lusterko. Rebus pochylił się nad nim. Wokół krawędzi zobaczył ślady białego proszku. Kokaina. Zostawił lusterko tam, gdzie leżało, i podszedł do wieży hi-fi, żeby sprawdzić wybór muzyki. Głównie kasety: Fleetwood Mac, Eric Clapton, Simple Minds... ale także opery: *Don Giovanni* i *Wesele Figara*.

– Niezła imprezka, prawda, panie inspektorze?

– Tak, ale czy odbyła się niedawno? – Rebus odniósł wrażenie, że ten bałagan nie był wynikiem tylko jednego wieczoru. Stos rzuconych byle jak butelek przesunięto na bok, tak że utworzył małą oazę na podłodze, pośrodku której stała samotnie butelka, wciąż w pozycji pionowej, oraz dwa kubki, w tym jeden ze szminką na brzegu. – I jak uważasz, ilu było tu gości?

– Na moje oko z sześciu.

– Możesz mieć rację. Sporo alkoholu jak na sześć osób.

– Może nie zwracają sobie głowy sprzątaniem między imprezami.

Właśnie o tym samym pomyślał Rebus.

– Rozejrzyjmy się.

Po drugiej stronie korytarza było główne pomieszczenie, które prawdopodobnie pierwotnie pełniło funkcję jadalni albo salonu, a potem zamieniono je na prowizoryczną sypialnię. Połowę powierzchni zajmował materac, drugą połowę śpiwory. Tutaj również leżało kilka pustych butelek, ale nie było z czego pić. Na ścianach wisiało kilka artystycznych grafik. Na materacu leżała para butów, męskich, rozmiar czterdzieści trzy, a w jeden z nich wepchnięto niebieską skarpetkę.

Do ogłędzin na parterze pozostała tylko kuchnia. Honorowe miejsce zajmowała w niej kuchenka mikrofalowa, obok której stały puste opakowania po popcornie do mikrofalówki oraz puszki z zupą z homara i gulaszem z dziczyzny. Dwukomorowy zlew zapełniały naczynia i brudna szara woda. Na rozkładanym stole stały nieotwarte butelki lemoniady, kartony soku pomarańczowego i butelka cydru. Błat większego sosnowego stołu był wprawdzie poplamiony zupą, ale nie zalegały na nim naczynia czy resztki żywności. Na podłodze wokół niego leżały jednak puste paczki po chipsach, przewrócona popielniczka, paluszki, sztucce, fartuch z tworzywa sztucznego oraz kilka serwetek.

– Szybki sposób na uprzątnięcie stołu – skwitował Moffat.

– Tak – powiedział Rebus. – Oglądałeś film *Listonosz zawsze dzwoni dwa razy*? Tę późniejszą wersję, z Jackiem Nicholsonem.

Moffat pokręcił głową.

– Ale widziałem go w *Lśnieniu*.

– To zupełnie co innego. W tym filmie, o którym mówię, jest scena... hm... musiałeś o tym słyszeć... w której Jack Nicholson i kobieta, która ma męża, sprzątają ze stołu w kuchni, żeby na nim... no wiesz... małe co nieco...

Posterunkowy spojrział podejrzliwie na stół.

– No, nie wiem... – powiedział. Najwyraźniej pierwszy raz w życiu słyszał o czymś takim. – Jaki to był tytuł, niech pan przypomni...

– Ech... tak tylko pomyślałem.

BYŁO JESZCZE PIĘTRO. Łazienka, najczystsze pomieszczenie w domu. Obok toalety leżała sterta czasopism, ale starych, zbyt starych, żeby dać jakiegokolwiek wskazówki. I jeszcze dwie sypialnie, jedna prowizoryczna, jak ta na dole, a druga bardziej imponująca, z nowym wielkim drewnianym łóżem z baldachimem, szafą, komodą oraz toaletką. Na ścianie nad łóżkiem wisiał łeb krowy szkockiej rasy wyżynnej, co wydawało się dość dziwnym pomysłem. Rebus taksował wzrokiem przedmioty na toaletce: pudry, szminki, perfumy, cienie do oczu. W szafie były ubrania; głównie damskie, ale także męskie dzinsy i sztruksy. Gregor Jack nie potrafił opisać, jaką garderobę zabrała ze sobą żona,

wyjeżdżając z domu. Nie miał nawet pewności, czy cokolwiek wzięła, dopóki nie zauważył, że zniknęła jej mała zielona walizka.

Zielona walizka, która teraz wystawała spod łóżka. Rebus wyciągnął ją i otworzył. Była pusta. Podobnie jak większość szuflad.

– Trzymamy w letniskowym domu ubrania na zmianę – powiedział Jack detektywom. – Tak na wszelki wypadek.

Rebus zatrzymał wzrok na łóżku. Poduszki nie miały wgnieceń, a kołdra była gładka. Czy to oznaka niedawnej wizyty? Bóg jeden wie. I na tym koniec: ostatni pokój sprawdzony. Czego się dowiedział po ponad stu sześćdziesięciokilometrowej podróży? Że walizka pani Jack – ta, którą według Jacka żona zabrała ze sobą – była tutaj. Coś jeszcze? Nic. Usiadł na łóżku i... usłyszał szelest. Wstał i odsunął kołdrę. Prześcieradło było zasłane gazetami. Wydania niedzielne, wszystkie otwarte na tym samym artykule.

POSEŁ ARESZTOWANY W SEKSMELINIE. A więc była tutaj i wiedziała. Wiedziała o obławie, o operacji Burda. Chyba że ktoś inny podłożył tu te gazety... Nie, trzymaj się tego, co oczywiste. Jego wzrok przykuło coś jeszcze. Odsunął na bok jedną z poduszek. Do słupka za nią przywiązana była zwisająca para czarnych rajstop. Kolejna para znajdowała się przy przeciwległym słupku. Moffat spojrział na niego pytająco, ale Rebus uznał, że młody człowiek dowiedział się wystarczająco dużo jak na jeden dzień. To byłby dopiero ciekawy scenariusz: przywiązana do łóżka i pozostawiona tu. Moffat mógł wcześniej wejść do domu, obejrzeć go i odejść, nie zdając sobie sprawy z obecności kobiety na górze. Nie, mało realne. Gdybyś naprawdę chciał kogoś skrupować, nie użyłbyś rajstop; zbyt łatwo je rozerwać i uciec. Rajstopy były przeznaczone do gier seksualnych, a do unieruchomienia ofiary użyto by czegoś mocniejszego, na przykład sznurka lub kajdanek... Zaraz... takich jak te w śmietniku Gregora Jacka?

Cokolwiek tu zaszło, Rebus odkrył przynajmniej, że Liz Jack wiedziała. Dlaczego więc nie skontaktowała się z mężem? W domu nie było telefonu.

– Gdzie jest najbliższa budka telefoniczna? – zapytał posterunkowego, który wciąż okazywał zainteresowanie rajstopami.

– Jakież dwa i pół kilometra stąd, na drodze za farmą Cragstone.

Rebus spojrział na zegarek. Była czwarta.

– Dobrze, chciałbym jeszcze trochę się porozglądać i kończymy na dziś. Chcę, żeby dom został sprawdzony pod kątem odcisków palców. Powinno ich tu być mnóstwo. Potem będziemy musieli wziąć pod lupę... z należytą starannością... sklepy, stacje benzynowe, puby, hotele. Powiedzmy, w promieniu trzydziestu kilometrów.

Moffat wyglądał na niepewnego.

– To strasznie dużo miejsc.

Rebus go zignorował.

– Czarne bmw. Sądzę, że jeszcze dziś zostaną wydrukowane kolejne materiały informacyjne: zdjęcie pani Jack, rysopis i numery tablic rejestracyjnych. Jeżeli tędy jechała, a jechała, to ktoś musiał ją widzieć.

– Hm... ludzie nabierają wody w usta, panie inspektorze.

– Tak, ale nie są ślepi, prawda? Przy odrobinie szczęścia nie będą też cierpieć na amnezję. Chodź, im szybciej sprawdzimy tę budkę telefoniczną, tym szybciej pojedą do pensjonatu.

PRAWDE MÓWIĄC, PIERWOTNY plan Rebusa zakładał przekimanie się w samochodzie i zażądanie zwrotu kosztów służbowych za nocleg w pensjonacie. Pogoda jednak do tego nie zachęcała, a myśl o spędzeniu nocy w ciasnym aucie nastrajała go depresyjnie... Tak więc w drodze do budki telefonicznej dał znak, by zatrzymali się przed przydrożnym domem z reklamą bed & breakfast. Zapukał do drzwi. Starsza kobieta, początkowo podejrzliwa, ostatecznie potwierdziła, że ma wolny pokój. Rebus poinformował ją, że wróci za godzinę, żeby dać jej czas na wywietrzenie pomieszczenia. Potem jechał za ostrożnie prowadzącym samochód Moffatem do farmy Cragstone.

Nie było to duże gospodarstwo. Krótki podjazd prowadził od głównej drogi do skupiska budynków: domu, zagrody, kilku szop i stodoły. Budka telefoniczna znajdowała się na poboczu głównej drogi, pięćdziesiąt metrów od farmy, po drugiej stronie ulicy, przy zatoczce postojowej dostatecznie dużej, żeby zmieściły się dwa samochody. Budka była stara, czerwona.

– Nie ośmielają się jej ruszyć – powiedział Moffat. – Pani Corbie, właścicielka farmy, dostałaby zawału.

Rebus z początku niewiele z tego zrozumiał, ale potem otworzył drzwi do budki... i zrozumiał. Po pierwsze, miała dywanik, i to nie byle jaki, tylko z wysokim włosiem. Wewnątrz roznosił się zapach odświeżacza powietrza, a w małym szklanym słoju na półce obok aparatu stał bukiet polnych kwiatów.

– Jest utrzymana lepiej niż moje mieszkanie – powiedział Rebus. – Kiedy mogę się wprowadzić?

– Dzieło pani Corbie – wyjaśnił z uśmiechem Moffat. – Uważa, że brudna budka telefoniczna źle by o niej świadczyła, skoro jej dom stoi najbliżej. Utrzymuje ją w dobrym stanie od Bóg wie kiedy.

Szkoda. Rebus miał nadzieję znaleźć jakąkolwiek wskazówkę, cokolwiek. Założywszy, że coś tam wcześniej było, na pewno zostało usunięte...

– Chciałbym porozmawiać z panią Corbie.

– Jest wtorek – powiedział posterunkowy. – A we wtorki odwiedza siostrę.

Rebus wskazał na jezdnię, gdzie gwałtownie zahamował samochód, sygnalizując, że wjeżdża na podjazd do gospodarstwa.

– A to kto?

Moffat spojrział, po czym uśmiechnął się zimno.

– Jej syn, Alec. Chuligan. Nic nam nie powie.

– Stwarza problemy?

– Głównie przekroczenia prędkości. To jeden z miejscowych młodocianych piratów drogowych. Nie może go za to winić, nastolatki nie mają tu za wiele rozrywek.

– Przecież ty też właściwie jesteś nastolatkiem, synu. A nie pakujesz się w kłopoty.

– Ja miałem kościół, panie inspektorze. Niech pan mi wierzy, trzeba się liczyć z karą Bożą...

Z GOSPODYNIĄ REBUSA, PANIĄ Wilkie, również należało się liczyć. Zaczęło się od chwili, gdy przebierał się w swoim pokoju, ładnym, może nieco przesadnie upstrzonym falbankami i innymi zdobieniami, za to z wygodnym łóżkiem i dwunastocalowym czarno-białym telewizorem. Pani Wilkie pokazała mu kuchnię i zachęciła, żeby czuł się swobodnie i robił sobie herbatę i kawę, kiedy najdzie go ochota. Potem zaprowadziła go do łazienki i powiedziała, że jeśli życzy sobie wziąć kąpiel, woda jest gorąca. Następnie wrócili do kuchni i znowu poinformowała go, żeby robił sobie herbatę czy kawę, kiedy najdzie go ochota.

Nie miał serca jej mówić, że już to wszystko słyszał. Była malutka, a jej głos brzmiał cichutko. Między jego pierwszą a drugą wizytą przebrała się w najwytworniejszy strój właścicielki pensjonatu i zawiesiła na szyi perły. Przypuszczał, że jest grubo po siedemdziesiątce. Była wdową, jej mąż Andrew zmarł w 1982 roku i prowadziła B&B „tyle dla towarzystwa, co dla pieniędzy”. Zawsze miewała gości miłych i ciekawych, jak ten kupiec przetworów z Niemiec, który został na kilka nocy zeszej jesieni...

– A oto sypialnia. Przewietrzyłam ją troszkę.

– Bardzo miło z pani strony, dziękuję.

Rebus położył torbę na łóżku, lecz dostrzegł złowieszcze spojrzenie starszej pani i przełożył ją na podłogę.

– Sama zrobiłam tę narzutę – pochwaliła się z uśmiechem. – Onegdaj doradzano mi przejście na zawodową sprzedaż narzut. Ale w moim wieku... – Zaśmiała się. – Powiedział mi to pewien dżentelmen z Niemiec. Przyjechał do Szkocji, żeby kupić marmoladę. Uwierzyłybyś, kochanieńki? Został tu na kilka nocy...

W końcu przypomniała sobie o swoich obowiązkach i oznajmiła, że pójdzie do kuchni przygotować kolację. Kolacja. Rebus łypnął na zegarek. Jeśli czas się nie zatrzymał, nie było jeszcze piątej trzydzieści. Ale poprosił przecież o nocleg ze śniadaniem, uznał więc, że ciepły posiłek wieczorem będzie przyjemnym bonusem. Moffat wskazał mu drogę do najbliższego pubu – „bar dla turystów, ceny dla turystów” – a potem opuścił go, by udać się z powrotem ku niewątpliwym uciechom dla oczu w Dufftown. Kara Boża...

I wtedy to się stało. Rebus właśnie ściągał spodnie, kiedy drzwi się otworzyły i stanęła w nich pani Wilkie.

– Czy to ty, Andrew? Wydawało mi się, że słyszę hałas. – Jej oczy były szkliste, odległe.

Rebus stanął jak zmrożony. Z trudem przełknął ślinę i wyszeptał:

– Idź i zrób nam kolację.

– O tak – powiedziała pani Wilkie. – Musisz być głodny. Tak długo cię nie było...

Kiedy wyszła, pomyślał, że powinien szybko się wykapać. Najpierw zajrzał do kuchni i gdy zobaczył, że gospodyni, nućąc, krząta się przy kuchence, poszedł do łazienki. W drzwiach nie było zamka. A raczej był, ale jego połowa wisiała luźno. Rozejrzał się, lecz nie dojrzał niczego, czym mógłby zaklinować drzwi. Mimo to postanowił zaryzykować i odkręcił oba krany. Woda napływała pod wściekłym ciśnieniem, więc wanna napełniała się szybko. Rozebrał się, zanurzył w gorącej wodzie i zaczął rozmasowywać zeszywniałe od jazdy ramiona. Potem uniósł kolana, żeby ramiona, szyja i głowa wsunęły się pod powierzchnię. Zanurzenie. Rozmyślał o doktorze Curcie, o utonięciu i zanurzeniu. Skóra się marszczy... włosy i paznokcie wypadają... muł w oskrzelach...

Nagły hałas wyrwał go na powierzchnię. Przetarł oczy, zamrugał i ujrzał panią Wilkie, która wpatrywała się w niego ze ścierką do naczyń w dłoni.

– Och! – powiedziała. – Och, przepraszam. – Wybiegła z łazienki i zza drzwi zawołała: – Całkiem zapomniałam, że pan tu jest, kochanieńki! Miałam zamiar... och... nieważne, to może poczekać.

Rebus zamknął oczy i znowu się zanurzył.

POSIŁEK BYŁ, KU JEGO ZASKOCZENIU, dobry, aczkolwiek dziwny. Pudding serowy, gotowane ziemniaki i marchewka. A na deser kupowany budyń z sosem waniliowym, też ze sklepu.

– Praktyczna kuchnia – skomentowała pani Wilkie.

Szok wywołany widokiem nagiego mężczyzny w jej wannie ściągnął ją na ziemię i do końca posiłku rozmawiali o pogodzie, turystach oraz rządzie. Rebus zapytał, czy może umyć naczynia, i na szczęście usłyszał odpowiedź odmowną. Poprosił panią Wilkie o klucz do drzwi wejściowych, po czym z pełnym żołądkiem i czystym ciałem oraz bielizną wyruszył do Heather Hoose.

Nie była to nazwa, którą wybrałby dla własnego pubu. Wszedł do głównej sali, ale panowała w niej martwa cisza, więc pchnął kolejne drzwi i znalazł się w pomieszczeniu z barem, przy którym siedziało dwóch mężczyzn i kobieta, wszyscy tryskający dobrym humorem. Barman pracowicie napełniał szklanki whisky z dozownika. Zmierzyli Rebusa wzrokiem, kiedy podszedł i stanął obok.

– Dobry wieczór.

Skinęli głowami, a barman odwzajemnił pozdrowienie i postawił na barze trzy podwójne porcje whisky.

– Dolicz drinka dla siebie – powiedział jeden z klientów, wręczając mu dziesięciofuntowy banknot.

– Dziękuję – odpowiedział barman. – Strzelę sobie później.

Za szeregiem dozowników, butelek i szklanek była lustrzana ściana, Rebus mógł więc obserwować obecnych, nie zdradzając się niepotrzebnie, że to robi. Mężczyzna, który teraz mówił, z akcentu brzmiał na Anglika. Na dziedzińcu pubu stały tylko dwa samochody, poobijany renault 5 i daimler. Rebus szybko oszacował, kto jest właścicielem którego pojazdu.

– Dla pana? – zapytał barman i zarazem właściciel renault 5.

– Duże eksportowe, poproszę.

– Oczywiście.

Zdziwiło go, że trzech zamożnych angielskich turystów pije przy barze. Może po prostu nie zauważyli, że Heather Hoose ma drugą – elegancką – salę. Cała trójka prezentowała się nieco gorzej niż ich garderoba, pewnie dlatego, że nie wylewali za kołnierz. Kobieta, platynowa blondynka, miała nabrzmiałą twarz. Jej policzki były zbyt czerwone, a rzęsy zbyt czarne. Kiedy zaciągała się papierosem, odchyliła głowę, by wydmuchać dym aż pod sufit. Rebus spróbował policzyć linie na jej szyi, jakby liczył słoje drzewa, żeby rozpoznać jego wiek.

– Proszę.

Na podkładce przed nim wylądowała szklanka piwa. Wręczył barmanowi pięć funtów.

– Cicho tu dziś – rzucił.

– Środek tygodnia i taka pora – wyrecytował barman, który najwyraźniej wcześniej to samo powiedział trójce klientów. – Później zrobi się tłoczniej. – Wycofał się do kasy.

– Jeszcze jedna kolejka i będziesz załatwiona – powiedział Anglik, jedyny z całej trójki, który dokończył whisky.

Był przed czterdziestką, młodszy od kobiety. Wyglądał na człowieka dbającego o formę, zamożnie, lecz zarazem podejrzanie. Może ten rys nadawała mu postura – stał lekko pochylony i przygarbiony, jakby miał się zaraz przewrócić lub rzucić do ataku. Głowa kołysała mu się lekko z boku na bok w rytm mrugnięć zaspanych powiek.

Drugi mężczyzna był jeszcze młodszy, po trzydziestce. Palił francuskie papierosy i wpatrywał się w butelki nad barem. Albo to, pomyślał Rebus, albo patrzy na mnie w lustrze, tak jak ja patrzę na niego. Nie mógł tego wykluczyć. Mężczyzna w efektowny sposób strzepywał popiół z papierosa. Rebus zauważył, że pali bez zaciągania się, po prostu wpuszczał dym do ust i wypuszczał jednym mocnym haustem. Podczas gdy jego towarzysze stali, on siedział na stołku barowym.

Rebus musiał przyznać, że ci ludzie go zaintrygowali. Dziwna trójka. A wkrótce miało się wydarzyć coś jeszcze dziwniejszego...

Do eleganckiej sali weszło kilka osób sprawiających wrażenie, że chcą tam zostać. Barman poszedł tam, by ich obsłużyć, co oburzyło mężczyzn przy barze.

- Boże, co za tupet! - rzucił jeden z nich, ten przygarbiony. - Jeszcze nie skończył nas obsługiwać.
- Jamie, chyba aż tak nas nie suszy?
- Mów za siebie. Pierwszą whisky ledwie poczułem w gardle. Trzeba było od razu wziąć cztery.
- Weź moją, jeśli masz zrzędzić - zaproponowała kobieta.
- Nie zrzędzę. - Mężczyzna jeszcze bardziej się nabzdyczył.
- No to się pierdol.

Rebus musiał stłumić uśmiech. Kobieta wypowiedziała te słowa, jakby stanowiły część każdej uprzejmej rozmowy.

- Ty też się pierdol, Louise.
- Ciii - syknął ten, co palił francuskie papierosy. - Pamiętajcie, że nie jesteśmy tu sami...

Drugi mężczyzna i kobieta spojrzeli na Rebusa, który siedział wpatrzony wprost przed siebie, ze szklanką przy ustach.

- Owszem, jesteśmy - skwitował mężczyzna. - Wszyscy jesteśmy sami...

I na tym rozmowa się skończyła, bo wrócił barman.

- To samo, jeśli łaska - powiedział ten przygarbiony.

Wkrótce potem atmosfera się podgrzała. Pojawiło się trzech miejscowych, którzy przy pobliskim stoliku zaczęli grać w domino. Rebus zastanawiał się, czy zapłacono im za wejście i przydanie miejsca lokalnego kolorytu, chociaż więcej kolorytu miał mecz towarzyski drużyny Meadowbank Thistle z Raith Rovers. Między Rebusa a dziwną trójkę wcisnęło się dwóch amatorów trunków. Z wyrazu ich twarzy dawało się wyczytać, że uznali za zniewagę to, że w pubie są inni pijący i w dodatku stoją obok nich przy barze. Pili więc w gorzkim milczeniu, wymieniając wymowne spojrzenia, ilekroć Anglik lub dwójka jego przyjaciół ośmielili się powiedzieć choć słowo.

- Słuchajcie, czy dzisiaj wracamy? - zaczęła kobieta. - Jeśli nie, lepiej pomyślmy o zakwaterowaniu.

- Moglibyśmy przenocować w domu, w lesie.

Rebus odstawił szklankę.

- Upadłeś na głowę - rzuciła kobieta.
- Sądziłem, że właśnie dlatego tu jesteśmy?
- Nie zmrużyłabym oka.

- I słusznie, wyśpisz się po śmierci. - Śmiech Anglika wypełnił cichy bar, ale szybko ucichł.

Domino stuknęło o stół. Potem kolejne. Rebus poszedł do dziwnej trójki.

- Czy dobrze słyszałem, że wspominał pan o domu w lesie?

Anglik zamrugał powoli.

- A co ci do tego?
- Jestem funkcjonariuszem policji.

Rebus wyciągnął identyfikator. Dwóch ponurych stałych bywalców dopiło drinki i opuściło bar. Zabawne, jak legitymacja policyjna działa na człowieka.

- Detektyw inspektor Rebus. Który dom miał pan na myśli?

Wszyscy troje wyglądali teraz na zupełnie trzeźwych. To była gra, ale dobra gra. Lata nauki.

– Panie funkcjonariuszu policji, a panu co do tego? – odezwał się Anglik.

– A to zależy, o którym domu pan wspomniał. W Dufftown jest ładny posterunek policji, jeśli wolałby pan ze mną tam pojechać...

– Deer Lodge – odezwał się palacz francuskich papierosów. – To dom naszej przyjaciółki.

– To był dom naszej przyjaciółki – poprawiła go kobieta.

– Więc byli państwo przyjaciółmi pani Jack?

Byli. I przedstawili się. Anglik okazał się Szkotem, Jamiem Kilpatrickiem, handlarzem antykami. Kobieta – Louise Patterson-Scott, żoną (w separacji) potentata branży handlu detalicznego. Drugim mężczyzną był Julian Kaymer, malarz.

– Rozmawiałem już z policją – oświadczył ten ostatni. – Dzwonili do mnie wczoraj.

Rzeczywiście wszyscy zostali przesłuchani i zapytani o ostatnie poczynania pani Jack; nie widzieli jej od tygodni.

– Rozmawiałam z nią przez telefon – oznajmiła pani Patterson-Scott. – Kilka dni przed jej wyjazdem. Nie powiedziała, dokąd się wybiera, mówiła tylko, że marzy o kilku dniach w samotności.

– Więc co tu wszyscy robicie? – zapytał Rebus.

– To jest stypa – oznajmił Kilpatrick. – Nasz mały akt przyjaźni, nasz czas żałoby. Więc może się pan odpieprzysz i pozwolisz nam kontynuować?

– Proszę go zignorować, inspektorze – wtrącił Julian Kaymer. – Jest nieco... wkurzony.

– Owszem, jestem trochę zdenerwowany – przyznał Kilpatrick.

– Rozemocjonowany – podsunął Rebus.

– Otóż to, inspektorze.

– To był mój pomysł – powiedział Kaymer. – Skontaktowaliśmy się telefonicznie. Żadne z nas nie było w stanie unieść tej tragedii. Byliśmy zdruzgotani. Powiedziałem więc: dlaczego nie pojechać do Deer Lodge? Bo tam widzieliśmy się po raz ostatni...

– Na przyjęciu? – zapytał Rebus.

Kaymer skinął głową.

– Miesiąc temu.

– Cholernie dobra balanga – potwierdził Kilpatrick.

– No więc postanowiliśmy przyjechać tutaj i wychylić kilka głębszych ku pamięci Lizzie, a potem wrócić do siebie – oznajmił Kaymer. – Nie wszystkim udało się dotrzeć, wcześniejsze zobowiązania i tak dalej. A my, jak widać, jesteśmy.

– Rozumiem – rzucił Rebus. – Chciałbym, żebyście zajrzeli do jej domu. Ale nocą to nie ma sensu. I nie chciałbym, żebyście wybierali się tam na własną rękę. Policja sprawdza to miejsce, trzeba pobrać odciski palców.

Zamienili się w słup soli.

– Nie słyszeliście? – zapytał Rebus i dopiero po chwili przypomniał sobie, że Curt ujawnił swoje odkrycia dopiero tego ranka. – Trwają poszukiwania zabójcy. Pani Jack została zamordowana.

– Och, nie!

– Chryste...

– Zaraz chyba się porz...

I Louise Patterson-Scott, żona i tak dalej, zwymiotowała na dywan na podłodze. Julian Kaymer szlochał, a z twarzy Jamiego Kilpatricka odpłynęła cała krew. Barman gapił się na nich z przerażeniem, gracze w domino przerwali grę. Jeden z nich musiał powstrzymać psa przed badaniem śladów. Zwierzę skuliło się pod stołem i oblizało pysk.

Koloryt lokalny. Atrakcje zapewnia inspektor John Rebus.

OSTATECZNIE ZNALEŻLI HOTEL niedaleko Dufftown i ustalili, że wszyscy troje zostaną tam na noc. Rebus zastanawiał się, czy nie zapytać pani Wilkie o dostępność wolnych pokoi, ale zmienił zdanie. Tamci zatrzymają się w hotelu, a rano spotkają z nim w domu w lesie. Jak najwcześniej, przecież niektórzy mieli pracę, do której musieli wrócić.

Kiedy stanął się z powrotem w pensjonacie, pani Wilkie dziergała na drutach przy kominku gazowym, oglądając film w telewizji. Wsunął głowę do salonu.

– Powiem już dobranoc, proszę pani.

– Dobranoc, synku. Pamiętaj o modlitwie. Przyjdę za chwilę utulić cię do snu...

Rebus przygotował sobie kubek herbaty, poszedł do swojego pokoju i krzesłem zabarykadował kłamkę. Otworzył okno, żeby wpuścić trochę powietrza, włączył mały telewizor i padł na łóżko. Coś było nie tak z obrazem, lecz nie potrafił tego naprawić. Zniknęła synchronizacja pionowa. Wyłączył więc telewizor, pogrzebał w torbie i wymacał powieść *Jak ryba bez wody*. Nie miał nic innego do czytania, a z pewnością nie czuł się zmęczony. Otworzył książkę na pierwszym rozdziale.

REBUS OBUDZIŁ SIĘ NASTĘPNEGO ranka ze złym przeczuciem. Spodziewał się, że gdy tylko się odwróci, zobaczy leżącą obok panią Wilkie, która mu powie: „Chodź, Andrew, czas na wypełnienie małżeńskich obowiązków”. Odwrócił się. Pani Wilkie na szczęście nie było obok. Stała za to przed jego drzwiami i próbowała dostać się do środka.

– Panie Rebus, panie Rebus! – Ciche pukanie, potem mocniejsze. – Zdaje się, że drzwi się zacięły, panie Rebus! Obudziłeś się, kochanieńki? Przyniosłam filiżankę herbaty.

Zdążył wstać z łóżka i częściowo się ubrać.

– Idę, proszę pani.

Staruszka wpadła jednak w panikę.

– Jest pan zamknięty, panie Rebus. Drzwi się zacięły! Czy wezwać stolarza? O Jezusie...

– Proszę zaczekać, chyba je naprawiłem. – Z wciąż niezapiętą koszulą Rebus przycisnął ciało do drzwi, by były nadal zamknięte, i jednocześnie odsunął krzesło, rozciągając się tak, żeby odepchnąć je jak najbliżej łóżka. Demonstracyjnie uderzył w krawędź drzwi, a potem je otworzył.

– Wszystko w porządku, panie Rebus? Oj, kochanieńki, nigdy dotąd coś takiego się nie zdarzyło. A niech to...

Wziął filiżankę ze spodkiem z jej dłoni i przelał herbatę ze spodka z powrotem do filiżanki.

– Dziękuję pani. – Urządził pokaz wachania. – Czy coś się nie przypała?

– O Jezusie, tak, śniadanie!

Zeszła po schodach na parter. Rebus poczuł się trochę winny z powodu tego numeru z „zatrzaśniętymi drzwiami”. Po śniadaniu pokaże jej, że naprawdę są sprawne, że nie musi dzwonić do jakichś wiejskich stolarzy, żeby je naprawili. Na razie jednak czekał go proces powrotu do przytomności. Była siódma trzydzieści. Herbata zimna, ale dzień wyjątkowo ciepły. Przez chwilę

siedział na łóżku, zbierając myśli. Jaki to właściwie dzień? Środa. Co powinien dziś zrobić? I w jakiej kolejności? Wrócić do chaty z Trójką Amigos. Była jeszcze pani Corbie, z którą warto porozmawiać. I jeszcze coś... co zaprzętało mu głowę w nocy, gdy dryfował między snem a jawą. A czemu nie? Skoro już jest w okolicy... Zadzwoń po śniadaniu. Smażonym, sądząc po zapachu, a nie musli czy płatkach Bran Crunch jak u Patience. Ach... jeszcze Patience. Zamierzał zadzwonić do niej poprzedniego wieczoru. Zrobi to dzisiaj. Myślał o niej przez chwilę, o niej i jej kolekcji zwierzaków. Skończył się ubierać i zszedł na dół.

DO DEER LODGE DOTARŁ JAKO pierwszy. Po wejściu do środka poszedł prosto do salonu i od razu zauważył ewidentne zmiany. Dom był bardziej schludny. Czystszy? No cóż, powiedzmy, że mniej zagracony niż za jego pierwszej wizyty. Wyglądało na to, że zniknęła połowa butelek. Zastanawiał się, czego jeszcze brakuje. Podniósł rozrzucone poduszki, na próżno szukając lusterka. Cholera. Niemal pędem pobiegł do kuchni. Zlew i podłogę pokrywały kawałki roztrzaskanej szyby. Tutaj bałagan był tak samo straszny jak poprzedniego dnia, tyle że zniknęła mikrofalówka. Wspiął się schodami na górę... powoli. Dom wydawał się pusty, ale nigdy nie wiadomo. Łazienka i mała sypialnia prezentowały się tak samo jak wczoraj. Podobnie jak główna sypialnia... Nie, chwila... Rajstopy zostały odwiązane od słupków łóżka i teraz leżały niewinnie na podłodze. Rebus przykucał i podniósł jedną parę. Odłożył je i zamyślony zszedł na dół.

Włamanie, tak. Włamanie i kradzież mikrofalówki. A przynajmniej na pierwszy rzut oka, bo przecież żaden drobny złodziejasek nie zabrałby pustych butelek i lusterka; żaden drobny złodziejasek nie miałby też powodu odwiązywać rajstopy od łóżka. Lecz intruz najwyraźniej nie skupił się na łupie. Skupił się na dowodach – musiały zniknąć. Tyle że Rebus nie będzie miał tego jak udowodnić.

„Tak, jestem pewien, że w salonie było lusterko – powie. – Leżało na podłodze, małe lusterko, na którym widziałem ślady białego proszku...”

„I jesteś pewien, że to nie było tylko przywidzenie, inspektorze? Nie sądzisz, że mogłeś się pomylić?”

Nie, nie mógł. Cały jego plan spalił jednak na panewce. Po co ktoś miałby zabierać butelki... co więcej, tylko niektóre? Niezaprzeczalnie dlatego, że na części z nich musiały znajdować się odciski. Po co kraść lusterko? Niewykluczone, że też dla odcisków palców...

Trzeba było pomyśleć o tym wczoraj, John. Dureń z ciebie, kompletny dureń.

– Dureń, dureń, dureń.

Bo to wszystko była jego wina. Czy nie powiedział Trójce Amigos, żeby nie zbliżali się do domu, ponieważ nie pobrano jeszcze odcisków palców? I pozwolił im odejść, zostawiając dom bez straży. Posterunkowy powinien był spędzić tu całą noc.

– Dureń, dureń.

To musiało być któreś z nich. Kobieta albo jeden z mężczyzn. Ale po co? Po co mieliby to robić? Żeby nie można było im udowodnić, że w ogóle tutaj byli? I znówu: ale po co? To wszystko nie miało sensu. Najmniejszego sensu.

– Dureń.

Usłyszał, jak pod domem zatrzymuje się samochód, i wyszedł na zewnątrz. To był daimler. Kilpatrick za kierownicą, Patterson-Scott na siedzeniu pasażera, a z tyłu Julian Kaymer. Kilpatrick wyglądała na mniej spiętego niż wczoraj.

- Dzień dobry, inspektorze.
- Dzień dobry. Jak się podobało w hotelu?
- Powiedziałbym, że było przyzwoicie. Tylko przyzwoicie.
- Lepiej niż przeciętnie – wtrącił Kaymer.
- Julian, jeśli ktoś jest przyzwyczajony do doskonałości, tak jak ja, nie uznaje już „przeciętności” i „lepszego niż” – zwrócił się do niego Kilpatrick.

Kaymer wystawił język.

- Oj, dzieci, dzieci – skarciła ich Louise Patterson-Scott.
- Wszyscy troje wyglądali na beztroskich.
- Widzę, że humor dziś panu dopisuje – powiedział Rebus.
 - Porządny sen i długie śniadanie – odpowiedział Kilpatrick, poklepując się po brzuchu.
 - A więc całą noc spędzili państwo w hotelu?
- Wydawało się, że nie rozumieją jego pytania.
- Nie wybrali się państwo na przejażdżkę?
 - Nie – odparł Kilpatrick ostrożnie.
 - To pana samochód, prawda, panie Kilpatrick?
 - Mój...
 - I wczoraj wieczorem trzymał pan przy sobie klucze?
 - Niech pan posłucha, inspektorze...
 - Tak czy nie?
 - Chyba tak. W kieszeni marynarki.
 - Wisiała w pana pokoju?
 - No jasne. Czy możemy wejść do...
 - Czy ktoś przebywał w pana pokoju?
 - Inspektorze – wtrąciła Louise Patterson-Scott – może raczyłby pan wyjaśnić...
 - Ktoś włamał się w nocy do tego domu i zabrał potencjalne dowody. To poważne przestępstwo, proszę pani.
 - I pan sądzi, że to ktoś z nas?
 - Jeszcze nic nie sądzę. Ale ktokolwiek to zrobił, musiał tu przyjechać. Pan Kilpatrick ma samochód.

- Julian i ja również potrafimy prowadzić, inspektorze.

- Ależ naturalnie – powiedział Kaymer. – A poza tym wszyscy poszliśmy do pokoju Jamiego na brandy na dobry sen...

- Więc każde z państwa mogło wziąć samochód?

Kilpatrick wzruszył ramionami.

- Nadal nic nie rozumiem – oświadczył. – Na jakiej podstawie uważa pan, że mielibyśmy...

- Jak już mówiłem, ja nic nie uważam – sprostował Rebus. – Wiem tylko, że toczy się dochodzenie w sprawie zabójstwa, a ostatnie znane miejsce pobytu pani Jack to Deer Lodge, a teraz ktoś próbuje ukrywać dowody. – Rebus zawiesił głos. – To wszystko, co wiem. Mogą państwo wejść do środka, ale proszę niczego nie dotykać. Chciałbym zadać wam wszystkim kilka pytań.

TAK NAPRAWDĘ CHCIAŁ ZAPYTAĆ: „Czy dom jest w takim stanie, w jakim pamiętają go z ostatniej imprezy?”. Ale za dużo oczekiwał. Owszem, pamiętali, że pili szampana, armaniak oraz dużo wina. Pamiętali, jak prażyli popcorn w mikrofalówce. Niektórzy goście odjechali lekkomyślnie w ciemną noc, podczas gdy inni zasnęli tam, gdzie leżeli, albo dowlekli się do którejś z sypialni. Nie, Gregor nie był obecny. Nie lubił przyjąć. W każdym razie nie tych organizowanych przez żonę.

– Stary Gregor to nudziarz – skomentował Jamie Kilpatrick. – Przynajmniej za takiego go miałem, dopóki nie wpadł mi w ręce artykuł o burdelu. Ukazał go...

Ale była też inna impreza. Jakies trzy tygodnie temu. Barney Byars opowiedział o niej, gdy Rebus spotkał się z nim w pubie. „Impreza weekendowa. Głównie Paczka”. Kto jeszcze wiedział, że Rebus tu jedzie? Kto wiedział, co może odkryć? Kto jeszcze chciał go powstrzymać przed znalezieniem wskazówek? No cóż, wiedział Gregor Jack. A skoro wiedział on, mogła też wiedzieć Paczka. Nawet jeśli nie jedno z tych trojga, to ktoś inny.

– Dziwne, nie? – rzuciła Louise Patterson-Scott. – Pomyśleć, że nie będziemy już urządzać spotkań... pomyśleć, że Liz tu nie będzie... że odeszła...

Rozpłynęła się we łzach. Jej płacz był głośny i rozdzierający. Jamie Kilpatrick objął ją ramieniem, a ona wtuliła twarz w jego pierś. Wyciągnęła rękę do Juliana Kaymera i przyciągnęła go, żeby i on mógł się znaleźć w pocieszających objęciach.

I taką oto scenę zastał przybyły chwilę później posterunkowy Moffat...

REBUS, Z POCZUCIEM, ŻE NAPRAWDĘ zarygłował drzwi, tym razem zostawił Moffata na straży, zresztą wbrew woli młodego człowieka. Przed lunchem miała się stawić w Deer Lodge ekipa techników, a wraz z nią detektyw sierżant Knox.

– W lazience jest kilka magazynów, jeśli potrzebujesz czegoś do czytania – powiedział chłopakowi Rebus. – Albo jeszcze lepiej, zaczekaj... – Otworzył samochód, sięgnął do torby i wyciągnął z niej książkę *Jak ryba bez wody*. – Nie musisz jej oddawać. Potraktuj ją jako rodzaj prezentu.

Potem, gdy daimler już odjechał, Rebus wsiadł do własnego samochodu, pomachał Moffatowi i wyruszył w drogę. Wczoraj wieczorem przeczytał tę książkę, każde jej zdanie. Była to straszliwa romantyczna opowieść o skazanej na porażkę miłości między młodym włoskim rzeźbiarzem a zamożną znudzoną mężatką. Rzeźbiarz przyjechał do Anglii, by pracować nad zleceniem dla jej męża. Początkowo traktowała go jak zabawkę, ale z czasem się zakochała. Tymczasem rzeźbiarz, początkowo nią oczarowany, przeniósł zainteresowanie na jej siostrzenicę. I tak dalej.

Rebus odniósł wrażenie, że to z powodu tytułu Ronald Steele wyrwał ją z półki i rzucił tak zapalczywie. Tak, musiało chodzić o ten konkretny tytuł (a także tytuł dzieła młodego rzeźbiarza). Rybą wyjętą z wody była Liz Jack. Rebus zastanawiał się jednak, czy wyszła z wody, czy z głębi osobistego piekła...

POJECHAŁ NA FARMĘ Cragstone. Zaparkował na podwórku za domem, rozpedzając kurczaki i kaczki. Pani Corbie tym razem była w domu i zabrała go do kuchni, gdzie unosił się wspaniały zapach domowych wypieków. Duży stół kuchenny był biały od mąki, ale zostało na nim już tylko kilka kul ciasta. Rebus nie mógł nie przypomnieć sobie sceny z filmu *Listonosz zawsze dzwoni dwa razy*...

– Niech siada – rozkazała. – Akurat zrobiłam dzbanek...

Rebus dostał herbatę, a także porcję wczorajszych babeczek owocowych ze świeżym masłem oraz gęstym dżemem truskawkowym.

– Czy kiedykolwiek myślała pani o wynajmowaniu w swoim domu pokoi, o czymś w rodzaju bed and breakfast?

– Ja?! Gdzie tam, nie miałabym cierpliwości.

Wycierała ręce w białe bawełniane fartuch. Rebusowi zdawało się, że nie przestaje tego robić.

– I to nie z braku miejsca – dodała. – Mąż zmarł w zeszłym roku, teraz jesteśmy tylko ja i Alec.

– Słucham? Prowadzicie gospodarstwo we dwoje?

Skrzywiła się.

– Raczej je rujnujemy. Alec nie jest gorliwym farmerem. Grzech, ale co zrobić. Mamy kilku pracowników, widzą jednak, że robota w gospodarstwie go nie obchodzi, więc dlaczego miałyby obchodzić ich? Pewnie lepiej by było to wszystko sprzedać. Alec by tego chciał. I może tylko to mnie powstrzymuje... – Spojrzała na swoje ręce i po chwili uderzyła nimi o uda. – Psianoga, czy inspektor w ogóle mnie słucha?! No, ale dobrze, czego chce?

Po tylu latach na służbie w policji Rebus uznał, że w końcu spotkał kogoś o czystym sumieniu. Zwykle nie musiał czekać tak długo, aż usłyszy pytanie, czego chce. A jeśli tak się działo, znaczyło to, że dana osoba albo już wiedziała, czego od niej chce, albo nie miała absolutnie nic do ukrycia lub stracenia. Przystąpił więc do rzeczy.

– Zauważyłem, że budka telefoniczna lśni na błysk. Zastanawiałem się, czy nie zauważyła pani ostatnio czegoś podejrzanego? To znaczy czegoś lub kogoś w budce?

– Hm... niech pomyślę. – Przyłożyła dłoń do policzka. – Nie, nic sobie nie przypominam... A o co dokładnie inspektor pyta?

Rebus nie patrzył jej w oczy, bo wiedział, że zaczęła go okłamywać.

– Na przykład o kobietę... o jakiś zostawiony tam przedmiot... kartkę lub numer telefonu... cokolwiek.

– Nie, nic w budce nie widziałam.

– A poza budką? – Jego głos trochę stwardniał. – Konkretnie tydzień temu, w ostatnią środę, a może we wtorek...

Pokręciła głową.

– Weźmie jeszcze babeczkę – rzuciła.

Sięgnął po smakołyk i jadł powoli, w milczeniu. Pani Corbie wyglądała, jakby zbierała wspomnienia. Wstała i zajrzała do piekarnika, a potem wlała do filiżanki Rebusa resztę herbaty z dzbanka i wróciła na swoje miejsce. Położyła dłonie na kolanach i w milczeniu zaczęła się w nie wpatrywać.

– Czy była pani w domu w zeszłą środę?

Skinęła głową.

– Ale nie we wtorek – powiedziała. – We wtorki jeżdżę do siostry. Ale w środę byłam, cały dzień.

– A pani syn?

Wzruszyła ramionami.

– Mógł być. A może był w Dufftown. Często się gdzieś włóczy...

– Nie ma go teraz?

– Nie, pojechał do miasta.

– Do którego miasta?

– Tego nie wiem. Ot, mówił, że wychodzi.

Rebus wstał i podszedł do kuchennego okna. Wychodziło na podwórkę, gdzie kurczaki dziobały opony jego samochodu. Jeden siedział na masce.

– Czy z domu widać budkę? – spytał Rebus.

– Ech... Tak, z salonu. Ale nie spędzamy tam dużo czasu... to znaczy ja nie spędzam. Wolę być tutaj, w kuchni.

– Mogę rzucić okiem?

Było oczywiście, kto spędzał czas w salonie. Z kanapy wiodła prosta linia do stolika kawowego, a potem do telewizora. Na stoliku widniały okręgi od zbyt wielu gorących kubków, a pod nim wałały się trzy puste puszkę po piwie. Na podłodze przy kanapie stała popielniczka i leżały pozostałości po ogromnej torbie chipsów. Pani Corbie cmoknęła głośno i zabrała się za zbieranie puszek. Rebus tymczasem podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

Zobaczył budkę w oddali, lecz niewyraźnie. Możliwe, że Alec Corbie coś widział. Możliwe, ale wątpliwe. Nie było sensu tego sprawdzać. Przyśle tu detektywa sierżanta Knoxa, żeby przesłuchał Aleca i jego matkę.

– No dobrze – powiedział. – Dziękuję pani za pomoc.

– Och. – Jej ulga była wyraźna. – Nie ma za co, inspektorze. Odprowadzę.

Ale Rebus wiedział, że ma jeszcze asa w rękawie, i warto było nim zagrać. Stał z gospodynią na podwórzu i rozejrzał się.

– Kiedy byłem chłopcem, uwielbiałem farmy. Mój kumpel mieszkał na farmie – skłamał gładko. – Chodziłem do niego co wieczór po podwieczorku. Wspaniałe wspomnienia. – Posłał szeroki, nostalgiczny uśmiech w jej stronę. – Pozwoli pani, że się przespaceruję?

Ulga zniknęła, zastąpiona czystym przerażeniem, co nie powstrzymało Rebusa, a raczej go zachęciło, tak że zanim kobieta się zorientowała, już przechodził od klatek dla zwierząt do chlewów, zaglądał, szedł dalej. Minął kury i rozbudzone kaczki, wszedł do stodoły. Słoma pod stopami i silny zapach bydła. Betonowe boksy, zwinięte węże ogrodowe, ciekący kran. Pod stopami kałuże wody. Jedna niezbyt zdrowo wyglądająca krowa wyszła z zagrody i zamrugła do niego powoli. Ale inwentarz nie wzbudził w nim niepokoju. Wzbudziła go wodoodporna plandeka w rogu.

– Co tam jest pod spodem, proszę pani?

– To własność Aleca! – wrzasnęła. – Nie wolno ruszać! To nie ma nic wspólnego z...

Ale Rebus już zdjął plandekę. Co spodziewał się znaleźć? Może coś, może nic. Znalazł czarne bmw serii 3 z tablicą rejestracyjną Elizabeth Jack. Teraz przyszła kolej, żeby to on głośno cmoknął, najpierw jednak wziął głęboki wdech i powstrzymał okrzyk radości.

– A niech mnie! – rzucił. – To dokładnie ten samochód, którego szukałem!

Ale pani Corbie go nie słuchała.

– To dobry chłopak, muchy by nie skrzywdził – powiedziała. – Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

Powtarzała to na okrągło, podczas gdy Rebus krążył wokół samochodu, nie spuszczać go z oczu, ale go nie dotykając. Na szczęście ekipa techników była już w drodze. Roboty im nie zabraknie...

Ale zaraz... co to jest? Na tylnym siedzeniu. Coś wciśniętego w kąt. Zajrzał do środka przez przyciemnianą szybę.

– Oczekuj nieoczekiwanego, John – szepnął do siebie.

Była to mikrofalówka.

Duthil

REBUS ZADZWONIŁ DO EDYNBURGA, żeby złożyć raport i poprosić o dodatkowy dzień pobytu na północy. Lauderdale na wieść, że samochód został odnaleziony, był pod takim wrażeniem, że Rebus zapomniał poinformować go o włamaniu do domu w lesie. Kiedy Alec Corbie dotarł na farmę (prowadził po pijanemu, ale mniejsza z tym), został aresztowany i przewieziony do Dufftown. Rebus eksploatował miejscową policję ponad jej normę; detektywa sierżanta Knoxa trzeba było ściągnąć z Deer Lodge i sprowadzić do Corbiech. Wyglądał na starszego brata posterunkowego Moffata, a może na bliźniego kuzyna.

– Chciałbym, żeby kryminaliści sprawdzili samochód – oznajmił Rebus. – To priorytet, dom w lesie może zaczekać.

Knox potarł podbródek.

– Potrzebna będzie laweta.

– Lepsza byłaby przyczepa.

– Zobaczymy, co da się zrobić. Gdzie go zabrać?

– Gdziekolwiek w bezpieczne miejsce, pod dach.

– Do garażu policyjnego?

– Może być.

– Czego dokładnie szukamy?

– Bóg jeden wie.

Rebus wrócił do kuchni, gdzie pani Corbie siedziała przy stole i wpatrywała się w przypalone ciastka. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował. Oczywiście, że była współwinna. Okłamała go, żeby chronić syna. Ale teraz dorwali chłopaka i to on ich interesował. Najciszej, jak mógł, Rebus wyszedł z domu i uruchomił samochód, po czym zerknął przez przednią szybę na maskę, gdzie jeden z kurczaków zostawił mu mały prezent.

SKORZYSTAŁ Z UPRZEJMOŚCI komisariatu policji w Dufftown i przesłuchał Aleca Corbiego.

– Tkwisz w głównie po same uszy, synu. Zacznij od początku i radzę ci niczego nie pomijać.

Wcześniej obaj, siedząc naprzeciwko siebie przy stole, palili papierosy. Detektyw sierżant Knox, oparty o ścianę za Rebusem, nie palił. Przesłuchiwany przywdział wyjątkowo cienką maskę nonszalanckiego macho, lecz inspektor szybko zdał mu ją z gęby.

– To dochodzenie w sprawie zabójstwa – oznajmił. – Samochód ofiary został znaleziony w waszej stodole. Zostanie sprawdzony pod kątem odcisków palców, a jeśli znajdziemy twoje, będę musiał oskarżyć cię o zabójstwo. Więc lepiej powiedz coś, co może pomóc w twojej sprawie. – Po grymasie

twarży chłopaka poznał, że zaczęło to do niego docierać. – Tkwisz w gównie po same uszy, synu – powtórzył. – Zacznij od początku i niczego nie pomijaj.

Corbie^{*} skrzeczał jak jego ptasi imiennik; melodia nie była miła dla ucha, ale brzmienie miała szczere. Najpierw jednak poprosił o paracetamol.

– Cholernie boli mnie głowa.

– Skutki chlania w ciągu dnia – powiedział Rebus, przekonany, że powodem cierpienia chłopaka nie jest alkohol, lecz jego odstawienie.

Gdy przyniesiono tabletki, Corbie łyknął je i popił wodą. Zakaszał nieco, po czym zapalił kolejnego papierosa. Rebus zdusił swojego. Palenie coraz mocniej dawało mu się we znaki.

– Samochód stał na poboczu – zaczął chłopak. – Stał tam przez całe godziny, no więc poszedłem i sobie go obejrzałem. Kluczyki wciąż były w stacyjce. Odpaliłem go i przywiozłem na farmę.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Darowanemu koniowi w zęby się nie zagłada. – Uśmiechnął się. – Czy raczej koniowi mechanicznemu.

Obaj detektywi siedzieli niewzruszeni.

– Nie pomyślałeś, że właściciel może po niego wrócić?

Znowu wzruszył ramionami.

– Prawdę mówiąc, nie myślałem o tym. Wiedziałem tylko, że jak ruszę na miasto beemą, koleisie żółtkną z zazdrości.

– Miałeś zamiar się ścigać? – Pytanie zadał detektyw sierżant Knox.

– Jasne.

– Zabierają auta na podrzędne drogi i ścigają się jeden na jednego – wyjaśnił Knox.

Rebus przypomniał sobie słowa Moffata: „młodociany pirat drogowy”.

– Nie widziałeś więc właścicielki? – zapytał.

Corbie wzruszył ramionami.

– Mów – ponaglił go inspektor.

– Nie wiem, może i widziałem. W zatoczce stał jeszcze jeden samochód. Była w nim para, klóciła się. Słyszałem ich z podwórka.

– Co widziałeś?

– Tylko to zaparkowane bmw i ten drugi samochód przed nim.

– Nie przyjrzałeś się drugiemu?

– Nie. Ale słyszałem krzyki, kobiety i mężczyzny.

– O co się klóciła?

– Nie mam pojęcia.

– Nie?

Corbie stanowczo pokręcił głową.

– W porządku – rzucił Rebus. – I to było...?

– W śróde. W śróde rano. Może w porze lunchu.

Rebus skinął głową w zamyśleniu. Powinien zweryfikować to, co usłyszał.

– Gdzie przez cały ten czas była twoja matka?

- W kuchni, jak zawsze.
- Wspomniałeś jej o tej kłótni?

Chłopak pokręcił głową.

- A po co? To bez sensu.

Rebus ponownie skinął głową. Środa rano: tego dnia została zabita Elizabeth Jack. Kłótnia na poboczu drogi...

- Jesteś pewien, że to była kłótnia?

– Miewałem z ludźmi na pieriku, wiem, co widziałem, jasne? Awantura na cztery fajerki. Kobieta wrzeszczała.

- Coś jeszcze, Alec?

Corbie najwyraźniej się odprężył, kiedy Rebus zwrócił się do niego po imieniu. Może jednak nie będzie miał kłopotów, jeżeli im powie...

– Potem ten drugi samochód zniknął, ale bmw wciąż stało. Nie widziałem, czy ktoś w nim był, bo ma przyciemniane szyby. Ale grało radio. A później, po południu...

- A więc samochód stał tam przez kilka godzin?

– Zgadza się. A po południu...

- O której dokładnie?

– Cholera wie. W telewizji leciały chyba wyścigi konne.

- Mów dalej.

– No więc wyjrzałem i pojawił się inny samochód. A może to był ten sam, tylko wrócił.

- I nadal niewiele widziałeś?

– Za drugim razem widziałem go lepiej. Nie szałem marki, ale był niebieski, jasnoniebieski. Tego jestem pewien.

Samochody trzeba było sprawdzić... Daimler Jamiego Kilpatricka nie był niebieski. Saab Gregora Jacka nie był niebieski. Land rover Raba Kinnoula nie był niebieski.

– W każdym razie – ciągnął Corbie – później było jeszcze więcej wrzasków. Domyśliłem się, że dobiegały z beemy, bo w pewnym momencie ktoś włączył na cały regulator radio.

Rebus skinął głową, doceniając to spostrzeżenie.

- I co wydarzyło się potem?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Znowu zrobiło się cicho. Jak następnym razem wyjrzałem na zewnątrz, drugiego samochodu już nie było, ale bmw wciąż stało. Wybrałem się na spacer i poszedłem tam przez pole. Przyjrzałem się bliżej. Drzwi od strony pasażera były uchylone. Nie wyglądało na to, żeby ktoś tam się kręcił, więc przeszedłem na drugą stronę ulicy... Kluczyki były w stacyjce... – Ostatni raz wzruszył ramionami. Powiedział już wszystko.

I było to niezwykle interesujące. Dwa różne samochody? A może samochód, który był tam rano, wrócił po południu? Do kogo Liz Jack dzwoniła z budki telefonicznej? O co się kłóciła? Czy radio włączono na cały regulator, żeby zamaskować odgłosy szamotaniny, czy może w jej trakcie ktoś niechący przekręcił gałkę odbiornika? W głowie zaczynało mu się kręcić. Zaproponował, żeby napili się kawy. Przyniesiono trzy plastikowe kubki, cukier i talerz z czterema w miarę jadalnymi herbatnikami.

Corbie wydawał się zrelaksowany; siedział na krześle z twardym oparciem, z jedną nogą założoną na drugą, i palił kolejnego papierosa. Knox w tym czasie zjadł wszystkie ciastka.

– No dobra – rzucił Rebus. – To teraz powiedz, jak było z mikrofalówką...

Z mikrofalówką była łatwizna. Okazała się kolejnym skarbem znalezionym na poboczu drogi.

– Chyba nie sądzisz, że w to uwierzymy? – zadrwił Knox.

Ale Rebus był w stanie uwierzyć.

– Mówię prawdę, czy pan w to wierzy, czy nie, sierzancie – odparł swobodnie Corbie. – Jechałem dziś autem i widziałem, jak leży w rowie. Sam nie mogłem w to uwierzyć. A jednak ktoś ją tam wyrzucił. Wyglądała przyzwoicie, więc pomyślałem, że wezmę ją do domu.

– W takim razie po co ją ukryłeś?

Chłopak się poruszył.

– Wiedziałem, że mama pomyśli, że ją ukradłem. A już na pewno nie uwierzyłaby, że ją znalazłem. Postanowiłem trzymać ją z daleka, dopóki nie wymyślę jakiejś historyjki...

– Wczoraj w nocy było włamanie do Deer Lodge – powiedział Rebus. – Słyszałeś coś o tym?

– Tyle, że ten poseł jest właścicielem domu. Ten z burdelu.

– Więc znasz to miejsce. Przypuszczam, że Kuchenkę mikrofalową skradziono podczas tego włamania.

– Może. Ale to nie byłem ja.

– No cóż, tego się wkrótce dowiemy. W domu rozpylane są proszki daktyloskopijne, będziemy mieć odciski palców.

– Sporo proszku zuzywacie – skomentował Corbie. – Więcej niż moja mama do prania.

– Żebyś wiedział. – Rebus wstał. – Ostatnia sprawa, Alec. Samochód. Co powiedziałeś o nim mamie?

– Niewiele. Tylko tyle, że przechowuję go dla przyjaciela.

Pewnie w to nie wierzyła. Ale jeśli straciłaby syna, straciłaby też farmę.

– W porządku, Alec. Pora spisać zeznania – zdecydował Rebus. – Wszystko, co nam mówiłeś. Sierżant Knox ci w tym pomoże. – Zatrzymał się przy drzwiach. – Jeżeli nadal nie będziemy przekonani, że powiedziałeś nam całą prawdę i tylko prawdę, może pogadamy o jeździe po pijanemu, co?

DROGA DO DOMU PANI Wilkie była długa i Rebus pożałował, że nie wynajął pokoju w Dufftown, ale dotarcie na miejsce dało mu też czas do namysłu. Zadzwonił z komisariatu, by przesunąć termin spotkania na rano, co zapewniło mu wolną resztę dnia. Chmury opadły nisko nad wzgórzami. No i po ładnej pogodzie. W ten sposób Rebus zapamiętał Highlands: jako miejsce wabiące i odstrasżające. W przeszłości dochodziło tu do strasznych rzeczy: masakr, przymusowych wysiedleń, krwawych waśni, tak okrutnych jak wszędzie. Przypomniał sobie również przypadki kanibalizmu. Potworności.

Kto zabił Liz Jack? I dlaczego? Mąż był zawsze pierwszym podejrzany. Ale nawet jeśli go podejrzewali, to Rebus nie wierzył w jego winę. Dlaczego nie?

Dlaczego nie?

Sprawdź fakty, John. W środę rano Jack był na spotkaniu w okręgu wyborczym, potem grał w golfa, a wieczorem uczestniczył w jakiejś imprezie... Kto tak twierdził? Sam Jack i Helen Greig. Jego samochód był jednak biały, a białego nie da się pomylić z niebieskim. Poza tym ktoś chciał wpakować

Jacka w poważne kłopoty. I właśnie tę osobę Rebus musiał znaleźć... chyba że była to sama Liz Jack, co też brał pod uwagę. No i te anonimowe telefony... Kto o nich mówił? Tylko Barney Byars. Helen Greig nie była w stanie (lub nie chciała) tego potwierdzić. Rebus zdał sobie sprawę, że naprawdę musi jeszcze raz porozmawiać z Gregorem Jackiem. Czy Liz Jack miała kochanków? Sądząc po tym, czego się o niej dowiedział, pytanie powinno raczej brzmieć: ilu miała kochanków? Jednego? Dwóch? Więcej? A może pochopnie ją osądził na podstawie szczątkowych informacji? W końcu nie wiedział o tej kobiecie prawie nic, poza tym, co sądzą o niej jej sojusznicy i krytycy. Ale jej nie znał. Pomijając to, że sądząc po jej wyborze przyjaciół i wystroju wnętrza, nie mogła się poszczycić dobrym gustem...

CZWARTKOWY PORANEK. Od znalezienia ciała minął tydzień.

Obudził się wcześniej, ale nie spieszył się ze wstaniem i tym razem pozwolił pani Wilkie przynieść mu herbatę do łóżka. Miała dobrą noc; ani razu nie wzięła go za zmarłego męża lub dawno zaginionego syna, uznał więc, że nie zasłużyła, by trzymać ją z dala od jego pokoju. Zaserwowała nie tylko herbatę, ale też ciastka imbirowe. Herbata była gorąca, a dzień chłodny, wciąż szary i dżdżysty. Nieważne. Wróci do cywilizacji, gdy tylko odbędzie pewne spotkanie.

Zjadł pospiesznie śniadanie, a przed wyjściem otrzymał od pani Wilkie całusa w policzek.

– Przyjdź jeszcze kiedyś! – zawołała, machając do niego od drzwi. – Mam nadzieję, że dżem świetnie się sprzedaje...

Deszcz zaczął padać najmocniej w momencie, gdy wysiadły wycieraczki. Rebus zatrzymał samochód, żeby spojrzeć na mapę, a potem wybiegł na zewnątrz, by szybko potrząsnąć wycieraczkami. Zdarzało się to już wcześniej: po prostu się zacinały i można było je naprawić przy użyciu odrobiny siły. Tyle że tym razem odmówiły posłuszeństwa, a w zasięgu wzroku nie było żadnego warsztatu. Jechał więc powoli i po chwili zauważył, że im mocniej pada, tym bardziej przejrzysta staje się przednia szyba. Problemem były drobne opady, zacierające wszelkie kształty i kontury z wyjątkiem tych najbardziej wyraźnych. Ciężkie krople deszczu pojawiały się i znikwały tak szybko, że bardziej oczyszczały przednią szybę, niż przesłaniały widok.

I dobrze, bo deszcz padał przez całą drogę do Duthil.

Szpital psychiatryczny w Duthil został zaplanowany i zbudowany jako wzorcowy ośrodek leczenia więźniów chorych psychicznie. Podobnie jak inne „szpitale specjalne” rozsiane po Wielkiej Brytanii, był to po prostu szpital, a nie więzienie, i jego pensjonariuszy traktowano jak pacjentów, a nie jak więźniów. Leczenie zamiast kary, taką pełnił funkcję; wraz z nowymi budynkami pojawiły się nowoczesne metody terapii i okazywania empatii.

O tym wszystkim opowiedział Rebusowi doktor Frank Forster w przyjemnym, lecz spełniającym swoją funkcję gabinecie. Wczoraj wieczorem Rebus spędził dużo czasu na rozmowie telefonicznej z Patience, która mówiła mu to samo. Dobrze, pomyślał. Ale nadal było to miejsce izolowania. Tym, którzy tu trafiali, nie wyznaczano ram czasowych, żadnego „wyroku”, który trzeba odbyć. Główne bramy były obsługiwane elektronicznie oraz przez strażników i wszędzie za Rebusem zamykano drzwi. A teraz doktor Forster mówił o zapleczu rekreacyjnym, stosunku liczby pracowników do liczby pacjentów, cotygodniowej dyskoteki... Był niewątpliwie dumny z tych osiągnięć. Ale też przesadzał. Rebus widział go jako frontmana, którego rolą było nagłaśnianie walorów tego szpitala, jego opiekuńczego podejścia, wagi leczenia. W poprzednich latach na szpital Broadmoor spadła ostra krytyka. Żeby uniknąć czegoś podobnego, potrzebny był dobry PR. A doktor Forster wyglądał na

świetnego PR-owca. Do jego największych zalet należało to, że był młody, o dobrych kilka lat młodszy od Rebusa. I miał zdrowe, taksujące spojrzenie, z uśmiechem w zanadru.

Przypominał mu Gregora Jacka. Ten entuzjazm i energia, ten wizerunek publiczny. To, co kiedyś Rebus kojarzył z amerykańskimi kampaniami prezydenckimi, teraz można było znaleźć wszędzie. Nawet w wariatkowie. Tyle że wariaci nie przejęli władzy: przejęli ją ludzie od wizerunku.

– Mamy nieco ponad trzystu pacjentów i chcemy, żeby nasi pracownicy poznali ich jak najlepiej – powiedział Forster. – Nie chodzi mi tylko o twarze, ale też o imiona. To nie Bedlam, inspektorze. Te czasy już dawno minęły, dzięki Bogu.

– Ale jesteście jednostką wzmożonego nadzoru.

– Owszem.

– Macie do czynienia z chorymi psychicznie przestępcami.

Forster uśmiechnął się.

– Nie domyśliłby się pan tego, patrząc na naszych pacjentów. Czy pan wie, że większość z nich... według mnie ponad sześćdziesiąt procent... ma ponadprzeciętne IQ? Przypuszczam, że niektórzy są bystrzejści ode mnie! – Uśmiech, a potem znów poważna, troskliwa twarz. – Wielu naszych pacjentów jest zdezorientowanych, cierpi na urojenia, depresję albo schizofrenię. A jednak zapewniam pana, że w niczym nie przypominają szaleńców, których ogląda się na filmach. Weźmy na przykład Andrew Macmillana. – Otworzył akta, które cały czas leżały na jego biurku. – Jest z nami od otwarcia szpitala. Wcześniej przebywał w... mniej akceptowalnym moralnie otoczeniu. Nie zrobił żadnych postępów, zanim tu trafił. Teraz staje się coraz bardziej rozmowny i wydaje się gotowy do uczestnictwa w niektórych dostępnych tu zajęciach. Świetnie gra w szachy.

– Ale czy nadal jest niebezpieczny?

Forster postanowił zignorować to pytanie.

– Cierpi na sporadyczne ataki paniki... hiperwentylację... nie przypominają one jednak szału, w jaki wpadał wcześniej. – Zamknął akta. – Powiedziałbym, inspektorze, że Andrew Macmillan jest na dobrej drodze do całkowitego wyzdrowienia. No dobrze, proszę powiedzieć, z jakiego powodu chce pan z nim rozmawiać?

Rebus opowiedział o Paczce, o przyjaźni między Macmillanem i Gregorem Jackiem, o zabójstwie Elizabeth Jack i o tym, że ofiara przebywała niecałe siedemdziesiąt kilometrów od Duthil.

– Zastanawiałem się, czy nie była u was z wizytą – dodał.

– Możemy to dla pana sprawdzić. – Forster zaczął przeglądać akta. – A to ciekawe... nie ma żadnej wzmianki o znajomości Macmillana z panem Jackiem ani o tym, że nazywano go... Mack, tak? – Sięgnął po długopis. – Muszę to zapisać. – Zrobił to, po czym ponownie przejrzał akta. – Najwyraźniej pan Macmillan pisał do kilku posłów... i do innych osób publicznych. Owszem, pojawia się nazwisko pana Jacka... – Czytał coś przez chwilę, po czym zamknął akta i podniósł słuchawkę. – Audrey, możesz mi przynieść rejestr ostatnich wizyt... powiedzmy, z tego miesiąca? Dziękuję.

Miejscowość Duthil nie zaliczała się do atrakcji turystycznych; mało kto o niej wiedział, nie więc dziwnego, że w księdze wizyt nie było wielu wpisów. Znalezienie tego, na czym Rebusowi zależało, zajęło raptem kilka minut. Jedna wizyta, w sobotę, dzień po operacji Burda, zanim napisano o tym w prasie.

– *Eliza Ferrie* – przeczytał Rebus. – *Odwiedzany pacjent: Andrew Macmillan. Związek z pacjentem: przyjaciółka.* Wpisana o trzeciej, wypisana o czwartej.

– Nasze regularne godziny odwiedzin – wyjaśnił Forster. – Pacjenci przyjmują gości w głównej sali rekreacyjnej, ale zorganizowałem panu spotkanie z Andrew na jego oddziale.

– Na jego oddziale?

– To oddział z dużymi salami, z czterema łózkami. Służy do egzekwowania... hm... do poprawiania atmosfery w szpitalu. Andrew jest na oddziale Kinnoul.

– Kinnoul?

– Słucham?

– Dlaczego ten oddział nazywa się Kinnoul?

Forster uśmiechnął się.

– Od nazwiska aktora. Musiał pan słyszeć o Rabie Kinnoulu? On i jego żona należą do grona mecenasów szpitala.

Rebus postanowił przemilczeć to, że Cath Kinnoul należy do Paczki, że znała Macmillana ze szkoły... To nie jego sprawa. Ale Kinnoulowie zyskali w jego oczach, a przynajmniej Cath. Wyglądała na to, że nie zapomniła o dawnym przyjacielu. *Już prawie nikt nie nazywa mnie Gapą.*

Liz Jack też nie zapomniła; odwiedziła go, choć pod panieńskim nazwiskiem i przekreślonym imieniem. Rebus potrafił to zrozumieć: gazety miałyby używanie – *Żona posła odwiedza szalonego mordercę. Drapieżne sępy. Nie mogła wiedzieć, że i tak dostaną swój materiał...*

– Może po spotkaniu z Andrew Macmillanem będzie pan miał ochotę zobaczyć nasze kluczowe obiekty? Basen, siłownię, warsztat...

– Warsztat?

– Prosta mechanika. Naprawianie samochodów, tego typu rzeczy.

– Dajecie pacjentom klucze i śrubokręty?

Forster się roześmiał.

– Liczymy je pod koniec każdego zajęcia.

Rebus wpadł na pewien pomysł.

– Czy dobrze słyszałem, że naprawiacie samochody? A może ktoś mógłby rzucić okiem na moje wycieraczki?

Forster znów zaczął się śmiać, ale Rebus pokręcił głową.

– Mówię poważnie.

– Zobaczę, co da się zrobić. – Forster wstał. – Gotów na spotkanie, inspektorze?

– Tak jest – powiedział Rebus, choć wcale nie był tego pewien.

PACJENCI SNULI SIĘ KORYTARZAMI, a pielęgniarz, który miał pokazać Rebusowi oddział Kinnoul, zmuszony był otwierać i zamykać niezliczone drzwi. Z pasa zwiisał mu ciężki łańcuch z kluczami. Rebus próbował nawiązać rozmowę, mężczyzna jednak zbywał go półsłówkami. Zdarzył się jeden tylko incydent. Przechodzili korytarzem, kiedy z otwartych nagle drzwi wyłoniła się ręka i pochwyciła Rebusa. Drobnny starszy mężczyzna próbował coś powiedzieć, oczy mu błyszczały, usta ledwie się poruszały.

– Wracaj do pokoju, Homer – powiedział pielęgniarz, uwalniając marynarkę inspektora z dłoni pacjenta.

Starszy człowiek cofnął się. Rebus odczekał chwilę, aż tętno mu się uspokoi, a potem spytał:

– Dlaczego nazwał go pan Homerem?

Pielęgniarz spiorunował go wzrokiem.

– Bo tak się nazywa.

Dalej szli w milczeniu.

Forster miał rację. Niewiele było jęków, zawodzeń, nagłych krzyków i niewiele oznak jakiegokolwiek życia, nie mówiąc już o gwałtownych ruchach. Przeszli przez duże pomieszczenie, w którym ludzie oglądali telewizję. Pielęgniarz wyjaśnił, że prawdziwa telewizja na żywo nie jest dozwolona, ponieważ trudno przewidzieć jej treść, dlatego codziennie puszczane są specjalnie dobrane filmy. Szczególną popularnością cieszyły się *Dźwięki muzyki*. Pacjenci chłonęli je z niemą fascynacją.

– Czy oni są na prochach? – zaryzykował pytanie Rebus.

Pielęgniarz nagle zrobił się rozmowny.

– Biorą tyle, ile zdołamy wepchnąć im do gardeł. To ich chroni przed nieodpowiednim zachowaniem.

Tyle o troskliwej twarzy...

– Nie ma w tym nic złego – ciągnął pielęgniarz. – W podawaniu leków. To wszystko jest w ustawie.

– Jakiej ustawie?

– O ochronie zdrowia psychicznego. Pozwala na zastosowanie sedacji w ramach procesu leczenia.

Rebus odniósł wrażenie, że pielęgniarz recytuje formułkę przygotowaną dla gości zadających zbyt wiele pytań. Był dużym facetem, niewysokim, ale szerokim w ramionach, z nabitymi mięśniami.

– Ćwiczenia z ciężarami? – zapytał Rebus.

– Kto? Chorzy?

Rebus uśmiechnął się.

– Nie, pan.

– A, tak. – Pielęgniarz uśmiechnął się. – Podnoszę ciężary. W innych placówkach tego typu pacjenci zwykle mają wszelkie udogodnienia, a personel nic. Tu mamy całkiem niezłą siłownię, naprawdę niezłą.

Po odblokowaniu kolejnych drzwi mieli przed sobą kolejny korytarz i znak wskazywał na kolejne drzwi – odblokowane – do oddziału Kinnoul.

– Tam. – Głos pielęgniarza, który je otworzył, przybrał stanowczy ton. – Dobra, a teraz do ściany.

Rebus myślał, że mówi do niego, ale po chwili zorientował się, że pielęgniarz zwracał się do wysokiego, chudego mężczyzny. Ten wstał z łóżka, podszedł do przeciwległej ściany i stanął do niej plecami.

– Ręce przy ścianie – nakazał pielęgniarz.

Andrew Macmillan oparł dłonie o ścianę.

– Proszę posłuchać – zaczął Rebus. – Czy to naprawdę...?

Macmillan uśmiechnął się krzywo.

– Niech się pan nie obawia – powiedział pielęgniarz. – Nie ugryzie. Nie po tym, co w niego wpompowaliśmy. Może pan usiąść, o tam. – Wskazał na dwa krzesła przy stole, na którym leżała plansza do gry w szachy.

Rebus usiadł na tym, które stało naprzeciwko Andrew Macmillana. Wszystkie cztery łóżka w sali były puste. Pomieszczenie z żółtymi ścianami w odcieniu cytryny było jasne. Trzy wąskie zakratowane okienka wpuszczały do środka promienie słońca, które w tej okolicy nie pojawiały się często. Pielęgniarz zajął pozycję za Rebusem i wyglądał tak, jakby miał zamiar tam zostać, co przypominało inspektorowi scenę z sali przesłuchań w Dufftown z nim, Corbiem i Knoxem.

– Dzień dobry – wymamrotał Macmillan.

Łysiał, prawdopodobnie od ładnych paru lat. Jego twarz, mimo że pociągła, nie wyglądała na wychudzoną; Rebus uznał ją za przyjazną.

– Dzień dobry, panie Macmillan. Jestem inspektor Rebus.

Ta informacja poruszyła pacjenta na tyle, że zrobił pół kroku do przodu.

– Do ściany – rzucił pielęgniarz.

Macmillan zastygł i po chwili się cofnął.

– Jest pan inspektorem szpitali? – zapytał.

– Nie, jestem inspektorem policji.

– Och.

Entuzjazm na twarzy Macmillana lekko przygasł.

– Myślałem, że może przyszedł pan... Nie traktują nas tu dobrze. – Zawiesił głos. – A teraz, kiedy to pan powiedziałem, prawdopodobnie zostanę zdyscyplinowany, może nawet umieszczony w izolatce. Nieposłuszeństwo, najmniejszy bunt są raportowane. Ale jeśli zamilknę, nikt nic z tym nie zrobi. Mam kilku wpływowych przyjaciół, inspektorze...

Rebus pomyślał sobie, że jego ostatnie słowa miały raczej trafić do uszu pielęgniarza.

– ...przyjaciół na wysokich stanowiskach...

Doktor Forster z pewnością teraz o tym wiedział, dzięki Rebusowi.

– ...przyjaciół, którym mogę zaufać. A oni cenzurują naszą pocztę. Decydują, co powinniśmy czytać. Nie pozwolono mi nawet przeczytać *Kapitału*. I podają nam narkotyki. Chorzy psychicznie... to znaczy ci, których osądzono jako chorych psychicznie... mają tutaj mniej praw niż najbardziej zatwardziali masowi zabójcy... zatwardziali, ale zdrowi na umyśle masowi zabójcy. Tak nie można! To nie jest humanitarne!

Rebus nie miał na to odpowiedzi. Poza tym nie chciał wchodzić w tę dyskusję.

– Miał pan gościa, Elizabeth Jack – powiedział.

Macmillan jakby cofnął się myślami, po czym skinął głową.

– Prawda, miałem. Ale przychodzi do mnie jako Ferrie, nie jako Jack. To nasza tajemnica.

– O czym rozmawialiście?

– Dlaczego to pana interesuje?

Rebus uznał, że Macmillan nie wie o tym, że została zabita. Skąd miałby wiedzieć? W tym miejscu nie było dostępu do wiadomości.

– Chodzi o śledztwo w sprawie pana Jacka – powiedział Rebus, przedstawiając figury szachowe.

– Co on zrobił?

Rebus wzruszył ramionami.

– Tego właśnie próbuję się dowiedzieć – odparł.

Jego rozmówca nadstawił twarz ku promieniom słońca.

– Tęsknię za światem – wyszeptał. – Miałem tylu... przyjaciół.

– Utrzymuje pan z nimi kontakty?

– O tak. Przyjeżdżają i zabierają mnie do siebie na weekendy. Chodzimy do kina, teatrów, popijamy w barach. Spędzamy razem cudowne chwile. – Uśmiechnął się smutno i postukał się w głowę. – Ale tylko tutaj.

– Ręce przy ścianie.

– Niby dlaczego? – Macmillan splunął. – Niby dlaczego mam trzymać ręce przy ścianie? Dlaczego nie mogę usiąść i porozmawiać jak... normalny... człowiek? – Im bardziej narastał w nim gniew, tym ciszej mówił. Z kąćków jego ust spływały strużki śliny, a nad prawym okiem uwidoczniła się żyłka. Wziął głęboki oddech, potem drugi, po czym lekko pochylił głowę. – Przepraszam, inspektorze. Wie pan, dają mi narkotyki. Bóg wie, co w nich jest. Mają na mnie... taki wpływ...

– Wszystko w porządku, panie Macmillan – powiedział Rebus, ale w środku cały drżał. To szaleństwo czy zdrowy umysł? Co dzieje się z umysłem, kiedy przykuwa się go do ściany? I to łańcuchami, które nie są prawdziwe.

– Pytał pan... – ciągnął Macmillan, już bez tchu. – Pytał pan o... Elizę... Ferrie. Ma pan rację... odwiedziła mnie... dość niespodziewanie. Wiem, że mają gdzieś niedaleko dom, ale nigdy mnie nie odwiedzali. Lizzie... Eliza... była tutaj raz... dawno temu. Gregor... jest zajęтым człowiekiem, prawda? A ona jest zajęta kobietą. Słyszałem o tym...

Od Cath Kinnoul, Rebus w to nie wątpił.

– Tak, odwiedziła mnie. Bardzo przyjemnie spędziliśmy godzinę. Rozmawialiśmy o przeszłości... o przyjaciółach. O przyjaźni... Czy oni mają jakieś problemy małżeńskie?

– Skąd takie przypuszczenie?

Macmillan uśmiechnął się krzywo.

– Przyjechała sama, inspektorze. Wspomniała mi, że spędza samotnie wakacje. Ale na zewnątrz czekał na nią mężczyzna. Albo to był Gregor i nie chciał mnie widzieć, albo jeden z jej... przyjaciół.

– Skąd pan o tym wie?

– On mi o tym powiedział. – Macmillan wskazał pielęgniarza. – Jeżeli nie chce pan zasnąć dziś w nocy, proszę go poprosić, żeby pokazał panu blok karny. Założę się, że doktor Forster nie wspomniął o karcerze. Może właśnie tam mnie wrzucą za to gadanie.

– Zamknij się, Macmillan.

Rebus spojrzął na pielęgniarza.

– Czy to prawda? – zapytał. – Czy ktoś czekał na zewnątrz na panią Jack?

– Tak, w samochodzie ktoś był. Jakiś facet. Widziałem go przez okno. Wysiadł z samochodu, żeby rozprostować nogi.

– Jak wyglądał?

Pielęgniarz pokręcił głową.

– Odwrócił się, kiedy wyjrzałem. Widziałem tylko jego plecy.

– Jaki to był samochód?

– Czarne bmw, trójka, tego jestem pewien.

– Och, on jest bardzo spostrzegawczy, inspektorze – powiedział Macmillan. – Chyba że mu to nie pasuje.

– Zamknij się! – rzucił pielęgniarz.

– Proszę się zastanowić, inspektorze: jeżeli to jest szpital, to dlaczego wszyscy tak zwani „pielęgniarze” są członkami Związku Zawodowego Funkcjonariuszy Więziennych? To nie szpital, to jest magazyn, tyle że pełen baranich łbów, a nie skrzyń. A najlepsze w tym jest to, że te baranie łby są u władzy!

Macmillan zaczął się oddalać od ściany; posuwał się powoli na chwiejnych po narkotykach nogach, ale jego energia była niewątpliwa. Każdy jego nerw płonął.

- Do ściany.
- Baranie łby! Oderżnąłem jej łeb! Bóg mi świadkiem, że to zrobiłem...
- Macmillan! – Pielęgniarz też się poruszył.
- Ale to było tak dawno temu... inna...
- Ostrzegam cię...
- I tak bardzo chcę... tak bardzo chcę...
- Dość tego! – Pielęgniarz ścisnął go za ramiona.
- ...dotknąć ziemi.

W końcu Macmillan przestał stawiać opór, gdy pasy skrępowwały mu ręce i nogi. Pielęgniarz położył go na podłodze.

– Jeśli zostawię go na łóżku, stoczy się i zrani – wyjaśnił Rebusowi.

– A tego byś nie chciał – powiedział skrępowany Macmillan, niemal spokojnie. – Nie, piguło, tego byś nie chciał.

Rebus otworzył drzwi i ruszył do wyjścia.

– Inspektorze!

Odwrócił się.

– Tak, panie Macmillan?

Pacjent przekręcił głowę tak, że była zwrócona w stronę drzwi.

– Proszę za mnie... dotknąć ziemi.

Rebus opuścił szpital na nogach trzęsących się bardziej, niż kiedy do niego wchodził. Postanowił nie oglądać basenu i siłowni. Zamiast tego poprosił pielęgniarza, by pokazał mu blok karny, ale ten odmówił.

– Proszę posłuchać – powiedział. – Może się panu nie podobać to, co się tutaj dzieje... może i mnie się to nie podoba... ale sam pan widział, jak jest. Niby są „pacjentami”, ale nie można się od nich odwrócić, nie można zostawić ich samych. Będą połykać żarówki, srać długopisami, ołówkami i kredkami, będą chcieli przebić głowę przez telewizor. A nawet jeżeli nie, to nie można mieć co do tego pewności... nigdy. Niech pan zachowa otwarty umysł, inspektorze. Wiem, że to niełatwe, ale niech pan spróbuje.

Rebus życzył młodemu pielęgniarzowi powodzenia w treningu siłowym. Gdy wyszedł na dziedziniec, pochylił się przy kwietniku i zanurzył w nim głęboko dłoń. Roztarł ziemię między palcem wskazującym a kciukiem; to było dobre uczucie. Dobrze było znaleźć się na zewnątrz... Wśród tego, co do tej pory uważał za oczywiste, jak ziemia, świeże powietrze, swoboda ruchu.

Spojrzał w górę, na okna szpitala, ale nie był pewien, które z nich, jeśli w ogóle którekolwiek, było z oddziału Macmillana. Nie ujrzał wpatrzonych w niego twarzy, oznak życia. Podniósł się, ruszył do samochodu, usiadł za kierownicą i zatopił spojrzenie w widoku za przednią szybą. Ulotne promienie słońca zniknęły. Mżawka znowu przyćmiła widok. Wcisnął guzik, żeby włączyć wycieraczki. Ich pióra poruszyły się miarowo i tak już pozostało. Trzymając ręce na kierownicy, zadał sobie pytanie: co się dzieje z umysłem przykutym do ściany?

WRACAJĄC DO EDYNBURGA, REBUS zjechał w Kinross z dwupasmówki, minął Loch Leven (miejsce wielu rodzinnych pikników w czasach, gdy był dzieckiem), skręcił w prawo na następnym skrzyżowaniu i skierował się w stronę uciążliwych górniczych miejscowości Fife. Dobrze znał ten

teren. Tutaj się urodził i wychował. Znał szare osiedla, sklepy na rogu i proste puby. Ludzie byli tu nieufni wobec obcych i prawie tak samo nieufni wobec przyjaciół i sąsiadów. Rozmowy na rogach ulic przypominały walki na pięści. Rodzice Rebusa jeździli w weekendy do Kirkcaldy (na zakupy w sobotę) i nad Loch Leven (na długie niedzielne pikniki; on i brat, ściśnięci na tylnym siedzeniu samochodu, jedli kanapki z pastą z łososia i popijali sokiem pomarańczowym albo herbatą z butelek pachnących gorącym plastikiem).

A na letnie wakacje w St Andrews była przyczepa kempingowa albo noclegi ze śniadaniem w Blackpool, gdzie Michael zawsze wpadał w kłopoty i musiał być z nich wyciągany przez starszego brata.

– I ładnie mi się za to odwdzięczęł.

Rebus jechał dalej.

Siedziba firmy PRZEWOZY BYARS mieściła się w połowie drogi, na stromym wzgórzu w jednej z wiosek. Po drugiej stronie ulicy stała szkoła; dzieciaki wracały do domu, zamierzając się jedno na drugie torbami albo wyzywając się nawzajem. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Na podwórzu firmy Byarsa stał równy rząd ciężarówek naczepowych, kilka samochodów osobowych i porsche carrera. Żaden pojazd nie był niebieski. Biura mieściły się w przenośnych kontenerach. Podszedł do tego z napisem *Biuro główne* (pod którym ktoś napisał kredką *Szef*) i zapukał.

Sekretarka podniosła wzrok znad elektronicznej maszyny do pisania. W pomieszczeniu panował zaduch; obok biurka huczał piec gazowy. Za sekretarką były drzwi, zza których dochodził głos Byarsa, szybki, głośny i mało cywilizowany. Nikt mu nie odpowiadał, Rebus uznał więc, że Byars rozmawia przez telefon.

– Powiedz gówniarzowi, żeby ruszył dupę i przyjechał tutaj... – Pauza. – Chory? Chory? „Chory” oznacza, że bzyka panienkę. Nie można go winić, pamiętaj...

– Tak? – zwróciła się do Rebusa sekretarka. – W czym mogę panu pomóc?

– Nieważne, co gada – rozległ się głos Byarsa. – Mam tu ładunek, który musi być na wczoraj w Liverpoolu.

– Chciałbym się widzieć z panem Byarsem – odparł Rebus.

– Proszę usiąść, sprawdzę, czy szef jest wolny. Jak pan się nazywa?

– Rebus, detektyw inspektor Rebus.

W tym momencie drzwi otworzyły się i do sekretariatu wytoczył się Byars. W jednej ręce trzymał przenośny telefon, a w drugiej kartkę papieru. Wręczył ją sekretarce.

– Zgadza się, smarkaczu, towar przyjeżdża z Londynu!

Jego głos był jeszcze donośniejszy. Rebus zauważył, że Byars wpatruje się w nogi sekretarki, która tego nie widziała. Zastanawiał się, czy cały ten występ nie był specjalnie dla tej kobiety, żeby zrobić na niej wrażenie.

W końcu Byars zauważył Rebusa. Potrzebował sekundy, żeby skojarzyć, kto to, po czym skinął głową na powitanie.

– Daj mu popalić, gówniarzu – rzucił do telefonu. – Jeśli jest chory, w porządku, ale jeśli nie, to przekaż mu, że wyleci z roboty, zrozumiałeś? – Zakończył połączenie i wyciągnął dłoń. – Inspektorze, co pana, u diabła, sprowadza na to przekłete zadupie?

– No cóż... przejeżdżałem tuż obok i...

– Akurat! Pełno ludzi tędy jeździ, ale nikt się nie zatrzymuje, chyba że czegoś chce. A tym radzę, żeby jechali dalej. No ale pan stąd pochodzi, prawda? W takim razie zapraszam do biura, mogę poświęcić panu pięć minut. – Odwrócił się do sekretarki i oparł rękę na jej ramieniu. – Sheena, skarbie, zadzwoń do tego fiuta z Liverpoolu i powiedz mu, że jutro rano na bank.

– Dobrze, proszę pana. Zaparzyć kawę?

– Nie, nie kłopotz się. Wiem, co lubią pić gliniarze. – Puścił oko do Rebusa. – Proszę wejść, inspektorze.

Biuro Byarsa przypominało zaplecze brudnej księgarni, której ściany trzymały się kupy dzięki kalendarzom ze zdjęciami nagich dziewcząt z rozkładówek. Kalendarze wyglądały na prezenty od warsztatów samochodowych i dostawców. Byars zauważył, że Rebus na nie patrzy.

– Trzeba dbać o wizerunek – powiedział. – Wchodzi kierowca ciężarówki z owłosionym tyłkiem i dziarami na karku i wydaje mu się, że ma do czynienia z równym gościem.

– A jeśli wejdzie kobieta?

Byars cmoknął.

– Też tak pomyśli. I pewnie tak bardzo się nie pomyli.

Byars nie trzymał whisky w szafce na akta. Trzymał ją w kaloszu. Z drugiego wydobył dwa kieliszki i powąchał je.

– Świeże jak poranna rosa – rzucił, nalewając.

– Dzięki. Ładny samochód.

– He? Aaa, mówi pan o tym na zewnątrz? No, nie jest zły, żadnego wgniecenia. Ale gdyby pan wiedział, ile płacę za ubezpieczenie... Kupę kasy. Na zdrowie. – Wychylił whisky jednym haustem i głośno wypuścił powietrze.

Rebus pociągnął łyk i obejrzał szklankę, a potem butelkę. Byars roześmiał się.

– Myśli pan, że częstowałbym prawdziwym glenlivetem tych bęcwałów, których tu przyjmuję? Jestem biznesmenem, a nie samarytaninem. Patrzą na butelkę, myślą, że wiedzą, co dostają, i są pod wrażeniem. Znowu wizerunek, jak te zdziwy na ścianie. Do butelki wlewam siki, prawie nikt nie wyczuwa różnicy.

Rebus pomyślał, że te słowa miały zabrzmieć jak komplement. Wizerunek, oto czym był Byars. Powierzchnowość i wygląd. Czy tak bardzo różnił się od posłów i aktorów? Albo policjantów? Wszyscy ukrywali się za zestawem sztuczek.

– W jakiej sprawie chciał się pan ze mną widzieć? – spytał Byars.

Odpowiedź była prosta. Rebus chciał dowiedzieć się trochę więcej o przyjęciu w Deer Lodge, zdaje się, że ostatnim, które się tam odbyło.

– Niewiele nas tam było – powiedział mu Byars. – Kilka osób później tego żałowało. Toma Ponda chyba nie było, chociaż został zaproszony... Tak, nie było go, bo wyjechał do Stanów. Był natomiast Samob.

– Ronald Steele?

– Tak. Oczywiście Liz i Gregor. I ja. Cathy Kinnoul też była, bez męża. Niech pomyślę, kto jeszcze... Aha, ta para, co pracuje dla Gregora. Urquhart...

– Ian Urquhart?

– Tak. I jakaś młoda dziewczyna...

– Helen Greig?

Byars roześmiał się.

– To po co pan pytasz, skoro pan wiesz? I to by było tyle.

– Wspomniał pan o tych dwojgu, którzy pracują dla Gregora. Odniośł pan wrażenie, że są parą?

– Gdzie tam, nie! Wszyscy próbowali zaciągnąć tę dziewczynę do łóżka... oprócz Urquharta.

– Komuś się udało?

– Nie zauważyłem. Po kilku butelkach szampana mam skłonność do... przeoczenia tego i owego.

Ale to nie była typowa impreza Liz. Wie pan, nie było szaleństw. To znaczy gorzały nie brakowało, nikt za kołnierz nie wylewał, ale nic poza tym.

– Nic poza tym?

– No wie pan, inspektorze... Balangi u Liz bywały szalone. – Byars zapatrzył się w jeden z kalendarzy, najwyraźniej wspominając dobre czasy. – Prawdziwie dzika banda... i nic w tym złego...

Rebus potrafił sobie wyobrazić Barneya Byarsa, jak idzie w tango na „balandze”, miesza się z towarzystwem, z Patterson-Scott, Kilpatrickiem i resztą. I mógł sobie wyobrazić... jak tolerowali nuworzysza Byarsa. Bez dwóch zdań był duszą towarzystwa i gwarantował kupę śmiechu. Tyle że śmiali się raczej z niego niż z nim.

– Jak wyglądało wnętrze domu, kiedy pan tam przyjechał? – zapytał Rebus.

Byars zmarszczył nos.

– Obrzydliwie, jakby nikt tam nie sprzątał przez dwa tygodnie po ostatniej imprezie, tej, którą organizowała Liz, a nie Gregor. Gregor strasznie się wściekał. Uważał, że jego żona albo ktoś inny powinien doprowadzić dom do porządku. Było tam jak w pieprzonym squacie z lat sześćdziesiątych. – Uśmiechnął się. – Pewnie nie powinienem panu tego mówić, skoro jest pan z policji, ale nie chciałem zostawać tam na noc. Wyjechałem około czwartej nad ranem. Urznięty w trupa, ale na drogach nie było żywej duszy, więc nie stwarzałem zagrożenia. Ale to jeszcze nie koniec. Podjeżdżam pod dom i myślę: cholera, zimno mi w nogi. Wychodzę, żeby otworzyć garaż... i co widzę? Nie mam butów! Tylko jedna skarpeta i żadnych pieprzonych butów! Chrystus jeden wie, jak to się stało, że nie zauważyłem...

* *Corbie* (ang.) – kruk.

Kot i mysz

CZY JOHN REBUS ZOSTAŁ POWITANY jak bohater? Nie, a byli i tacy, którzy uznali, że wprowadził do sprawy jeszcze więcej zamętu. Może i mieli rację. Komendant Watson na przykład nadal uważał, że to William Glass jest człowiekiem, którego szukają. Siedział i słuchał raportu Rebusa, podczas gdy szef dochodzeniówki, inspektor Lauderdale, kołysał się na krześle, chwilami spoglądając w sufit, a chwilami wpatrując się w nieskazitelne kanty obu nogawek swoich spodni. Był piątek rano. W powietrzu unosił się zapach kawy. Kawa była też w systemie nerwowym Rebusa; czuł ją, kiedy mówił. Watson przerywał mu od czasu do czasu, zadając pytania głosem cieniem jak miętowe czekoladki After Eight. A na koniec zadał oczywiste pytanie:

– Co o tym sądzisz, John?

A Rebus udzielił oczywistej odpowiedzi, właściwie zgodnej z prawdą:

– Nie wiem, panie komendancie.

– Wyjaśnijmy to sobie. – Lauderdale uniósł wzrok znad kantów spodni. – Elizabeth Jack jest przy budce telefonicznej. Spotyka się z mężczyzną w samochodzie. Dochodzi do awantury. Mężczyzna odjeżdża. Ona kręci się jakiś czas w pobliżu. Podjeżdża samochód... inny, a może ten sam. Kolejna awantura. Samochód odjeżdża, a jej bmw zostaje w zatoczce postojowej. A kolejną rzeczą, której się dowiadujemy, jest pojawienie się ciała w strumieniu niedaleko domu należącego do przyjaciela jej męża. – Lauderdale przerwał, jakby zapraszał Rebusa do sprzeciwu. – Wciąż nie wiemy, kiedy i gdzie zginęła. Wiemy tylko, że z jakiegoś powodu trafiła do Queensferry. Mówisz, że żona tego aktora jest starą znajomą Gregora Jacka?

– Tak.

– Są jakieś wskazówki, że byli kimś więcej niż przyjaciółmi?

Rebus wzruszył ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A co z tym aktorem... Rabem Kinnoulem? Może on i pani Jack...?

– Może.

– Dogodna lokalizacja, co? – zapytał komendant Watson, podnosząc się, by nalać sobie kolejny kubek czarnej śmierci. – Jeżeli ten Rab Kinnoul chciałby pozbyć się zwłok, to czy znalazłby lepsze miejsce niż jego własny rwący strumień, wpadający do morza, które wyrzuci ciało kilka tygodni później, a może nie? I zawsze grał morderców w filmach. Może to wszystko uderzyło mu do głowy...

– Jest pewien szkopuł – rzucił Lauderdale. – Kinnoul miał w środę przez cały dzień spotkania.

– A w środę wieczorem?

– Był w domu z żoną.

Watson skinął głową.

– Znow wracamy do pani Kinnoul. Czy ona może kłamać?

– Z pewnością jest pod jego kontrolą – powiedział Rebus. – I bierze mnóstwo psychotropów. Byłbym zaskoczony, gdyby potrafiła odróżnić środową noc w domu w Queensferry od dwunastego lipca w Londonderry.

Watson się uśmiechnął.

– Ładnie powiedziane, John, ale spróbujmy trzymać się faktów.

– Nie mamy ich dużo – zauważył szef dochodzeniówki. – Ale wszyscy wiemy, kto jest oczywistym kandydatem na zabójcę: mąż ofiary. Kobieta dowiaduje się, że nakryto go bez portek w burdelu, kłócąc się, on może nie zamierza jej zabić, tylko ją uderzyć, ale kończy się to tak, że ona nie żyje.

– Kiedy nakryto Gregora Jacka, był w spodniach – przypomniał przełożonemu Rebus.

– No i ma alibi – powiedział komendant, po czym sięgnął po kartkę. – Rano spotkanie w okręgu wyborczym. Po południu golf, co potwierdził jego partner do gry i posterunkowy Broome, który wypytywał w klubie. Potem uroczysta kolacja, gdzie wygłosił przemówienie w obecności osiemdziesięciu znakomych członków społeczności biznesowej Edynburga.

– I jeździ białym saabem – dodał Rebus. – Powinniśmy sprawdzić kolory samochodów osób powiązanych z Jackami, wszystkich ich przyjaciół.

– Już to zleciłem sierżantowi Holmesowi – oznajmił Lauderdale. – Poza tym technicy twierdzą, że do rana przygotowują raport w sprawie bmw. Mam pytanie. – Zwrócił się do Rebusa: – Pani Jack najwyraźniej cały tydzień spędziła na północy. Czy przez cały ten czas przebywała w Deer Lodge?

Rebus nie mógł odmówić przełożonemu docieklivosti. Ten sukinsyn rozkładał dziś wszystko na czynniki pierwsze.

Watson kiwał głową, jakby miał właśnie zapytać o to samo. Rebus już wcześniej się nad tym zastanawiał.

– Nie sądzę – odparł. – Zakładam, że spędziła tam trochę czasu, w przeciwnym razie skąd by się tam wzięła prasa niedzielna i walizka? Ale cały tydzień...? Wątpię. Żadnych śladów niedawnego gotowania. Cała żywność, którą tam znalazłem, to pozostałości po jednej lub drugiej imprezie. Ktoś najwyraźniej próbował wyczyścić podłogę w salonie, żeby jedna osoba, może dwie mogły usiąść i wypić drinka. Ale niewykluczone, że to było podczas wcześniejszej imprezy. Powinniśmy zapytać gości, kiedy będącymi pobierać od nich odciski palców...

– Pobierać odciski palców? – zapytał Watson.

– W celu eliminacji – burknął Lauderdale jak zirytowany rodzic. – Żeby sprawdzić, czy pozostaną jakieś odciski, których nie zidentyfikujemy.

– A jaki z tego pożytek? – dociekał Watson.

– Chodzi o to, panie komendancie, że jeśli pani Jack nie przebywała tylko w Deer Lodge, to z kim była i gdzie się zatrzymała? – wyjaśnił Lauderdale. – Czy w ogóle była na północy przez cały ten czas?

– Aha... – Watson pokiwał głową, jakby nagle wszystko pojał.

– W sobotę odwiedziła Andrew Macmillana – oznajmił Rebus.

– Tak – rzucił szef dochodzeniówki. – A potem w środę widział ją ten chuligan z farmy. A co z dniami pomiędzy?

– W niedzielę była w Deer Lodge, na co wskazują gazety w sypialni – powiedział Rebus i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, do czego zmierza Lauderdale. – Myślisz, że gdy przeczytała o mężu, mogła

wrócić do Edynburga?

Lauderdale rozłożył ręce i wbił wzrok w paznokcie.

– To jedynie hipoteza – odparł.

– Mamy mnóstwo cholernych hipotez – wtrącił Watson, kładąc na biurko wielką dłoń. – Potrzebujemy konkretów. I nie zapominajmy o naszym kumplu Glassie. Nadal chcemy z nim rozmawiać. Choćby o Dean Bridge, jeśli nie o niczym innym. A tymczasem... – Próbował przypomnieć sobie jakiś trop, za którym mogliby podążyć, ale poddał się i pociągnął łyk kawy. – Tymczasem – odezwał się w końcu, gdy Rebus i Lauderdale zamienili się w słuch, licząc na jakiś genialny pomysł – zachowajmy ostrożność.

Starość, pomyślał Rebus, czekając, aż szef dochodzeniówki wyjdzie z gabinetu komendanta. Złote lata jak z *Posterunku przy Hill Street* minęły dawno, dawno temu. Lauderdale w końcu pojawił się na korytarzu i kiedy drzwi się za nimi zamknęły, złapał Rebusa za ramię.

– Wygląda na to, że szef jest na wylocie – syknął z podnieceniem. – Niedługo góra się zorientuje, co się dzieje, i wyśle go na emeryturę. – Starał się powściągnąć zadowolenie.

Tak, wystarczy kilka publicznych wpadek, pomyślał Rebus i zaczął się zastanawiać, czy wobec tego Lauderdale miałby czelność zaaranżować taką wpadkę. Ktoś dał pismakom cynk o operacji Burda. Chryste... Miał wrażenie, że minęło od niej tyle czasu. Czy przypadkiem Chris Kemp nie miał się tym zająć? Trzeba go zapytać, co znalazł. Tyle jeszcze było do zrobienia...

Uwolnił ramię z uchwytu Lauderdale'a akurat wtedy, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich Watson. Gdy komendant świdrował ich wzrokiem, Rebus rozważał, czy wyglądają na konspiratorów, tak winnych, jak sam się czuł.

Watson przeniósł spojrzenie tylko na niego.

– John, dzwoni Jack – powiedział. – Mówi, że będzie wdzięczny, jeśli się z nim spotkasz. Najwyraźniej chciałyby z tobą o czymś porozmawiać.

REBUS NACISNĄŁ DZWONEK przy zamkniętej bramie i po chwili usłyszał głos Urquharta.

– Słucham?

– Inspektor Rebus do pana Jacka.

– Ach, tak, inspektorze, zaraz do pana przyjdę.

Rebus zająrzył przez kraty i zobaczył białego saaba zaparkowanego przed domem. Powoli pokręcił głową. Niektórzy nie uczą się na błędach. Z rzędu samochodów zaparkowanych w pobliżu wydelegowano reportera, żeby się dowiedział, kim jest Rebus. Pozostali paparazzi siedzieli w autach i słuchali radia albo czytali gazety. Z termosów lała się zupa albo kawa. Byli tu przez cały czas. I stawali się coraz bardziej znudzeni. Gnane wiatrem zimne powietrze przecisnęło się przez szczelinę między marynarką a kołnierzykiem koszuli i Rebus poczuł się tak, jakby po karku spłynęła mu lodowata woda... Patrzył, jak Urquhart wychodzi z domu, próbując znaleźć w pęku kluczy ten właściwy. Wysłany na zwidy reporter stał obok Rebusa, dygocząc i przygotowując się do zadania Urquhartowi pytań.

– Nie zwracałbym sobie głowy, synu – poradził mu Rebus.

Szef kampanii posła był już przy bramie.

– Czy ma pan jakiś komentarz do poprzedniego oświadczenia?! – zawołał reporter.

– Nie – odparł chłodno Urquhart, otwierając bramę. – Ale powtórzę poprzedni, jeśli chcesz: odwal się!

Gdy Rebus przeszedł przez bramę, Urquhart zatrzasnął ją i zamknął na klucz, po czym przez chwilę potrząsał kratami, by upewnić się, że są bezpieczni. Reporter, uśmiechając się kwaśno, zmierzał z powrotem do samochodu.

– Jesteście obłączeni – zauważył Rebus.

Urquhart wyglądał tak, jakby przez ostatnie noce nie sypiał zbyt dużo.

– Diabelskie nasienie – rzucił, gdy szli w kierunku domu. – Sterczą tu dniami i nocami. Bóg jeden wie, co spodziewają się zdobyć.

– Wyznanie? – zaryzykował Rebus.

Został nagrodzony słabym uśmiechem.

– Tego, inspektorze, nigdy nie dostaną. – Twarz Urquharta spoważniała. – Ale martwię się o Gregora... o to, jak to wszystko się na nim odbije. Jest... hm... sam pan zobaczy.

– Jakiś pomysł, czemu zawdzięczam to spotkanie?

– Nie chciał powiedzieć, inspektorze... – Urquhart przystanął. – Jest w rozsypce. Więc może powiedzieć wszystko. Mam tylko nadzieję, że pan potrafi odróżnić prawdę od fantazji. – Ruszył dalej.

– Nadal rozcieńcza pan jego whisky? – zapytał Rebus.

Urquhart spojrział na niego z oburzeniem, ale skinął głową.

– Ale to nie jest rozwiązanie – powiedział. – On nie tego potrzebuje. Gregor potrzebuje przyjaciół.

Andrew Macmillan też mówił o przyjaciółach. Rebus chciał porozmawiać z Jackiem na jego temat. Ale nie spieszyło mu się. Zatrzymał się obok saaba.

– O co chodzi? – spytał Urquhart.

– Wie pan... zawsze chciałem mieć takiego saaba, ale nigdy nie miałem dość pieniędzy, żeby go kupić. Jak pan uważa, czy pan Jack miałby coś przeciwko, gdybym usiadł na chwilę za kierownicą?

Urquhart nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, wykonał więc nieokreślony gest: coś pomiędzy wzruszeniem ramionami a pokręceniem głową. Rebus pociągnął za drzwi od strony kierowcy. Nie były zamknięte. Wsunął się na siedzenie i położył ręce na kierownicy; drzwi zostały otwarte, tak by Urquhart go widział.

– Bardzo wygodny – powiedział.

– Tak mi się wydaje.

– Więc nigdy pan nim nie jeździł?

– Nie.

– Och. – Rebus spojrział przez przednią szybę, a potem na siedzenie pasażera i podłogę. – Tak, dobrze zaprojektowany, wygodny. Dużo miejsca. – Obrócił się w fotelu, żeby zobaczyć tylnie siedzenie... tylną podłogę... – Mnóstwo miejsca. Przyjemnie.

– Może Gregor pozwoli panu na przejażdżkę?

Rebus spojrział w górę.

– Myśli pan? Oczywiście kiedy ta sprawa się rozmyje – dodał i zaczął wysiadać z samochodu.

– Rozmyje? – prychnął Urquhart. – Takie rzeczy się nie „rozmywają”. Nie kiedy jest się posłem. Burd... zarzuty stawiane przez prasę były dostatecznie szkodliwe, a teraz jeszcze... zabójstwo. Nie ma mowy. – Pokręcił głową. – Brud się nie rozmyje, inspektorze. To nie chmura deszczowa, to kąpiel błotna, a błoto się lepi.

Rebus zamknął drzwi.

– Przyjemny dźwięk wydają – rzucił. – Jak dobrze znał pan panią Jack?

– Całkiem dobrze. Widywałem ją często.

– Przypuszczam, że pan Jack i jego żona prowadzili raczej osobne życie.

– Nie określiłbym tego w ten sposób. Byli małżeństwem.

– Ale czy się kochali?

Urquhart myślał przez chwilę.

– Powiedziałbym, że tak – odparł w końcu. – Tak.

– Mimo wszystko? – Rebus kręcił się wokół pojazdu, jakby decydował, czy go kupić.

– Nie bardzo rozumiem...

– No wie pan, różni przyjaciele, różne style życia, osobne wakacje...

– Gregor jest posłem, inspektorze. Nie zawsze może wyjechać, kiedy chce.

– Podczas gdy pani Jack była... Jak by pan to nazwał? „Spontaniczna”? Może nawet „impulsywna”? Osoba, która ni stąd, ni zowąd może powiedzieć: „Wstawaj, jedziemy”?

– Właściwie tak, to dość celne określenie.

Rebus skinął głową i stuknął w bagażnik.

– A co z przestrzenią bagażową?

Urquhart podszedł ochoczo i otworzył bagażnik.

– Jezu – rzucił Rebus. – Naprawdę mnóstwo miejsca. Dość głęboko.

Bagażnik był też nieskazitelnie czysty. Żadnych śladów błota, zadrapań, grudek ziemi. Wyglądał na nigdy nieużywany. Były w nim tylko mały kanister, czerwony trójkąt ostrzegawczy oraz kije golfowe.

– Lubi grę w golfa, prawda? – spytał Rebus.

– O tak.

Zamknął bagażnik.

– Ja nigdy nie miałem okazji grać. Piłka za mała, pole za duże. Wejdziemy?

GREGOR JACK WYGLĄDAŁ, JAKBY miał za sobą podróż do piekła i z powrotem edynburskim autobusem miejskim. Prawdopodobnie od paru dni się nie cesał i nie przebierał. Był ogolony, ale jego posępna twarz była pocętkowana plamami ciemnego zarostu, które przeoczyła maszynka. Nie wysilił się, żeby wstać, kiedy Rebus wszedł do pokoju, skinął tylko głową na powitanie i wskazał szklanką fotel, który wyglądał tak, jakby można się było w nim zapaść jak w piance marshmallow. Rebus podszedł do niego ostrożnie.

W kryształowej szklance Jacka była whisky, a na dywanie tuż obok niego stała pusta w trzech czwartych butelka. Zapach w salonie wskazywał na to, że nikt go nie wietrzył ani nie odkurzał. Jack wypił łyk, po czym użył krawędzi szklanki, by podrapać się po zaczerwienionym palcu.

– Chciałbym z panem porozmawiać, inspektorze.

Rebus usiadł w fotelu, zatapiając się w niego, zatapiając...

– Tak, panie pośle? – spytał.

– Chciałbym przyznać się do czegoś, co jest związane ze mną... a może również z Liz, choć nie bezpośrednio.

Kolejne przygotowane przemówienie, kolejne przemyślane otwarcie. W pokoju znajdowali się jedynie oni dwaj. Urquhart powiedział, że pójdzie przygotować dzbanek kawy. Rebus, wciąż podenerwowany po spotkaniu z komendantem, błagał o herbatę. Helen Greig była w domu; opiekowała się chorującą matką – „Ponownie”, rzucił Urquhart, zanim wyszedł do kuchni. Wierne kobiety: Helen Greig i Cath Kinnoul. Niezłomnie wierne. A Elizabeth Jack? Może była wierna, jeśli chodzi o seks na pieska... Chryste, obrzydliwie tak pomyśleć o kobiecie! A zwłaszcza o zmarłej, zwłaszcza o kobiecie, której Rebus nigdy nawet nie spotkał! Kobiecie, która lubiła być przywiązywana do słupków łóżka dla odrobiny...

– To nie ma nic wspólnego z... Chociaż sam nie wiem, może ma. – Jack zastanawiał się przez chwilę. – Widzi pan, inspektorze, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jeżeli Liz widziała artykuły o mnie i ją zaniepokoiły, to może coś zrobiła... albo postanowiła trzymać się z daleka... A może... – Poderwał się z kanapy, podszedł do okna i zaczął się wpatrywać w pustkę. – Chcę przez to powiedzieć... A jeśli to ja jestem za to odpowiedzialny?

– Odpowiedzialny? – rzucił Rebus.

– Za... zamordowanie Liz... Gdybyśmy byli razem, gdybyśmy byli tutaj, to mogłoby się wcale nie wydarzyć... nie doszłoby do tego. Rozumie pan, do czego zmierzam?

– Nie ma sensu się obwiniać, panie pośle...

Jack odwrócił się od okna.

– W tym właśnie problem. Obwiniam się.

– Może pan usiądzie, panie pośle...

– Gregor, proszę.

– W porządku... Gregor. Możesz usiądziesz i spróbujesz się uspokoić?

Jack posłuchał tej rady. Żałoba wpływa na ludzi w różny sposób: słabi stają się mocni, a mocni – słabi. Ronald Steele rozrzucał książki, Gregor Jack był... żałosny. Znowu drapał palec.

– Co za ironia – prychnął.

– To znaczy? – Rebus nie mógł się już doczekać herbaty. Może Jack pozbiera się w obecności Urquharta.

– Ten burdel... – Jack wlepił wzrok w inspektora. – Od tego wszystko się zaczęło. A powód, dla którego tam trafiłem...

Rebus pochylił się do przodu.

– Dlaczego tam byłeś, Gregor?

Posel przełknął ślinę i nabrał głęboko powietrza, jakby wraz z oddechem miała przyjść wskazówka, czy odpowiedzieć szczerze, czy nie. Zaryzykował.

– Żeby spotkać się z siostrą.

W pomieszczeniu zapadła cisza, tak głęboka, że Rebus dosłyszał tykanie swojego zegarka. Potem drzwi się otworzyły.

– Herbata – powiedział Ian Urquhart, wchodząc do pokoju.

REBUS, KTÓRY TAK BARDZO pragnął powrotu Urquharta z kuchni, nie mógł się teraz doczekać, kiedy ten opuści salon. Wstał z fotela i podszedł do kominka. Pocztówka od Paczki wciąż tam była, ale dołączyło do niej kilkanaście kartek kondolencyjnych – od kolegów posłów, od rodziny i przyjaciół oraz od lokalnej społeczności.

Urquhart wyczuł atmosferę panującą w pomieszczeniu. Zostawił tacę na stole i wyszedł bez słowa.

– Jak to „spotkać się z siostrą”? – spytał Rebus, ledwie drzwi się zamknęły za szefem kampanii.

– Wyłącznie w tym celu. W tym burdelu pracowała moja siostra. Ścisłej mówiąc, podejrzewałem to... powiedziano mi, że tak jest. Pomyślałem, że może to żart, chory żart. Albo pułapka, żeby mnie tam ściągnąć. Pułapka i podstęp. Zastanawiałem się, zanim poszedłem, ale i tak to zrobiłem. Wydawał się taki pewny siebie...

– Kto?

– Człowiek, który do mnie dzwonił. Otrzymywałem te telefony...

Ach, tak, Rebus miał o to zapytać.

– Kiedy przekazywano mi słuchawkę, rozłączał się – ciągnął Jack. – Ale któreś nocy to ja odebrałem połączenie i usłyszałem: „Twoja siostra pracuje w burdelu na New Town”. Podał mi adres i powiedział, że jeśli zjawię się tam około północy, ona zacznie właśnie swoją... zmianę. – Przeżuwał te słowa jak potrawę, której nie znosił, ale że podano ją na bankiecie, nie odważył się wypluć, musiał więc żuć dalej, tylko starał się nie przełykać... W końcu przełknął. – No i poszedłem... a ona tam była. Ten człowiek, który dzwonił, mówił prawdę. Zacząłem z nią rozmawiać i właśnie wtedy weszła policja. To była pułapka... Pojawili się dziennikarze...

Rebus przypomniał sobie kobietę w łóżku, to, jak machała nogami w górze, jak unosiła koszulkę, żeby fotografowie mogli zobaczyć...

– Dlaczego nic wtedy nie powiedziałaś, Gregor?

Jack zaśmiał się przeraźliwie.

– Okoliczności były dostatecznie podłe. Czy byłoby lepiej, gdybym powiedział wszystkim, że moja siostra jest prostytutką?

– W takim razie dlaczego teraz mi to mówisz?

– Wygląda na to, inspektorze, że sztorm pchnął mnie głęboko w wodę. – Głos Jacka był spokojny. – Wyrzucam za burtę to, co zbędne.

– Musisz więc wiedzieć... przez cały czas musiałeś wiedzieć, że ktoś szykuje dla ciebie potężny wodospad.

Jack się uśmiechnął.

– O tak.

– Masz pomysł kto? Jacyś wrogowie?

Znowu uśmiech.

– Jestem posłem, inspektorze. Zdumiewające, że w ogóle mam przyjaciół.

– Rozumiem, Paczkę. Czy ktoś z grona...?

– Przeczesałem swój umysł i właściwie nie zbliżyłem się ani o milimetr do odkrycia tego. – Jack spojrział na Rebusa. – Z ręką na sercu.

– Nie rozpoznałeś głosu rozmówcy?

– Był mocno stłumiony. Gburowaty. Prawdopodobnie męski, ale szczerze mówiąc, mogła to być też kobieta.

– No dobrze, a co z twoją siostrą? Opowiedz mi o niej.

I Jack opowiedział. Opuściła dom w młodym wieku i słuch po niej zaginął. Przez lata do Szkocji dochodziły niejasne pogłoski o jej pobycie w Londynie i małżeństwie, ale to było wszystko. Do czasu, aż zadzwonił telefon...

- Skąd dzwoniący mógł wiedzieć? Jak to odkrył?
- I w tym cały problem, bo nigdy nikomu nie pisałem słowa o Gail.
- Czy twoi koledzy i koleżanki ze szkoły coś o niej wiedzieli?
- Chyba niewiele. Wątpię, żeby ktokolwiek ją pamiętał. Chodziła dwie klasy niżej.
- Myślisz, że wróciła do Szkocji, żeby szukać zemsty?

Jack rozłożył dłonie.

- Zemsty? Za co?
- Może chodziło o zazdrość – zgadywał dalej Rebus.
- Dlaczego się ze mną nie skontaktowała?

Strzał w dziesiątkę. Rebus zanotował w myślach, żeby z nią porozmawiać... jeśli wciąż jest w Edynburgu.

- Od tego czasu nie miałeś od niej wieści? – spytał.
- Ani wcześniej, ani później.
- Dlaczego chciałeś ją zobaczyć, Gregor?
- Po pierwsze, naprawdę byłem zadowolony. – Jack zamilkł.
- A po drugie?
- Po drugie... nie wiem... może po to, by odwiedzić ją od tego, co robiła...
- Dla jej dobra czy dla twojego?

Jack uśmiechnął się.

- Masz oczywiście rację, inspektorze, niewłaściwy wizerunek siostry źle służy politykowi...
- Istnieją gorsze formy prostytucji niż bycie dziwką.

Jack skinął głową; te słowa wywarły na nim wrażenie.

– Bardzo głębokie, inspektorze. Czy mogę posłużyć się tą myślą w którymś z moich wystąpień? Nie żebym miał teraz wygłaszać ich wiele. Jakkolwiek na to patrzeć, moja kariera obraca się w ruinę...

- Nigdy się nie poddawaj. Pomyśl o Robercie Pierwszym Bruce.
- I pająku, co nie ustawał w wysiłkach, żeby przeciągnąć nić przez wejście do groty? Nie znoszę pająków. Liz też nie znosi. – Zawiesił głos. – Nie znosiła...

Rebus liczył na podtrzymanie rozmowy. Jack wypił jednak tyle whisky, że mogło się to nie udać.

- Czy mogę zapytać o ostatnie przyjęcie w Deer Lodge?
- O co konkretnie?
- Na początek: kto był obecny?

Konieczność użycia pamięci jakby otrzeźwiła Jacka. Lecz nie zdołał wiele dodać do tego, co przekazał Rebusowi Barney Byars. Alkoholowy wieczór spędzony na pogawędkach, następnego dnia rano wspinaczka na pobliską górę, potem lunch – w Heather Hoose – i wreszcie powrót do domu. Jack żałował jedynie, że zaprosił wtedy do Deer Lodge swoją sekretarkę.

– Nie jestem pewien, czy kogokolwiek z obecnych tam zobaczyła w pozytywnym świetle. Barney Byars robił numer ze słoniem... no wiesz, wyciągał puste kieszenie spodni na zewnątrz i...

- Tak, wiem.
- Helen przyjęła to dość dobrze, ale mimo wszystko...
- Miła dziewczyna, prawda?
- Z pewnością wzorowa kandydatka na żonę, według mojej matki.

Mojej też, pomyślał Rebus. Whisky rozluźniała nie tylko język Jacka, lecz także jego akcent. Szlif ucywilizowania zanikał, pozostawiając surowe echa takich miejsc jak Kirkcaldy, Leven, Methil.

– Tamto przyjęcie odbyło się kilka tygodni temu, tak?

– Trzy tygodnie temu. Minęło raptem pięć dni od powrotu z Deer Lodge, kiedy Liz uznała, że potrzebuje wakacji. Spakowała walizkę i wyjechała. Miałem jej już nigdy nie zobaczyć... – Jack uniósł pięść i wymierzył cios w kanapę; nie rozległ się przy tym niemal żaden dźwięk, a na miękkiej skórce nie pozostał dostrzegalny ślad. – Dlaczego oni mi to robią? Jestem najlepszym posłem, jakiego ten okręg kiedykolwiek miał. Nie musisz mi wierzyć na słowo. Wyjdź i porozmawiaj z ludźmi. Pojeźdź do którejś z miejscowości górniczych, na farmę, do fabryki albo na pieprzone popołudniowe przyjęcie. Wszyscy powtarzają to samo: „Dobra robota, Gregor, tak trzymaj”.

Jack znowu wstał; jego stopy trzymały się podłogi, ale reszta ciała lekko wirowała.

– „Wykonuj dalej dobrą robotę, dalej ciężko pracuj”, mówią. Tak, to ciężka praca! Cholernie ciężka praca, mówię uczciwie. – Jego głos stale się podnosił. – Harowałem dla nich jak koń w kieracie! A teraz ktoś szcza na moje życie z bardzo wysokiej pozycji. Dlaczego ja? Dlaczego ja? Liz i ja... Liz...

Urquhart stuknął dwa razy w drzwi, zanim wsunął głowę do salonu.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Jego pracodawca uśmiechnął się groteskowo.

– Wszystko w porządku, Ian. Podsluchujesz za drzwiami? Dobrze, nie chcielibyśmy, żebyś przegapił jakieś słowo, prawda?

Szef kampanii spojrział na Rebusa. Ten skinął głową: wszystko gra, naprawdę. Urquhart wycofał się i zamknął drzwi. Gregor Jack opadł na kanapę.

– Przesadziłem – powiedział, ocierając twarz dłonią. – Ian to dobry przyjaciel...

Ach, tak, przyjaciele, pomyślał Rebus.

– Nie odbierałeś tylko anonimowych telefonów – rzucił.

– Co?

– Powiedziano nam również o listach.

– Ach... O tak, listy z pogroźkami.

– Nadal je masz?

Jack pokręcił głową.

– Nie warto trzymać czegoś takiego – odparł.

– Pokazywałeś je komuś?

– Po co?

– Co dokładnie w nich było, panie pośle?

– Gregor – przypomniał Rebusowi Jack. – Proszę, mów mi Gregor. Co w nich było? Brednie. Straszne bzdury. Majaki...

– Nie sądzę.

– Co?

– Ktoś mi wspomniał, że nikomu nie wolno było ich otwierać. Myślał, że to mogły być listy miłosne.

– Listy miłosne! – prychnął Jack.

– Mnie też nie bardzo chce się w to wierzyć – przyznał Rebus. – Zastanawia mnie jednak to, skąd Ian Urquhart lub ktokolwiek inny wiedział, które listy przekazywać ci nieotwarte? Pismo odręczne?

Trudno rozpoznać. Nie, to musiał być stempel pocztowy. Coś, co widniało na kopercie. Powiem ci, skąd przychodziły te listy, Jack. Z Duthil. Od twojego starego przyjaciela, Andrew Macmillana. I nie były to majaki, prawda? Nie były to straszne bzdury ani brednie. Prosił o interwencję w sprawie nadużyć w szpitalach psychiatrycznych, w których przebywają skazani. Czy mam rację?

Jack usiadł i przyjrzał się szklance whisky; ułożył usta w grymas jak dzieciak, który został przyłapany na gorącym uczynku.

– Czy mam rację? – powtórzył inspektor.

Jack skinął głową. Rebus też. Wstyd mieć siostrę, która jest prostytutką. Ale o ile większą hańbą jest mieć starego przyjaciela mordercę! W dodatku chorego psychicznie. Gregor Jack ciężko pracował nad publicznym wizerunkiem, a jeszcze ciężiej nad jego utrzymaniem. Biegając jak pies z wywalonym jęzorem, ze swoim bezinteresownym, szczerym, szerokim uśmiechem i mocnym – stosownie do okazji – uściskiem dłoni. Ciężko pracował w swoim okręgu wyborczym. Ciężko pracował dla społeczności. Lecz jego życie prywatne... hm... Rebus nie chciałby się z nim zamienić. To był dopiero burdel. Coraz większy burdel, bo Jack próbował zamieść go pod dywan. Nie miał przysłowiowych trupów w szafie – miał całą kostnicę.

– Andrew chciał, żebym zainterweniował w sprawie tych szpitali – wymamrotał Jack. – Nie mogłem tego zrobić. „Dlaczego rozpoczął pan tę krucjatę, panie Jack?” „Żeby pomóc staremu przyjacielowi”. „Któremu staremu przyjacielowi, panie Jack?” „Temu, który odpiłował głowę własnej żonie”. A teraz, jeśli wybaczysz, inspektorze... Aha, i pamiętaj, żeby następnym razem oddać na mnie głos... – Jego słowa przerodziły się w zawodzący śmiech pijanego człowieka, wręcz maniakalny, bliski płaczu. W końcu Jack rozpląkał się na dobre, a łzy płynące mu po policzkach zaczęły kapać do szklanki, którą wciąż trzymał w ręce.

– Gregor – odezwał się cicho Rebus. Powtórzył jego imię, i jeszcze raz, i jeszcze, za każdym razem niemal szeptem.

Poseł z trudem powstrzymał łzy i spojrzał na niego zamglonymi oczami.

– Gregor, czy zabiłeś żonę?

Jack wytarł oczy w rękaw koszuli, popłynęło jeszcze więcej łez i znowu je wytarł. Pokręcił głową.

– Nie. Nie, nie zabiłem żony.

NIE, PONIEWAŻ ZABIŁ JĄ William Glass. Zabił kobietę pod Dean Bridge, a potem Elizabeth Jack.

Rebus przegapił całe to podniecenie. Niczego nieświadomy, wrócił do Edynburga. Wspiął się po schodach do komendy przy Great London Road, nadal o niczym nie wiedząc. I wmaszerował prosto w nerwowy chaotyczny zgziełk. Chryste, co tu się działo? Czy komenda nadal będzie działała w tym miejscu? Nie będzie przeprowadzki na St Leonard's? Co oznaczało – jeżeli dobrze zapamiętał umowę, którą zawarł sam ze sobą – że zamieszka w domu Patience Aitken. Ale nie, to zamieszkanie nie miało nic wspólnego z kwestią, czy komenda zostanie przeniesiona, czy nie. Chodziło o Williama Glassa. Pewien policjant natknął się na niego śpiącego wśród kontenerów za supermarketem w Barnton. Glass siedział w areszcie. Mówił. Karmili go zupą, częstowali niekończącymi się filiżankami herbaty i papierosami, a on mówił.

– Ale co mówił? – chciał wiedzieć Rebus.

– Że to on je załatwił. Obie!

– Co takiego?!

Rebus zaczął kalkulować. Barnton... nie tak daleko od Queensferry, jeśli się nad tym zastanowić. Myśleli, że Glass wyruszył na północ lub zachód, a tymczasem on dowłókł się z powrotem do miasta... zakładając, że w ogóle dotarł do Queensferry.

- Przyznaje się do obu zabójstw.
- Kto go przesłuchuje?
- Główny inspektor Lauderdale i inspektor Dick.

Lauderdale! Chryste, pewnie jest w siódmym niebie. Jego dzieło, ostatni gwóźdź do ekspresu do kawy szefa. Ale Rebus miał na głowie inne sprawy. Na początek chciał znaleźć siostrę Jacka. Gail Jack, tylko że prawdopodobnie używała innego nazwiska. Przejrzał notatki z operacji Burda. Gail Crawley. To była ona. Oczywiście została zwolniona. I podała adres w Londynie. Wypatrzył jednego z funkcjonariuszy, którzy ją przesłuchiwali.

- Tak, powiedziała, że wyjeżdża na południe – potwierdził. – Nie mieliśmy podstaw jej zatrzymać... Poza tym nie chcieliśmy. Dałem jej kopa w tyłek i powiedziałem, żeby mi tu więcej nie wracała. Czy to nie jest niesłychane? Dorwać Glassa w ten sposób!

- Niesłychane, tak – rzucił Rebus. Skserował raport z przesłuchania Gail Crawley, razem z jej fotografią, i nakreślił na kopii kilka własnych notatek. Potem zadzwonił do starego przyjaciela z Londynu.

- Mówi inspektor Flight.
 - Cześć, George. Kiedy impreza pożegnalna?
- Po drugiej stronie linii rozbrzmiał śmiech.
- Ty mi powiedz. To ty mnie namówiłeś, żebym nie szedł na emeryturę.
 - Nie mogę sobie pozwolić na utratę ciebie – powiedział Rebus.
 - To znaczy, że chcesz przysługi?
 - Oficjalna sprawa, George, ale zależy mi na...
 - Na dyskrecji, jak zwykle. Dobrze, o co chodzi?

- Daj mi numer faksu, prześlę ci szczegóły. Jeśli Gail Crawley będzie pod adresem, który ci podam, chciałbym, żebyś z nią porozmawiał. Podam ci dwa numery telefonów. Dzwon w każdej chwili pod jeden albo drugi.

- Dwa numery? Wpadłeś głęboko, po same uszy, co, John?

Głęboko... wyrzucam za burłę, co zbędne...

- Można tak powiedzieć – przyznał Rebus.
- Jaka ona jest? – Flight miał na myśli Patience, a nie Gail Crawley.
- Lubi spokojne życie. Zwierzęta domowe i noce w domu, świece i płomienie w kominku.
- Brzmi doskonale – skwitował George Flight, ale po chwili dodał: – Daję wam co najwyżej trzy miesiące.

- Chrząć się! – Rebus zmrużył oczy.

Flight się roześmiał.

- No dobra, cztery – powiedział. – Ale to moja ostateczna ocena.

REBUS ZROBIŁ TO, CO miał do zrobienia, i poszedł do newralgicznego pomieszczenia, jedynego miejsca, w którym naprawdę musiał się znaleźć – męskiej toalety. Część sufitu się zapadła i została zastąpiona kawałkiem brązowego kartonu, na którym jakiś żartowniś narysował wielką gałkę oczną.

Rebus umył ręce, wysuszył, porozmawiał z jednym z detektywów, wypalił papierosa. W publicznej toalecie zostałyby zwinięty za podejrzane włóczęgostwo. Ale on właśnie się włóczył, włóczył się celowo. Drzwi się otworzyły. Bingo. To był Lauderdale, który często wychodził w czasie przesłuchań do toalety.

„Cały czas wchodzisz i wychodzisz, a podejrzany poci się coraz bardziej, zastanawiając się, co się dzieje”, wyjaśnił kiedyś.

– I jak tam? – zapytał Rebus.

Lauderdale uśmiechnął się, podszedł do umywalki, ochlapał wodą twarz i poklepał się mokrą dłonią po skroniach i karku. Wyglądał na zadowolonego z siebie. I co było bardziej niepokojące, nie śmierdział.

– Szef najwidoczniej ten jeden raz trafił w sedno – przyznał. – Powiedział, żebyśmy skoncentrowali się na Glassie.

– Przyznał się?

– Tak jakby. Wygląda na to, że obmyśla linię obrony.

– Jak do tego doszło?

– Media – odparł Lauderdale, susząc ręce. – Media popchnęły go do drugiego zabójstwa. Twierdzi, że tego od niego oczekiwali.

– Brzmi mi to tak, jakby mu się poprzestawiały w głowie klocki.

– Nie wkładam mu żadnych słów do gęby, jeśli do tego pijesz. Wszystko jest na taśmie.

Rebus pokręcił głową.

– Nie, nie, jeśli mówi, że to zrobił, to w porządku. W porządku. A tak przy okazji, to ja strzelałem do JFK.

Szef dochodzeniówki przyglądał się sobie w zachlapanym lustrze; wciąż wyglądał triumfalnie. Szyja wznosiła się nad kołnierzykiem koszuli, tak że głowa spoczywała na niej jak piłka golfowa na podkładce.

– Przyznanie się podejrzanego, John, to ważna rzecz.

– Nawet gdy facet sypia na ulicach przez całą noc? Naćpany środkiem do czyszczenia metali, ściągany przez najlepsze gliny w Edynburgu? Przyznanie się może być dobre dla duszy i czasem wystarczy do tego miska zupy i trochę gorącej herbaty.

Lauderdale wygładził ubranie i spojrział na Rebusa.

– Jesteś zwyczajnym pesymistą, John.

– Pomyśl o tych wszystkich pytaniach, na które Glass nie potrafi odpowiedzieć. Zadaj mu kilka z nich. Jak pani Jack dostała się do Queensferry? Jak to się stało, że ją tam porzucił? Zapytaj go o to, szefie. Chętnie przeczytam stenogram. Założę się, że to będzie bardzo jednostronna rozmowa.

Rebus wyszedł z toalety, zostawiając inspektora Lauderdale'a otrzępującego się z brudu jak posąg, z którego sypią się kawałki. Wydawało się, że jeden znalazł, bo nagle zmarszczył brwi i spędził przy umywalce więcej czasu, niż zamierzał.

– CHCĘ TROCHĘ WIĘCEJ, JOHN.

Leżeli w łóżku, tylko we trójkę: Rebus, Patience i kot Lucky.

– Dałem ci wszystko, co mam, kochanie – odparł Rebus, imitując amerykański akcent.

Patience uśmiechnęła się, ale nie dała się przebłagać. Uderzyła dłońmi w poduszki, usiadła i podciągnęła kolana pod brodę.

– Chcę przez to powiedzieć, że muszę wiedzieć, co zamierzasz... co my zamierzamy – oświadczyła. – Nie ja decyduję, czy się do mnie wprowadzasz, czy wyprowadzasz.

– Wchodzę i wychodzę. – Podjął ostatnią próbę ucieczki w żart.

Uderzyła go w ramię. I to mocno. Wciągnął powietrze.

– Jestem podatny na siniaki – powiedział.

– Ja też! – W jej oczach zaśniły łzy, ale nie zamierzała dać mu satysfakcji. – Czy jest ktoś jeszcze? Wyglądał na zaskoczonego.

– Nie. Dlaczego tak pomyślałeś?

Kot wyciągnął się na kolanach Patience i pazurami zaczął skubać kołdrę. Gdy się uspokoił, pogłaskała go po łebku.

– Nie potrafisz pozbyć się wrażenia, że próbujesz mi coś powiedzieć. Wyglądasz, jakbyś zbierała siły i był o włos, ale ostatecznie zbywasz temat milczeniem. Wolalabym wiedzieć, o co chodzi... cokolwiek to jest.

A co tu było do powiedzenia? Że nadal nie zdecydował się na przeprowadzkę? Że wciąż ma, jeśli nie słabość, to przynajmniej nietkniętą szklką whisky dla Gill Templer? Co miałby jej powiedzieć?

– Wiesz, jak to jest, Patience. Życie gliny nie jest proste i tak dalek.

– Dlaczego musisz tak się angażować?

– W co?

– W te wszystkie cholerne sprawy. Czemu bierzesz na siebie taki ciężar? To tylko praca, jak każda inna. Ja potrafisz zapomnieć o swoich pacjentach na kilka godzin. Więc dlaczego ty nie możesz?

Udzielił jej jedynej szczerej odpowiedzi tego wieczoru:

– Nie wiem.

Zadzwonił telefon. Patience podniosła przewód z podłogi i przytrzymała między nimi.

– Do mnie czy do ciebie? – zapytała.

– Do ciebie.

Podniosła słuchawkę.

– Słucham? Tak, mówi doktor Aitken. Tak, dobry wieczór, pani Laird. Czy on... teraz? Naprawdę? Może to tylko grypa?

Rebus spojrzął na zegarek. Dziewięć trzydzieści. Przyszła kolej Patience na dyżur przy pacjencie w ramach jej praktyki lekarskiej.

– Aha – rzuciła. – Aha – powtórzyła i kiedy jej rozmówczyni kontynuowała, odsunęła na chwilę słuchawkę od ucha i westchnęła ciężko, patrząc w sufit. – Dobrze, proszę pani. Nie, proszę go zostawić. Przyjadę tak szybko, jak będę mogła. Proszę przypomnieć adres...

Po zakończeniu rozmowy energicznie wstała z łóżka i zaczęła się ubierać.

– Mąż pani Laird twierdzi, że tym razem naprawdę umiera – powiedziała. – Trzeci raz w ciągu kilku miesięcy, niech go szlag trafi.

– Chcesz, żebym cię zawiadził?

– Nie trzeba, pojedę sama. – Zatrzymała się, podeszła do łóżka i cmoknęła go w policzek. – Ale dzięki za propozycję.

– Nie ma za co.

Lucky, któremu zakłócono odpoczynek, mościł się na kołdrze po stronie Rebusa; ten chciał pogłaskać go po łebku, lecz zwierzak się uchylił.

– Do zobaczenia – powiedziała Patience i pocałowała Rebusa jeszcze raz. – Porozmawiamy później, dobrze?

– Jeśli chcesz.

– Chcę.

I wyszła. Słyszał, że zbiera w salonie swoje rzeczy, a potem drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły. Kot oddalił się od niego i badał ciepłą część materaca, którą jeszcze przed chwilą zajmowała Patience. Rebus uznał, że pora wstać, ale się rozmyślił. Znowu zadzwonił telefon. Inny pacjent? Nie odebrał. Telefon jednak nadal dzwonił, więc Rebus w końcu odebrał połączenie.

– Halo? – rzucił od niechcienia.

– Nie spiesz się – odezwał się George Flight. – Niczego nie przerwałem?

– Co masz, George?

– Mam biegunkę, skoro pytasz. Pewnie przez curry, które zjadłem wczoraj wieczorem w Gunga. Mam też informacje, o które prosisz, inspektorze.

– Czyżby, inspektorze? Zechciałbyś mi je przekazać, do jasnej cholery?

Flight prychnął.

– Oto co dostaję w podzięce za cały dzień urabiania rąk po łokcie.

– Co do rąk, to już my wiemy, po co Scotland Yard je wyciąga, George.

Inspektor z Londynu cmoknął kilka razy.

– Przewody mają uszy, John. W każdym razie, adres jest nieaktualny. Mieszka tam co prawda przyjaciółka panny Crawley, ale nie widziała jej od tygodni. Ostatnio słyszała, że Crawley jest w Edynburgu. – Ostatnie zdanie powiedział cockneyowskim slangiem.

– To wszystko?

– Próbowałem poprosić wśród kilku drani powiązanych z Croft.

– Kto to taki?

Flight westchnął.

– Kobieta, która prowadziła ten burdel.

– Ach, no tak.

– Mieliśmy z nią wcześniej do czynienia, wiesz? Może dlatego przeniosła działalność do Szkocji. Uciałem sobie pogawędkę z kilkoma jej „byłymi współpracownikami”.

– I?

– I nic. Nie dostałem nawet zniżki na seks z klapsami.

– No tak. Mimo to dzięki, George.

– Żałuję, że nie mogłem pomóc. Kiedy zobaczymy cię w Londynie?

– A kiedy zobaczymy cię w Edynburgu?

– Bez urazy, John, ale macie tam tylko kwadratową kiełbasę i kiepskie piwo. Nie bardzo w moim guście.

– Wracaj więc do wędzonego łososia i szkockiej. Dobranoc, George.

Rebus odłożył telefon i zastanawiał się przez chwilę; w końcu wstał z łóżka i zaczął się ubierać. Kot, zadowolony z tego, rozciągnął się. Rebus znalazł papier i długopis i napisał krótką wiadomość dla Patience.

Samotnie bez Ciebie. Pojechałem na przejażdżkę. John.

Pomyślał, czy nie dodać kilku pocałunków. Tak, kilka pocałunków było zdecydowanie w porządku.

xxx

Upewnił się, czy ma kluczyki do samochodu, klucze do swojego mieszkania oraz pieniądze, wyszedł z domu i zamknął za sobą drzwi.

GDYBYŚ NIE WIEDZIAŁ, nie zobaczyłbyś.

Noc była przyjemna na tyle, żeby wybrać się na przejażdżkę. Warstwa chmur utrzymywała łagodnie powietrze; nie było wiatru, nie zanosilo się też na deszcz. Tak, to była niezła noc na przejażdżkę. Inverleith, potem Granton, łatwy zjazd na wybrzeże. Minął okolicę, gdzie kiedyś wynajmował pokój William Glass... Granton Road... Newhaven. Doki.

Gdybyś nie wiedział, nie zobaczyłbyś.

Samotny człowiek, po prostu jechał, jechał powoli. Przechodnie wychodzili z zacienionych drzwi lub przechodzili na światłach, jak na pokazie mody w sodowym świetle. W jedną stronę, w drugą. A kierowcy jechali, powoli, coraz wolniej i wolniej. Nie było niczego, co przyciągnęłoby oko, więc Rebus przemierzył całą długość Salamander Street, a potem skręcił. Był jednak czujny. Nieśmiały, samotny, spokojny i czujny. Prowadził swój poobijany stary wrak po spowitych mrokiem ulicach, rozglądając się... wypatrując, jakby gotowy na pokusę...

Gdy zatrzymał samochód, podeszła do niego zgrabnie. Choć jej strój nie był zgrabny. Był tani i nijaki: wyblakły płaszcz przeciwdeszczowy o jeden rozmiar za duży, a pod nim jaskrawoczerwona bluzka i minispódniczka. Krótka spódnica była według Rebusa wielkim błędem, bo nogi kobiety nie wyglądały atrakcyjnie. Sprawiała wrażenie zmarzniętej, jakby była przeziębiona. A jednak zagadnęła z uśmiechem.

– Wsiadaj – powiedział.

– Ręka piętnaście, laska dwadzieścia pięć, trzydzieści pięć reszta.

Naiwna. Mógłby ją aresztować na miejscu. Nigdy nie poruszaj tematu pieniędzy, dopóki nie masz pewności, że gracz jest uczciwy.

– Wsiadaj – powtórzył.

Musiała się jeszcze wiele nauczyć. Weszła do środka.

Rebus wyciągnął identyfikator policyjny.

– Detektyw inspektor Rebus. Chciałbym zamienić z tobą słowo, Gail.

– Wy się nigdy nie poddajecie, co?

W jej akcencie słyszało się cockney, ale była w Szkocji już wystarczająco długo, by jej rodzinne Fife zaczęło się na nowo umacniać. Jeszcze kilka tygodni i jej dawny akcent całkiem powróci. Uczyla się powoli.

– Skąd wiesz, jak się nazywam? – zapytała w końcu. – Brałeś udział w nalocie? Po darmość się przyszło, co?

Nie po to, bynajmniej.

– Chcę porozmawiać o Gregorze.

Kolory odpłynęły z jej twarzy, pozostawiając na niej tylko makijaż oczu i błysk czerwonej szminki.

– A kim on jest tak naprawdę?

– Twoim bratem. Możemy porozmawiać na komendzie albo u ciebie w mieszkaniu, jedno i drugie mi odpowiada.

Podjęła nieprzekonującą próbę ucieczki z samochodu. Wystarczyło dotknięcie dłoni, żeby się zatrzymała.

– U mnie – powiedziała spokojnie. – Tylko żebyś mi nie zajął całej nocy, dobra?

WYNAJMOWAŁA NIEWIELKI POKÓJ. Rebus odniósł wrażenie, że nie sprowadzała tu mężczyzn. Było w tym miejscu zbyt dużo jej prywatnych akcentów; brakowało w nim anonimowości. Przede wszystkim zdjęcie dziecka na toalecie. Do ścian przychepione wycinki z gazet, wszystkie szczegółowo opisujące upadek Gregora Jacka. Rebus starał się nie patrzeć na nie, ale sięgnął po fotografię.

– Odlóż to!

Posłuchał.

– Kto to jest?

– Skoro musisz wiedzieć, to ja.

Siedziała na łóżku, opierając na nim za plecami obie ręce; nogi w cętkowanych pończochach miała skrzyżowane. W pokoju było zimno; Rebus nie dostrzegł żadnego śladu ogrzewania. Z otwartej komody wypadały ciuchy, a na podłodze walały się kosmetyki.

– Bierz się za robotę – rzuciła Gail.

Nie miał gdzie usiąść, więc stał, trzymając ręce w kieszeniach marynarki.

– Wiesz, że jedynym powodem, dla którego twój brat znalazł się w tym burdelu, było to, że chciał z tobą porozmawiać?

– No i?

– Gdybyś zechciała o tym powiedzieć...

– A niby z jakiej racji? – Splunęła. – Z jakiej, kurwa, racji? Nie jestem mu winna żadnej przysługi!

– Dlaczego nie?

– Dlaczego nie? Bo to służalca szuja. Zawsze nią był. Ładnie się ustawił, co? Matka i ojciec zawsze go faworyzowali... – Jej głos ucichł.

– Dlatego wyprowadziłaś się z domu?

– Nie twój interes, dlaczego się wyprowadziłam.

– Czy kiedykolwiek potem widziałaś starych przyjaciół?

– Nie mam żadnych „starych przyjaciół”.

– Wróciłaś do Szkocji. Musiałaś wiedzieć, że możesz spotkać brata.

– Nie obracamy się w tych samych kręgach – prychnęła.

– Nie? Sądziłem, że prostytutki zawsze uważały posłów i sędziów za najlepszych klientów.

– Dla mnie to tylko klienci.

– Od jak dawna się tym zajmujesz?

Otuliła się ciasno rękami.

– Po prostu się odwal, dobrze?

I znów je zobaczył – te nie do końca łyzy. Dzisiaj dwukrotnie omal nie doprowadził kobiet do łez. Jedyne, czego chciał, to wrócić do domu i wziąć gorącą kąpiel. Ale gdzie był jego dom?

– Jeszcze jedno pytanie, Gail.

– Dla ciebie „pani Crawley”.

– Jeszcze jedno pytanie, pani Crawley.

– No?

– Ktoś wiedział, że pracowałeś w tym burdelu. I ten ktoś przekazał tę informację twojemu bratu.

Domyślasz się, kto to mógł być?

Nastąpiła chwila namysłu.

– Nie mam zielonego pojęcia.

Oczywiście kłamała. Rebus ruchem głowy wskazał wycinki z gazet.

– A jednak się nim interesujesz. Wiesz, że przyszedł do ciebie tamtej nocy, bo mu zależy...

– Nie wciskaj mi tego gówna!

Rebus wzruszył ramionami. Cała ta sprawa była gówniana. Jeśli jednak nie przeciągnie tej kobiety na stronę Gregora Jacka, być może nigdy się nie dowie, kto stoi za tą parszywą ustawką.

– Jak sobie życzysz, Gail. Jeśli będziesz chciała porozmawiać, znajdziesz mnie na komendzie przy Great London Road. – Wyłowił z portfela wizytówkę z nazwiskiem i numerem telefonu.

– Niedoczekanie twoje.

– No dobrze... – Zrobił niecałe trzy kroki w kierunku drzwi, kiedy usłyszał:

– Im więcej pomyj spadnie na tego drania, tym lepiej.

Ale jej słowa straciły na mocy. Nie do końca brzmiało w nich niezdecydowanie, ale może były dobrym początkiem...

Upiekło się

W PONIEDZIAŁEK ZACZEŁY NAPŁYWAĆ pierwsze ustalenia z Dufftown, gdzie trwały badania kryminalistyczne bmw Elizabeth Jack. Ślady krwi odkryte na wykładzinie po stronie kierowcy pasowały do grupy pani Jack, znaleziono także oznaki, które mogły wskazywać na szamotaninę: ślady na desce rozdzielczej, zadrapania na wewnętrznej stronie obu przednich drzwi oraz uszkodzenie radia, wyglądające jak po uderzeniu obcasem.

Rebus przeczytał notatki w gabinecie szefa dochodzeniówki, po czym wręczył mu je z powrotem przez biurko.

– Co myślisz? – zapytał Lauderdale, tłumiąc poniedziałkowe poranne ziewnięcie.

– Wiesz, co myślę – odparł Rebus. – Myślę, że pani Jack została zamordowana w tamtej zatoczce, w swoim samochodzie lub poza nim. Może próbowała uciekać i została zaatakowana od tyłu. A może napastnik najpierw ogłuszył ją do nieprzytomności, a dopiero potem wymierzył od tyłu cios, żeby upozorować robotę mordercy z Dean Bridge. Cokolwiek się stało, nie sądzę, żeby zrobił to William Glass.

Lauderdale wzruszył ramionami i przeciągnął dłonią po brodzie, jakby sprawdzał, czy dokładnie się ogolił.

– Glass nadal twierdzi, że ją zabił. Możesz przeczytać stenogramy z przesłuchania. Mówi, że się nie wychylał, bo wiedział, że go ścigamy. Potrzebował forsy na jedzenie. Wpadł na panią Jack i uderzył ją w głowę.

– Czym?

– Kamieniem.

– A co zrobił z jej rzeczami?

– Wrzucił do rzeki.

– Błagam, szefie...

– Nie miała pieniędzy. To go rozwścieczyło.

– Łże jak pies.

– Ja uważam jego zeznania za wiarygodne...

– Nie! Z całym szacunkiem, szefie. On wymyśla na poczekaniu jakieś bzdury, które mogłyby zadowolić ojca Elizabeth Jack, sir Hugh Ferriego. Nie liczy się to, że mija się z prawdą?

– Posłuchaj mnie... – Twarz Lauderdale'a poczerwieniała z gniewu. – Posłuchaj mnie uważnie: wszystko, co do tej pory od ciebie dostałem, to... No co? Ścisłe mówiąc, nic, zgadza się? Nic solidnego ani konkretnego. Żadnego punktu zaczepienia, nie wspominając o dowodach, które przesyłyby w sądzie. Nic.

- Jak dotarła do Queensferry? Kto ją tam zawiózł? W jakim była stanie?
- Na litość boską, mam świadomość, że potrzeba ustaleń. Są jeszcze dziury...
- Dziury! Można by w nich zmieścić stadion Hampden Park, trzy takie stadiony!

Lauderdale się uśmiechnął.

– Znowu to samo, John: przesadzasz. Dlaczego po prostu nie zaakceptujesz, że jest w tym mniej niejasności, niż wydaje się na pierwszy rzut oka?

– Posłuchaj, szefie... W porządku, oskarżcie Glassa o zabójstwo przy Dean Bridge, to mi pasuje. Ale zachowajmy otwarty umysł w sprawie Elizabeth Jack, co? Przynajmniej póki technicy nie skończą z samochodem.

Lauderdale rozważał to.

– Dopóki nie skończą z samochodem – naciskał Rebus. Nie zamierzał się poddawać: poniedziałkowe poranki były dla Lauderdale'a piekłem i zgodziłby się na wszystko, byleby tylko wyrzucić Rebusa z biura.

– Dobra, John, rób to po swojemu. Ale nie zagrzeb się w tym. Zapamiętaj: zachowam otwarty umysł, jeśli i ty zachowasz. Rozumiemy się?

– Rozumiemy.

Lauderdale trochę się odprężył.

– Widziałeś dziś rano komendanta?

Rebus pokręcił głową.

– Nie jestem pewien, czy jeszcze tu jest – dodał Lauderdale. – Może miał ciężki weekend, co?

– To nie nasza sprawa.

Lauderdale zmierzył go wzrokiem.

– Oczywiście, że nie nasza sprawa. Ale jeśli problemy osobiste komendanta zaczynają kolidować z jego...

Zadzwonił telefon i szef dochodzeniówki podniósł słuchawkę.

– Tak? – Błyskawicznie wyprostował się na krześle. – Tak jest. Czy ja...? – Otworzył kalendarz osobisty na biurku. – Ach, tak, dziesiąta. – Spojrzał na zegarek. – Zaraz tam będę. Tak, proszę mi wybaczyć. – Miał dość przyzwoitości, żeby się zarumienić, gdy odkładał słuchawkę.

– Komendant? – domyślił się Rebus.

Lauderdale skinął głową.

– Miałem się z nim spotkać pięć minut temu. Całkowicie zapomniałem, cholera! – Wstał. – Masz dużo roboty, John?

– Mnóstwo. Sądzę, że detektyw sierżant Holmes ma dla mnie samochody do przejrzania.

– Tak? Myślisz o pozbyciu się swojego rupiecia? Najwyższy czas, co? – Lauderdale się roześmiał, bo był to dowcip w jego stylu.

BRIAN HOLMES MIAŁ DLA NIEGO samochody, całe mnóstwo samochodów. Tak naprawdę to detektyw posterunkowy wykonał za niego robotę; Holmes uczył się już przerzucać obowiązki na innych. Lista samochodów posiadanych i prowadzonych przez przyjaciół Jacków. Marka, numer rejestracyjny, kolor. Rebus omiótł ją wzrokiem. Wspaniale, jedyną właścicielką niebieskiego pojazdu była Alice Blake (Sexton Blake z Paczki), tylko że mieszkała i pracowała w Londynie. Było też auto białe, czerwone, czarne i zielone. Tak, Ronald Steele jeździł zielonym Citroënem BX. Rebus widział go

zaparkowanego przed domem Gregora Jacka tej nocy, kiedy Holmes przeszukiwał kosze... Zielony? No tak, zielony. Zapamiętał lakier bardziej jako zielononiebieski, niebieskozielony. Zachowaj otwarty umysł. Dobra, niech będzie, że zielony. Ale czy nie łatwiej pomylić zielony z niebieskim niż, dajmy na to, czerwony z niebieskim, białym albo czarnym?

Pozostała jeszcze kwestia tej konkretnej srody. Wszystkim zadano pytanie: „Gdzie pan/pani był/była tego dnia rano i po południu?”. Niektóre z odpowiedzi wydawały się bardziej niejasne od innych, natomiast alibi Gregora Jacka było bezsprzecznie bardziej niepodważalne niż większości przesłuchiwanym. Steele na przykład nie miał pewności co do poranka. Jego asystentka Vanessa tego dnia wzięła w pracy wolne, a on nie potrafił sobie przypomnieć, czy poszedł do księgarni, czy nie. W jego kalendarzu brakowało zapisków, które mogłyby mu odświeżyć pamięć. Jamie Kilpatrick cały dzień odsypiał kaca – żadnych gości, żadnych telefonów – podczas gdy Julian Kaymer „tworzył” w swoim studio. Rab Kinnoul też był niezdecydowany; pamiętał spotkania, ale niekoniecznie ludzi, z którymi się spotkał. Mógłby sprawdzić, ale to zajęłoby trochę czasu...

Czas... jedyna rzecz, której Rebus nie miał, dlatego sam potrzebował wszelkich przyjaciół, jakich tylko mógł zaangażować. Jak dotąd wykluczył dwóch podejrzanych: Toma Ponda, który przebywał za granicą, i Andrew Macmillana, osadzonego w Duthil. Pond, który nie wrócił jeszcze ze Stanów, był dla Rebusa solą w oku. Przesłuchano go oczywiście przez telefon i znał szczegóły tragedii, ale policja nie miała jeszcze jego odcisków palców.

A pobrano je od każdego, kto mógł być z wizytą w Deer Lodge. Jedynie – tak wszystkich zapewniano – dla eliminacji, na wszelki wypadek, gdyby w domu znaleziono odciski, których nie dałoby się przypisać do gości. To był bardzo żmudny proces: zbieranie i zestawianie ze sobą linii papilarnych. Ale tak właśnie wyglądają w praktyce śledztwa w sprawie zabójstw. Łatwiej je prowadzić, gdy istnieje ewidentne miejsce zbrodni, konkretna lokalizacja. Rebus nie miał wątpliwości, że Elizabeth Jack zabito, lub prawie zabito, podczas postoju w zatoczce. Czy Alec Corbie coś widział, czy coś przed nimi zatajał? Czy było coś, o czym mógł wiedzieć, nie mając świadomości, że wie? Może coś mu umknęło albo uznał za nieważne? A może Liz Jack wyjawiała Andrew Macmillanowi coś, czego ten nie potraktował jako wskazówkę? Chryste, Macmillan nadal nie wiedział, że ona nie żyje. Jak by zareagował, gdyby Rebus mu powiedział? Może prawda przywróciłaby mu pamięć, a może skutek byłby odwrotny? Poza tym, czy w ogóle można wierzyć w to, co mówi Macmillan? A jeśli żywił urazę do Gregora Jacka, tak jak Gail Crawley? Zresztą kto wie, czy nie żywili jej pozostali...

Kim tak naprawdę był Gregor Jack? Splamionym świętym czy łotrem spod ciemnej gwiazdy? Ignorował listy Macmillana, próbował powstrzymać siostrę przez zhańbieniem jego wizerunku, wstydił się żony. Czy jego przyjaciele naprawdę byli przyjaciółmi? Czy byli Paczką, czy może zgrają... Zgrają wilków. Ogary też biegają w zgrajach. I żywiące się padliną sępy z gazet. Rebus przypominał sobie, że musi wytropić Chrisa Kempa. Może chwycił się brzytwy, ale czuł się tak, jakby to brzytwa chwyciła się jego...

ALE BYŁA JEDNA RZECZ, która nie chwyciła: sprzęgło w jego samochodzie. Kiedy wrzucił pierwszy bieg, rozległ się niepokojący warkot i zgrzyt. Mimo to saab sprawował się na tyle dobrze (pomijając wycieraczki, które znowu zaczęły się zacinać), że pojechał nim na północ i wrócił bez najmniejszego problemu. Tylko że to wprawiło Rebusa w smutek, jakby to był ostatni rajd nieuleczalnego pacjenta, ostatni przeblysłk, zanim zacznie wymagać podłączenia do aparatury utrzymującej go przy życiu.

Może następnym razem będzie musiał pojechać do Chrisa Kempa autobusem? Mieszkanie dziennikarza znajdowało się zaledwie kwadrans drogi od Great London Road. Znękana kobieta z redakcji podała Rebusowi adres, gdy o niego poprosił. A poprosił dopiero wtedy, kiedy usłyszała, że Kemp tego dnia ma wolne. Najpierw podała mu domowy numer telefonu Kempa, a kiedy Rebus usłyszał pierwsze trzy cyfry, zorientował się, że to niedaleko, i poprosił o adres.

– Mógł pan zajrzeć do książki telefonicznej – rzuciła, zanim się rozłączyła.

– Dziękuję – odpowiedział, ale już go nie usłyszała.

Mieszkanie mieściło się na drugim piętrze. Wcisnął przycisk domofonu przy drzwiach wejściowych do kamienicy i czekał. I czekał. Powinieneś być najpierw zadzwonić, pomyślał. Po chwili jednak rozległ się trzask, a potem:

– Tak? – Głos Kempa był zamroczony.

Rebus spojrział na zegarek. Kwadrans przed drugą.

– Nie obudziłem cię, Chris?

– Kto mówi?

– John Rebus. Włóż spodnie, stawiam pasztecika i duże piwo.

Jęk.

– Która godzina?

– Już prawie druga.

– Chryste... Tylko nie piwo, potrzebuję kawy. Na rogu jest sklep. Kup mleko, dobrze? Nastawię czajnik.

– Zaraz wracam.

Domofon zamilkł. Rebus poszedł do sklepu, kupił mleko, wrócił pod dom i znowu nacisnął przycisk domofonu. Rozległo się brzęczenie, więc popchnął drzwi i wszedł do ciemnej klatki schodowej. Gdy zziąjany wspinał się na drugie piętro, przypomniał sobie, dlaczego tak lubił mieszkać na poziomie piwnicy u Patience. Kemp zostawił drzwi uchylone; Rebus zobaczył na nich tuż pod *Chris Kemp* przyklejone taśmą inne nazwisko: *V. Christie*. Dziewczyna, pomyślał Rebus. W przedpokoju opierało się o ścianę koło od roweru, bez opony, oraz książki, dziesiątki książek, krzywe, spiętrzone stopy. Przecisnął się między nimi na palcach.

– Mleczarz! – zawołał.

– Tutaj.

Salon był na końcu przedpokoju. Mimo że był obszerny, nie było w nim wiele miejsca. Kemp, w T-shirtcie, który wyglądał, jakby nie był zdejmowany od tygodnia, i dżinsach sprawiających wrażenie, że właściciel nosił je od dwóch tygodni, przeczeszał palcami włosy.

– Dzień dobry, inspektorze. Miałem pilny telefon, o trzeciej mam się z kimś spotkać.

– Pojąłem aluzję. Przechodziłem w pobliżu i...

Kemp rzucił mu niedowierzające spojrzenie, odwrócił się do zlewu i usilnie próbował usunąć plamy z dwóch kubków. Pokój służył zarówno za salon, jak i za kuchnię. Przy kominku stał stary, ładny piec kuchenny, który najwyraźniej zmienił przeznaczenie i stał się gablotą na rośliny doniczkowe oraz ozdobne pudełka. Do gotowania posiłków służyło zatłuszczone urządzenie elektryczne stojące tuż obok zlewu. Obok stołu z pudłami pełnymi papierów, segregatorami i elektroniczną maszyną do pisania stała zielona metalowa szafka na dokumenty, z czterema szufladami; dolna była otwarta i wystawała z niej

sterta papierów. Na niemal całej podłodze piętrzyły się książki, czasopisma i gazety, ale znalazło się też miejsce na kanapę, fotel, telewizor, wideo i sprzęt hi-fi.

– Przytulnie – powiedział Rebus, i to całkiem szczerze.

Ale Kemp rozejrzył się tylko i skrzywił.

– Powinienem dziś posprzątać.

– Powodzenia.

Dziennikarz wsypał kawę do kubków i dodał mleko. Kiedy woda się zagotowała, wyłączył czajnik i wlał ją do kubków.

– Cukier?

– Nie, dziękuję. – Rebus przycupnął na oparciu kanapy, jakby chciał powiedzieć: „Nie martw się, nie będę tu długo”. Przyjął kubek ze skinieniem głowy. Kemp usiadł w fotelu, tyknął kawy i wykrzywił twarz, bo sparzyła mu usta i gardło.

– Chryste – wydyszał.

– Ciężka noc?

– Ciężki tydzień.

Rebus wstał i podszedł do stołu.

– No tak, chłanie to straszna rzecz – rzucił.

– Może i tak, ale ja mówiłem o pracy.

– Ach, przepraszam. – Odwrócił się od stołu i ruszył w stronę zlewu, minął kuchenkę i przystanął obok lodówki. Kemp zostawił na niej karton mleka, obok czajnika. – Lepiej to odłożę – powiedział, podnosząc karton. Otworzył lodówkę. – Masz tu już mleko. I wygląda na całkiem świeże. Niepotrzebnie fatygowałem się do sklepu.

Postawił nowy karton obok starego, zatrzasnął drzwiczki, wrócił do kanapy i znowu usiadł na jej oparciu. Kemp próbował się uśmiechnąć.

– Jesteś bystry jak na poniedziałek.

– Potrafię być dosadny, kiedy trzeba. Co chciałeś ukryć przed starym wujkiem Rebusem, Chris? A może potrzebowałeś czasu na sprawdzenie, czy nie masz nic do ukrycia? Trochę zioła? Albo coś innego? Artykuł, nad którym pracujesz do późna w nocy? Coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Daj spokój, inspektorze. To ja wyświadczam ci przysługę, nie pamiętasz?

– Będziesz musiał odświeżyć mi pamięć.

– Chciałeś informacji w sprawie afery z burdelem. Miałem wy badać, skąd prasa się dowiedziała.

– Ale mi ich nie przekazałeś.

– Zabrakło mi czasu.

– Nadal brakuje. Pamiętaj, że masz o trzeciej spotkanie. Powiedz mi, co wiesz, a sobie pójdę. – Rebus wstał z oparcia i opadł na kanapę. Poczuł wbijające się w ciało sprężyny z miejsca pokrytego wzorzystym obiciem.

– No cóż... – Kemp wychylił się do przodu. – Wygląda to na masowy przepływ informacji. Wszystkie pisma myślały, że dostają wyłączność, a gdy wydania się ukazały, zrozumiały, że ktoś ich nabrał.

– Jak to?

– No wiesz, skoro miały materiał, musiały go opublikować. Gdyby tego nie zrobiły, a konkurencja tak...

- Redaktorzy dociekaliby, jak to się stało, że inni wcześniej opublikowali materiał?
- Otóż to. Więc ktokolwiek ustawił tę historię, miał zagwarantowany maksymalny udział prasy.
- Ale kto ją ustawił?

Kemp pokręcił głową.

– Tego nikt nie wie. Akcję przeprowadzono anonimowo. Jeden telefon w czwartek do wszystkich redakcji wiadomości. W piątek wieczorem policja robi nalot na burdel w Edynburgu... oto adres... jeśli będziecie tam koło północy, macie gwarancję, że ustrzelicie posła.

- Dzwoniący tak powiedział?
- Najwyraźniej. A dokładniej: „Będzie tam co najmniej jeden deputowany”.
- Ale nie wymienił żadnych nazwisk?

– Nie musiał. Członkowie rodziny królewskiej, parlamentarzyści, aktorzy i piosenkarze to dla pismaków żadna różnica. Daj im wyczuć pismo nosem i łapiesz ich na haczyk. Pewnie pomieszałem coś z tymi powiedzonkami, ale rozumiesz.

– O tak, Chris, rozumiem. No a co ty o tym sądzisz?

– Że Jacka wmanewrowano, że ktoś chciał jego upadku. Ale zauważ, że rozmówca nie wymienił jego nazwiska.

– To nie ma znaczenia – rzucił Rebus.

– Racja.

Rebus zaczął główkować. Zagłębił się w kanapie, zagłębił w rozważaniach. Właściwie debatował sam ze sobą, czy wyświadczyć Gregorowi Jackowi ogromną przysługę, czy nie. Argumenty na nie: nie był winien Jackowi żadnych przysług, a poza tym powinien zachować obiektywizm – czy nie o to chodziło Lauderdale’owi? Argumenty na tak, tak naprawdę jeden: nie tylko wyświadczyłby Jackowi przysługę, ale też może wypospyzył z nory szczura, który go wrobił. Podjął decyzję.

– Chris, chcę ci coś powiedzieć...

Kemp wyczuł gorący temat.

– Podaś mi źródło?

Inspektor pokręcił głową.

– Niestety, nie.

– A to źródło jest przynajmniej rzetelne?

– O tak, mogę ci zagwarantować, że rzetelne.

– No więc słucham.

Ostatnia szansa, żeby zamknąć dziób na kłódkę. Nie, Rebus wcale nie zamierzał tego robić.

– Mogę ci powiedzieć, dlaczego Gregor Jack był w tym burdelu.

– Tak?

– Ale najpierw chcę się dowiedzieć, czy coś ukrywasz.

Dziennikarz wzruszył ramionami.

– Nie sądzę – odparł.

Rebus nadal mu nie wierzył. Choć w sumie Kemp nie miał powodu, żeby cokolwiek mu mówić, a on nie zamierzał zdradzić mu czegoś, co tak naprawdę chciał zataić. Przez pół minuty siedzieli w milczeniu, ani przyjaciele, ani wrogowie, bardziej żołnierze z okopów przy bożonarodzeniowej wieczery. W każdej chwili mogą zawyc syreny i szrapnele przeszyją ciszę. Rebus otrząpał z pyłu

zapomnienia jedną rzecz, o której zamierzał powiedzieć Kempowi: skąd Ronald Steele otrzymał swój przydomek, Samob.

– No więc – zaczął dziennikarz. – Po co Jack tam był?

– Ktoś go poinformował, że jego siostra tam pracuje.

Kemp zacisnął usta.

– Jako prostytutka – dodał Rebus. – Ktoś do niego zadzwonił, anonimowo, i mu o tym powiedział. Dlatego tam poszedł.

– Co za głupota!

– Racja.

– I ona tam była?

– Tak. Nazywa się Gail Crawley.

– Jak to się pisze?

– C-r-a-w-l-e-y.

– I jesteś tego pewien?

– Jestem pewien. Rozmawiałem z nią. Nadal jest w Edynburgu, nadal pracuje.

– Wiesz, że to święty materiał? – Kemp mówił spokojnym głosem, ale oczy mu błyszczały.

Rebus bez słowa wzruszył ramionami.

– Chcesz, żebym to puścił? – spytał dziennikarz.

Kolejne wzruszenie ramion.

– Dlaczego mam to zrobić? – chciał wiedzieć Kemp.

Rebus wpatrywał się w pusty kubek w swoich rękach. Dlaczego? Gdyby informację poznała opinia publiczna, człowiek, który anonimowo dzwonił do Jacka, poniósłby klęskę, przynajmniej we własnym mniemaniu. A skoro чульby, że zawiódł, może spróbowałby czegoś innego. Gdyby tak się stało, Rebus byłby gotów...

Kemp skinął głową.

– Dobra, dzięki – rzucił. – Przemyślę to.

Rebus również skinął głową. Już pożałował, że zdecydował się mu to powiedzieć. Kemp był reporterem, i to takim, który chciał wyrobić sobie reputację. Nie wiadomo, co mógł zrobić z tą historią. Mógłby ją przekreślić, tak by Jack wyszedł na samarytanina albo na skończoną świnię.

– Lepiej się wykąpię, jeśli mam iść na to spotkanie... – odezwał się Kemp, wstając z krzesła.

– Jasne. – Rebus podniósł się i wstawił kubek do zlewu. – Dzięki za kawę.

– Dzięki za mleko.

Łazienka znajdowała się w drodze do drzwi wejściowych. Rebus ostentacyjnie łypnął na zegarek.

– Idź do wanny – powiedział. – Sam się odprowadzę.

– A więc do zobaczenia.

– Do zobaczenia, Chris.

Powoli szedł do drzwi, sprawdzając, czy ciężar jego ciała nie powoduje, że deski podłogowe skrzypią, a potem obejrzał się i zobaczył, że Kemp zniknął w łazience. Usłyszał szum wody. Delikatnie przekreślił gałkę przy drzwiach i zablokował zamek. Następnie otworzył drzwi i głośno za sobą zatrzasnął. Stał na klatce schodowej, złapał za klamkę i trzymał ją, żeby drzwi nie otworzyły się na oścież. Miały judasza, więc przyłgnął do ściany z boku. Chociaż gdyby Kemp podszedł do drzwi, zauważyłby, że gałka jest przekreślona... Minęła minuta. Rebus nie słyszał kroków zbliżających się do

drzwi. Na szczęście nikt nie wszedł na klatkę schodową; nie miał ochoty wyjaśniać, co robi przy ścianie, trzymając klamkę...

Po dwóch minutach przykucnął, otworzył kłapkę na listy i zajrzał do środka. Drzwi do łazienki były lekko uchylone. Woda wciąż płynęła, dosłyszał też pomruki Kempa, a potem dziką przyspiewkę, gdy chłopak wchodził do wanny. Szum wody zabezpieczał Rebusa przed tym, żeby Kemp go nie usłyszał. Cicho otworzył drzwi, wsunął się do przedpokoju i zamknął je, przyciskając do nich książkę w twardej oprawie ze szczytu jednego ze stosów. Sterta zachwiała się, jakby miała się przewrócić, ale po chwili znieruchomiała. Rebus wypuścił powietrze i przekradł się korytarzem, omijając drzwi łazienki. Woda dalej ciekła, a Kemp ciągle nucił. Ta część była łatwa, gorzej będzie z ewentualnym wycofaniem się.

Rebus przeszedł przez salon i popatrzył na stół. Papiery niczego nie zdradzały. Ani śladu „wielkiego artykułu”, nad którym pracowałyby Kemp. Dyskietki komputerowe były tylko ponumerowane, a nie opisane – żadnych wskazówek. W otwartej szufladzie na dokumenty nie zobaczył nic ciekawego. Znowu spojrzął na stół. Nie było żadnych kartek z notatkami schowanymi pod innymi, pustymi. Przerzucił stertę płyt obok wieży stereo, ale tam również nie było żadnych kartek. Pod kanapą... nic. W szafkach... w szufladach... nic. Niech to diabli! Podszedł do wielkiego żeliwnego pieca kuchennego przy kominku. Z tyłu, za kilkoma roślinami doniczkowymi, leżało wyglądające mało estetycznie trofeum – nagroda dla Młodego Dziennikarza Roku zdobyta przez Kempa. Wzdłuż przedniej części pieca stał rząd ozdobnych pudełek. Otworzył jedno z nich; była w nim przypinka z pacyfką i para kolczyków – Klucze Nilu. W innym pudełku znajdowała się przypinka z napisem *Uwolnić Nelsona Mandelę* i pierścionek, który wyglądał na zrobiony z kości słoniowej. Pewnie własność dziewczyny. A w trzecim pudełku – niewielkie celofanowe opakowanie z prochami. Uśmiechnął się. Za mało, żeby kogoś zapuszkować. Czy to właśnie narkotyki Kemp tak starał się ukryć? Rebus przypuszczał, że wyrok skazujący nie pomógłby w karierze ambitnemu dziennikarzowi. Trudno ganić osoby publiczne za ich drobne przywary, kiedy samemu jest się skazanym za posiadanie.

Niech to szlag! Rebus musiał wydostać się z mieszkania, tak żeby gospodarz go nie dostrzegł ani nie usłyszał. Woda w łazience już nie leciała z kranu. Żadnego hałasu zagłuszającego odwrót... Rebus przykucnął przy piecu żeliwnym, żeby się zastanowić. Tupet jest najlepszym rozwiązaniem. Po prostu przemaszeruje obok i rzuci coś o zostawieniu kluczy... Tak, jasne, Kemp na pewno się na to nabierze! Równie dobrze Rebus mógł postawić pięć kawałków na to, że drużyna Cowdenbeath zostanie mistrzem ligi, a do tego zdobędzie Puchar Szkocji.

Kiedy tak myślał, złapał się na spoglądaniu na mały piekarnik w piecu, a raczej na jego zamknięte drzwiczki. Na wierzchu stała zielistka, której dwa pędy były uwięzione w drzwiczkach. A niech mnie, chyba nic tam nie schował? Otworzył drzwiczki i uwolnił liście z piekarnika, w którym leżały jakieś książki. Stare książki w twardej oprawie. Podniósł jedną i spojrzął na jej grzbiet.

Traktat o predestynacji Johna Knoxa. A to ci dopiero zbieg okoliczności!

DRZWI ŁAZIENKI WPADEŁY do środka.

– Jezu! – Chris Kemp, zanurzony, z głową na powierzchni wody, wystrzelił w górę.

Rebus podszedł do sedesu, opuścił kłapę i rozsiadł się wygodnie.

– Kontynuuj, Chris. Nie zwracaj na mnie uwagi. Pomyślałem sobie, że mógłbym pożyczyć od ciebie kilka książek. – Uderzył w stos siedmiu książek, który postawił sobie na kolanach. – Lubię dobrą lekturę.

Kemp nawet się zarumienił.

– Gdzie masz nakaz przeszukania?

– Dlaczego miałbym potrzebować nakazu przeszukania? Pożyczam tylko kilka książek. Pomyślałem, że pokażę je mojemu staremu przyjacielowi, profesorowi Costellowi. Znasz profesora Costella, co? Tak sobie patrzę i myślę, że są całkiem w jego guście. Nie ma powodu, dla którego miałbyś ich nie udostępnić... co, Chris? Ale jeśli chcesz, pójdę po nakaz przeszukania i...

– Pierdol się.

– Język, synu – skarcił go Rebus. – Nie zapominaj, że jesteś dziennikarzem, stróżem naszego języka. Nie obniżaj jego wartości. W ten sposób obniżasz własną.

– Myślałem, że chcesz, żebym wyświadczył ci przysługę?

– Co? Masz na myśli artykuł o Jacku i jego siostrze? – Rebus wzruszył ramionami. – Myślałem, że to ja wyświadczam ci przysługę. Znam zapalonych młodych reporterów, którzy wiele oddaliby za...

– Czego chcesz?

Rebus pochylił się do przodu.

– Skąd je masz, Chris?

– Książki? – Kemp przecesała dłońmi śliskie włosy. – Należą do mojej dziewczyny. Z tego, co wiem, wypożyczyła je z biblioteki uniwersyteckiej...

Rebus skinął głową.

– Zgrabna kaczka dziennikarska. Wątpię, żeby się pod nią podpisała, ale muszę przyznać, że zgrabna. Szkoda, że nie wyjaśni, dlaczego je ukryłeś, kiedy wiedziałeś, że do ciebie idę.

– Ukryłem? Nie wiem, o czym mówisz.

Rebus roześmiał się.

– Oczywiście, Chris, oczywiście. Ale wiesz, co myślę? Że mógłbym wyświadczyć ci przysługę. Kolejną przysługę, powinienem dodać...

– Jaką przysługę?

Rebus znów uderzył w książki.

– Chcę, żeby wróciły do prawowitego właściciela. Nikt nie musi wiedzieć, gdzie były w międzyczasie.

Kemp chwilę się zastanawiał.

– W zamian za co? – spytał w końcu.

– Za to, co przede mną ukrywasz. Wiem, że coś wiesz albo wydaje ci się, że wiesz. Chcę ci tylko pomóc w spełnieniu twojego obowiązku.

– Mojego obowiązku?

– Pomaganie policji to twój obowiązek, Chris.

– Tak jak twoim jest myszkowanie po mieszkaniach ludzi bez ich zgody?

Rebus nie zawracał sobie głowy odpowiedzią. Nie musiał odpowiadać, wystarczyło poczekać. Teraz, kiedy miał książki, miał też w kieszeni reportera. Bezpiecznie w niej schowanego, do wykorzystania w przyszłości.

Kemp westchnął ciężko.

– Woda się wychładza. Mogę wyjść?

– Kiedy tylko zechcesz. Zaczekam w pobliżu.

KEMP WSZEDŁ DO SALONU w niebieskim szlafroku, wycierając włosy dopasowanym kolorystycznie ręcznikiem.

– Opowiedz mi o swojej dziewczynie – powiedział Rebus.

Dziennikarz ponownie nastawił wodę w czajniku. Wykorzystał minutę samotności, by pozbierać myśli, i był gotowy do rozmowy.

– O Vanessie? – rzucił. – Jest studentką.

– Studiuje teologię? I ma dostęp do biura profesora Costella?

– Każdy ma dostęp do biura profesora Costella. Sam ci to powiedział.

– Ale nie każdy rozpozna białego kruka po wyglądzie.

– Vanessa pracuje również na pół etatu w księgarni U Samoba.

– Aha. – Rebus skinął głową. Wpisywała ołówkiem ceny na książkach. Kolczyki i rower...

– Stary Costello jest tam klientem, więc Vanessa zna go dość dobrze – dodał Kemp.

– Z pewnością na tyle, żeby go okraść.

Dziennikarz westchnął.

– Nie pytaj mnie, dlaczego to zrobiła. Czy zamierzała je sprzedać? Nie wiem. Czy chciała je zachować dla siebie? Nie wiem. Pytałem, uwierz mi. Może po prostu miała... zaćmienienie umysłu.

– Może...

– Nieważne. Uznała, że Costello nie będzie za nimi tęsknić. Książki są dla niego... książkami. Może pomyślała, że byłby równie zadowolony z najnowszych wydań w miękkiej oprawie...

– Ale ona pewnie by nie była?

– Słuchaj, po prostu je zabierz, dobrze? Albo zatrzymaj dla siebie. Jak wolisz.

Woda się zagotowała. Rebus odrzucił propozycję kolejnej kawy.

– Przejdźmy do rzeczy – rzucił, gdy Kemp przygotował dla siebie kubek. – Co masz mi do powiedzenia, Chris?

– Ach, drobiazg. Vanessa zdradziła mi coś o swoim pracodawcy.

– O Ronaldzie Steele'u?

– Tak.

– Co?

– Ma romans z żoną Raba Kinnoula.

– Naprawdę?

– Tak. Nie twoja sprawa. Jak widzisz, inspektorze, to nie ma nic wspólnego z prawem i porządkiem.

– Ale mimo wszystko to soczysta historia, co? – Rebus ledwie wymawiał słowa, znów buzowało mu w głowie. Nowe możliwości, nowe konfiguracje. – Jak doszła do tego wniosku?

– Zaczęło się to jakiś czas temu. Nasz reporter od rozrywki poszedł przeprowadzić wywiad z Kinnoulem, ale pomylił daty, zjawił się w środowe popołudnie, a powinien w czwartek. W każdym razie Kinnoula nie zastał, za to zastał panią Kinnoul i jej przyjaciela, którego przedstawiła jako Ronaldą Steele'a.

– Jeden przyjaciel odwiedza drugiego... nie widzę...

– Zgoda, ale potem Vanessa coś mi powiedziała. Kilka dni przed tą środą w księgarni doszło do nieoczekiwanego incydentu.... no, może nie całkiem nieoczekiwanego. Jakaś starsza pani chciała sprzedać część książek zmarłego męża. Przyniosła do sklepu listę. Vanessa dostrzegła na niej kilka

perełek, ale najpierw musiała porozmawiać z szefem. On jej nie ufa, jeśli chodzi o zakup książek, a środowe popołudnia są święte...

– Cotygodniowa runda golfa – wtrącił Rebus.

– Z Gregorem Jackiem. Tak, zgadza się. Vanessa pomyślała: zabije mnie, jeśli te egzemplarze przejdą mu obok nosa. Zadzwoniła więc do klubu golfowego w Braidwater.

– Wiem o tym.

– I powiedzieli jej, że panowie Steele i Jack odwołali grę.

– Tak?

– Wtedy dodałem dwa do dwóch. Steele powinien grać w golfa w każdą środę, ale w jedną mój kolega spotyka go w domu Kinnoula, a w następną na polu golfowym nie ma po nim śladu. Rab Kinnoul jest znany z temperamentu. Uchodzi za bardzo zaborczego człowieka. Myślisz, że wie, że Steele odwiedza żonę, kiedy go tam nie ma?

Serce Rebusa biło jak oszalałe.

– Możesz mieć rację, Chris – przyznał. – Możesz mieć rację.

– Ale, jak mówię, to raczej nie jest sprawa dla policji...

Raczej... To była absolutnie sprawa dla policji. Jedno i drugie alibi trafiło w ten sam dołek. Czy Rebus był bliżej końca rozgrywki, niż podejrzewał? Czyżby grał na dziewięć dołków, a nie na osiemnaście? Wstał z kanapy.

– Chris, muszę już iść.

Obracali się w jego głowie jak szprychy w kole rowerowym: Liz Jack, Gregor Jack, Rab Kinnoul, Cath Kinnoul, Ronald Steele, Ian Urquhart, Helen Greig, Andrew Macmillan, Barney Byars, Louise Patterson-Scott, Julian Kaymer, Jamie Kilpatrick, William Glass. Jak szprychy w kole rowerowym.

– Inspektorze?

Zatrzymał się przy drzwiach.

– Słucham?

Kemp wskazał na kanapę.

– Nie zapomnij zabrać ze sobą swoich książek.

Rebus wytrzeszczył na nie oczy, jakby je widział po raz pierwszy.

– Racja. – Wrócił po nie. – A tak przy okazji – dodał, podnosząc książki – wiem, dlaczego Steele ma ksywkę Samob. – Puścił oko. – Przypomnij mi, żebym ci o tym powiedział, kiedy to wszystko się skończy...

WRÓCIŁ NA KOMENDĘ, gotów podzielić się informacjami z przełożonymi. Ale przed drzwiami komendanta wpadł na Briana Holmesa.

– Nie robiłbym tego – ostrzegł go detektyw sierżant.

Pięść Rebusa uniesiona do zastukania zatrzymała się w pół ruchu.

– Dlaczego nie? – zapytał tak cicho, jak mówił Holmes.

– Ojciec pani Jack tam jest.

Sir Hugh Ferrie! Rebus ostrożnie opuścił rękę, po czym zaczął się cofać od drzwi. Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było wciągnięcie się w dyskusję z Ferriem: „Dlaczego nie znalazł pan... co pan robi w związku z... kiedy pan...?”. Nie, życie było zbyt krótkie, a godziny zbyt długie.

– Dzięki, Brian. Jestem ci winny jednego. Kto tam jeszcze jest?

– Tylko Farmer i Lauderdale.

– Najlepiej zostawić ich z tym samych, co?

Stanęli w bezpiecznej odległości od drzwi.

– Lista samochodów była dość długa – powiedział Rebus. – Dobra robota.

– Dzięki. Lauderdale nigdy nie powiedział mi dokładnie, czego...

– Coś jeszcze się dzieje?

– Słucham? Nic, cicho jak w grobie. Och, Nell myśli, że może być w ciąży.

– Co takiego?

Holmes uśmiechnął się zdezorientowany.

– Nie jesteśmy jeszcze pewni...

– Czy ty... no wiesz... spodziewałeś się tego?

Sierżant wciąż się uśmiechał.

– Oczekuj nieoczekiwanego, jak mawiają.

Rebus gwizdnął.

– Jak ona się z tym czuje?

– Myślę, że wstrzymuje się z uczuciami, dopóki to się nie potwierdzi.

– A ty?

– Ja? Jeśli to chłopiec, będzie miał na imię Stuart i wyrośnie na lekarza i piłkarskiego reprezentanta

Szkocji.

Rebus się roześmiał.

– A jeśli to będzie dziewczynka?

– Katherine, aktorka.

– Będę trzymał za ciebie kciuki.

– Dziękuję. Aha, i jeszcze jedna wiadomość: Pond wrócił.

– Tom Pond?

– Tak. Dotarliśmy do niego dziś rano. Pomyślałem, że osobiście pójde go przesłuchać, chyba że ty chcesz?

Rebus pokręcił głową.

– Jest cały twój, Brian, jeśli jest tego wart. W tej chwili to jedyny facet, który jest czysty. On, Macmillan i Glass.

– Widziałeś stenogram z przesłuchania?

– Nie.

– No dobrze. Wiem, że nie zawsze dogadujecie się z Lauderdale'em, ale muszę przyznać, że jest ostry jak żyłeta.

– Mogłeś powiedzieć „jak nóż do szkła”. W końcu wziął się za Glassa.

Holmes westchnął.

– Mogłem, ale najwidoczniej zawsze mnie pokonujesz w grach słownych.

EDYNBURG OTACZAŁY POLA GOLFOWE, które trafiały w każdy gust i oferowały graczom każdy możliwy stopień trudności. Były linki – dość płaskie pola, na których prawdopodobieństwo, że wiatr popchnie piłkę do tyłu albo do przodu, było takie samo; były też pagórkowate pola, ze zboczami

i wążozami, z trawą i flagami ustawionymi na płaskim terenie wielkości chusteczki do nosa. Pole Braidwater należało do tej drugiej kategorii. Gracze zwykle brali zamach kijem, wierząc w swój instykt albo szczęście, bo większość flag chowała się za wzniesieniem lub wierzchołkiem wzgórza. Okrutny projektant pól umieściłby bunkry po drugiej stronie tych przeszkód, i ktoś, kto projektował to pole, musiał być okrutny.

Gracze, którzy nie znali terenu, często rozpoczynali rundę z wielką nadzieją na ruch i świeże powietrze, a kończyli z wysokim ciśnieniem krwi i potrzebą gólnięcia paru głębszych. Dom klubowy składał się z dwóch kontrastujących ze sobą części: starego budynku, solidnego i szarego, i przylegającej do niego dużej dobudówki z pustaków pokrytych tynkiem kamyczkowym. W starej części mieściły się pomieszczenia komisji, zarządu i biura, a w nowej był bar. Sekretarz klubu zaprowadził do niego Rebusa, bo sądził, może być tam jeden z członków komisji.

Bar znajdował się na pierwszym piętrze. Jedną ścianę zajmowały okna wychodzące na osiemnasty dołek z chorągiewką i resztę pola golfowego. Na drugiej ścianie wisiały oprawione zdjęcia, listy najlepszych graczy, imitacje pergaminowych zwojów i para bardzo starych kijów do rzutów na bliskie odległości, przypominających wyniszczone skrzyżowane piszczele. Klubowe trofea – te małe – były ułożone na półce nad barem. Większe, starsze i cenniejsze przechowywano w sali komisji w starym budynku. Rebus posiadał tę wiedzę trzy lata temu, kiedy był jednym ze śledczych w sprawie kradzieży kilku sztuk. Zostały odzyskane, chociaż zupełnie przypadkowo – znaleźli je w otwartej walizce funkcjonariusze wezwani do awantury domowej.

Sekretarz klubu pamiętał Rebusa.

– Nie potrafię przypomnieć sobie nazwiska, ale twarz rozpoznaję – powiedział.

Pokazał Rebusowi nowy system alarmowy oraz gablotę ze szkła hartowanego, w której przechowywano najcenniejsze eksponaty. Rebus nie miał serca powiedzieć mu, że nawet włamywacz amator mógłby tu wejść i wyjść z nimi zaledwie w dwie minuty.

– Czego się pan napije, inspektorze?

– Proszę małą whisky, jeśli to nie kłopot.

– Żaden kłopot.

W barze nie było tłumnie. Jak wyjaśniła sekretarka, teraz była późnopołudniowa przerwa. Ci, którzy grali po południu, zwykle zaczynali przed trzecią, a gracze z rundy wczesnowieczornej stawiali się około piątej trzydzieści.

Przy stole obok okna siedziało dwóch mężczyzn w identycznych żółtych swetrach z wycięciem w serek; patrzyli w milczeniu przez szybę, popijając identyczne Krwawe Mary. Przy barze zajmowało miejsca dwóch mężczyzn, jeden z połową dużego piwa, nad którym siedział już chyba dość długo, drugi z napojem podejrzanym przypominającym mleko. Wszyscy byli po czterdziestce, może nieco starsi. Moi rówieśnicy, pomyślał Rebus.

– Bill mógłby panu opowiedzieć kilka historii, inspektorze – powiedział sekretarz, wskazując głową barmana.

Bill skinął głową, po części na powitanie, po części na zgodę. Jego sweter z wycięciem w serek raził wiśniową czerwień i nie mógł ukryć wydatnego brzucha właściciela. Mężczyzna nie wyglądał na zawodowego barmana, ale sprawiał wrażenie człowieka, który odczuwa widoczną dumę z wykonywanej pracy. Rebus uznał go po prostu za kolejnego członka klubu pełniącego służbę.

Nikt nawet nie drgnął na wzmiankę sekretarza o „inspektorze”. Ci ludzie byli praworządni, a jeśli nie, to z pewnością prawa żądni. Wierzyli w prawo i porządek, i w to, że przestępcy powinni być karani;

nie uznawali jednak za przestępstwo machlojek podatkowych. Sprawiali wrażenie... niegroźnych. I uważali siebie za niegroźnych. Ale Rebus wiedział, że to on trzyma klucz uniwersalny otwierający ich zamki.

– Wody, inspektorze? – Sekretarz pchnął w jego stronę dzbanek.

– Dziękuję. – Rebus rozcieńczył whisky.

Sekretarz rozglądał się, jakby stał w wielkim skupisku ludzi.

– Hectora tu nie ma – rzucił. – Myślałem, że będzie.

– Wróci za chwilę – wtrącił barman Bill.

– Poszedł tam, gdzie przysłowiowy król – oznajmił mężczyzna pijący mleko, a Rebus zastanowił się, które przysłowie ma na myśli.

– Oto i on! – powiedział sekretarz.

Rebus wyobrażał sobie wielkiego Hectora z kręconymi włosami, okazałym brzuchem, ubranego w sweter w kolorze mandarynki, z wycięciem w serek. Tymczasem do baru wszedł mały człowieczek z przereczonymi czarnymi włosami, lśniącymi od brylantyny. On też był po czterdziestce; patrzył na świat przez okulary o grubych szklach i równie grubych oprawkach. Usta miał zacisnięte w wyzywającym grymasie, co kłóciło się z jego wyglądem, a podczas prezentacji zmierzył Rebusa od stóp do głów.

– Witam pana – rzucił, podając inspektorowi wilgotną małą dłoń. Był to uścisk ręki dobrze wychowanego dziecka. Jego sweter z wycięciem miał kolor wielbłądziej wełny i wyglądał na drogi. Kaszmir?

– Inspektor głowi się nad konkretną rundą, która została rozegrana... lub nierozegrana... w minioną środę – powiedział sekretarz.

– Tak – potwierdził Rebus.

– Powiedziałem mu, że jesteś specem od organizacji, Hector.

– Tak – znowu potwierdził inspektor.

– Pomyśleliśmy, że może... – Sekretarz wyłaził ze skóry.

Ale Hector miał już wystarczająco dużo informacji. Przetrawił je.

– Pierwsza rzecz: trzeba spojrzeć na rezerwacje – odezwał się. – Może nie zdradzą nam całej historii, ale od nich należy zacząć. Kto miał grać?

Pytanie było skierowane do Rebusa.

– Dwóch graczy – odpowiedział. – Ronald Steele i Gregor Jack.

Hector zerknął za niego, potem na dwóch mężczyzn siedzących przy barze. W sali nie zrobiło się ciszej, ale nastąpiła namacalna zmiana atmosfery. Człowiek, który pił mleko, odezwał się pierwszy.

– Tych dwóch!

Rebus zwrócił się do niego.

– Tak, tych dwóch. Ale... o co chodzi?

Odpowiedź padła z ust Hectora.

– Panowie Jack i Steele mają stałą rezerwację. W końcu Jack był posłem.

– O ile wiem, nadal nim jest – uściślił Rebus.

– Już niedługo – mruknął towarzysz amatora mleka.

– Nic mi nie wiadomo o tym, żeby pan Jack popełnił jakiegokolwiek przestępstwo.

– Nie sądzę, żeby to zrobił – warknął Hector.

– Nadal jest królewskim wrzodem na dupie – skomentował ten pijący mleko.

– Dlaczego?

– Robi rezerwację i nigdy się nie zjawia. On i jego kumple.

Rebus zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z od dawna ropiejącą raną, a słowa mężczyzny siedzącego przy barze nad piwem były skierowane bardziej do sekretarza klubu i Hectora niż do niego.

– To też uchodzi mu na sucho. Tylko dlatego, że jest posłem – dodał mężczyzna.

– Pan Jack został ostrzeżony – wyjaśnił Hector.

– Upomniany – poprawił go sekretarz klubu.

Amator mleka się skrzywił.

– Całowałaś jego cholerną dupę i dobrze o tym wiesz.

– Colin – odezwał się barman Bill. – Nie ma potrzeby...

– Najwyższy czas, żeby ktoś powiedział to na głos!

– Zaraz – rzucił ten od piwa. – Colin ma rację.

Rebusowi na niewiele zdała się ta kłótnia.

– Czy słusznie rozumiem, że panowie Jack i Steele mieli stałą rezerwację i nie pojawiali się na polu? – spytał.

– Rozumiesz pan całkiem słusznie – odparł Colin.

– Nie przesadzajmy i nie wyciągajmy fałszywych wniosków – odezwał się cicho Hector. – Zajmijmy się faktami.

– No cóż, skoro mamy zająć się faktami, to pierwszy fakt jest taki, że mój kolega, detektyw posterunkowy Broome, przyszedł tutaj w zeszłym tygodniu, żeby sprawdzić, czy ta runda golfa została rozegrana – powiedział Rebus i spojrzał na Hectora. – Chyba rozmawiał z panem, ponieważ sekretarz klubu tego dnia był chory.

– Pamiętasz, Hector? – rzucił nerwowo sekretarz. – Strasznie bolała mnie wtedy głowa.

Mały człowieczek skinął głową.

– Pamiętam.

– Nie był pan szczerzy z detektywem posterunkowym Broome'em, prawda? – powiedział Rebus.

Colin oblizał wargi, ciesząc się tą konfrontacją.

– Wręcz przeciwnie, inspektorze – odparł Hector. – Skrupulatnie, uczciwie odpowiadałem na pytania detektywa. Z tym że nie zadał tych właściwych. Prawdę mówiąc, był bardzo niedbały. Rzucił okiem na rezerwacje i wydawał się usatysfakcjonowany. Przypominam sobie, że się spieszył... miał się spotkać z żoną.

Racja, pomyślał Rebus. Będzie musiał wezwać Broome'a na dywanik. Mimo to...

– Pana obowiązkiem było jednak... – zaczął, lecz Hector wszedł mu w słowo:

– Odpowiedziałem na jego pytania, inspektorze. Nie skłamałem.

– Powiedzmy, że był pan oszczędny w wyjawianiu prawdy.

Colin prychnął. Hector spojrzał na niego chłodno, ale jego słowa przeznaczone były dla uszu Rebusa.

– Nie był wystarczająco dokładny, inspektorze. To proste. Nie oczekiwałbym od moich pacjentów współpracy, gdybym nie postawił im dokładnej diagnozy. Wy też nie powinniście oczekiwać, że wykonam za was całą pracę.

– To poważna sprawa karna, proszę pana.

– Więc dlaczego się sprzecamy? Proszę zadać mi pytania.

W tym momencie wtrącił się barman:

– Chwileczkę, zanim zaczniecie, chciałbym o coś zapytać. – Spojrzała na każdego po kolei. – Czego się napijecie?

BARMAN BILL NALAE TRUNKI. Podliczył sumę i nabazgrał ją w małym notatniku, który trzymał obok kasy. Ci od Krwawch Mary wstali od stołu przy oknie i podeszli, żeby się przyłączyć. Faceta, który siedział nad piwem, przedstawiono Rebusowi jako Davida Cassidy’ego.

– Bez żartów, proszę – zastrzegł od razu. – Skąd moi rodzice mieli wiedzieć?

A mężczyzna o imieniu Colin naprawdę pił mleko.

– Wrzody, lekarz mi zalecił.

Hector przyjął wąski delikatny kieliszek wypełniony po brzegi wytrawną sherry. Wzniósł toast:

– Za nasze zdrowie.

– Ale nie za państwową służbę zdrowia, co, Hector? – dodał Colin, po czym wyjaśnił Rebusowi, że Hector jest dentystą.

– Za prywatną – rzucił Cassidy.

– Czyli taką, jaki powinien być ten klub – odparował Hector. – Prywatny. A prywatne interesy członków nie powinny być naszymi problemami.

– Więc dlaczego zapewnił pan alibi Jackowi i Steele’owi? – chciał wiedzieć Rebus.

Hector westchnął ciężko.

– „Alibi” to za dużo powiedziane, inspektorze. Członkowie klubu mogą dokonywać rezerwacji i odwoływać je z krótkim wyprzedzeniem.

– I tak się działo?

– Czasami tak.

– Ale nie zawsze?

– Grywali od czasu do czasu.

– Jak często?

– Trzeba by to sprawdzić.

– Nie częściej niż raz w miesiącu – odezwał się barman Bill. Nie wypuszczał z rąk ścierki niczym talizmanu.

– To znaczy, że trzy środy z czterech zostały odwołane? – spytał Rebus. – W jaki sposób odwoływali swoją obecność?

– Przez telefon – odparł Hector. – Zwykle dzwonił pan Jack. Zawsze uprzejmie przeproszał. Działalność w okręgu wyborczym... Albo pan Steele chorował... albo, hm... było wiele powodów.

– Wymówek, chciałeś powiedzieć – wtrącił Cassidy.

– Weźcie pod uwagę, że czasami Gregor i tak przychodził – powiedział Bill.

Colin przyznał mu rację.

– Sam grałem z nim któreś środy, bo Steele się nie zjawił.

– Czyli pan Jack przychodził do klubu częściej niż pan Steele? – zapytał Rebus.

Odpowiedziano mu skinieniami głowy. Czasem odwoływał, a potem się stawił. Nie grał, siedział w barze. Nigdy nie było na odwrót: Steele nie pojawiał się bez Jacka. A w środę, tę szczególną środę,

która interesowała Rebusa?

– Lało jak z cebra – rzucił Colin. – Mało kto wyszedł tego dnia na pole, a co dopiero tych dwóch.

– A więc odwołali?

O tak, odwołali. I nawet Jack się nie pojawił. Nie było go w klubie tamtego dnia i nigdy potem.

Pora względnego spokoju się skończyła. Członkowie klubu nadciągali, na szybkiego drinka albo przed rozpoczęciem gry, albo przed powrotem do domu. Podchodzili do siebie w małych grupach, żeby uściśnąć sobie dłonie, wymienić się żartami i tak dalej; potem grupy zaczęły się dzielić i kurczyć, aż zostali tylko Rebus i Hector. Dentysta położył dłoń na ramieniu Rebusa.

– Jeszcze jedna rzecz, inspektorze – powiedział.

– Słucham.

– Proszę nie pomyśleć, że jestem niedelikatny...

– Tak?

– ...ale naprawdę powinien pan zadbać o zęby.

– Już to słyszałem. Już to słyszałem... I proszę nie pomyśleć, że jestem niedelikatny...

– Tak, inspektorze?

Rebus pochylał się nad dentystą, by móc wysyczeć mu do ucha:

– Stanę na głowie, żeby załatwić panu... zarzut utrudniania śledztwa. – Postawił pustą szklankę na barze.

– No to na zdrowie! – zawołał barman Bill.

Zabrał szklankę, wypłukał ją w zlewie i postawił na plastikowej macie ociekowej. Kiedy uniósł wzrok, Hector wciąż stał tam, gdzie zostawił go inspektor, i ścisnął sztywno kieliszek z sherry.

– MÓWIŁEŚ MI W PIĄTEK, że pozbyłeś się tego, co zbędne – powiedział Rebus.

– Owszem.

– Zakładam więc, że miałeś potrzebę zdobycia alibi w postaci gry w golfa?

– Że co?

– Twoja cotygodniowa runda golfa z przyjacielem, Ronaldem Steele'em.

– I co z tym golfem?

– Zabawne. Ja stwierdzam, a ty... zadajesz pytania. Powinno być na odwrót.

– Tak?

Gregor Jack wyglądał niczym ofiara wojny, która – bez względu na to, jak daleko odciągnięto ją od frontu – wciąż słyszy i odtwarza w myślach bitwę. Przed jego bramą dalej sterczeli dziennikarze, a Ian Urquhart i Helen Greig nadal byli w domu posła. Z odległego biura dobiegały odgłosy pracy drukarki. Urquhart ukrył się tam wraz z Helen. Kolejny dzień, kolejny komunikat prasowy.

– Czy potrzebuję adwokata? – zapytał Jack. W jego ciemnych oczach widać było niedospanie.

– To zależy wyłącznie od ciebie. Ja chcę wiedzieć, dlaczego okłamałeś nas w sprawie gry w golfa.

Jack przełknął z trudem ślinę. Na stoliku stała pusta butelka po whisky i trzy puste kubki po kawie.

– Przyjaźń, inspektorze, to... to... to... – zaczął.

– Wymówka? Potrzebujesz czegoś więcej niż wymówek. A ja potrzebuję teraz paru faktów. – Wypowiadając to słowo, pomyślał o Hectorze. – Faktów – powtórzył.

Jack wciąż jednak mamrotał coś o przyjaźni. Rebus wstał niezgrabnie z nieodpowiedniego dla jego postury fotela, miękkiego jak pianka marshmallow, i stanął nad posłem. Posłem? To nie był poseł. To nie był ten Gregor Jack. Gdzie podziały się jego autorytet i charyzma? Gdzie ta twarz godna zaufania i uczciwy czysty głos? Był jak jeden z tych sosów, które robią w programach kulinarnych: redukujesz, redukujesz, redukujesz...

Rebus sięgnął w dół i pochwycił go za ramiona. Właściwie to nim potrząsnął. Jack spojrzał w górę ze zdziwieniem.

– Gdzie byłeś w tamtą środę? – Głos inspektora był zimny i ostry jak deszcz.

– Byłem... Ja... byłem... nigdzie. Naprawdę nigdzie. Wszędzie.

– Wszędzie, tylko nie tam, gdzie miałeś być.

– Pojechałem na przejażdżkę.

– Dokąd?

– W dół wybrzeża. Chyba wylądowałem w jakiejś wiosce rybackiej... w Eyemouth... gdzieś w tych okolicach. Padało. Spacerowałem wzdłuż brzegu morza. Dużo chodziłem. Wróciłem w głąb lądu. „Wszędzie i nigdzie – zaczął śpiewać. – Jesteś wszędzie i nigdzie, kochanie”.

Rebus znów nim potrząsnął i Jack przerwał.

– Czy ktoś cię widział? Rozmawiałeś z kimś?

– Poszedłem do pubu... do dwóch pubów. Jednego w Eyemouth, drugiego gdzie indziej.

– Po co? Gdzie był... Samob? Co on kombinował?

– Samob... – Jack uśmiechnął się. – Stary dobry Samob. Przyjaciele... widzisz, inspektorze. Gdzie był Samob? Tam gdzie zawsze: z jakąś kobietą. Jestem jego przykrywką. Gdyby ktoś zapytał, gramy w golfa. I owszem, czasem gramy. Ale zwykle go kryję. Nie twierdzę, że mi to przeszkadza. Naprawdę przyjemnie jest mieć ten czas wyłącznie dla siebie. Chodzę sobie sam, spaceruję... rozmyślam...

– Kim jest ta kobieta?

– Co? Nie wiem. Nie jestem nawet pewien, czy chodzi tylko o jedną...

– Nie przychodzi ci do głowy żadna kandydatka?

– Niby kto? – Jack zamrugał. – Masz na myśli Liz? Moją Liz? Nie, inspektorze, nie. – Zaśmiał się. – Nie.

– No dobrze, a co z panią Kinnoul?

– Z Gapą? – Już się nie śmiał. – Gapa i Samob? Może kiedy mieli piętnaście lat, ale nie teraz. Widziałeś Raba Kinnoula? Facet jest jak góra. Samob by się nie odważył.

– No dobrze, może będzie na tyle łaskaw, żeby mi powiedzieć.

– Przepraszam go, prawda? Przekaż mu, proszę, że musiałem to wyjawić.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś cofnął się pamięcią do tamtego popołudnia. Spróbuj sobie przypomnieć, gdzie się zatrzymałeś, nazwy pubów; może jest ktoś, kto przypomni sobie, że cię widział. Zapisz to wszystko.

– Mam napisać jakieś oświadczenie?

– Nie, chodzi mi o to, żebyś pomógł swojej pamięci. Notowanie często w tym pomaga.

– To prawda.

– A ja tymczasem będę musiał pomyśleć o zarzucie utrudniania śledztwa.

– Co?

Drzwi się otworzyły. Na progu stał Urquhart. Wszedł do salonu i zamknął je za sobą.

– Wszystko załatwione – powiedział.

– Dobrze – rzucił od niechcenia Jack.

Urquhart też wyglądał, jakby ledwo się trzymał. Jego oczy były skierowane na Rebusa, nawet kiedy rozmawiał ze swoim pracodawcą.

– Powiedziałem Helen, żeby wypuściła sto egzemplarzy.

– Aż tyle? Hm... jak uważasz, Ian.

Urquhart spojrział na Jacka. On też chce nim potrząsnąć, pomyślał Rebus. Ale nie zrobi tego.

– Musisz być silny, Gregor. Musisz wyglądać na silnego.

– Masz rację, Ian. Tak, muszę wyglądać na silnego.

Jest jak mokra bibuła, pomyślał Rebus. Jak drzewo zżerane przez korniki. Jak kości starego człowieka.

TRUDNO BYŁO ZŁAPĄĆ RONALDA Steele'a. Rebus pojechał nawet do jego domu, parterowego z poddaszem, na obrzeżach dzielnicy Morningside. Żadnych oznak życia. Próbował do niego dzwonić aż do wieczora. Po czwartym dzwonku włączyła się automatyczna sekretarka. O ósmej przestał próbować. Nie chciał, żeby Gregor Jack ostrzegł Steele'a, że ich historia rozpadła się z powodu źle założonych szwów. Gdyby mógł sobie na to pozwolić, dałby zajęcie automatycznej sekretarce Steele'a na całą noc, teraz jednak to do Rebusa ktoś zadzwonił. Zapadł się w fotel w mieszkaniu w Marchmont, w którym nie miał niczego do jedzenia i picia, i niczego, co mogłoby odciągnąć jego myśli od śledztwa.

Domyślał się, kto dzwoni: Patience. Pewnie zastanawia się, gdzie on jest i kiedy się pojawi. Pewnie po prostu się martwiła. Mogliby spędzić razem weekend, co nie zdarzało się często: zakupy w sobotnie popołudnie, film wieczorem. Przejazdka do Cramond w niedzielę, wino i gra w tryktraka wieczorem. Rzadkie wspólne chwile... Podniósł słuchawkę.

– Rebus – rzucił.

– Jezu, trudno cię zastać. – Głos był męski. Zdecydowanie nie należał do Patience. Dzwonił Holmes.

– Cześć, Brian.

– Od godzin wydzwaniam. Zawsze zajęty albo nie odpowiada. Powinieneś się postarać o automatyczną sekretarkę.

– Mam automatyczną sekretarkę. Po prostu czasami zapominam ją włączyć. A czego właściwie chcesz? Nie mów mi, że handlujesz sprzętem telefonicznym na boku. Jak się miewa Nell?

– Na tyle dobrze, na ile może się czuć kobieta, która nie jest w ciąży.

– A więc wynik negatywny?

– Pozytywne jest to, że mam ją.

– Może następnym razem, co?

– Posłuchaj, dziękuję ci za zainteresowanie, ale nie dlatego dzwonię. Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć, jaką interesującą pogawędkę odbyłem z Pondem.

Znanym jako Tampon, pomyślał Rebus.

– Ach, tak?

– Nie uwierzysz... – zaczął Brian.

I po raz pierwszy miał rację.

Ludzie z burdelu

JAK TOM POND WYJAŚNIŁ REBUSOWI, architekci byli albo skazani na porażkę, albo na sukces. On nie miał żadnych wątpliwości, że należy do tej drugiej kategorii.

– Znam architektów w moim wieku, chłopaków, z którymi studiowałem, a teraz od paru ładnych lat są na zasiłku. Inni rezygnują i biorą się za coś sensownego, jak praca na budowie lub życie w kibucu. Są też tacy, którzy przez jakiś czas trzymają się wybranej drogi życiowej. Jedna nagroda prowadzi do jakiegoś kontraktu, który zostaje zauważony przez amerykańską korporację, i wtedy możemy się nazywać „międzynarodowymi”. Ale uwaga: tylko przez jakiś czas. Zawsze możesz się wypalić. Wpadasz w rutynę albo sytuacja ekonomiczna nie sprzyja twoim nowym pomysłom. Powiem panu, że najlepsze projekty architektoniczne siedzą zamknięte w szufladach, bo nikogo nie stać na stawianie takich budynków, jeszcze nie teraz, a może nigdy. Więc ciesz się swoim szczęściem. I to wszystko.

Tylko że to nie było zupełnie wszystko, co robił Tom Pond. Przejechał też przez most drogowy Forth Road z prędkością przekraczającą sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Rebus nie ośmielił się zerknąć na prędkościomierz.

– W końcu nie codziennie mogę łamać limit prędkości, jadąc z gliniarzem, który załatwi sprawę, jeśli nas zatrzymają – wyjaśnił Pond i roześmiał się.

Rebus nie. Nie powiedział wielu słów od momentu, gdy przekroczyli sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Tom Pond był właścicielem włoskiego samochodu sportowego za czterdzieści kawałków, który wyglądał jak kit car i warczał jak kosiarka do trawy. Ostatni raz Rebus znajdował się tak blisko ziemi, gdy pośliznął się na lodzie przed swoim mieszkaniem.

– Mam trzy nałogi, inspektorze: szybkie samochody, szybkie kobiety i wolne konie. – I znów się roześmiał.

– Jeśli nie zwolnisz, synu, sam będę musiał cię aresztować za przekroczenie dopuszczalnej prędkości! – zawołał Rebus, próbując przekrzyczeć warkot silnika.

Pond wyglądał na urażonego, ale zdjął nogę z gazu. Ostatecznie wyświadczył glinom przysługę, prawda?

– Dzięki – powiedział Rebus.

Holmes powiedział mu, że nie uwierzy. A Rebus wciąż próbował uwierzyć. Pond wrócił poprzedniego dnia ze Stanów i trafił na wiadomość czekającą na niego na automatycznej sekretarce.

– Zostawiła ją pani Heggarty.

– A pani Heggarty jest...?

– Opiekuje się moją chatą. Mam domek w górach niedaleko Kingussie. Pani Heggarty zagląda tam od czasu do czasu, żeby go wysprzątać i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

– Ale tym razem nie wszystko było?

– Właśnie. Najpierw powiedziała, że doszło do włamania, ale potem oddzwoniłem i z jej słów wynioskowałem, że użyto mojego zapasowego klucza, żeby dostać się do środka. Trzymam klucz pod kamieniem obok drzwi wejściowych. Nie narobili bałaganu, nic z tych rzeczy... Ale pani Heggarty wiedziała, że ktoś tam był i że nie byłem to ja. W każdym razie wspominałem o tym detektywowi sierżantowi...

Detektywowi sierżantowi ze znajomością geografii większą niż przeciętna. Kingussie nie leżało daleko od Deer Lodge. Z całą pewnością nie leżało też daleko od Duthil. Holmes zadał oczywiste pytanie:

– Czy pani Jack mogła wiedzieć o tym kluczu?

– Być może. Nędzarcz wiedział. Chyba wszyscy wiedzieli, prawdę mówiąc.

Holmes przekazał te informacje Rebusowi, a ten postanowił zobaczyć się z Pondem. Rozmowa trwała nieco ponad pół godziny, a pod koniec inspektor wyraził chęć obejrzenia domku.

– Serdecznie zapraszam – powiedział Pond.

I w ten oto sposób Rebus został uwięziony w wąskim metalowym pudle, tnącym powietrze tak błyskawicznie, że inspektor czuł się tak, jakby gałki oczne wychodziły mu na zewnątrz. Było już dobrze po północy, ale Pond jakby tego nie zauważał; w każdym razie się tym nie przejmował.

– Nadal jestem w Nowym Jorku – powiedział. – Mózg i ciało mam wciąż rozłączone. Wie pan, to wszystko brzmi niewiarygodnie, te wieści o Gregorze i Liz i odnalezieniu jej ciała przez Gapę. Po prostu niewiarygodnie.

Przebywał w Stanach Zjednoczonych tylko miesiąc, ale już dał się porwać amerykańskiej kulturze. Ćwiczył język, intonację, a nawet niektóre zachowania. Rebus przypatrzył mu się. Gęste, falujące blond włosy (farbowane? z pasemkami?); twarz o wyraźnych rysach, twarz człowieka, który za młodu musiał być przystojny. Nie był wysoki, lecz sprawiał takie wrażenie. Sztuczka z postawą, do pewnego stopnia, ale miał też tę pewność siebie, aurę, jaką niegdyś roztaczał Gregor Jack. On też działał na pełnych obrotach.

– Jak ten samochód wchodzi w zakręty... – zachwycał się. – Może pan mówić, co chce, o Włochach, ale robią wypasione lody i jeszcze bardziej wypasione samochody.

Rebus zebrał się w sobie. Zamierzał poważnie porozmawiać z Pondem. Okazja była zbyt dobra, żeby ją zmarnować, więc trzeba było działać, dopóki byli uwięzieni. Próbował mówić tak, by zęby nie szczykały o siebie przy podskokach samochodu.

– Więc zna pan Jacka od czasów szkolnych?

– Wiem, wiem, trudno w to uwierzyć, prawda? Wyglądam o wiele młodziej niż on. Ale tak, mieszkaliśmy trzy ulice od siebie. Bilbo chyba mieszkał na tej samej ulicy co Nędzarcz. Sexton i Mack też mieszkali na tej samej... to znaczy Sexton i Mack mieszkali na jednej, ale nie na tej samej co Nędzarcz i Bilbo. Samob i Gapa mieli domy trochę dalej, po drugiej stronie szkoły.

– Więc co was wszystkich połączyło?

– Nie wiem. Zabawne, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Byliśmy wszyscy niegłupi. Wrzuciłem niższy bieg przed zakrętem... a ta maszyna ślizga się jak po maśle!

Rebus odniósł wrażenie, że siedzenie za chwilę przebije mu się przez ciało.

– Bardziej jak motocykl niż samochód. Jak pan myśli, inspektorze?

– Czy utrzymuje pan kontakt z Mackiem? – zapytał w końcu Rebus.

– O, wie pan o Macku? Nie, nie bardzo. To Nędzarz trzymał nas wszystkich razem. Myślę, że tylko dzięki temu, że utrzymywałem z nim znajomość, miałem kontakt z całą resztą. Ale po tym, jak Mack... trafił do wariatkowa... nie, nie utrzymuję z nim kontaktu. Ale Gapa pewnie tak. Wie pan, że była najzdolniejsza z nas wszystkich? I niech pan zobaczy, co się z nią stało.

– Co się z nią stało?

– Wyszła za tę łajzę i zaczęła łykać garściami diazepam, bo tylko w ten sposób mogła sobie poradzić.

– Czyli problem jest powszechnie znany?

Pond wzruszył ramionami.

– Wiem tylko dlatego, że widywałem innych, którym się to przytrafiało... inne czasy.

– Próbował pan z nią porozmawiać?

– To jej życie, inspektorze. Mam dość kłopotów z utrzymaniem w kupie samego siebie.

Zgraja. Co robi zgraja zwierząt, kiedy jedno z nich osłabnie albo okuleje? Zostawia je na pewną śmierć, a najsilniejszy idzie na czele.

Pond jakby czytał w myślach Rebusa.

– Może i zabrzmi to bezdusznie, ale nigdy nie byłem fanem popołudniowych herbatek ze zwierzeniami.

– A kto jest?

– Sexton, zawsze miała ucho chętne do słuchania. Ale potem spierniczyła na południe. Samob też potrafił słuchać. Można było z nim pogadać. Nigdy nie miał dobrych odpowiedzi, ale był dobrym słuchaczem.

Rebus miał nadzieję, że okaże się równie dobrym mówcą. Bo pytań wymagających odpowiedzi było coraz więcej. Zdecydował się – jak by to ujął Amerykanin? – rzucić Pondowi kilka podkreślonych piłek.

– Gdyby Elizabeth Jack miała kochanka, na kogo by pan stawiał?

Pond autentycznie trochę zwolnił. Pogrążył się w myślach.

– Na siebie – odezwał się w końcu. – Przecież byłaby głupia, gdyby się zakręciła koło innego. – I znów się uśmiechnął.

– A drugi wybór?

– Plotki chodziły... zawsze chodziły.

– Tak?

– Jezu, chce pan, żebym podał całą listę? Dobra, na początek Barney Byars. Zna go pan?

– Znam.

– Barney jest w porządku, tak uważam. Trochę brakuje mu manier, ale poza tym jest w porządku. Przez jakiś czas byli blisko...

– Kto jeszcze?

– Jamie Kilpatrick... Julian Kaymer... Myślę, że nawet ten tłusty Kinnoul próbował szczęścia. Potem miała ponoć przygodę z byłą żoną tego milionera od sieci sklepów.

– Mówi pan o Louise Patterson-Scott?

– Wyobraża pan to sobie? Podobno rano po jakiejś imprezie znaleziono je razem w łóżku. Wielka mi rzecz!

– Ktoś jeszcze?

– Pewnie setki.

– Pan nigdy...?

– Ja? – Pond wzruszył ramionami. – Kilka razy całowanie i obmacywanki. – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – To mogło pójść dalej... ale tak się nie stało. Liz pod tym względem była... hojna.

Pokiwał głową, zadowolony, że znalazł właściwe słowo, odpowiednie epitafium.

Tu leży Elizabeth Jack.

Lubiła dawać.

– Czy mogę skorzystać z pana telefonu? – zapytał Rebus.

– No jasne.

Zadzwoił do Patience. Próbował już dwa razy tego wieczoru – bez rezultatu. Ale tym razem odebrała połączenie. Wyciągnął ją z łóżka.

– Gdzie jesteś? – zapytała.

– Jadę na północ.

– Kiedy cię zobaczę? – Jej głos stracił wszelkie emocje, brzmiał zupełnie obojętnie.

Rebus zastanawiał się, czy to tylko efekt telefonu.

– Jutro – odparł. – Zdecydowanie jutro.

– To nie może tak dłużej wyglądać, John. Naprawdę nie może.

Szukał słów, które by ją uspokoiły, a jednocześnie nie wprawiły go w zakłopotanie przed Pondem. Szukał zbyt długo.

– Pa, John.

Przerwała połączenie.

DO KINGUSSIE DOTARLI NA DŁUGO przed świtem; na drodze nie było dużego ruchu i nie widzieli nawet jednego wozu patrolowego. Zabrali latarki, chociaż właściwie nie były im potrzebne. Domek stał w odległym zakątku wioski, nieco z dala od głównej drogi, mimo to był dobrze oświetlony światłem ulicznym. Rebus ze zdziwieniem stwierdził, że „chata” jest całkiem nowoczesnym domem, otoczonym ze wszystkich stron wysokim żywopłotem z przerwą tylko na bramę, przez którą wjeżdżało się na krótki żwirowy podjazd prowadzący do samego domu.

– Kiedy Gregor i Liz kupili dom w lesie, pomyślałem: a co mi tam, też kupię – wyjaśnił Pond. – Tyle że nie mogłem znieść tych surowych warunków. Chciałem czegoś bardziej nowoczesnego. Mniej uroku, więcej udogodnień.

– Mili sąsiedzi?

Pond wzruszył ramionami.

– Prawie ich nie widuję. Posiadłość obok to też dom raczej letniskowy, podobnie jak połowa domów we wsi. – Znowu wzruszył ramionami.

– A pani Heggarty?

– Mieszka po drugiej stronie głównej ulicy.

– Więc możliwe, że nikt nie widział... – zaczął Rebus, a Pond zakończył:

– ...jak weszli i wyszli. Co do tego nie ma wątpliwości.

Zostawił włączone światła, żeby widzieli je podczas otwierania frontowych drzwi. Blask reflektorów oświetlił ganek. Rebus, wreszcie uwolniony z klatki, z trudem wyprostował kolana

i przeciągnął się.

– To ten kamień? – spytał.

– Ten sam – odparł Pond. Był to duży kawałek różowawej skały, wyglądający jak kamień. Podniósł go, ukazując zapasowy klucz. – Miło, że odchodząc, zostawili go na miejscu. Zapraszam. Oprawdzą pana po domu.

– Chwileczkę. Mógłby pan niczego nie ruszać? Może będziemy potem chcieli pobrać odciski palców.

Pond uśmiechnął się.

– Jasne, ale moje odciski i tak są wszędzie.

– Oczywiście, ale tak czy inaczej...

– Poza tym, jeśli pani Heggarty posprzątała po „gościach”, wewnątrz jest odkurzone i wyszorowane od sufitu do podłogi.

Serce Rebusa zamarło, gdy wszedł za Pondem do domku; w powietrzu unosił się zapach pasty do mebli zmieszany z odświeżaczem powietrza. W salonie ani jedna poduszka, ani jeden sprzęt nie wyglądały jednak na tknięte.

– Nic się nie zmieniło od czasu, kiedy stąd wyjechałem – powiedział Pond.

– Jest pan pewien?

– Całkiem pewien. Ja nie jestem jak Liz i jej towarzystwo, inspektorze. Nie organizuję imprez. Nie mam nic przeciwko tym urządzanym przez innych, ale ostatnią rzeczą, jaką chciałbym robić, byłoby zmywanie musu z łososia z sufitu albo tłumaczenie przed całą wioską, że kobieta z tyłkiem zwisającym z tylnego okna bentleya to szlachetnie urodzona...

– Nie pije pan chyba do Matildy Merriman? – przerwał Pondowi Rebus.

– Właśnie do niej. Chryste, rzeczywiście zna ich pan wszystkich.

– Z Matildą Merriman jeszcze się nie widziałem.

– Coś panu poradzę: niech pan to odłoży na potem. Życie jest zbyt krótkie.

A godziny za długie, pomyślał Rebus. Dzisiejsze godziny były zdecydowanie o wiele za długie. Kuchnia prezentowała się schludnie, na ociekaczu połyskiwały szklanki.

– Niech pan nie liczy na zdobycie wielu odcisków, inspektorze.

– Pani Heggarty jest bardzo dokładna, prawda?

– Nie zawsze aż taka dokładna na górze. Chodźmy, sprawdzimy.

A jednak ktoś był dokładny. Łóżka w obu sypialniach zostały zasłane. Nie było tu filizanek ani szklanek, gazet, czasopism czy niedokończonych książek. Pond demonstracyjnie wciągnął w nozdrza powietrze.

– Nie – powiedział. – Nie jest dobrze, nie czuję nawet jej perfum.

– Czyich?

– Liz. Zawsze używała tej samej marki, zapomniałem nazwy. Pachniała pięknie. Przepięknie. Myśli pan, że tu była?

– Ktoś tu był. I sądzimy, że pani Jack przebywała w okolicy.

– Ale z kim? Nad tym się pan głowi, co?

Rebus skinął głową.

– No cóż, to nie byłam ja. A szkoda – powiedział Pond. – Musiałem się zadowolić dziewczynami na telefon. I wie pan co? One, zanim zaczną, chcą zobaczyć wyniki testu.

– Na AIDS?

– Tak. Więc jak, chce pan tu jeszcze coś zobaczyć? Zdaje się, że zmarnował pan czas na podróż.

– Być może. Jest jeszcze łazienka...

Pond pchnął drzwi łazienki i wpuścił Rebusa do środka.

– Aha – mruknął. – Wygląda na to, że pani Heggarty zabrakło czasu. – Wskazał głową skłębiony ręcznik leżący na podłodze. – Zwykle idą prosto do prania.

Rebus odciągnął zasłonę prysznicową i zobaczył wannę. Została wyczyszczona, ale parę długich włosów przykleiło się do szkliva. Pomyślał, że trzeba je zbadać. Czasem jeden włos wystarczy do identyfikacji. Po chwili spostrzegł dwa kieliszki stojące w rogu wanny. Pochylił się i powąchał. Białe wino. W jednym na dnie zostało jeszcze kilka kropli.

Dwa kieliszki! Dla dwóch osób. Dwie osoby w wannie popijające wino.

– Pana telefon jest na dole? – spytał Rebus.

– Tak.

– Chodźmy. To pomieszczenie jest niedostępne do odwołania. A ja zaraz stanę się koszmarem techników kryminalistycznych.

Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ CZŁOWIEK, z którym Rebus rozmawiał przez telefon, nie był zadowolony.

– Wypruwamy sobie flaki przy samochodzie i tamtej drugiej chałupie.

– Doceniam to, ale te ślady mogą być równie ważne. Może nawet ważniejsze.

Rebus stał w małej jadalni. Nie potrafił powiązać mebli z osobowością Ponda, ale potem zobaczył oprawioną w ramkę fotografię młodej zakochanej pary, wykonaną mniej więcej w latach pięćdziesiątych. Wtedy zrozumiał: rodzice Ponda. Te meble prawdopodobnie należały kiedyś do nich. Pewnie je odziedzyczył, uznał jednak, że nie pasują do jego stylu życia: szybkich kobiet i wolnych koni. Ale do wypełnienia przestrzeni w domku letniskowym były idealne.

Pond, który siedział na krześle w jadalni, podniósł się. Rebus położył dłoń na słuchawce.

– Gdzie pan idzie?

– Wysikać się. Niech pan nie panikuje, wyjdę na tyły domu.

– Tylko proszę nie wchodzić na górę, w porządku?

– Dobra, dobra.

Człowiek w telefonie nie przestawał narzekać. Rebus zadrżał. Był zmarznięty. Nie, przemęczony. Temperatura ciała spadała.

– Słuchaj – rzucił. – Spieprzaj do łóżka, ale bądźcie tu z samego rana. Podam ci adres. I mam na myśli z samego rana. Zrozumiałeś?

– Jest pan wspaniałomyślny, inspektorze.

– Wyrują to na moim nagrobku: *Lubił dawać.*

POND SPAŁ W GŁÓWNEJ SYPIALNI, za zgodą Rebusa, który trochę mu zazdrościł, bo sam czuwał pod drzwiami łazienki. Kto raz się na gorącym sparzy... Nie chciał powtórki z włamania do Deer Lodge. Ten dowód – jeśli był dowodem – miał zostać nienaruszony, dlatego Rebus usiadł w korytarzu na piętrze, plecami oparty o drzwi łazienki, owinięty kocem, i drzemał. Po jakimś czasie zsunął się po drzwiach, tak że leżał na dywanie przed nimi, skulony w pozycji płodowej. Śniło mu się, że jest pijany... że ktoś wozi go bentleymem. Szofer potrafił prowadzić i równocześnie wystawiać tyłek przez

okno. Z tyłu samochodu odbywała się „impreza”. Holmes i Nell kopulowali tam dyskretnie z nadzieją na chłopca. Gill Templer, która również uczestniczyła w zabawie, usiłowała rozpiąć Rebusowi rozporek, ale nie chciał, żeby Patience ich przyłapała... Był tam chyba również Lauderdale, który obserwował, tylko obserwował. Ktoś otworzył szafkę z napojami, ale w środku poupychano książki. Rebus wybrał jedną i zaczął czytać. Była to najlepsza książka, jaką kiedykolwiek czytał. Nie mógł jej odłożyć. Zawierała wszystko...

Rano, kiedy się obudził, sztywny i zziębnięty, nie potrafił otrząść z pyłu zapomnienia choćby linijki lub słowa z tej książki. Podniósł się i przeciągnął, przybierając ludzką postać, po czym otworzył drzwi do łazienki, wszedł do środka i łypnął w miejsce, gdzie powinny stać kieliszki.

Wciąż tam były. Rebus, mimo obolałego ciała, prawie się uśmiechnął.

DŁUGO STAŁ POD PRYSZNICEM, puszczając kaskady wody na głowę, klatkę piersiową i ramiona. Gdzie on właściwie był? Był w mieszkaniu na Oxford Terrace. Powinien co prawda być w pracy, ale mógł wyjaśnić swoją nieobecność. Czuł się marnie, ale nie tak marnie, jak się obawiał. O dziwo, udało mu się zasnąć w drodze powrotnej, podczas podróży przebiegającej w tempie spokojniejszym niż droga w tamtą stronę.

– Kłopoty ze sprzęgłem – wyjaśnił Pond zaledwie trzydzieści kilometrów od Kingussie. Zjechał na pobocze i zajrzał pod maskę, pod którą był niezły kawał silnika. – Nie wiedziałbym, od czego zacząć – przyznał.

Problem z takimi wypasionymi samochodami polegał na tym, że zdolnych mechaników można było liczyć na palcach. W konsekwencji na każdy przegląd Pond musiał zabierać pojazd do Londynu. Tak że jechali powoli jak na wycieczkę, zostawiwszy domek letniskowy pod pieczę zdezorientowanego detektywa sierżanta Knoxa i dwóch przepracowanych techników kryminalistyki.

A potem Rebus spał, ale niezbyt długo, dlatego teraz oparł się pokusie kąpeli i postawił na prysznic. Trudno zasnąć pod prysznicem, a w gorącej kąpeli o świecie zbyt łatwo. Na nocleg wybrał mieszkanie Patience – łatwy wybór, bo Oxford Terrace było po właściwej stronie Edynburga, a Rebus miał za sobą uciążliwą podróż: piekielną przeprawę przez most kolejowy Forth i sznur samochodów pełnących w kierunku miasta z okolicznych miejscowości. Przedstawiciele handlowi w astrach zlustrowali włoski samochód i pocieszyli się myślą, że jego kierowca i pasażer wyglądają na oszustów, może alfonsów albo lichwiarzy...

Zakręcił wodę w prysznicu, wytarł się do sucha, włożył czyste ubranie i rozpoczął proces ponownego stawania się człowiekiem. Golenie, mycie zębów, kubek świeżo zaparzonej kawy. Siedzący w oknie Lucky błagał go wzrokiem o litość, więc Rebus wpuścił go do środka. Wsypał nawet trochę karmy do miski, na co kot przeszedł go pełnymi podejrzliwości ślepiami. To nie był Rebus, którego znał.

– Okaż trochę wdzięczności, dopóki jest za co.

Jaki to był dzień? Był wtorek. Ponad dwa tygodnie od nalotu na burdel, czternaście nocy od czasu, gdy Alec Corbie usłyszał kłótnię w zatoczce postojowej, w której zobaczył dwa albo trzy samochody. Nastąpił postęp, w dużej mierze dzięki Rebusowi. Gdyby tylko mógł wybić z głów przełożonych Williama Glassa...

Na gzymsie kominka, opartą o zegar, zobaczył kartkę z wiadomością.

Może uda nam się spotkać? Kolacja dzisiaj albo...

Patience

Bez pocałunków. Zły znak. Brak krzyżyków oznaczał, że jest zła. Miała pełne prawo; musiał wreszcie podjąć decyzję, nieważne jaką. Wprowadzić się albo wyprowadzić, ale przestać używać tego lokum jak toalety publicznej, gdzie można wziąć prysznic, ogolić się, załatwić potrzeby i od czasu do czasu pobzykać. Czy był lepszy od Liz Jack i jej tajemniczego towarzysza z domku letniskowego Toma Ponda? Cholera, pod pewnymi względami był gorszy. *Kolacja dzisiaj albo...* To znaczy: albo stracę Patience. Wyjął z kieszeni długopis i odwrócił kartkę.

Jeśli nie kolacja, to deser,

napisał. Całkowicie dwuznacznie – cały on – ale sprytnie. Dodał swoje imię i kilka iksów.

CHRIS KEMP MIAŁ SWÓJ sensacyjny materiał. I to na pierwszej stronie. Młody reporter ciężko się napracował po wizycie Johna Rebusa. W towarzystwie fotografa wytropił Gail Crawley. Nie była zbyt chętna do rozmowy, co nie stanowiło problemu, bo jej zdjęcie znalazło się obok lekko rozmytej fotografii nastoletniej dziewczyny: *Gail Jack w wieku około czternastu lat*. Historię naszprycowano klauzulami zwalnającymi z odpowiedzialności, na wypadek gdyby okazała się nieprawdziwa. Czytelnikowi pozostawiono swobodę – mniejszą lub większą – wyrobienia sobie własnego zdania. Wizyta posła u tajemniczej prostytutki, jego siostry, o której nikt nie wiedział? Ale to zdjęcia były atutem materiału. Na pewno przedstawiały tę samą osobę; ten sam nos, te same oczy i podbródek. Zdecydowanie. Zdjęcie Gail Jack z lat młodości było genialnym posunięciem i Rebus nie wątpił, że za tym genialnym posunięciem stoi Ian Urquhart. Bo niby jak inaczej Kemp mógł zdobyć – i to tak ekspresowo – fotografię, której potrzebował? Sprawę załatwił telefon do szefa kampanii wyborczej deputowanego z wyjaśnieniem, że artykuł jest wart współpracy. Urquhart sam znalazł zdjęcie albo przekonał Gregora Jacka, by to zrobił.

Materiał ukazał się w porannym wydaniu. Do jutra inne gazety będą mieć własne wersje; nie mogły sobie pozwolić na pominięcie tego newsa. Po odebraniu samochodu sprzed mieszkania Ponda, stojąc na światłach, Rebus zobaczył napis na szyldzie sprzedawcy gazet: POSEŁ Z BURDELU – TYLKO U NAS! Minął światła, zaparkował przy krawężniku i pobiegł z powrotem do stoiska z gazetami. Wrócił do samochodu i dwukrotnie przeczytał artykuł, pełen podziwu dla dobrej roboty. Potem uruchomił silnik i pojechał dalej, do celu. Powinienem być kupić dwa egzemplarze, pomyślał. On jeszcze nie zdążył zobaczyć...

Zielony citroën BX stał na podjeździe, a za nim była otwarta brama garażowa. Rebus zatrzymał samochód tak, że zablokował koniec podjazdu, akurat wtedy, kiedy brama się opuszczała. Wysiadł z saaba, trzymając w jednej ręce złożoną gazetę.

– No proszę, wygląda na to, że właśnie pana złapałem! – zawołał.

Ronald Steele odwrócił się twarzą do niego.

– Proszę? – Zobaczył samochód zaparkowany w poprzek podjazdu. – Niech pan posłucha, z łaski swojej. Spiesz się... – Nagle rozpoznał Rebusa. – Och, inspektor...?

– Rebus.

– Rebus, tak. Przyjaciel Rasputina.

Rebus uniósł rękę i pokazał nadgarstek Steele'owi.

– Dobrze się goi – powiedział.

– Inspektorze... – Steele spojrział na zegarek. – Czy to coś ważnego? Mam spotkanie z klientem i zasnęłam.

– Nic szczególnie ważnego – odparł pogodnie Rebus. – Ot, dowiedzieliśmy się tylko, że pana alibi na śróde, kiedy zabito panią Jack, to lipa. Zastanawiałem się, czy nie chciałby pan tego jakoś skomentować?

Twarz Steele'a, już dostatecznie długa, jeszcze się wydłużyła.

– Och. – Spojrział na czubki swoich podniszczonych butów. – Czułem, że ostatecznie prawda wyjdzie na jaw. – Spróbował się uśmiechnąć. – Niewiele można ukryć w śledztwie w sprawie morderstwa, prawda?

– Niewiele trzeba ukrywać, proszę pana.

– Zabierze mnie pan na komendę?

– Może później. Tylko po to, żeby nagrać pana zeznanie. Na razie możemy porozmawiać u pana.

– Dobrze.

Steele powoli ruszył w stronę wejścia do domu.

– Ładna okolica – powiedział Rebus.

– Co? A, tak, tak, to prawda.

– Od dawna pan tu mieszka? – Rebusa nie interesowały jego odpowiedzi. Interesowało go tylko podtrzymanie konwersacji. Im więcej mówił, tym mniej czasu Steele miał na myślenie, a im mniej go miał, tym większe były szanse, że wyłoży karty na stół.

– Trzy lata. Wcześniej miałem mieszkanie przy Grassmarket.

– Wieszali tam ludzi, wiedział pan?

– Tak? Trudno to sobie wyobrazić w dzisiejszych czasach.

– Nie byłbym tego pewien...

Byli już w domu. Steele wskazał na telefon w przedpokoju.

– Czy ma pan coś przeciwko, żebym zadzwonił do klienta i przeprosił?

– Cokolwiek pan sobie życzy. Poczekam w salonie, jeśli pan pozwoli.

– W tamtą stronę – rzucił gospodarz, wyciągając rękę.

– Jasne.

Rebus wszedł do pokoju, ale zostawił drzwi szeroko otwarte. Usłyszał, jak Steele wybiera numer. Miał stary bakelitowy telefon, taki z małą szufladką na dole, na przykład na notatnik. Kiedyś ludzie chcieli się ich pozbywać; teraz pragnęli je odzyskać i byli gotowi za to zapłacić. Rozmowa Steele'a okazała się krótka i brzmiała niewinnie. Przeprasiny, zmiana terminu spotkania. Rebus rozłożył szeroko przed sobą poranną gazetę i demonstracyjnie wpatrywał się w wewnętrzne strony. Słuchawka wróciła z brzdękami na swoje miejsce.

– Załatwione – oznajmił Steele, wchodząc do salonu.

Rebus przez chwilę udawał, że czyta dalej, po czym opuścił dziennik i zaczął go składać.

– Świetnie – rzucił.

Steele, zgodnie z jego założeniem, wpatrywał się w gazetę.

– Co tym razem piszą o Gregorze? – zapytał.

– Hm? Ach, jeszcze pan nie widział?

Rebus podał mu gazetę. Steele, nadal stojąc, pochłaniał oczami artykuł.

– Co pan o tym sądzi? – odezwał się Rebus.

Steele wzruszył ramionami.

– Bóg jeden wie. Przypuszczam, że to ma sens. Wszyscy zachodziliśmy w głowę, co Gregor robił w takim miejscu. Nie potrafiłbym wymyślić lepszego powodu. Zdjęcia na pewno wyglądają podobnie... Zupełnie nie pamiętam Gail. To znaczy... zawsze była gdzieś w pobliżu, ale nie zwracałem na nią uwagi. Nie była zainteresowana nawiązaniem bliższej znajomości. – Złożył gazetę. – Więc Gregor ma rozsądne wytłumaczenie, dlaczego tam był.

Rebus wzruszył ramionami. Steele oddał mu gazetę.

– Może pan ją zatrzymać. Ale, panie Steele, wróćmy do pana alibi, do tego, że nie grał pan wtedy w golfa...

Gospodarz usiadł. Jego salon był przyjemny, wypełniony książkami. Bardzo przypominał Rebusowi inne pomieszczenie, które odwiedził ostatnio...

– Gregor dla przyjaciół zdobyłby się na wszystko – powiedział szczerze Steele. – Łącznie z kłamstwem. Wymyślił się tę grę w golfa. Ma pan rację, to nie do końca prawda. Na początku rzeczywiście graliśmy raz w tygodniu. Ale potem zacząłem się spotykać z... pewną kobietą. W środy. Wyjaśniłem to Gregorowi. Nie widział powodu, dla którego mielibyśmy przestać mówić wszystkim, że gramy w golfa. – Steele po raz pierwszy spojrzął Rebusowi w oczy. – Chodzi o zazdrosnego męża, inspektora, i w tej sytuacji potrzebowałem alibi.

Rebus skinął głową.

– Jest pan bardzo szczerzy – przyznał.

Jego rozmówca wzruszył ramionami.

– Nie chciałem, żeby Gregor miał z mojego powodu kłopoty.

– Więc w tą środę, kiedy zabito Elizabeth Jack, był pan po południu z tą kobietą?

Steele z powagą kiwnął głową.

– Potwierdzi pan to? – chciał wiedzieć Rebus.

– Beznadziejna sprawa – odpowiedział Steele, uśmiechając się smutno.

– Chodzi o męża?

– Owszem.

– Ale prędzej czy później się dowie, nie uważa pan? Wiele osób słyszało pogłoski o panu i pani Kinnoul...

Steele drgnął, jak pod wpływem lekkiego elektrowstrząsu. Świdrował wzrokiem miejsce w podłodze, jakby liczył na to, że przemieni się w dół, do którego będzie mógł wskoczyć. A potem wyprostował się w fotelu.

– Skąd pan...?

– Strzelałem.

– I dobrze pan trafił. Ale mówi pan, że inni...?

– Inni ludzie się domyślają. Przekonał pan Cath Kinnoul do zainteresowania się rzadkimi wydaniem książek. Całkiem dobra przykrywka, prawda? Na wypadek gdyby was przyłapano. Zauważyłem nawet, że swoją bibliotekę wzorowała na pańskim salonie.

– To nie tak, jak pan myśli, inspektorze.

– Ależ ja nic nie myślę.

– Cathy potrzebuje kogoś, kto ją wysłucha. Rab nigdy nie ma czasu. On ma czas tylko dla siebie. Gapa była najzdolniejsza z nas wszystkich...

– Tak, Pond mi o tym wspominał.

– Tom? Wrócił ze Stanów?

Rebus skinął głową.

– Dopiero co się z nim widziałem. Dziś rano... w jego domku.

Czekał na reakcję, ale umysł Steele'a wciąż koncentrował się na Cath Kinnoul.

– Serce mi pęka, kiedy widzę... jak ona...

– Jest pana przyjaciółką – rzucił Rebus.

– Tak.

– Więc na pewno potwierdzi pana zeznanie. Przyjaciółka w potrzebie i tak dalej...

Steele pokręcił głową.

– Nie rozumie pan, inspektorze. Rab Kinnoul jest... może być... brutalnym człowiekiem. Przemoc psychiczna i fizyczna. On ją przeraża.

Rebus westchnął.

– W takim razie nie mam nic poza pana słowem na potwierdzenie tego, gdzie pan był w tamtą środę po południu.

Steele wzruszył ramionami. Wyglądał, jakby miał się rozplakać, bardziej z frustracji niż z innego powodu. Westchnął ciężko.

– Myśli pan, że to ja zabiłem Liz?

– A zrobił pan to?

– Nie – odparł Steele, kręcąc głową.

– W takim razie nie ma się pan o co martwić.

Na twarzy Steele'a pojawił się ponury uśmiech.

– Z całą pewnością – powiedział.

Rebus wstał.

– Cóż za hart ducha, tak trzymać, panie Steele.

Ale Ronald Steele wyglądał, jakby nie pozostało w nim wiele ducha.

– Mimo wszystko nie ułatwia pan sobie zadania – dodał Rebus.

– Rozmawiał pan z Gregorem? – zapytał Steele.

Inspektor skinął głową.

– Czy on wie o Cathy i o mnie?

– Nie potrafię powiedzieć – odparł Rebus, gdy szli do wyjścia. – Czy zrobiliby to jakąś różnicę, gdyby wiedział?

– Bóg jeden wie. Nie, może nie.

Słońce powoli wspinało się po niebie. Rebus poczekał, aż Steele zamknie drzwi.

– Jeszcze jedna rzecz – powiedział.

– Tak?

– Czy nie miałby pan nic przeciwko, gdybym zajrzał do bagażnika pańskiego samochodu?

– Do czego? – Steele wybałuszył oczy, ale szybko pojął, że inspektor nie ma zamiaru się tłumaczyć.

Westchnął. – Dlaczego nie? – powiedział.

Otworzył bagażnik. Rebus spojrział do środka i zobaczył parę kaloszy pokrytych błotem. Dno bagażnika również było zabrudzone błotem.

– Coś panu powiem – rzucił, opuszczając klapę. – Najlepiej będzie, jeśli pojedzie pan teraz na komendę. Im szybciej wszystko wyjaśnimy, tym lepiej.

Steele wyprężył się jak struna. Obok przeszły dwie plotkujące kobiety.

– Czy jestem aresztowany, inspektorze?

– Chcę się tylko upewnić, że dobrze pana zrozumiałem. To wszystko – odparł Rebus, zastanawiając się, czy zostali jeszcze jacyś technicy kryminalistyki, którzy nie są teraz zajęci. A dał już im wszystkim zajęcie? Jeżeli tak, to samochód Steele’a będzie musiał poczekać. Jeśli nie, czekała ich kolejna robota. Dochodzenie zaczynało się klasyfikować do *Księgi rekordów Guinnessa* w kategorii „Ilu kryminalistów jeden detektyw zdoła wcisnąć do śledztwa?”.

– JAKA SPRAWA?

– Właśnie powiedziałem, szefie.

Lauderdale wyglądał na nieporuszonego.

– Nie usłyszałem od ciebie nic na temat zabójstwa Elizabeth Jack. Opowiadałeś o tajemniczych kochankach, o alibi na zamówienie, o jakiejś Paczce, ale ani słowa o zabójcy. Nawet nie próbowałeś strzelać w ciemno. – Wskazał na podłogę. – Mam na dole kogoś, kto przysięga, że popełnił oba morderstwa.

– Tak, szefie – rzucił spokojnie Rebus. – I masz też psychiatrę, który twierdzi, że Glass równie dobrze mógłby się przyznać do zabicia Gandhiego albo Rudolfa Hessa.

– Skąd o tym wiesz?

– O czym?

– O raporcie psychiatrycznym?

– Nazwijmy to przebłyskiem olśnienia.

Lauderdale wyglądał na bardziej przygnębionego; obliznął usta, nad czymś się zastanawiając.

– Dobra – odezwał się w końcu. – Przedstaw mi to jeszcze raz.

Więc Rebus przedstawił mu jeszcze raz. Obraz sytuacji jawił mu się teraz jako gigantyczny kolaż: różne materiały, ale ten sam temat. I był jednocześnie czymś w rodzaju op-artu: im bardziej się do niego zbliżasz, tym bardziej wydaje się odległy. Rebus właśnie kończył, a szef wciąż patrzył na niego sceptycznie, kiedy zadzwonił telefon. Lauderdale podniósł słuchawkę i westchnął.

– Do ciebie. – Wyciągnął ją w stronę Rebusa.

– Tak?

– Jakaś kobieta do pana – oznajmił dyżurny w centrali. – Mówi, że to pilne.

– Daj ją. – Rebus poczekał, aż tamten przełączy rozmowę. – Tu Rebus.

Słyszał szumy w tle, jakieś komunikaty. To był dworzec kolejowy.

– No, ile można czekać! – usłyszał głos kobiety. – Jestem na Waverley. Za czterdzieści pięć minut mam pociąg. Jeśli zjawi się pan tu, zanim odjedzie, coś panu zdradzę. – I cisza. Rozmowa krótka i sucha, ale intrygująca.

Rebus rzucił okiem na zegarek.

– Muszę jechać na dworzec Waverley – zwrócił się do przełożonego. – Może tymczasem porozmawiasz ze Steele’em? Wyrobisz sobie opinię, co?

– Dziękuję. Może...

SIEDZIAŁA NA ŁAWCE W HALI dworcowej; rzucała się w oczy w okularach przeciwsłonecznych, które miały ukryć jej tożsamość.

– Ten sukinsyn podrzuca mi te pieprzone brukowce. – Mówiła o bracie, Gregorze Jacku.

Rebus milczał.

– Wczoraj jeden, dziś sześć – dodała. – Zdjęcia na pierwszych stronach...

– Może nie zrobił tego pani brat – wtrącił Rebus.

– Co? A niby kto?

Nawet za szklami ciemnych okularów Rebus widział zmęczone oczy Gail Crawley. Ubrała się jakby w pośpiechu: obcisłe dżinsy, szpilki, luźna koszulka. Jej bagaż składał się z dużej walizki i dwóch toreb na zakupy. W jednej ręce ścisnęła bilet do Londynu, w drugiej papierosa.

– Być może to ten człowiek, który wiedział, kim pani jest, i poinformował Gregora, gdzie można panią znaleźć – zasugerował.

Zadrżała.

– O tym właśnie chciałam panu powiedzieć. Bóg jeden wie dlaczego. Nie jestem winna temu sukinsynowi żadnych przysług...

Ja też nie, pomyślał Rebus. A jednak mam wrażenie, że zawsze je wyświadczam.

– Co pan powie na drinka? – zaproponowała.

– Jasne – powiedział Rebus.

Podniósł jej walizkę, a ona, stukając obcasami, podążyła za nim. Jej buty robiły dużo hałasu i przyciągały spojrzenia kręcących się w pobliżu mężczyzn. Rebus westchnął z ulgą, gdy dotarli do baru, bezpiecznego schronienia. Kupił dla siebie małe piwo, a dla niej bacardi z colą. Znaleźli nawet kącik nie za blisko automatu do gier czy rozklekotanego głośnika szafy grającej.

– Na zdrowie – rzuciła, próbując jednocześnie pić i zaciągać się. Mamrotała coś i przeklinała; zgasiła papierosa, a kilka sekund później zapaliła kolejnego.

– Na zdrowie. – Rebus łyknął piwa. – Więc jaki to ciężar chce pani zrzucić z serca?

Prychnęła.

– Podoba mi się: „zrzucić z serca”... – Tym razem pamiętała, żeby przed zaciągnięciem się papierosem przełknąć rum. – Mówił pan, że ktoś mógł wiedzieć, kim jestem...

– Tak?

– Przypomniałam sobie. Pewną noc, jakiś czas temu. Dwa miesiące, może sześć tygodni... coś koło tego. Nie byłam długo w Edynburgu. W każdym razie wtedy przyszło trzech wkurzonych klientów. Zabawne, że zwykle chodził trójkami.

– A więc do burdelu przyszło trzech mężczyzn?

– Właśnie tak powiedziałam, nie? W każdym razie jednemu przypadłam do gustu, więc poszliśmy na górę. Przyznałam mu się, że mam na imię Gail. Nie widzę sensu w tych wszystkich idiotycznych imionach, których używają pozostali: Candy i Mandy, Claudette i Tina, Suzy, Jasmine, Roberta... Zapomniałabym, kogo mam udawać.

Rebus zerknął na zegarek. Zostało niewiele więcej niż dziesięć minut... Najwyraźniej odczytała aluzję.

– Zapytałam go, czy on też ma jakieś imię. A on się roześmiał. Powiedział: „To znaczy, że nie rozpoznajesz twarzy?”. Pokręciłam głową, a on na to: „No tak, jesteś z Londynu? A ja, kotku, jestem sławny!”. Coś głupiego w tym stylu. A potem dodał: „Jestem Gregor Jack”. Zaczęłam się śmiać, sam

rozumiesz dlaczego. Zapytał, dlaczego mi tak wesoło. Więc powiedziałam: „Nie, nie jesteś. Znam Gregora Jacka”. To go jakby odstraszyło. Poklepał mnie po tyłku, puścił oko i w końcu wrócił do swoich kumpli. A ja nie powiedziałam nic więcej.

– Jak wyglądał?

– Wielki. Jak facet z Highlands. Jedna z dziewczyn mówiła, że chyba widziała go w telewizji...

Rab Kinnoul. Rebus krótko go opisał.

– Tak, możliwe, że to ten – przyznała.

– A mężczyźni, którzy z nim byli?

– Nie przyglądałam się. Jeden z nich nieśmiały, wysoki i chudy jak tyczka do fasoli. Drugi był gruby i miał skórzaną kurtkę.

– Nie wychyciłaś ich imion?

– Nie.

Hm... to nie miało znaczenia. Rebus założyłyby się, że potrafiłaby ich wyłowić z szeregu. Ronald Steele i Barney Byars. Noc w mieście. Byars, Steele i Rab Kinnoul. Ciekawa trójka i kolejny lont zapalający, który Rebus mógł rzucić w kierunku Steele'a.

– Niech pani dopije drinka, Gail – powiedział. – Zaprowadzę panią do pociągu.

Po drodze wydobyl od niej adres: ten sam, który podała wcześniej, ten, który sprawdził George Flight.

– Tam będę – rzuciła i rozejrzała się po peronie.

Ludzie wsiadali do pociągu. Rebus wniósł do wagonu walizkę, a Gail wciąż wpatrywała się w szklany dach dworca. W końcu spojrzała na inspektora.

– Nie powinnam była przyjeżdżać do Edynburga, prawda? Może nic by się nie stało, gdybym została w Londynie.

Przechylił lekko głowę.

– W niczym nie zawiniłaś, Gail.

A jednak nie mógł oprzeć się wrażeniu, że miała rację. Gdyby trzymała się z dala od Edynburga, gdyby nie wyrwała się z tym „Znam Gregora Jacka”, kto wie, jak potoczyłoby się życie? Weszła do pociągu i odwróciła się do Rebusa.

– Jeśli zobaczy pan Gregora... – zaczęła. Ale nie powiedziała nic więcej. Wzruszyła ramionami, odwróciła się i niosąc przed sobą walizkę i torby, poszła w głąb wagonu. Rebus, stroniący od emocjonalnych pożegnań, zwłaszcza gdy chodziło o prostytutki, obrócił się energicznie na pięcie i ruszył w stronę samochodu.

– CO ZROBIŁEŚ?

– Puściłem go.

– Puściłeś Steele'a? – Rebus nie mógł w to uwierzyć. Przechadzał się po niewielkiej wolnej przestrzeni biura przełożonego. – Dlaczego?

Lauderdale uśmiechnął się chłodno.

– Pod jakim zarzutem miałem go zatrzymać, John? Bądź realistą, na miłość boską.

– Rozmawiałeś z nim?

– Tak.

– I?

– Wydaje się bardzo wiarygodny.

– Innymi słowy, wierzysz mu?

– Tak, chyba tak.

– A co z bagażnikiem jego samochodu?

– Masz na myśli błoto? Sam ci powiedział: pani Kinnoul i on chadzają na spacer. Tamto zbocze trudno nazwać utwardzonym. Potrzebujesz tam kaloszy, a na kaloszach zostaje błoto. Do tego służą.

– Przyznał, że spotyka się z Cath Kinnoul?

– Nie. Powiedział tylko, że była jakaś kobieta.

– Tyle powiedział tutaj. Ale w swoim domu mówi więcej.

– Uważam za szlachetny gest to, że próbuje ją chronić.

– A może wie, że ona i tak nie mogłaby potwierdzić jego wersji?

– Sugerujesz, że on kłamie?

Rebus westchnął ciężko.

– Nie, ja chyba też mu wierzę – przyznał.

– No dobrze. – Lauderdale brzmiał, jak na siebie, łagodnie. – Usiądź, John. Masz za sobą ciężkie dwadzieścia cztery godziny.

Rebus usiadł.

– Miałem ciężkie dwadzieścia cztery lata – uściślił.

Jego przełożony się uśmiechnął.

– Herbaty?

– Lepszym pomysłem byłaby kawa z ekspresu komendanta.

Lauderdale roześmiał się.

– Dobije albo wyleczy. A teraz słuchaj: właśnie przyznałeś, że wierzysz w historię Steele’a...

– Do pewnego stopnia – zastrzegł Rebus.

Szef dochodzeniówki skinął głową.

– Ten facet chciał stąd wyjść. Jak miałem go, do diabła, zatrzymać?

– Jako osobę podejrzaną. Mamy prawo trzymać podejrzanych nieco dłużej niż dziewięćdziesiąt minut.

– Dziękuję za wskazówki, inspektorze, ale orientuję się w temacie.

– A teraz wraca do domu, żeby cholernie dobrze wyszorować bagażnik.

– Do skazania potrzebujesz czegoś więcej niż brudnych kaloszy, John.

– Zdziwiłbyś się, co potrafią technicy kryminalistyczni.

– A właśnie... jest jeszcze jedna sprawa. Słyszałem, że dajesz ludziom w kość bardziej niż piła do amputacji.

– Komuś w szczególności?

– Wygląda na to, że wszystkim specom od kryminalistyki. Przystań ich zameczać, John.

– Tak jest.

– Zrób sobie przerwę. Na dzisiejsze popołudnie, powiedzmy. A co z zaginionymi książkami profesora?

– Wróciły do właściciela.

– Tak? – Lauderdale czekał na wyjaśnienie.

– Książki też mają swoje historie – rzucił Rebus i wstał. – Hm... jeśli nie masz nic innego...

Zabrzączał telefon.

– Zaczekaj – nakazał Lauderdale. – Na ile znam życie, stawiam, że to do ciebie. – Podniósł słuchawkę. – Lauderdale. – Zamienił się w słuch. – Zaraz tam będę – rzucił, zanim ją odłożył. – No, no, no. Zgadnij, kto jest na dole.

– Dudziarze z Dysart and Dundonald Pipe Band?

– Blisko. Jeanette Oliphant.

Rebus uniósł brwi.

– Słyszałem to nazwisko...

– Prawniczka sir Hugh Ferriego. I jak się okazuje, również jego zięcia. Obaj z nią przyszli. – Lauderdale wstał z krzesła i wygładził marynarkę. – Sprawdźmy, czego chcą, dobra?

GREGOR JACK CHCIAŁ ZŁOŻYĆ oświadczenie, które miało dotyczyć jego poczynań w dniu, kiedy zamordowano jego żonę. Ale to sir Hugh Ferrie stał za ich wizytą na komendzie, co było oczywiste od samego początku.

– Rano zobaczyłem artykuł w gazecie – wyjaśnił. – Zadzwoiłem do Gregora, żeby zapytać, czy to prawda. Odparł, że tak. Poczułem się dużo lepiej, wiedząc o tym, chociaż powiedziałem mu, że był przeklętym głupcem, zatajając ten fakt. – Odwrócił się do zięcia. – Przeklęty głupiec.

Rozsiedli się wokół stołu w jednej z sal konferencyjnych, co było pomysłem Lauderdale'a. Bez wątplenia sala przesłuchań nie byłaby odpowiednia dla sir Hugh Ferriego. Na tę okazję Gregor Jack postarał się wyglądać jak najlepiej: świeży garnitur, uczesane włosy, błyszczące oczy. Ale siedział między teściem i Jeanette Oliphant, więc i tak najmniej się liczył.

– Pan Jack przekazał sir Hugh informację – zaczęła prawniczka – którą wcześniej utrzymywał w tajemnicy, a mianowicie że w środę, w dniu śmierci żony, nie był w klubie golfowym.

– Przeklęty głupiec...

– Sir Hugh skontaktował się więc ze mną – ciągnęła Oliphant nieco głośniejsze. – I uznał, że im szybciej pan Jack złoży oświadczenie dotyczące przebiegu tego dnia, tym mniej jego słowa będą podawane w wątpliwość.

Jeanette Oliphant była elegancką, wysoką, pięćdziesięcioparoletnią kobietą o surowej twarzy. Jej usta układały się w cienką kreskę pokrytą szminką, a oczy przeszywały, nie pomijając żadnego szczegółu. Uszy wystawały lekko zza krótkich włosów po trwałej, jakby gotowe wyłapać każdy niuans i każda dwuznaczność, każde niewłaściwe słowo lub zbyt długą pauzę.

Sir Hugh natomiast był krępy, wojowniczy, bardziej przyzwyczajony do przemawiania niż słuchania. Jego dłonie leżały płasko na blacie stołu, jakby miały się za chwilę przez niego precyzyjnie.

– Uporządkujmy fakty – rzucił.

– Jeśli tego sobie życzy pan Jack – powiedział cicho Lauderdale.

– Tego sobie życzy – odparł Ferrie.

Otworzyły się drzwi i detektyw sierżant Brian Holmes wniósł tacę z filiżankami. Rebus rzucił mu znaczące spojrzenie; Holmes go nie odwzajemnił. Odgrywanie kelnera raczej nie wchodziło w zakres kompetencji detektywa sierżanta, ale Rebus oczami wyobraźni widział, jak Holmes przechytrza chłopaka od herbaty. Chciał wiedzieć, co się dzieje. Podobnie jak Watson, który wkroczył do sali tuż za nim. Ferrie uniósł się częściowo z fotela.

– Och, nasz komendant.

Uściślił sobie dłonie. Watson przeniósł wzrok z Lauderdale'a na Rebusa i z powrotem, ale nie mogli mu nic wyjawić, jeszcze nie. Holmes położył tacę na stole i ociągał się z odejściem.

– Dziękuję, sierżancie – powiedział Lauderdale, odprowadzając go.

W ogólnym rozgardiaszu Rebus dostrzegł, że Gregor Jack wpatruje się w niego lśnącymi oczami, z uśmiechem małego chłopca. Znowu to samo, mówiły. Znowu to samo.

Watson postanowił zostać. Przydałaby się jeszcze jedna filiżanka, więc Rebus zrezygnował z herbaty i odstąpił swoją komendantowi. Ten wprawdzie wyraźnie wolałby kawę z własnego ekspresu, co było widać po jego twarzy, przyjął jednak herbatę i skinął Rebusowi głową w ramach podziękowania.

– Po ostatniej wizycie inspektora Rebusa trochę się zastanowiłem – odezwał się Gregor Jack. – Zdołałem sobie przypomnieć nazwy miejsc, w których byłem w tamtą środę... – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wydobył kawałek papieru. – Zajrzałem do baru Eyemouth, ale było pełno ludzi, więc nie zostałem tam. Wypiłem sok pomidorowy w hotelu poza miastem, tylko że tam też było tłoczno, więc nie mogę być pewien, czy ktoś mnie zapamiętał. Po drodze kupiłem gumę do żucia w kiosku w Dunbar. Poza tym nie mam, niestety, nic konkretnego... – Wręczył listę Watsonowi. – Spacer nadbrzeżną promenadą w Eyemouth... przystanek na poboczu na północ od Berwick... Był tam też inny samochód, prowadzony przez przedstawiciela handlowego albo kogoś, kto tak wyglądał... tyle że wydawał się bardziej zainteresowany mapą niż mną... To wszystko.

Watson skinął głową, przeglądając listę, jakby zawierała pytania egzaminacyjne. Po chwili przekazał ją szefowi dochodzeniówki.

– Dobre na początek – skwitował.

– Mój zięć – odezwał się sir Hugh – ma świadomość skali problemów. Podejrzewam jednak, że kłopoty, w które wpada, wynikają z chęci pomagania innym ludziom.

Watson pokiwał głową w zamyśleniu. Rebus się podniósł.

– Przepraszam na chwilę.

Ruszył do wyjścia, wyszedł na korytarz i zamknął drzwi ze szczerym pragnieniem ucieczki. Nie miał zamiaru wracać. Może później Lauderdale albo Watson trzepną go po łapach – „Złe maniery, John” – lecz za żadne skarby nie wysiedzi w tym duszącym pokoju z tymi duszącymi ludźmi.

Na drugim końcu korytarza kręcił się Holmes.

– Co jest grane? – zapytał, gdy Rebus się zbliżył.

– Nie ma się czym ekscytować.

– Och. – Holmes wyglądał na przybitego. – Wszyscy myśleliśmy...

– Wszyscy myśleliście, że przyszedł się wypowiadać? Wręcz przeciwnie, Brian.

– Czy to znaczy, że Glassa zapuszczają za dwa zabójstwa?

Rebus wzruszył ramionami.

– Nic mnie już nie zaskoczy – odparł. Mimo porannego prysznicza czuł się pokryty brudem i niezdrowy.

– No to pozamiatane?

– Jesteśmy policją, Brian, nie sprzątaczkami.

– Wybacz.

Rebus westchnął.

– Przepraszam, Brian. Nie chciałem cię w... odkurzyć.

Patrzyli na siebie przez chwilę, a potem wybuchnęli śmiechem. Niewiele to dało, ale jednak.

– No dobra, jadę do Queensferry – oznajmił Rebus.

– Polowanie na autografy?

– Coś w tym stylu.

– Potrzebujesz szofera?

– Dlaczego nie. Chodźmy.

Szybka decyzja, myślą później Rebus, która najpewniej uratowała mu życie.

Szkolne więzy

W DRODZE DO QUEENSFERRY UDAŁO im się nie mówić o pracy; rozmawiali o kobietach.

– Co powiesz na to, żebyśmy któregoś wieczoru wyszli we czwórkę na miasto? – zasugerował w pewnym momencie Brian Holmes.

– Nie jestem pewien, czy Patience i Nell znajdą wspólny język – odparł Rebus po chwili zastanowienia.

– Różne osobowości? To masz na myśli?

– Nie, podobne osobowości. W tym problem.

Rebus rozmyślał o dzisiejszej kolacji z Patience. O próbie mentalnej ucieczki od sprawy posła. O tym, żeby nie wyjść przed Patience na osła. Puścić w niepamięć, rzucić się w ramiona...

– To była tylko myśl – powiedział Holmes. – Tylko taka myśl.

Gdy zbliżali się do domu Kinnoula, zaczął padać deszcz. Niebo ciemniało stopniowo przez cały czas podróży, a teraz wydało się, że nagle nastał wieczór. Land rover Raba Kinnoula stał zaparkowany przed drzwiami frontowymi, które, co ciekawe, były otwarte. Deszcz odbijał się od maski samochodu, z każdą sekundą coraz cięższy.

– Co sił w nogach – rzucił Rebus.

Otworzyli drzwi i pobiegli. On od prawej strony domu, a Holmes musiał najpierw ominąć samochód, więc to nie on pierwszy dotarł do schodów i znalazł się w holu. Rebus otrząsnął włosy z wody i otworzył oczy.

I zobaczył lecący w jego stronę nóż do krojenia mięsa.

Usłyszał wrzask:

– Łajdak!

Ktoś popchnął Rebusa w bok. To był Holmes, którzy wpadł do holu. Nóż spadał na podłogę. Cath Kinnoul rzuciła się za nim i poleciała na twarz, zdążyła jednak złapać nóż. Holmes w jednej chwili znalazł się na niej, złapał ją za nadgarstki i unieruchomił ręce kobiety na jej plecach. Kolanem docisnął jej kręgosłup, tuż poniżej łopatek.

– Chryste wszechmogący! – wysapał Rebus. – Jezu Chryste wszechmogący.

Detektyw sierżant badał bezładnie leżącą postać.

– Ucierpiała przy upadku – ocenił. – Jest nieprzytomna. – Wyrwał nóż z dłoni Cath Kinnoul, uwolnił jej ręce i przetoczył się na dywan. Wstał. Wydawał się nadzwyczaj spokojny, ale jego twarz zbladła jak płótno.

Rebus tymczasem trząsł się jak chory kundel. Oparł się o ścianę, zamknął oczy i zaczął oddychać głęboko. W tym momencie rozległ się jakiś hałas przy drzwiach.

– Kto, do...? – Rab Kinnoul zauważył ich dwóch, a po chwili nieprzytomną żonę. – O cholera... – Uklęknął obok niej, woda kapiała z niego na jej plecy i głowę. Był cały przemoczony.

– Nic jej nie jest, proszę pana – uspokoił go Holmes. – Upadła na głowę.

Kinnoul zobaczył nóż w jego ręce.

– Ona... to miała? – zapytał, wytrzeszczając oczy. – Dobry Boże, Cathy. – Dotknął drżącą ręką jej głowy. – Cathy, Cathy.

Rebus trochę się otrząsnął. Przełknął ślinę.

– Nie nabawiła się tych siniaków przy upadku – powiedział.

Jej ramiona były pokryte siniakami, świeżymi. Kinnoul skinął głową.

– Trochę się pokłóciliśmy – przyznał. – Rzuciła się na mnie, więc... próbowałem ją odepchnąć. Ale wpadła w histerię. Postanowiłem wyjść na spacer i przeczekać, aż się uspokoi.

Rebus popatrzył na jego oblepione błotem buty. Spodnie też były ubłocone. Spacer? W takim deszczu? Nie, zwiął z domu, jasna sprawa. Podkuł ogon i zwiął...

– Nie wygląda na to, żeby się uspokoiła – powiedział rzeczowo Rebus. Ścisłe mówiąc, prawie go zamordowała, myśląc go z mężem. A może była po prostu rozwścieczona, jak każda ofiara przemocy domowej. – Wie pan co, panie Kinnoul? Napiłbym się czegoś.

– Zobaczę, co da się zrobić – odparł gospodarz, podnosząc się na nogi.

Holmes zadzwonił po lekarza. Cath Kinnoul wciąż była nieprzytomna. Zostawili ją w holu, bo najlepiej nie ruszać ofiar upadku, a poza tym mogli mieć na nią oko przez otwarte drzwi do salonu.

– Ona potrzebuje leczenia – zawyrokował Rebus. Siedział już z whisky na kanapie i powoli dochodził do siebie.

– Moja żona potrzebuje trzymać się ode mnie z daleka – powiedział cicho Kinnoul. – Nie możemy być razem, inspektorze, a jednocześnie nie możemy być bez siebie. – Stał, trzymając dłonie na parapecie i opierając głowę o szybę.

– O co była dzisiejsza kłótnia? – spytał Rebus.

Kinnoul pokręcił głową.

– Teraz ten powód wydaje się głupi. Zawsze zaczyna się od błahostki, a potem napięcie narasta...

– A tym razem?

Odwrócił się od okna.

– O czas, który spędzam poza domem. Nie wierzy, że istnieją jakieś „projekty”. Uważa, że to tylko wymówka, żeby wyrwać się z domu.

– Ma rację?

– Częściowo tak. Jest bystra... czasami trochę powolna, ale trafia w sedno.

– A co z wieczorami?

– Nie rozumiem.

– Nie zawsze spędza je pan w domu, prawda? Nocne wypadki z przyjaciółmi...

– Że ja...?

– Powiedzmy, z Barneyem Byarsem... z Ronaldem Steele'em.

Kinnoul wlepił wzrok w Rebusa, jakby nie nadązał, a potem pstryknął palcami.

– Chryste, ma pan na myśli tamtą noc. Jezu, tamta noc... – Pokręcił głową. – Kto panu powiedział? Nieważne... albo jeden, albo drugi. I co w związku z tym?

– Pomyślałem tylko, że tworzycie nietypowe trio.

– Słuszna myśl – rzucił Kinnoul z uśmiechem. – Nie znam zbyt dobrze Byarsa, prawie wcale. Ale tego dnia był w Edynburgu i ubił interes... wielki interes. Wpadliśmy na siebie w The Eyrie. Siedzę przy barze, topię smutki, a on wchodzi do restauracji. Dałem się wciągnąć w rozmowę. O nim, o firmie, z którą zawarł kontrakt. No a potem... cóż... nieźle się bawiliśmy.

– A co ze Steele'em?

– Barney usłyszał o burdelu i chciał tam zaciągnąć swoich kontrahentów, ale nie byli zainteresowani. Poszli w swoją stronę, więc wpadliśmy z Barneyem do Strawmana na kolejnego drinka i stamtąd zgarnęliśmy Ronniego. On też był trochę wkurzony... miał problemy z jakąś kobietą... – Kinnoul zamyślił się na chwilę. – W sumie trochę z niego nudziarz, ale tamtego wieczoru wydawał się w porządku.

Rebus rozważał w myślach, czy Kinnoul wie o żonie i Steele'u. Nie wyglądał, jakby wiedział, ale ten facet był przecież aktorem, zawodowcem.

– No i wszyscy trzej trafiliśmy do tego niesławnego przybytku.

– Dobrze się bawiliście?

Kinnoul uznał, że to dziwne pytanie.

– Chyba – odparł. – Szczerze mówiąc, nie pamiętam zbyt dobrze.

Och, pomyślał sobie Rebus, pamiętasz doskonale. Wiem, że pamiętasz. Ale Kinnoul obserwował teraz przez korytarz nieruchomą postać żony.

– Musi mnie pan mieć za łajdaka – odezwał się spokojnym tonem. – I zapewne ma pan rację. Ale, Chryste... – Zabrakło mu słów. Rozejrzał się po salonie, wyjrzał przez okno na to, co było widać przez strugi deszczu, a potem znów spojrzął w kierunku holu. Odetchnął głośno, po czym potrząsnął głową.

– Czy powiedział pan innym, co wyznała panu prostytutka? – spytał Rebus.

Kinnoul oniemiał z zaskoczenia.

– Mam na myśli to, co powiedziała panu o Gregorze Jacku.

– Skąd pan o tym wie, do cholery?! – Gospodarz opadł na fotel.

– Przebłysk geniuszu. Powiedział im pan o tym? – naciskał Rebus.

– Chyba tak. – Kinnoul zastanawiał się przez chwilę. – Tak, zdecydowanie. No wie pan, z ust dziwki to dość zaskakujące wyznanie.

– Pan też powiedział jej coś zaskakującego.

Kinnoul wzruszył ramionami.

– To był tylko żart, inspektorze. Byłem trochę wkurzony. Pomyślałem, że zabawnie byłoby udawać Gregora. Prawdę mówiąc, trochę mnie to dotknęło, że nie rozpoznała Raba Kinnoula. Niech pan spojrzy na zdjęcia na ścianie. Poznałem ich wszystkich. – Znów był na nogach, wpatrywał się w fotografie, jakby je odkrył w galerii sztuki, a nie widział po raz tysięczny, dziesięciotysięczny... – Bob Wagner... Larry Hagman... znałem ich wszystkich. – Litania się ciągnęła. – Martin Scorsese... najlepszy reżyser, absolutnie najlepszy... John Hurt... Robbie Coltrane i Eric Idle...

Holmes dał znak Rebusowi, by wszedł do holu. Cathy Kinnoul dochodziła do siebie. Rab Kinnoul stał przed zdjęciami, swoimi pamiątkami, i z ust wypływała mu lista nazwisk.

– Ostrożnie – zwrócił się do kobiety Holmes. – Jak się pani czuje?

Jej mowa była niewyraźna, niespójna.

– Co pani brała, Cathy? – zapytał Rebus. – Proszę nam powiedzieć ile.

Starła się zebrać myśli.

– Sprawdziłem wszystkie pomieszczenia – powiedział Holmes. – Ani śladu pustych opakowań po lekarstwach.

– Ale coś brała.

– Może lekarz będzie wiedział.

– Może.

Rebus pochylał się nad Cathy Kinnoul, tak że jego usta znalazły się pięć centymetrów od jej ucha.

– Gapa – wyszeptał – opowiedz mi o Samobie.

Ksywki zarejestrowała, ale całego zdania już nie.

– Ty i Samob – naciskał Rebus. – Spotykałaś się z Samobem? Tylko we dwoje? Jak za dawnych czasów? Czy ty i Samob się spotykaliście?

Otworzyła usta, trzymała je przez chwilę otwarte, a potem je zamknęła i zaczęła powoli kręcić głową. Coś wymamrotała.

– Co powiedziałaś, Gapa?

Tym razem wyartykułowała wyraźnie:

– Rab nie moż... się dowiedzieć.

– Nie dowie się. Zaufaj mi, o niczym się nie dowie.

Usiadła i jedną ręką złapała się za głowę; druga spoczywała na podłodze.

– A więc... – ciągnął Rebus – widzisz się z Samobem, prawda? Gapa i Samob?

Uśmiechnęła się jak pijana.

– Gapa i Samob – powiedziała, czerpiąc przyjemność z brzmienia tych słów. – Gapa i Samob...

– Pamiętasz... pamiętasz ten dzień przed znalezieniem ciała? Pamiętasz tę środę, środę po południu? Czy Samob przyjechał tu, żeby się z tobą zobaczyć? Był tu, Gapa? Czy Samob złożył ci wizytę w tamtą środę?

– Środę? Środę. – Kręciła głową. – Biedna Lizzie... biedna, biedna... – Uniosła dłoń. – Daj... nóż – powiedziała. – Rab się... nie dowie. Daj... nóż.

Rebus zerknął na Holmesa.

– Nie możemy ci na to pozwolić, Gapa. To by było morderstwo.

Skinęła głową.

– Taaa jest... mor-der-stwo. – Ostatnie słowo wypowiedziała bardzo starannie, akcentując osobno każdą sylabę, a następnie je powtórzyła. – Obetnę mu głowę. I pošlę mnie do Macka. – Znów się uśmiechnęła, ta myśl ją ucieszyła.

Z salonu przez cały czas płynęły nazwiska wypowiedziane przez Raba Kinnoula.

– ...najlepszy, absolutnie... chciałbym znowu z nim pracować. Wytrawny profesjonalizm. I stary dobry George Cole też... stara szkoła... o tak, stara szkoła... stara szkoła...

– Mack... – mówiła Cathy Kinnoul. – Mack... Samob... Sexton... Nędzarz... Biedny Nędzarz...

– ...stara szkoła.

NIEKTÓRE SZKOLNE WIĘZY SĄ zbyt trwałe. Powinny być dawno przecięte.

Rebus zadzwonił do Barneya Byarsa. Odebrała jego sekretarka i połączyła z szefem.

– Inspektorze – jego głos biznesmena był pełen energii – nie mogę się od pana uwolnić, co?

– Zbyt łatwo pana złapać – skwitował Rebus.

Byars roześmiał się.

– I tak ma być – rzucił. – Bo inaczej jak mieliby mnie złapać klienci? Lubię być dostępny. W jakiej sprawie dzwoni pan tym razem?

– Chodzi o wieczór, który nie tak dawno spędził pan z Rabem Kinnoulem i Ronaldem Steele'em.

Byars był w stanie potwierdzić zdarzenia tego wieczoru we wszystkich szczegółach... poza tymi najbardziej istotnymi. Rebus przypomniał mu, że Kinnoul zszedł na dół i powtórzył im to, co usłyszał od Gail.

– Nie pamiętam tego – powiedział Byars. – Byłem już dobrze ululany. Tak ululany, że chyba zabuliłem za nas trzech. – Zaśmiał się. – Samob miał swoją starą śpiewkę, że jest splukany, a Rab miał dziesięć stów. – Znowu się roześmiał. – Widzi pan, zawsze pamiętam liczby, zwłaszcza gdy chodzi o pieniądze.

– Na pewno nie przypomina pan sobie, żeby Kinnoul powtórzył panu słowa prostytutki?

– Nie twierdę, że tego nie zrobił, ale nie, nie przypominam sobie.

Rebus miał słowo Kinnoula przeciwko pamięci Byarsa. Jedynym wyjściem była ponowna rozmowa ze Steele'em. Mógłby się z nim skontaktować po drodze do Patience. Musiałby trochę nadłożyć drogi, ale nie powinno mu to zająć wiele czasu. Kolejny problem stanowiła Cathy Kinnoul. Uzbrojone w noże lekomanek nie powinny biegać na wolności. Lekarz rodzinny wezwany przez Holmesa po wysłuchaniu ich relacji zaproponował przyjęcie pani Kinnoul do szpitala na obrzeżach Edynburga. Czy będą zarzuty karne...?

– Oczywiście – odparł cierpko Holmes. – Na początek: usiłowanie zabójstwa.

Ale Rebus się zastanawiał. Myślał o tym, jak źle Cath była traktowana. Myślał też o wszystkich innych zarzutach, jakie mógłby wnieść. Utrudnianie śledztwa: Hector, Steele, sam Jack. Przede wszystkim jednak myślał o Andrew Macmillanie. Widział, co „szpitale specjalne” robią z obłąkanymi kryminalistami. Cath Kinnoul i tak poddano by leczeniu. Skoro miała być leczona, jaki był sens w stawianiu jej zarzutu usiłowania zabójstwa? Pokręcił więc głową, ku zdumieniu Holmesa. Nie, żadnych zarzutów, nie, jeśli zostanie od razu przyjęta do szpitala. Lekarz postarał się, by papierkowa robota była jedynie czystą formalnością, a Kinnoul, który do tego czasu odzyskał już coś na kształt zmysłów, zgodził się na wszystko.

– Może zostać przyjęta do szpitala nawet dzisiaj – oznajmił lekarz.

Rebus wykonał jeszcze jeden telefon. Do szefa dochodzeniówki.

– Gdzie ty, do diabła, zniknąłeś? – spytał Lauderdale.

– To długa historia, szefie.

– Jak zwykle.

– Jak przebiegło spotkanie?

– Przebiegło. Słuchaj, John, oficjalnie oskarżamy Williama Glassa.

– Co?

– Ofiara z Dean Bridge odbyła stosunek tuż przed śmiercią. Technicy poinformowali mnie, że DNA pasuje do naszego Glassa. – Lauderdale przerwał, ale Rebus nie pisał ani słowa. – Nie martw się, zaczniemy od zabójstwa przy Dean Bridge. Ale... tylko między nami... myślisz, że coś ustalisz?

– Szczerze mówiąc... tylko między nami... nie wiem.

– Dobra, rusz dupę, bo inaczej Glass odpowie również za zabicie Elizabeth Jack. Ferrie i ta prawniczka lada chwila zaczną zadawać niewygodne pytania. Sprawa jest na ostrzu noża, John,

rozumiesz?

– Tak, szefie, wierz mi, rozumiem wszystko, jeśli chodzi o ostrza noży...

REBUS NIE PODSZEDŁ DO drzwi wejściowych Ronalda Steele'a – nie od razu. Najpierw stanął przed garażem i zajrzał do środka przez szparę między drzwiami. Citroën Steele'a stał przy domu, co prawdopodobnie oznaczało, że właściciel jest w środku. Rebus podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. Usłyszał jego dźwięk dobiegający z przedpokojem. Mógłby napisać całą książkę o przedpokojach: *Moja noc spędzona w przedpokoju... Dzień, w którym prawie zostałem zaszytowany w przedpokoju...* Zadzwoił ponownie. Dzwonek brzęczał głośno i nieprzyjemnie, z pewnością jednak był z tych, które trudno zignorować.

Zadzwoił więc jeszcze raz. Potem spróbował otworzyć drzwi. Zamknięte. Wszedł na mały pas trawy biegnący przed domem i przycisnął twarz do okna salonu. Był pusty. Może Steele wyskoczył po mleko... Rebus sprawdził bramę z boku garażu, prowadzącą do tylnego ogrodu. Ona również była zamknięta. Wrócił pod główną bramę, stanął przy niej i rozejrzał się po cichej okolicy. Potem wszedł do samochodu i spojrzął na zegarek. Dał Steele'owi pięć minut, najwyżej dziesięć. Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było zasiadanie do kolacji z Patience, ale z drugiej strony nie chciał stracić tej kobiety. Za kwadrans wracam do Oxford Terrace... no, nie więcej niż dwadzieścia minut, pomyślał. Tak, zdążyłby dotrzeć na siódmą trzydzieści, spokojnie mieszcząc się w czasie. Dobra, lepiej się pospiesz. Tylko że właściwie po co się męczyć? Czy nie lepiej dać Glassowi chwilę niesławy, jego drugą ofiarę?

Po co w ogóle zwracał sobie głowę? Nie dla pochwały, nie dla klepnięcia po plecach, nie dla sprawiedliwości... może z czystego uporu. Tak, to pokrywałoby się z prawdą. Ktoś nadchodził... Rebus widział jakąś postać w lusterku wstecznym. Nie, to nie był mężczyzna, lecz kobieta. Ładne nogi. Niosła dwie torby z zakupami. Szła energicznym krokiem, ale była wyraźnie zmęczona. To nie mogła być...? Co, do...?

Opuścił szybko.

– Cześć, Gill.

Gill Templer zatrzymała się, spojrzała, uśmiechnęła.

– Tak mi się wydawało, że rozpoznaję tę kupę złomu.

– Ciii! Samochody też mają uczucia. – Poklepał kierownicę.

– Co ty tutaj robisz? – spytała, odkładając torby.

Wskazała głową dom Steele'a.

– Czekam na rozmowę z kimś, kto nie zamierza się pokazać.

– Wcale mu się nie dziwię.

– Ale co ty tutaj robisz?

– Ja? Mieszkam tu. Na następnej ulicy po prawej. Wiesz przecież, że się przeprowadziłam.

Wzruszył ramionami.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że w te okolice.

Posłała mu nieprzekonujący uśmiech.

– Nie, mówię poważnie – rzucił. – Ale skoro już tu jestem, może cię podrzucić?

Zaśmiała się.

– To tylko sto metrów.

– Jak chcesz.

Spojrzała w dół na swoje torby.

– No dobrze, skorzystam z propozycji.

Otworzył przed nią drzwi, a ona położyła torby na podłodze i wcisnęła obok nich stopy. Rebus przekręcił kluczyk w stacyjce. Zacharczało, zasyczało, zdechło. Spróbował jeszcze raz, silnik przez chwilę się dławił i w końcu zgasł. Za trzecim razem zapiszczała i wreszcie odpałił.

– Jak mówiłam, kupa złomu.

– Zachowuje się tak dlatego, że ma temperament jak koń pełnej krwi.

Tyle że uczestnicy wyścigu z jajkiem i łyżką pokonaliby tę odległość szybciej. Ostatecznie bez szwanku dotarli na miejsce. Rebus spojrzał na dom.

– Ładny – powiedział. Był to dwuskrzydłowy budynek z oknami wykuszowymi po obu stronach drzwi wejściowych. W sumie trzy kondygnacje i stromy ogródek z kamiennymi schodami prowadzącymi od furki do drzwi.

– Nie mam całego domu, oczywiście. Tylko parter.

– Mimo wszystko ładnie tutaj.

– Dziękuję. – Otworzyła drzwi i wystawiła torby na chodnik. Wskazała na nie. – Smażone warzywa. Zainteresowany?

Decyzja zajęła mu chwilę wieczności.

– Dzięki, Gill. Jestem dziś uwięzany.

Okazała dość łaski, by wykrzesać z siebie grymas rozczarowania.

– No to może innym razem.

– Tak – powiedział, gdy zamknęła drzwi od strony pasażera. – Może innym razem.

Samochód pełził z powrotem jej ulicą. Jeśli zgaśnie, pomyślał Rebus, wrócę i przyjmę jej propozycję. To będzie znak. Lecz kiedy mijał dom Steele'a, samochód zaczął warczeć zdrowiej. W domu Rebus nadal nie dostrzegł śladu życia, więc pojechał dalej. Pomyślał o tym, że rzuca na szalę dwie kobiety. Po jednej stronie Gill Templer, po drugiej doktor Patience Aitken. Szale unosiły się i opadały, a on bił się z myślami. Chryste, jaki to był ciężar! Żałował, że nie ma więcej czasu, ale światła drogowe były wyjątkowo łaskawe, więc o siódmej trzydzieści był już u Patience.

– Nie wierzę – powiedziała, kiedy wszedł do kuchni. – Naprawdę nie wierzę, że jesteś na czas. – Stała obok mikrofalówki. W środku coś się podgrzewało. Rebus przyciągnął ją do siebie i złożył na jej ustach mokry pocałunek.

– Patience – powiedział – myślę, że cię kocham.

Odsunęła się od niego trochę, by lepiej mu się przyjrzeć.

– I w tym mężczyźnie nie ma ani kropli alkoholu? Wieczór pełen niespodzianek. Chyba powinnam ci powiedzieć, że miałam paskudny dzień i w rezultacie jestem w paskudnym nastroju... dlatego jemy kurczaka. – Uśmiechnęła się i pocałowała go. – „Myślę, że cię kocham” – powtórzyła jego słowa. – Powinieneś zobaczyć wyraz swojej twarzy, kiedy to mówiłeś. Obraz czystego zakłopotania. Nie jesteś jednym z przedstawicieli wymierającego gatunku gorących romantyków, prawda, Johnie Rebus?

– Więc naucz mnie, jak nim być. – Znowu ją pocałował.

– Myślę... – powiedziała Patience. – Myślę, że zjemy tego kurczaka na zimno.

NASTĘPNEGO DNIA WSTAŁ WCZEŚNIE. Co jeszcze bardziej niezwykle, przed Patience, która spała z zadowoloną, rozpustną miną na twarzy. Jej włosy zajmowały całą poduszkę. Wpuścił Lucky'ego

i dał mu większą niż zwykle miskę z jedzeniem, a potem zrobił herbatę i tosty dla siebie i Patience.

– Uszczypnij mnie, bo chyba śnię – powiedziała, kiedy ją obudził.

Napiła się herbaty i ugryzła mały kęs trójkąta posmarowanego masłem. Rebus napełnił do połowy swoją filiżankę, opróżnił ją i wstał z łóżka.

– No dobrze – rzucił. – Wychodzę.

– Słucham? – Spojrzała na zegarek. – Masz w tym tygodniu nocną zmianę?

– Jest rano, Patience. Mam dziś mnóstwo spraw na głowie. – Pochylił się nad nią, żeby musnąć ustami jej czoło, ale pociągnęła go za krawat i uraczyła słonym, pełnych okruszków pocałunkiem.

– Do zobaczenia później? – zapytała.

– Masz to jak w banku.

– Byłoby wspaniale.

Ale Rebus był już w drodze. Lucky przyczłapał do pokoju, wskoczył na łóżko i oblizał pyszczek.

– Ja też, Lucky – powiedziała Patience. – Ja też.

WZIĄŁ KURS BEZPOŚREDNIO NA DOM Ronalda Steele'a. W mieście panował duży ruch, ale Rebus przebrnął przez korki bez trudu. Nie było jeszcze ósmej, a nie sądził, żeby Steele był rannym ptaszkiem. Dziś przypadła ponura rocznica: dwa tygodnie od dnia, kiedy Liz Jack została zamordowana. Najwyższy czas rozwiązać tę sprawę.

Samochód Steele'a stał w garażu. Rebus podszedł do drzwi wejściowych i parę razy – w przyjemnym rytmie – nacisnął dzwonek, jak przyjaciel albo listonosz... ktoś, komu chciałbyś otworzyć drzwi.

– No dalej, Samob, raz-dwa.

Ale nie było odpowiedzi. Zerknął przez szczynek na listy. Nic. Zajrzał przez okno w salonie. Dokładnie tak samo jak wczoraj, nawet zasłony nie zostały zaciągnięte. Ani śladu życia.

– Mam nadzieję, że nie nawiałeś – mruknął Rebus.

Chociaż może lepiej, żeby Steele to zrobił. Przynajmniej byłoby to jakieś działanie, znak, że się boi lub coś ukrywa. Rebus mógłby popytać po sąsiadach, czy niczego nie zauważyli, ale od domu Steele'a oddzielał ich mur, a poza tym nie chciał pokazywać, że się nim interesuje tak bardzo, że zjawił się pod jego domem w porze śniadaniowej. To by go tylko zaalarmowało, więc Rebus odpuścił. Wsiadł do saaba i pojechał do księgarni U Samoba. Niewypał. Tak jak podejrzewał, sklep był zamknięty na cztery spusty; na oknie wisiała druciana siatka, a na drzwiach kłódka. Na parapecie drzemał Rasputin. Rebus zacisnął pięść i wymierzył cios w szybę. Łeb kota poderwał się i zszokowany zwierzak zawył przeraźliwie.

– Pamiętasz mnie? – zapytał z uśmiechem Rebus.

Ruch się przeredził, więc prześliznął się gładko przez płataninę ulic do Cowgate Street, by uniknąć najgorszych korków. Skoro Steele zapadł się pod ziemię, było tylko jedno wyjście: Rebus musiał przekonać Farmera Watsona do zmiany zdania. Co więcej, powinien to zrobić jeszcze rano, póki stary był naszprycowany kofeiną. Wpadł mu do głowy pewien pomysł... O której otwierają delikatesy przy Leith Walk?

– NO, NO, DZIĘKUJĘ, JOHN.

Rebus wzruszył ramionami.

– Pijemy za dużo pańskiej kawy, panie komendancie. Tak sobie pomyślałem, że nadszedł czas, żeby ktoś inny ją kupił, dla odmiany.

Watson otworzył torbę i powąchał.

– Mmm, świeżo zmielona. – Zaczął wsypywać ciemny proszek do filtra. Maszyna była już pełna wody. – Przypomnisz mi, jaki to gatunek?

– Mieszanka śniadaniowa. Robusta i arabika... coś w tym stylu. Nie jestem ekspertem...

Komendant machnął na to ręką. Postawił dzbanek na miejscu i włączył ekspres.

– Będzie za kilka minut – powiedział, siadając za biurkiem. – Dobrze, John. – Złożył ręce przed sobą. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Cóż... chodzi o Gregora Jacka.

– Tak?

– Czy pan komendant pamięta, jak mi sugerował, że jeśli to możliwe, pomożemy panu Jackowi? Sądził pan, że może ktoś go zrobić.

Watson skinął głową.

– Jestem bliski udowodnienia nie tylko tego, że ktoś go zrobił – ciągnął Rebus – ale też tego, kto to zrobił.

– Tak? Mów dalej.

Rebus opowiedział więc całą historię, o przypadkowym spotkaniu w czerwonym świetle sypialni. I o trzech mężczyznach.

– Zastanawiałem się... Wiem, że pan powiedział, że nie może ujawnić swojego źródła – dodał na koniec. – Ale czy to był jeden z nich?

Watson pokręcił głową.

– Niestety, nie – odparł. – Mmm, czujesz to? – Gabinet nasączał się aromatem.

Jak Rebus mógłby tego nie poczuć?

– Tak, panie komendancie, bardzo przyjemny zapach. Więc to nie był...?

– Nikt, kto znałby Gregora Jacka. Jeśli pro... – Watson zająknął się i przerwał. – Nie mogę się doczekać tej kawy – powiedział po chwili, chyba zbyt ochoczo.

– Co pan zamierzał powiedzieć?

Co takiego? Co? Prokurator? Prowokator? Problem? Proboszcz? Nie, nie. Nie proboszcz. Protestant? Nazwisko lub jakiś tytuł?

– Nic, John, nic. Zastanawiam się, czy mam czyste kubki.

Nazwisko lub tytuł. Profesor. Profesor!

– A więc nie chodzi o profesora?

Komendant milczał. Ale Rebus myślał błyskawicznie.

– Profesor Costello, na przykład. Jest pańskim przyjacielem, prawda? Nie zna Jacka?

Uszy Watsona przybrały krwisty kolor. Mam cię, pomyślał Rebus. Mam cię, mam cię, mam cię! Kawa była warta każdego pensa.

– Ciekawe, skąd profesor wiedział o tym burdelu?

Watson łupnął w biurko.

– Dość tego! – Lekki poranny nastrój wyparował. Cała jego twarz była teraz szkarłatna, z wyjątkiem dwóch małych białych plam, po jednej na każdym policzku. – W porządku – rzucił. – Właściwie dlaczego miałbyś tego nie wiedzieć? To profesor Costello mi powiedział.

– Ale skąd wiedział?

– Mówił... że ma przyjaciela, który odwiedził to miejsce pewnej nocy, a teraz czuje się zawstydzony. Oczywiście – Watson ściszył głos do szmeru – nie ma żadnego przyjaciela. Staruszek sam tam poszedł, tylko nie miał odwagi się przyznać. No cóż... – jego głos znów się podniósł – czasami wszyscy jesteśmy kuszeni.

Rebus pomyślał o Gill Templer i wczorajszym wieczorze. Tak, kuśiło go.

– Dłatego obiecałem profesorowi, że zamknę to miejsce.

– Powiadomił go pan o terminie operacji Burda? – spytał po chwili namysłu.

Teraz Watson musiał się zastanowić. W końcu skinął głową.

– Ale on jest... jest profesorem... teologii. Nie poinformowałby prasy. I nie zna tego cholernego Gregora Jacka.

– Ale czy pan komendant podał mu datę i godzinę?

– Mniej więcej.

– Po co? Po co mu była ta wiedza?

– Jego „przyjaciół”... „Przyjaciół” musiał wiedzieć, żeby ostrzec znajomych przed wizytą w tym miejscu.

Rebus poderwał się na równe nogi.

– Jezu Chryste, panie komendancie! – Zawiesił głos. – Z całym szacunkiem, czy pan nie rozumie? To rzeczywiście był przyjaciel. Był ktoś, kogo Costello musiał ostrzec. Ale nie chodziło o to, żeby ostrzec przyjaciela przed nalotem... Lecz żeby się upewnić, że Gregor Jack wpadnie prosto w pułapkę. Gdy ten człowiek dowiedział się, kiedy ruszamy z akcją, zadzwonił do Jacka i powiedział mu, że jego siostra tam jest. Wiedział, że Jack pójdzie to sprawdzić. – Otworzył drzwi.

– Gdzie idziesz?

– Porozmawiać z profesorem Costellem. Nie żebym musiał to robić, ale chcę usłyszeć, jak wypowiada to nazwisko. Chcę je usłyszeć na własne uszy. Smacznej kawy, panie komendancie.

Ale Watsonowi kawa nie smakowała. Była jak zwęglone drewno. Zbyt gorzka. Zbyt mocna. Wahał się już od pewnego czasu, teraz podjął decyzję. Zupełnie odstawi kawę. To będzie jego pokuta. Tak jak inspektor John Rebus był jego spowiednikiem.

– DZIEŃ DOBRY, INSPEKTORZE.

– Dzień dobry. Nie przeszkadzam?

Profesor Costello machnął lekko ręką, wskazując na pusty gabinet.

– Żaden student w Edynburgu nie zbudził się jeszcze o tej dla nich bezbożnej godzinie. A już z całą pewnością nie student teologii.

– Z książkami wszystko w porządku?

Costello wskazała na przeszklone półki.

– Całe i zdrowe. Funkcjonariusz, który je dostarczył, wspomniał, że znaleziono je porzucone...

– Coś w tym stylu, panie profesorze. – Rebus zerknął na drzwi. – Nadal nie zamontował pan odpowiedniego zamka.

– *Mea culpa*, inspektorze. Ale bez obaw, jest już zamówiony.

– Nie chciałbym, żeby znowu stracił pan książki...

– Zrozumiałem. Proszę usiąść. Kawy? – Profesor wyciągnął rękę w stronę złowrogo wyglądającej metalowej kawiarki, stojącej i dymiącej na płycie grzewczej w rogu gabinetu.

– Nie, dziękuję. Dla mnie trochę za wcześnie na kawę.

Costello skłonił lekko głowę. Usiadł w wygodnym skórzanym fotelu za dużym dębowym biurkiem. Rebus usiadł naprzeciwko profesora w jednym z nowoczesnych foteli z metalową ramą.

– A teraz, inspektorze, odłóżmy towarzyskie uprzejmości na bok. Co mogę dla pana zrobić?

– Przekazał pan pewne informacje komendantowi Watsonowi.

Profesor zacisnął wargi.

– Informacje poufne, inspektorze.

– Wtedy być może, ale teraz mogą nam pomóc w dochodzeniu w sprawie zabójstwa.

– Z całą pewnością nie mogą!

Rebus skinął głową.

– Widzi pan, sytuacja się zmieniała. Musimy wiedzieć, kim był pana „przyjaciel”, ten, który wspominał panu o... hm...

– Przypuszczam, że ma pan na myśli „przybytek płatnej miłości”. To niemal poetyckie wyrażenie, w każdym razie o wiele ładniejsze niż „burdel”. – Costello poruszył się w fotelu. – Mój przyjaciel, inspektorze... obiecałem mu...

– Chodzi o zabójstwo, profesorze. Odradzałbym zatajanie informacji.

– Ależ naturalnie, zgadzam się, zgadzam. Mimo to sumienie...

– Czy to był Ronald Steele?

Oczy Costella otworzyły się szeroko.

– A zatem już pan wie...

– Przebłysk olśnienia, panie profesorze. Jest pan częstym klientem jego sklepu, czy tak?

– Hm... lubię przeglądać...

– I był pan w jego sklepie, gdy panu o tym powiedział.

– Owszem. W porze lunchu. Vanessa, jego asystentka, miała przerwę. Studiuję tutaj, nawiasem mówiąc. Przemiełe dziewczę...

Gdybyś tylko wiedział, pomyślał Rebus.

– Tak czy owak, Ronald zdradził mi swój mały grzeszny sekret. Pewnej nocy przyjaciele zabrali go do tego przybytku. Był bardzo zażenowany, kiedy o tym mówił.

– Czyżby?

– O tak. Wiedział, że znam komendanta Watsona, i spytał mnie, czy mógłbym przekazać mu informację o tej wieży Babel.

– Żebyśmy mogli ją zburzyć?

– Tak.

– Więc musiał wiedzieć, której nocy ma się to zdarzyć?

– Bardzo mu zależało, żeby się tego dowiedzieć. Chodziło mu o przyjaciół, tych, którzy go tam zabrali. Chciał ich ostrzec.

– Wie pan, że Steele jest przyjacielem Gregora Jacka?

– Kogo?

– Członka Parlamentu.

– Przepraszam, nazwisko nic mi nie... Gregor Jack? – Costello zmarszczył brwi i pokręcił głową. – Nie.

– Pisali o nim we wszystkich gazetach.

– Ach, tak?

Rebus westchnął. Drzwi do gabinetu Costella odgradzały go od prawdziwego świata; tu znajdowała się bardziej niewinna kraina. Nagły elektroniczny świergot nowoczesnego telefonu zaskoczył Rebusa. Costello przeprosił i podniósł słuchawkę.

– Słucham? Przy telefonie. Tak, jest tutaj. Proszę zaczekać. – Wyciągnął rękę ze słuchawką w stronę Rebusa. – Do pana, inspektorze.

Rebus, o dziwo, nie był zaskoczony.

– Halo? – rzucił i usłyszał głos Lauderdale'a:

– Watson powiedział, że cię tutaj znajdę.

– Tobie również dzień dobry, szefie.

– Przezań pieprzyć, John. Dopiero co wszedłem, a już odpadł kawałek sufitu i o parę centymetrów minął moją głowę. Nie mam na to nastroju, rozumiałeś?

– Zrozumiałem.

– Dzwonię tylko dlatego, że pomyślałem, że będziesz zainteresowany.

– Tak?

– Zbadanie tych kieliszków, które znalazłeś w łazience Ponda, nie zajęło technikom wiele czasu.

– Oczywiście, że nie. Mieli wszelkie potrzebne i pasujące odciski zebrane po to, żeby wyeliminować gości z Deer Lodge.

– Zgadnij, do kogo należą? – zapytał Lauderdale.

– Jeden zestaw do Elizabeth Jack, drugi do Ronalda Steele'a.

Po drugiej stronie linii zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Czy byłem blisko? – zapytał Rebus.

– Skąd, u diabła, wiedziałeś?

– A gdybym ci powiedział, że to przebłysk geniuszu?

– Wtedy bym odpowiedział, że łżesz. Wracaj tu. Musimy porozmawiać.

– Masz rację, szefie. Jeszcze tylko jedno...

– Co?

– Glass... Dalej siedzi za dwa zabójstwa?

Zapadła grobowa cisza.

Pełna usługa

REBUS TAK TO WIDZIAŁ...

Po ustaleniu nazwiska reszta nie wymagała wielkiej aktywności mózgu. No więc widział to tak: Ronald Steele i Elizabeth Jack byli kochankami, prawdopodobnie od jakiegoś czasu. (Chryste, sir Hugh będzie zachwycony, kiedy to wyjdzie na jaw). Może nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. A może wiedzieli wszyscy oprócz Gregora Jacka. Tak czy inaczej, Liz Jack postanowiła wyruszyć na północ, a Steele dołączał do niej, gdy tylko miał możliwość. (Przejażdżka do Deer Lodge i powrót każdego dnia? Nadludzki wysiłek. Nic dziwnego, że Steele ślańał się na nogach). Jej dom był tylko imprezownią, wysypiskiem śmieci. Przenieśli się więc do domku Ponda, a Deer Lodge używali jako garderoby z odzieżą na zmianę. Może Liz Jack pojechała tam po czyste ubrania i zatrzymała się po drodze, żeby kupić niedzielną prasę, i dowiedziała się o grubymi nićmi szytej niegrzecznej nocnej przygodzie męża.

Steele miał jednak plany wykraczające poza okazjonalne bzykanko. Pragnął Liz. Pragnął mieć ją tylko dla siebie. Cichymi ludźmi często targają wichry namiętności, prawda? Może wykonywał anonimowe telefony. I wysyłał listy. Cokolwiek, co mogłoby rzucić cień na małżeństwo jego ukochanej i wpędzić Gregora w kłopoty. Może Liz wyjechała na północ właśnie po to, żeby uciec od tego wszystkiego. Steele dostrzegł swoją szansę. Był już w burdelu i odkrył, kim jest Gail Crawley. (Wystarczyła w miarę przyzwoita pamięć i może parę pytań zadanych Cathy Kinnoul). Ach, Cathy... Tak, może Steele z nią też się widywał, ale Rebus wątpił, by te spotkania miały głębszy cel niż rozmowa i podtrzymanie przyjaźni na duchu. Ta strona Steele'a również istniała.

Co nie powstrzymało go przed próbą ograbienia Gregora Jacka, wieloletniego przyjaciela, współwłaściciela księgarni, pod każdym względem dobrego faceta; przed próbą rozebrania go w tej grze doszczętnie, aż do naga. Plan z burdelem był prosty i ostry jak nóż. Poznać czas planowanego nalotu policji i zadzwonić do Gregora Jacka.

Pułapka. Gregor Jack zrzucił pierwszą warstwę.

Czy Steele próbował ukryć swój plan przed Liz? Może tak, może nie. Spodziewał się, że wbije ostatni gwóźdź do trumny jej małżeństwa. I prawie tak było. Ale nie mógł z nią być przez cały czas na północy, powtarzać, jak wspaniale, że wreszcie są razem, jakim łajdakiem jest Gregor i tak dalej. Kiedy Liz Jack była sama, zaczęła mieć wątpliwości i w końcu zdecydowała się porzucić nie Gregora, a Steele'a. Coś w tym stylu. Była przecież nieprzewidywalna. Ognista. I kłócili się. Podczas przesłuchania Steele sam przyznał: „Zawsze mi zarzucała, że nie jestem zbyt rozrywkowy. Prawdopodobnie miała rację. Z pewnością nie jestem... jak mawiają... zwierzęciem imprezowym. I nigdy nie miałem wystarczająco dużo pieniędzy”. Więc pokłócili się i odszedł, zostawiając ją w zatoczce. Niebieski samochód widziany przed Aleca Corbiego był zielonym Citroënem BX. Steele

odjechał, lecz wrócił i rozognił awanturę, tak że przerodziła się w przemoc, przemoc, która zaszła odrobinę za daleko...

Następny krok był zdaniem Rebusa najsprytniejszy albo najbardziej fortunny. Steele musiał coś zrobić z ciałem, a przede wszystkim wywieźć je z Highlands, gdzie zostało zbyt wiele wskazówek po czasie, który spędzili razem. Wrócił więc ze zwłokami w bagażniku do Edynburga. Ale co miał z nimi zrobić? No tak! Gazety pisały wcześniej o zabójstwie kobiety, której zwłoki wyrzucono do rzeki. Mógłby zaaranżować to tak, żeby wyglądało na dzieło seryjnego zabójcy. Albo jeszcze lepiej: sprawić, by ciało Liz popłynęło do morza. Z tą myślą udał się w miejsce, które dobrze znał: na wzgórze nad domem Kinnoulów. Wielokrotnie spacerował tam z Cathy. Znał krótki szlak, właściwie nieużywany. I wiedział, że nawet gdyby ciało Liz się odnalazło, pierwszym podejrzanym będzie zabójca spod Dean Bridge. Dlatego zadał jej cios w głowę, żeby obrażenia były podobne do tych, o których pisały gazety przy okazji kobiety znalezionej koło mostu.

A alibi na tamto popołudnie zapewnił mu sam Gregor Jack – co za ironia!

– Więc tak to widzisz?

Spotkanie odbyło się w biurze komendanta: Watson, Lauderdale i Rebus. Po drodze Rebus minął Briana Holmesa.

– Słyszałem, że na farmie jest spotkanie – rzucił detektyw sierżant.

– Masz dobry słuch.

– O czym będziecie rozmawiać?

– Chcesz powiedzieć, że nie ma cię na liście gości, Brian? – Rebus puścił mu oko. – Szkoda. Postaram się przynieść ci torbę z resztkami po posiłku.

– Wielkoduszny z ciebie człowiek.

Rebus odwrócił się.

– Posłuchaj, Brian, farba na twoim awansie ledwo wyschła. Odpręż się, wyluzuj. Jeśli szukasz szybkiej drogi do detektywa inspektora, leć wytropić lorda Lucana. A ja już muszę lecieć, bo na mnie czekają.

– No, dobrze.

Młody ma tupet, pomyślał Rebus. Ale skoro mowa o tupecie, to czy sam trochę nie przesadzał? Usiadł w gabinecie komendanta i wygłaszał mądrości, podczas gdy Lauderdale patrzył z niepokojem na swojego nagle pozbawionego kofeiny przełożonego.

– Więc tak to widzisz? – spytał Watson.

Rebus tylko wzruszył ramionami.

– Brzmi wiarygodnie – skwitował Lauderdale.

Rebus uniósł nieco brew: mieć jego wsparcie to trochę tak, jakby dał się zamknąć z wygłodzonym owczarkiem niemieckim...

– A co z Glassem? – rzucił Watson.

– No cóż, panie komendancie... – Lauderdale poruszył się nieznacznie na krześle. – Raporty psychiatryczne nie wykazały, żeby był szczególnie stabilną osobą. Można powiedzieć, że żyje w świecie fantazji.

– Sugerujesz, że to zmyślił?

– Bardzo prawdopodobne.

– Co prowadzi nas z powrotem do Steele’a. Pora zaprosić go na słówko. Mówisz, że go tu wczoraj sprowadziłeś, John?

– Tak jest. Pomyślałem, że warto dać technikom do zbadania bagażnik jego samochodu. Inspektor Lauderdale był jednak przekonany do historii Steele’a i puścił go wolno.

Wyraz twarzy szefa dochodzeniówki miał na długo pozostać w pamięci Rebusa. Człowiek ugryzł owczarka.

– Czy to prawda? – Watson najwyraźniej również czerpał satysfakcję z niezręcznego położenia Lauderdale’a.

– Wczoraj nie mieliśmy powodu, żeby go zatrzymywać, panie komendancie. Dopiero informacje otrzymane dzisiaj rano pozwoliły nam...

– W porządku, w porządku. Więc ściągnęliśmy go tu po raz drugi?

– Nie ma go w domu, panie komendancie – wyjaśnił Rebus. – Sprawdziałem wczoraj wieczorem i jeszcze raz dziś rano.

Spojrzeli na niego. Wzrok Watsona mówił: bardzo kompetentny. Wzrok Lauderdale’a mówił: ty szuj.

– No dobrze – rzucił Watson. – Trzeba załatwić nakaz. Pan Steele jest nam winien wyjaśnienia.

– Samochód Steele’a stoi w garażu przy jego domu. Można poprosić kryminalistów, żeby go wzięli pod lupę. Najprawdopodobniej go wyczyścił, ale nigdy nie wiadomo...

Kryminaliści? Jak oni kochali Rebusa. Został ich świętym patronem.

– Masz rację, John – powiedział Watson. – Dopilnuj tego, dobrze? – A potem zwrócił się do Lauderdale’a: – Jeszcze kawę? W dzbanku jest mnóstwo i coś mi się wydaje, że tylko ty ją pijesz...

MAŁY CZERWONY KOGUCIK. Kogut z północy. Ronald Steele, Samob, który kiedyś próbował popełnić samobójstwo, gdy jakaś dziewczyna zastała go masturbującego się w pokoju hotelowym.

– Musiał być trochę pokręcony. – Czy żeby to stwierdzić, potrzebny był dyplom z psychologii? Rebus w każdym razie go nie potrzebował. Tym, czego potrzebował, była umiejętność biegu na orientację połączona ze znajomością starożytności metody polowania na ludzi.

Instykt podpowiadał mu, że na miejscu Steele’a pojechałby na południe, zostawiając samochód w domu. (Jaki w końcu był z niego pożytek? Mieli przecież opis i numer rejestracyjny wozu, a Steele wiedział, że policja nadciąga. A raczej że Rebus nadciąga).

– *Ain't nothing but a hound dog* – podśpiewywał.

Przed chwilą dzwonił do szpitala, w którym leżała Cathy Kinnoul. Powiedziano mu, że za wcześnie na widoczną poprawę, ale miała spokojną noc. Rab Kinnoul nie odwiedził jej, co było dość zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że mogła ruszyć na niego z rozbitym dzbankiem na wodę lub próbować udusić go paskiem od piżamy. Tak czy owak, Kinnoul był równie beznadziejny jak pozostali, w tym Gregor Jack, ryzykujący wszystko dla kariery politycznej, którą planował od urodzenia. Poślubił Liz Ferrie nie dla niej, lecz dla jej ojca. Całkowicie niezdolny do kontrolowania jej, po prostu wepchnął żonę do szuflady, żeby wyciągać ją i odkurzać tylko na potrzeby sesji zdjęciowych i okazjonalnych publicznych wystąpień. Tak, Gregor Jack też był beznadziejny. Tylko jedna osoba według Rebusa wyszła z tej sprawy z nienaruszoną godnością – ta, która włamała się do Deer Lodge.

Technicy znaleźli na mikrofalówce odciski palców Juliana Kaymera. Ukradł klucze Jamiego Kilpatricka, pojechał do domu w lesie w środku nocy i wybił szybę, żeby dostać się do środka.

Dlaczego? Żeby pozbyć się wszelkich dowodów potencjalnego skandalu, czyli wybrudzonego kokainą lusterka oraz dwóch par rajstop przywiązanych do narożnych słupków łóżka. Po co? Proste: żeby chronić reputację przyjaciółki... martwej przyjaciółki. Żałosne, ale też w pewnym sensie szlachetne. Za to kradzież mikrofalówki była skandaliczna. Posterunkowy Plod postanowił zrzucić odpowiedzialność na dzieciaki wdzierające się do pustych domów przy byle okazji, by zwinąć nie sprzęt hi-fi (zawsze ceniony), tylko kuchenkę mikrofalową. Odjechały z nią, ale się rozmyśliły i wyrzuciły ją, żeby klejnot mogła znaleźć sroka w postaci Aleca Corbiego.

A tymczasem Steele mógł być już w Londynie. W jego sklepie płaciło się gotówką. Gdzieś na pewno miał ukryte pieniądze, może nawet całkiem sporo. Mógł wylecieć z Heathrow czy Gatwick albo pojechać pociągiem na wybrzeże i stamtąd popłynąć statkiem do Francji.

– *Trains and boats and planes...* – wyśpiewał za Dionne Warwick.

– Komuś dziś wesoło – odezwał się Brian Holmes, który stanął w drzwiach biura.

Rebus siedział przy biurku z rękami za głową, opierając stopy na samym blacie.

– Mogę wejść czy trzeba zarezerwować bilety, żeby dotknąć twojego rąbka?

– Nie mieszaj w to mojego rąbka. Siadaj.

Detektyw sierżant był w połowie drogi do krzesła, kiedy potknął się o szparę w linoleum. Wyciągnął ręce, żeby się ratować, i padł twarzą na biurko Rebusa, dwa centymetry od jego butów.

– Tak, możesz je ucałować – powiedział inspektor.

Holmesowi udało się wykrzesać coś pomiędzy uśmiechem a ponurym grymasem.

– Ta komenda naprawdę nadaje się do rozbiórki. – Opadł na krzesło.

– Uważaj na chwiejną nogę – ostrzegł go Rebus. – Jakies postępy ze Steele'em?

– Niewiele – odparł Holmes, a po chwili dodał: – Właściwie to żadnych. Czemu nie zabrał samochodu?

– A kto ma to wiedzieć, jak nie ty? Nie pamiętasz? Sądziłem, że to ty jesteś odpowiedzialny za sporządzenie tej listy. Marka, kolor i numer rejestracyjny samochodu każdego człowieka na świecie... Ach, wróć. Zapomniałem. Zleciłeś tę robotę detektywowi posterunkowemu.

– Po co to w ogóle było?

Rebus zmierzył go z ukosa.

– Mówię poważnie – rzucił Holmes. – Jestem tylko sierżantem, nie pamiętasz? Nikt o niczym mi nie mówi, a Lauderdale wyraża się jeszcze bardziej mętnie niż zwykle.

– Bmw Elizabeth Jack stało w zatoczce postojowej – wyjaśnił Rebus.

– Tyle to i ja wiem.

– Podobnie jak inny samochód. Naoczny świadek powiedział, że mógł być niebieski. Nie był niebieski. Był zielony.

– Przypomniałeś mi o czymś – powiedział Holmes. – Miałem zapytać: na co ona właściwie czekała?

– Kto?

– Pani Jack. W tej zatoczce. Po co się tam kręciła?

Podczas gdy Rebus zastanawiał się nad odpowiedzią, jego młodszemu koledze przyszło do głowy inne pytanie:

– A co z samochodem jej męża?

Rebus westchnął ciężko.

– A co ma być?

– Hm... nie przyjrzałem mu się dobrze tego wieczoru, kiedy mnie tam zaciągnąłeś... To znaczy stał w garażu, światła paliły się z przodu i z tyłu budynku, ale nie z boku. Ale powiedziałaś, że bym powęszył. Boczne drzwi do garażu było otwarte, więc wszedłem do środka. Było naprawdę ciemno, nie mogłem znaleźć włącznika światła...

– Jezu Chryste, Brian, do rzeczy!

– Chciałem tylko zapytać: co z samochodem w garażu Jacka? Był niebieski. Przynajmniej wydaje mi się, że był niebieski.

Rebus zaczął pocierać skronie.

– Jest biały – wyjaśnił powoli. – To biały saab.

Holmes jednak pokręcił głową.

– Niebieski – powiedział. – Dam się posiekać na kawałki, jeśli był biały. Był niebieski. Escort. Zdecydowanie ford escort.

Rebus przestał pocierać skronie.

– Co?

– Na siedzeniu pasażera leżało parę rzeczy. Zajrzałem przez boczną szybę. Takie pierdoły, które dorzucają, gdy wypożyczasz samochód. Coś w tym rodzaju. Tak, im dłużej o tym myślę, tym bardziej obraz układa mi się w całość. Niebieski ford escort. I cokolwiek innego znajdowało się jeszcze w tym garażu, na pewno nie było tam miejsca na saabą...

TERAZ JUŻ NIE KOGUT, nie pręjący się kogut, nie pies gończy, ale wystraszony tchórzliwy pies z podkulonym ogonem... Rebus najpierw zabrał Holmesa i jego historię do Watsona, a ten wezwał szefa dochodzeniówki.

– Chyba powiedziałeś nam, że samochód Jacka jest biały? – zwrócił się Lauderdale do Rebusa.

– Jest biały.

– Jesteś pewien, że ten escort był wynajęty? – zapytał Holmesa komendant.

Detektyw sierżant zastanawiał się przez chwilę, a potem skinął głową. Sprawa była poważna; w gąszczu myśli widział światło w tunelu i wiedział, że idzie w dobrą stronę, zdawał sobie jednak sprawę, że jeden błąd – nawet najmniejszy – może go zepchnąć na manowce.

– Możemy to sprawdzić – powiedział Rebus.

– Jak?

– Zadzwoń do domu Gregora Jacka i zapytaj.

– I go wystraszyć?

– Nie musimy rozmawiać z Jackiem. Ian Urquhart albo Helen Greig powinni wiedzieć.

– Też mogą go ostrzec.

– Być może. Nie można jednak wykluczyć, że samochód, który zobaczył Brian, należał do Urquharta albo do Greig.

– Helen Greig nie prowadzi – wtrącił Holmes. – A samochód Urquharta w niczym nie przypomina tego, który widziałem. Proszę pamiętać, że wszystkie zostały sprawdzone.

– Mniejsza z tym – rzucił Watson. – Stąpajmy ostrożnie, co? Najpierw sprawdźcie wypożyczalnie.

– A co ze Steele'em? – zapytał Rebus.

– Dopóki nie mamy konkretnych ustaleń, nadal chcemy z nim rozmawiać.

– Zgadzam się – powiedział Lauderdale, który wiedział, że komendant odzyskał kontrolę nad sytuacją, przynajmniej na razie.

– Więc na co czekacie? Brać się za robotę! – zarządził Watson.

Więc zabrali się za robotę.

W Edynburgu nie było wielu firm zajmujących się wynajmem aut, więc już trzeci telefon przyniósł rezultat. Tak, pan Jack wynajął samochód na kilka dni. Tak, niebieskiego forda escorta. Czy podał powód wynajmu? Tak, oczywiście, jego samochód miał mieć przegląd.

No i musiał zmienić pojazd, żeby wydostać się ze szponów prasy, pomyślał Rebus. Czy sam nie podsunął mu tego pomysłu? „Zauważyłem, że stoi na podjeździe, na pełnym widoku, że tak powiem. A przecież pełno tam fotoreporterów”. Jack wynajął więc na kilka dni inne auto, żeby poruszać się incognito.

Rebus wpatrywał się tępo w ścianę biura. Idiota, kompletny idiota! Waliły głową w tę ścianę, gdyby miał pewność, że się nie zawali.

To był cholerny kawał roboty, powiedział człowiek z wypożyczalni. Klient prosił o przeniesienie jego telefonu samochodowego do wynajmowanego auta.

Jasne. Bo jak inaczej Liz Jack mogła się z nim skontaktować? Przecież był w ruchu przez cały dzień, prawda?

Czy wynajęty samochód po tym, jak go zwrócono, był czyszczony? Naturalnie, pełna usługa serwisowa. A co z bagażnikiem? Z bagażnikiem? Czy bagażnik również był czyszczony? Może trochę przetarty... Gdzie teraz jest ten samochód? Został wynajęty przez jakiegoś biznesmena z Londynu. Wynajem na czterdzieści osiem godzin, z powrotem ma być o szóstej. Była już za kwadrans piąta. Dwóch techników czekało w gotowości na przewiezienie go z wypożyczalni do policyjnej bazy. Czy w komendzie głównej przy Fettes Avenue byli jeszcze jacyś wolni kryminaliści?

Idiota, kompletny idiota, wyrzucał sobie Rebus. Do zatoczki nie wrócił ten sam samochód, ale inny. Holmes zadał pytanie, na co czekała Liz Jack. Czekala na męża. Musiała zadzwonić do niego z budki w zatoczce. Właśnie pokłóciła się ze Steele'em. Może była zbyt zdenerwowana, by wracać do domu. Jack powiedział jej, żeby tam poczekała, a on po nią przyjedzie. Przyjedzie po nią niebieskim escortem. Ale kiedy się zjawił, doszło między nimi do awantury. O co poszło? To mogło być cokolwiek. Co mogło rozbić lód, którym był Gregor Jack? Niedzielnny artykuł z gazety? Dowody stylu życia jego żony znalezione przez policję? Wstyd i hańba? Obawa przed bacznym okiem opinii publicznej i utratą cennego okręgu wyborczego?

Do wyboru, do koloru, powodów nie brakowało.

– Dobra – rzucił Lauderdale. – Mamy auto. Zobaczmy, czy Jack jest w domu. – Zwrócił się do Rebusa: – Ty dzwonicz, John.

Rebus więc zadzwonił. Odebrała Helen Greig.

– Dzień dobry. Mówi inspektor Rebus.

– Nie ma go – wypaliła. – Nie widziałam go cały dzień, wczoraj też nie.

– Jest w Londynie?

– Nie wiemy, gdzie jest. Widział go pan wczoraj rano, prawda?

– Tak. Przyszędł na komendę.

– Ian dostaje szału.

– A co z saabem?

– Również go nie ma. Proszę zaczekać... – Położyła dłoń na mikrofonie, żeby przytłumić swój głos, ale jej się to nie udało: – To ten inspektor. Rebus.

Usłyszał gorączkowy syk:

– Nic mu nie mów!

– Za późno, Ian – rzuciła.

– Jakie wrażenie sprawiał Gregor? – odezwał się Rebus.

– Takie, jakiego można się spodziewać po mężczyźnie, któremu zamordowano żonę.

– To znaczy?

– Był przygnębiony. Siedział w salonie, po prostu wpatrując się w przestrzeń, w milczeniu. Jakby rozmyślał. Zabawne, że jeden jedyny raz zdołał wydusić więcej niż słowo, kiedy pytał mnie o zeszłoroczne wakacje.

– Ma pani na myśli wakacje z mamą?

– Tak.

– Proszę mi przypomnieć, gdzie panie pojechały?

– W dół wybrzeża – odparła. – Okolice Eyemouth.

Tak. Oczywiście. Jack wypowiedział nazwę pierwszego miasta, które przyszło mu do głowy. Potem wypytał Helen o szczegóły, żeby móc uwiarygodnić swoją wątpliwą wersję wydarzeń.

Odłożył słuchawkę.

– No i? – zapytał Watson.

– Samochód zniknął. Razem z Gregorem Jackiem. Te opowiadki, które nam sprzedał o Eyemouth... były mydleniem oczu. Wziął je od swojej sekretarki. Była tam w zeszłym roku na wakacjach.

W biurze panował zaduch. Za szybami późnopołudniowe niebo szykowało się na błyskawicę. Watson przerwał milczenie:

– Co za bajzel!

– Tak – zgodził się z nim Lauderdale.

Holmes skinął tylko głową. Odetchnął z ulgą; nawet więcej, rozpromienił się w duchu. Wynajęty samochód okazał się faktem, a on dowiódł swojej wartości.

– Co teraz? – zapytał.

– Właśnie myślałem o tej zatoczce postojowej – powiedział Rebus. – Liz Jack kłóci się ze Steele'em. Mówi mu, że wraca do męża. Steele odjeżdża. I czego się potem o niej dowiaduje?

– Że nie żyje – odparł Holmes.

Rebus skinął głową. Przypomniał sobie, jak zrozpaczony i wściekły Steele rozrzucał po sklepie książki.

– Nie tylko że nie żyje, ale też że została zamordowana. A ostatni raz ją widział, gdy czekała na męża.

– A więc musiał wiedzieć, że zrobił to Jack – wykoncypował komendant. – Czy to właśnie sugerujesz?

– Uważasz, że Steele uciekł, żeby chronić Gregora Jacka? – spytał Lauderdale.

– Nie sądzę – odparł Rebus. – Ale jeśli zabójcą jest Gregor Jack, to Ronald Steele już od jakiegoś czasu o tym wie. Dlaczego nic nie zrobił? Zastanówcie się: czy mógł się zgłosić na policję? Sam tkwił w tym po uszy. Musiałby wszystko wyjaśnić, a wyjaśnienia zrobiłyby z niego głównego podejrzanego!

– Więc co mógł zrobić?

Rebus wzruszył ramionami.

- Mógł spróbować namówić Jacka, żeby się ujawnił.
- Ale to by oznaczało przyznanie się Jackowi, że...
- Zgadza się, że był kochankiem Elizabeth Jack. Co byś zrobił na miejscu Jacka?
- Zabiłbym go – odważył się odpowiedzieć Holmes. – Zabiłbym Ronalda Steele'a.

REBUS PRZESIEDZIAŁ CAŁY WIECZÓR w salonie Patience, obejmując ją ramieniem, kiedy oglądali film na wideo. Komedія romantyczna, ale tak naprawdę niewiele romansu i jeszcze mniej komedii. Od pierwszego obrotu taśmy było wiadomo, że sekretarka wybierze szczerbatego studenta, a nie szefa krwiopijcę. Ale Rebus i tak oglądał dalej. Nie żeby wczuwał się w film. Rozmyślał o Gregorze Jacku, o tym, kim się wydawał i kim był naprawdę. Zdejmujesz warstwę po warstwie, jak w grze w butelkę, rozbierasz człowieka do szpiku i jeszcze dalej... i nigdy nie poznasz prawdy. Patience też była dla niego niewiadomą. Gładził ją po szyi, po włosach, po czole.

– To miłe – rzuciła.

Nigdy jej nie rozgryzie.

Film leciał jak gdyby obok niego. Do akcji wkroczył kolejny wielkoduszny oszust. Rebus w prawdziwym życiu nie spotkał dotąd oszusta, który nie okazałby się drapieżnym rekinem. Jak brzmiało to powiedzenie? „Zabierze ci ze szklanki sztuczne zęby i wypije z niej wodę”. Może ten oszust miał dostać szansę. Sekretarka była zainteresowana, ale też lojalna wobec szefa, a on robił wszystko, byle nie rozpiąć rozporoka i nie rzucić jej na biurko...

– Co oni mają w głowach?

– Nie są warci, żeby w nich grzebać, Patience.

Znajdą Steele'a, znajdą Jacka. Dlaczego nie potrafił się zrelaksować? Stale myślał o ubraniach i liście pozostawionym na plaży. Dom z kamienia. Lordowi Lucanowi udało się zniknąć bez śladu, prawda? Nie było łatwo, ale mimo wszystko...

Patience potrząsnęła ramieniem Rebusa.

– Obudź się, John. Czas do łóżka.

Spał już od godziny.

– Oszust czy student? – zapytał.

– Żaden – powiedziała. – Szef się zmienił i dał jej udziały w firmie. A teraz chodź, partnerze... – Wyciągnęła ręce, by pomóc mu wstać. – Jutro też jest dzień.

KOLEJNY DZIEŃ, KOLEJNE PROBLEMY. Czwartek. Dwa tygodnie od odnalezienia ciała Elizabeth Jack. Teraz mogli już tylko czekać... i mieć nadzieję, że nie pojawi się więcej ciał. Rebus w swoim biurze odebrał telefon. Dzwonił Lauderdale.

– Komendant złapał byka za rogi – powiedział. – Organizujemy konferencję prasową, wydajemy listy gończe za jednym i drugim, za Steele'em i Jackiem.

– Czy sir Hugh już wie?

– Nie chciałbym być tym, który mu powie. Wmaszerował tutaj z zięciem, nie wiedząc, że ta gnida zabiła jego córkę? Nie, nie chciałbym być tym, który mu to powie.

– Ja mam to zrobić?

– Ma się rozumieć. I przyprowadź Holmesa. W końcu to on rozpoznał samochód...

Lauderdale przerwał połączenie. Rebus zapatrzył się w słuchawkę. Owczarek też potrafi ugryźć.

ROZPOZNAŁ SAMOCHÓD I W NOCY opowiedział o wszystkim Nell. Powtarzał historię, dodawał pominięte szczegóły, ledwo mógł wysiedzieć. W końcu Nell krzyknęła, żeby przestał, bo zaraz od tego zwariuje. To go trochę uspokoiło, ale nie za bardzo.

– Widzisz, Nell, gdyby mi powiedzieli wcześniej, gdyby wtajemniczyli mnie w tę sprawę z kolorami samochodów, wyjaśnili, po co im były potrzebne, dorwalibyśmy go szybciej. Bronię się przed tym, ale mam to za złe Johnowi. To on...

– Myślałam, że to Lauderdale w pierwszej kolejności zlecił ci tę pracę?

– Tak, to prawda, mimo to John powinien...

– Zamknij się! Na litość boską, zamknij się!

– Mówię, że masz rację. Lau...

– Zamknij się!

Zamknął się.

A TERAZ BYŁ NA KONFERENCJI prasowej, z Gill Templer, która dbała o relacje policji z prasą, a w tej chwili rozdawała kartki – z oficjalnym oświadczeniem – i ogólnie upewniała się, czy wszyscy są na bieżąco. I oczywiście był też Rebus, wyglądający tak samo jak zawsze. To znaczy zmęczony i podejrzliwy. Watson i Lauderdale jeszcze się nie pojawili, ale zaraz powinni.

– Brian, myślisz, że awansują cię na inspektora? – szepnęła Rebus.

– Nie.

– To co jest? Wyglądasz jak dzieciak, który ma dostać szkolną nagrodę.

– Daj spokój. Przyznaj szczerze, że to ty wykonałeś większość pracy. Wszyscy to wiemy.

– Tak, ale to ty powstrzymałeś mnie przed ściganiem niewłaściwego człowieka.

– I co z tego?

– To z tego, że jestem ci winien przysługę. – Rebus się uśmiechnął.

– Nie znoszę odwzajemniania przysług.

– Panie i panowie – rozległ się głos Gill Templer. – Jeśli wszyscy państwo zajęli miejsce, możemy zaczynać.

Chwilę później do sali weszli Watson i Lauderdale. Ten pierwszy zaczął:

– Myślę, że państwo wiecie, dlaczego zwołaliśmy tę konferencję. – Zawiesił głos. – Szukamy dwóch mężczyzn, którzy, jak sądzimy, mogą nam pomóc w dochodzeniu... w dochodzeniu w sprawie zabójstwa. Chodzi o Ronalda Adama Steele'a i Gregora Gordona Jacka...

Jedna z edynburskich popołudniówek podała te nazwiska w porze lunchu. Stacje radiowe nadawały je w programach informacyjnych. Wczesnowieczorne wiadomości telewizyjne relacjonowały zdarzenie. Zadawano standardowe pytania i większość z nich była kwitowana równie standardowym: „Bez komentarza”. Ale telefon był dopiero o wpół do siódmej. Dzwonił doktor Frank Forster.

– Wiedziałbym wcześniej, inspektorze, ale nie chcemy, by pacjenci słuchali wiadomości. To ich tylko denerwuje. Dopiero gdy szykowałem się do powrotu do domu, włączyłem radio w moim gabinecie...

Rebus był zmęczony. Straszliwie zmęczony.

– O co chodzi, doktorze?

– Człowiek, którego szukacie, Jack, Gregor Jack, był tu dziś po południu. Odwiedził Andrew Macmillana.

Gorąca głowa

BYŁA DZIEWIĄTA WIECZOREM, kiedy Rebus dotarł do szpitala w Duthil. Andrew Macmillan siedział w gabinecie Forstera z założonymi rękami i wyczekiwał.

– Witam, inspektorze – powiedział.

– Dobry wieczór, panie Macmillan.

Było ich pięciu: dwóch pielęgniarzy, doktor Forster, Macmillan i Rebus. Pielęgniarze ustawili się za krzesłem pacjenta, jakieś pięć centymetrów od niego.

– Podaliśmy mu środki uspokajające – wyjaśnił Rebusowi lekarz. – Może nie być tak rozmowny jak zwykle, ale powinien zachować spokój. Wiem, co się zdarzyło ostatnim razem...

– Ostatnim razem nic się nie zdarzyło, doktorze. Pan Macmillan chciał normalnie porozmawiać. Co w tym złego?

Pacjent wyglądał na pogrążonego we śnie. Oczy miał ukryte pod ciężkimi powiekami, uśmiech nieruchomy. Z rozłożonymi ramionami i dłońmi opartymi delikatnie na kolanach przypominał Rebusowi panią Corbie.

– Inspektor chce cię zapytać o pana Jacka – wyjaśnił Forster.

– Tak jest – potwierdził Rebus, opierając się o krawędź biurka. I dla niego znalazło się krzesło, ale po długiej jeździe wolał postać. – Zastanawiałem się, dlaczego pana odwiedził. W końcu to niezwykle, prawda?

– Pierwszy raz – uściślił Macmillan. – Powinni wywiesić tablicę pamiątkową. Kiedy zobaczyłem, jak wchodzi, pomyślałem, że przyjechał otworzyć nowy oddział czy coś takiego. Ale nie, podszedł do mnie... – Jego ręce poruszały się, jakby rzeźbił powietrze, oczy się w nie wpatrywały. – Podszedł do mnie i powiedział... powiedział: „Cześć, Mack”. Tak po prostu. Jakbyśmy się widzieli poprzedniego dnia, jakbyśmy widywali się codziennie.

– O czym rozmawialiście?

– O starych przyjaciółkach. Tak, starzy przyjaciele... stare przyjaźnie. Zawsze będziemy przyjaciółmi, powiedział mi. Nie możemy nie być przyjaciółmi. Przebyliśmy wspólnie długą drogę. Tak, długą drogę... My wszyscy. Samob i Gapa, Nędzarz i ja, Bilbo, Tampon, Sexton Blake... Przyjaciele są ważni, to jego słowa. Opowiedziałem mu o Gapie, jak czasami mnie odwiedzała... o pieniądzech, które daje na to miejsce... Nic o tym nie wiedział. Był zainteresowany. Ale on ciężko pracuje, to widać. Nie wygląda na zdrowego. Za mało światła słonecznego. Widział pan kiedyś Izbę Gmin? Prawie nie ma okien. Pracują tam jak krety...

– Powiedział coś jeszcze?

– Zapytałem go, dlaczego nigdy nie odpisywał na moje listy. Wie pan, co mi powiedział? Że nigdy żadnego nie otrzymał! Obiecał, że zainteresuje na pocztę, ale ja wiem, u kogo powinien

zainterweniować. – Popatrzył na Forstera. – U pana, doktorze Forster. Nie wypuszcza pan żadnej z moich przesyłek. Zrywa pan znaczki i używa ich do swojej korespondencji! Ostrzegam, poseł Gregor Jack już o tym wie. Teraz już tego nie zostawi! – Przypomniał sobie o czymś i zwrócił się szybko do Rebusa: – Czy dotknął pan... za mnie... ziemi?

Rebus skinął głową.

– Dotknąłem za pana ziemi.

Zadowolony Macmillan również skinął głową.

– Jakie to uczucie, inspektorze?

– Przyjemne. Zabawne, zawsze brałem to za oczywistość...

– Nie wolno brać niczego za oczywistość, inspektorze. – Macmillan uspokajał się powoli, mimo to było widać, jak walczy z lekami nasennymi w krwiobiegu, walczy o prawo do gniewu, do... szaleństwa. – Zapytałem go o Liz. Powiedział mi, że jest taka jak zawsze. Ale ja w to nie uwierzyłem. Jestem pewien, że mają problemy małżeńskie. Nie-zgod-ność-cha-rak-te-rów. Moja żona i ja byliśmy tacy sami... – Głos mu się urwał. Przełknął ślinę, ponownie położył dłonie na kolanach i wbił w nie spojrzenie. – Liz nigdy nie należała do Paczki. Powinien był ożenić się z Gapą, tylko że Kinnoul dopadł ją pierwszy. – Spojrzał w górę. – Ten to dopiero potrzebuje leczenia. Gdyby Gapa wiedziała, co ją czeka, kazałaby mu iść do psychiatry. Te wszystkie role, które grał... na pewno wywarły na niego wpływ, prawda? Następnym razem, kiedy zobaczę Gapę, powiem jej to. Dawno jej nie widziałem...

Rebus nieco się do niego przysunął.

– Czy Nędzarz powiedział coś jeszcze, Mack? Dokąd się wybiera albo po co tu przyjechał? Cokolwiek, co mu chodziło po głowie.

Macmillan pokręcił głową, a potem parsknął śmiechem.

– Po głowie, powiedział pan? Po głowie! – Zaśmiewał się przez dłuższą chwilę, póki nie przestał tak gwałtownie, jak zaczął. – Chciał mi tylko dać znać, że jesteśmy przyjaciółmi. – Zachichotał. – Jakbym potrzebował przypomnienia. I jeszcze jedna rzecz. Proszę zgadnąć, co chciał wiedzieć? O co pytał? Po tylu latach...

– O co?

– Chciał wiedzieć, co zrobiłem z jej głową.

Rebus przełknął ślinę. Forster oblizwał wargi.

– I co mu powiedziałeś, Mack?

– Prawdę. Powiedziałem mu, że nie pamiętam. – Macmillan złożył dłonie jak do modlitwy, a opuszki palców przytknął do ust. Potem opuścił powieki. Pozostały zamknięte, kiedy mówił. – Czy to prawda... o Samobie?

– Co?

– Że wyemigrował, że może już nie wrócić?

– Tak ci powiedział Nędzarz?

Macmillan skinął głową i otworzył oczy, by spojrzeć na Rebusa.

– Powiedział, że Samob może nie wrócić...

PIELĘGNIARZE ZABRALI MACMILLANA z powrotem na oddział. Kiedy Forster wkładał płaszcz z zamiarem zamknięcia szpitala na noc i odprowadzenia Rebusa na parking, zadzwonił telefon.

– Telefon? – zdziwił się. – O tej porze?

- Może być do mnie – powiedział Rebus i podniósł słuchawkę. – Halo?
- Usłyszał głos detektywa sierżanta Knoxa z Dufftown.
- Inspektor Rebus? Zrobiłem, o co pan prosił, i zleciłem obserwację Deer Lodge.
- I?
- Niecałe dziesięć minut temu przez bramę wjechał biały saab.

NA POBOCZU STAŁY ZAPARKOWANE dwa samochody. Jeden blokował wjazd na drogę dojazdową do Deer Lodge. Rebus wysiadł z auta. Detektyw sierżant Knox przedstawił go detektywowi posterunkowemu Wrightowi i posterunkowemu Moffatowi.

- Już poznałem pana Moffata – powiedział Rebus, ściskając jego dłoń.
- No jasne – rzucił Knox. – Jak mogłem zapomnieć, że tak nas zajęliście? Więc co pan o tym myśli, inspektorze?

Rebus myślał, że jest zimno. Zimno i mokro. Teraz nie padało, ale zanosilo się na oberwanie chmury.

- Wezwał pan posiłki?
- Knox skinął głową.
- Tyle, ile się dało zebrać.
- No dobrze, możemy tu poczekać, dopóki nie przyjadą.
- Tak?

Rebus sondował wzrokiem Knoxa, który nie wyglądał na człowieka lubiącego czekać.

- Albo możemy wejść we trzech, a jeden zostanie na straży przy bramie – powiedział. – On ma tam trupa albo zakładnika. Im szybciej wtargniemy, tym większe Steele ma szanse... zakładając, że w ogóle jeszcze żyje.

- Więc na co czekamy?

Rebus spojrział na Wrighta i Moffata; obaj kiwnięciem głowy zaaprobowali ten plan.

- Weźcie pod uwagę, że podjazd do domu jest długi – przypomniał im Knox.
- Ale jeżeli pojedziemy samochodem, pewnie go usłyszy – odparł Rebus.
- Możemy podjechać kawałek, a resztę przejść na piechotę – zasugerował Moffat. – W ten sposób zablokujemy mu wyjazd. Nie mam ochoty wędrować po ciemku tym cholernym traktem tylko po to, żeby mnie minął swoim saabem.

– Dobra, zgoda, jedziemy samochodem – zdecydował Rebus, po czym zwrócił się do Wrighta: – Zostań przy bramie, synu. Moffat zna rozkład domu.

Wright wyraźnie nie był zachwycony, a Moffat się ożywił.

- W porządku – rzucił Rebus. – W drogę.

WZIĘLI SAMOCHÓD KNOXA, a radiowóz Moffata zaparkowali równolegle do bramy. Knox otaksował wzrokiem kupę złomu Rebusa i pokręcił głową.

- Chyba lepiej moim.

Jechali powoli. Rebus siedział z przodu, obok kierowcy, Moffat z tyłu. Silnik pracował cicho i przyjemnie dla uszu, ale wokół panowała cisza i każdy hałas było słychać z oddali. Rebus zaczął się modlić o jak najszybszą burzę, grzmoty i deszcz. Cokolwiek, co dałoby im osłonę dźwiękową.

– Podobała mi się ta książka – powiedział Moffat, pochylając się do Rebusa. – *Jak ryba bez wody*.
– Chryste, całkiem o niej zapomniałem.
– Poruszająca historia – dodał Moffat.
– Jak daleko jeszcze? – zapytał Knox.
– Nie pamiętam – przyznał Rebus.
– Tam jest zakręt w lewo, potem kolejny w prawo – wyjaśnił Moffat. – Najlepiej zatrzymać się po drugim. Zostanie tylko kilkaset metrów.

Zaparkowali, otworzyli drzwi, wysiedli i zostawili je otwarte. Knox wyjął ze schowka dwie duże gumowe latarki.

– Byłem zuchem – wyjaśnił. – Zawsze bądź przygotowany i tak dalej. – Jedną z latarek wręczył Rebusowi, drugą zatrzymał. – Moffat je marchewki, ma dobry wzrok, więc nie potrzebuje latarki. Jaki jest plan?

– Sprawdźmy, co dzieje się w domu, wtedy ci powiem.

– Dobra.

Ruszyli w szeregu. Po jakichś pięćdziesięciu metrach Rebus wyłączył latarkę. Nie była już potrzebna: wszystkie światła w domu i wokół niego zostały zapalone. Zatrzymali się tuż przed przesięką, by sprawdzić teren za drzewami. Saab stał zaparkowany przed frontowymi drzwiami, bagażnik był otwarty. Rebus zwrócił się do Moffata:

– Pamiętasz tylne drzwi? Pokręć się tam i osłaniaj nas.

– W porządku.

Posterunkowy wszedł do lasu i znikł z pola widzenia.

– My tymczasem sprawdzimy saaba, a potem zajrzyjmy przez okna – zarządził Rebus.

Knox zgodził się z nim, więc opuścili osłonę drzew i podkradli się w stronę domu. Bagażnik saaba był pusty, podobnie jak tylne siedzenie. W salonie i sypialni paliły się światła, ale nikogo nie zauważyli. Knox wskazał latarką na drzwi. Podeszedł do nich i pociągnął za klamkę. Otworzyły się na oścież. W holu pusto. Odczekali chwilę, nasłuchując. Nagle nastąpiła erupcja hałasu – perkusja, gitary – i Knox odskoczył do tyłu. Rebus położył uspokajająco dłoń na jego ramieniu, po czym wycofał się i ponownie zajrzał przez okno do salonu. Zestaw stereo. Zobaczył pulsujące diody LED. Magnetofon, prawdopodobnie na automatycznym replayu. Kasetą przewijała się do tyłu, kiedy zbliżali się do domu. Teraz leciała muzyka.

Wcześni Stonesi, *Paint It Black*. Rebus skinął głową.

– On tam jest – mruknął, bo przypomniał sobie słowa piosenki: „Cóż, każdy z nas ma choćby jedną małą tajemnicę, zgodzi się pan?”. W każdym razie oznaczało to, że Jack mógł nie słyszeć zbliżającego się samochodu, a teraz, kiedy lecieli Stonesi, mógł nawet nie słyszeć, jak wchodzi do środka.

Weszli. Moffat zabezpieczył kuchnię, więc Rebus ruszył prosto na górę, Knox tuż za nim. Drewnianą balustradę pokrywał drobny biały proszek, pozostałość po wizycie techników. W górę po schodach... na podest między piętremi. Co tak śmierdzi? Co tak śmierdzi?!

– Benzyna – wyszeptał Knox.

Tak, benzyna. Drzwi do sypialni były zamknięte. Muzyka na piętrze huczała jeszcze głośniejsze niż na dole. Łup-łup-łup, dudnienie basów. Gitary i sitar. Zgrzytliwe wokale.

Benzyna.

Rebus odchylił się do tyłu i mocno kopnął w drzwi. Otworzyły się i pozostały otwarte. Rozejrzał się po pomieszczeniu i zobaczył stojącego Gregora Jacka, a pod ścianą związanego i zakneblowanego człowieka z obrzmiałą twarzą i zakrwawionym czołem. Ronald Steele. Zakneblowany? Jego usta były wypełnione strzępami papieru wyrwanego z niedzielnych gazet leżących na łóżku, z artykułami, które były rezultatem jego intrygi. Cóż, Jack zmusił go, żeby poknął swoje słowa.

Benzyna.

Kanister leżał przewrócony na bok. W pokoju cuchnęło. Steele wyglądał tak, jakby był obłany; a może to tylko pot? Gregor Jack stał z szelmowskim uśmiechem, ale po chwili wyraz jego twarzy się zmienił; pojawiło się na niej zmieszanie, wstyd. I poczucie winy. Poczucie winy, bo został przyłapany.

Wszystko to Rebus zarejestrował w sekundę. Ale Jackowi zajęło jeszcze mniej czasu, żeby zapalić zapałkę i ją upuścić.

Dywan natychmiast stanął w płomieniach. Jack wypadł z sypialni, potracił Rebusa, tak że ten się zachwiał, i ominął Knoxa, pędząc do schodów. Ogień rozprzestrzenił się zbyt szybko, by podjąć próbę ugaszenia. Rebus wziął Steele'a za nogi i zaczął go ciągnąć w stronę drzwi, przez ogień. Jeśli Steele był przesiąknięty benzyną... Rebus nie miał czasu na myślenie. Na szczęście to pot lśnił na ciele Steele'a, nie benzyna. Języki ognia go nie pożarły, tylko lizały.

Na schody! Knox już po nich zbiegał za Jackiem. Sypialnia była teraz piekłem, z łóżkiem jak stos pogrzebowy. Rebus odwrócił się na chwilę. Wiszący nad łóżkiem krowi łeb płonął i skwierczał. Inspektor chwycił klamkę i pociągnął; dziękował Bogu, że nie wyrwał drzwi z zawiasów...

Nie było to proste, ale udało mu się postawić Steele'a na nogi. Na całej twarzy Samoba była zaschnięta krew; jedno oko miał spuchnięte, w drugim pojawiły się łzy. Kiedy próbował mówić, z ust wypadały strzępy gazet. Rebus podjął próbę rozluźnienia mocno zaciśniętych węzłów ze sznurka, które krępowały Steele'a. Ale tak potwornie bolała go głowa. Nie wiedział dlaczego. Zarzucił wyższego od siebie mężczyznę na ramię i ruszył w dół po schodach.

W pewnym momencie Steele wypluł resztki papieru z ust i wykrzyczał pierwsze słowa:

– Włosy panu płoną!

Tak było. Na karku. Rebus wolną ręką poklepał się w tym miejscu. Tył jego głowy był szorstki jak chrupiące płatki śniadaniowe. I przeraźliwie piekło.

Gdy znalazł się na parterze, rzucił Steele'a na podłogę i wyprostował się. W uszach mu dudniło, a oczy na chwilę zaszczyły mgłą. Serce waliło w rytm muzyki rockowej.

– Idę do kuchni po nóż – powiedział.

Wchodząc tam, zobaczył, że tylne drzwi są szeroko otwarte. Z podwórza dochodziły odgłosy, krzyki, ale niewyraźne. Potem pojawiła się jakaś postać. To był Moffat. Obiema rękami trzymał się za nos. Krew spływała mu po nadgarstkach i brodzie. Opuścił dłonie i powiedział:

– Jakiś bydlak mnie walnął! – Z jego ust i nosa poleciały strużki krwi. – Uderzył mnie! – Poskarżył się tak, jakby uważał, że to, co go spotkało, było strasznie nie fair.

– Będziesz żył – rzucił Rebus.

– Sierżant pobiegł za nim.

Rebus wskazał za siebie.

– Tam jest Steele. Poszukaj noża i porozcinaj jego więzy, a potem obaj wyjdźcie z domu.

Przepchnął się obok Moffata i wyszedł tylnymi drzwiami. Światło z kuchni omiało kilka metrów przed nim, ale dalej była tylko ciemność. Upuścił w sypialni latarkę i teraz to sobie wyrzucał. Kiedy

jego wzrok przyzwyczał się do zupełnego mroku, przebiegł pospiesznie przez małą polanę do lasu.

Tyle że pośpiech a prędkość to dwie różne rzeczy. Ostrożnie omijał pnie, krzaki i młode drzewa. Ciernie go szarpały, ale to był jego najmniejszy problem. Największym było to, że nie wiedział, dokąd zmierza. Biegł pod górę, tyle mógł stwierdzić. Dopóki się wspinał, nie gonił za własnym ogonem. Zahaczył o coś stopą i upadł na drzewo. Stracił dech w piersiach. Jego koszula była mokra, a oczy szczypały od dymu, od którego uciekł, i potu, który go teraz zalewał. Zastygł w bezruchu. Nasłuchiwał.

– Jack! Nie bądź głupi! Jack!

To był Knox. Na wprost. Kawał drogi przed nim, ale nie tak daleko, by Rebus nie mógł go dogonić. Odetchnął głęboko i przyspieszył.

Cudem wyszedł z lasu i znalazł się na większej polanie. Zbocze wydawało się tutaj bardziej strome, a ziemię porastały paprocie, kolcolist i jakieś inne niskie kolczaste rośliny. Wychwycił nagły błysk światła: latarkę Knoxa. Jaśniejący snop na prawo od niego i lekko pod górę. Rebus puścił się biegiem; unosił wysoko nogi, by uniknąć zdradliwego podszycia. Cały czas coś atakowało jego łydki i kostki. Kłulo i drapało. Potem były kawałki krótkiej trawy, na których mógł poruszać się szybciej – lub mógłby, gdyby był młodszy i w lepszej formie. Latarka przed nim kreśliła okręgi, co mogło znaczyć tylko jedno: Knox zgubił zwierzynę. Zamiast brnąć dalej w stronę światła, Rebus odbił w bok. Jeśli się rozdziela, poszerzą teren poszukiwań. Właśnie o to chodziło Rebusowi.

Kiedy dotarł na szczyt wzniesienia i teren się wyrównał, pomyślał, że za dnia musi to być ponury krajobraz. Nic, prócz karłowatej dziczy, na której ledwie mogą wyżyć najbardziej odporne owce. Daleko przed nim w niebo wzbijał się cień rzucany być może przez pasmo gór. Wiatr, który wysuszył mu wprawdzie koszulę, ale też wychłodził go do szpiku kości, teraz ucichł. Jezu, jak go bolała głowa. Jak po uderze słonecznym, ale sto razy gorzej. Wbił wzrok w niebo i ujrzał zarysy chmur. Pogoda się poprawiała. Nagły gwizd wiatru w uszach został zagłuszony przez jakiś dźwięk.

Odgłos płynącej wody.

Coraz głośniejszy. Rebus nie widział już światła latarki Knoxa; miał świadomość, że jest sam. I zdawał sobie sprawę, że jeśli oddali się za bardzo, może nie znaleźć drogi powrotnej. Źle obrana trasa zaprowadziłaby go do miejsc, gdzie poza wzgórzami i lasami nie będzie już nic. Obejrzał się. Wciąż widział linię drzew – niewyraźną, lecz jednak ją dostrzegał – ale światła domów za nią już nie.

– Jack! Jack! – Głos Knoxa wydawał się dobiegać z odległości wielu kilometrów.

Rebus zdecydował, że pójdzie w jego kierunku. Jeśli Gregor Jack tam jest, niech zamarnie na śmierć. Służby ratownicze jutro go znajdą.

Woda była coraz bliżej; ziemia pod stopami Rebusa stawała się coraz bardziej skalista, a roślinność – coraz rzadsza. Strumień – albo rzeka – płynął gdzieś poniżej. Rebus znowu się zatrzymał. Kształty i cienie przed nim nic mu nie mówiły. Jakby ziemia się przed nim chowała. Nagle ogromna chmura przesunęła się i odsłoniła księżyc, ogromny, prawie w pełni. I stała się jasność. Rebus zobaczył, że stoi jakiś metr od sześcio-, siedmiometrowego urwiska krętej rzeki. Z prawej strony dobiegł jakiś hałas. Rebus odwrócił się i zobaczył sylwetkę zgiętego w pół z wyczerpania człowieka, który się zataczał; jego ramiona się kołysały i dłonie prawie dotykały ziemi. Małpa, pomyślał w pierwszej chwili. Wygląda jak małpa.

Gregor Jack dyszał chrapliwie; jęczał z wysiłku. Nie patrzył, dokąd idzie; wiedział tylko, że musi iść dalej.

– Gregor.

Jack sapnął i uniósł głowę. Zatrzymał się, wyprostował i skierował twarz ku niebu. Chwycił się pod boki jak biegacz na mecie wyścigu. Jedną ręką powędrowała instynktownie do włosów, by je poprawić. Potem Jack pochylił się, oparł ręce na kolanach i włosy znów opadły mu na twarz. Ale jego oddech stawał się coraz bardziej miarowy. W końcu się wyprostował. Rebus zobaczył, że uśmiecha się, pokazując idealne zęby, i kręci głową, wydając przy tym stłumiony śmiech. Rebus znał ten śmiech; słyszał go u ludzi, którzy ponieśli porażkę, stracili wszystko – wolność albo pieniądze w większym lub mniejszym zakładzie.

Śmiech przeszedł w kaszel. Jack uderzył się w pierś, spojrzął na Rebusa i znów się uśmiechnął.

A potem ruszył.

Rebus odruchowo chciał się uchylić, ale Jack oddalał się od niego i obaj dokładnie wiedzieli, dokąd się kieruje. Na skraju urwiska odbił się od ziemi i rzucił do przodu. Kilka sekund później rozległ się plusk, gdy jego ciało uderzyło o wodę. Rebus podszedł ostrożnie do krawędzi skały i spojrzął w dół, ale chmura nad jego głową znów zakryła księżyc, więc nic nie widział.

W DRODZE POWROTNEJ DO Deer Lodge latarka Knoxa nie była potrzebna; okolicę rozświetlały płomienie. Gdy przedzierali się przez las, na drzewa opadał rozżarzony popiół. Rebus przesunął palcami po tylnej części głowy. Wciąż czuł tam pieczenie, ale wydawało mu się – pewnie na skutek szoku – że ból nie jest tak dokuczliwy jak wcześniej. Kostki też go szczypały – prawdopodobnie przez osty, których było tu pełno. W pobliżu domu nikogo nie zastali. Moffat i Steele czekali przy samochodzie Knoxa.

– Czy Jack dobrze pływa? – zapytał Steele’a Rebus.

– Nędzarz? – Steele rozmasowywał oswobodzone ramiona. – W ogóle nie umie pływać. W szkole mieliśmy lekcje pływania, ale jego mama zawsze dawała mu kartkę z usprawiedliwieniem.

– Dlaczego?

Steele wzruszył ramionami.

– Bała się, że złapie kurczajki. Jak głowa, inspektorze?

– Przez jakiś czas nie będę potrzebował strzyżenia.

– A co z Jackiem? – zapytał Moffat.

– On też nie będzie potrzebował.

NASTĘPNEGO DNIA OD RANA trwały poszukiwania ciała Gregora Jacka. Rebus w nich jednak nie uczestniczył: był w szpitalu i czuł się brudny i nieogolony... z wyjątkiem głowy.

– Zawsze można nosić tupecik, dopóki włosy nie odrosną – powiedział mu jeden ze starszych lekarzy. – Albo czapkę. Pańska skóra głowy będzie wrażliwa, dlatego proszę się trzymać z dala od słońca.

– Słońca? Jakiego słońca?

Ale blask słoneczny postanowił rozchmurzyć niebo i w czasie wolnym od pracy Rebus miał go pod dostatkiem. Pozostał w domu, pod ziemią, gdzie chłonał książkę za książką, z przerwami na krótkie wyprawy do Szpitala Królewskiego na zmianę opatrunków.

– Mogę sama to robić – powiedziała Patience.

– Nigdy nie mieszaj interesów z przyjemnościami – odpowiedział enigmatycznie Rebus.

Bo w szpitalu była pielęgniarka, która go polubiła... a on ją. Ale to tylko mały flirt. Przecież nie skrzywdziłby Patience, nigdy w życiu.

Często odwiedzał go Holmes, zawsze z kilkoma puszkami czegoś gazowanego.

– Czołem, łysy – witał Rebusa, nawet gdy jego goła skóra zaczęła przypominać zamsz, a potem zamsz zamieniał się w futerko.

– Co nowego? – zapytał Rebus.

Ciała Gregora Jacka wprawdzie wciąż nie odnaleziono, ale była inna ekscytująca wiadomość: Farmer odstawił alkohol po tym, jak został „dotknięty przez Pana” na odrodzeniowym spotkaniu baptystów.

– Od teraz wino tylko przy komunii – powiedział Holmes. – A co do ciebie... – wskazał na głowę Rebusa – to przez chwilę sądziłem, że zostaniesz buddystą.

– Jeszcze nic straconego – skwitował Rebus. – Nic straconego.

Media kurczowo trzymały się tematu Jacka, wierząc, że poseł żyje. Rebusowi też nie dawało to spokoju. I wciąż się zastanawiał, dlaczego właściwie Jack zabił żonę. Tego węzła gordyjskiego nie potrafił rozwiązać również Ronald Steele. Jack nie odezwał się do niego właściwie ani słowem, kiedy go więził... a przynajmniej taka była wersja Steele’a. Nawet jeśli coś powiedział, nikt się o tym nie dowie.

Rebusowi pozostały tylko hipotezy, domysły. Raz po raz odtwarzał w głowie scenę, w której Jack przyjeżdża do zatoczki postojowej i kłóci się z żoną. Może powiedziała mu, że chce rozwodu. Może kłótnia dotyczyła artykułu o burdelu. A może wydarzyło się coś jeszcze innego. Steele powiedział tylko, że kiedy ją zostawił, czekała na męża.

– Myślałem o tym, żeby pokręcić się w pobliżu i stawić mu czoło...

– Ale?

Steele wzruszył ramionami.

– Stchórzyłem – rzucił. – Popęlenie błędu nie jest problemem. Ale dać się na tym złapać to już zupełnie coś innego. Zgodzi się pan?

– A gdyby pan jednak został?

Steele skinął głową.

– Wiem... Może Liz powiedziała by Gregorowi, żeby spadał, i została ze mną. Może oboje nadal by żyli.

Gdyby Steele nie uciekł z zatoczki... Gdyby Gail Jack nie przyjechała do Edynburga... Co wtedy? Rebus nie miał żadnych wątpliwości: życie potoczyłoby się zupełnie inaczej, niekoniecznie mniej boleśnie. Ogień, lód i trupy w szafie. Chciałby chociaż raz spotkać Elizabeth Jack, choć miał wrażenie, że nie znaleźliby płaszczyzny porozumienia...

Zdarzyło się jeszcze coś. Zaczęło się od plotki, ale plotka okazała się przeciekami, a potem oficjalnie powiadomiono wszystkich zainteresowanych, że w komendzie na Great London Road zostanie przeprowadzony gruntowny remont.

Co oznacza, że wprowadzam się do Patience, pomyślał Rebus. Właściwie już to zrobił.

– Nie musisz sprzedawać mieszkania – powiedziała mu. – Możesz je wynająć.

– Wynająć?

– Studentom. Już i tak zajmują połowę twojej ulicy.

To była prawda. Widział ich migrację każdego poranka – przemieszczali się na dół, w kierunku Meadows, dźwigając plecaki, segregatory i koszyki z supermarketów – i późnym popołudniem (lub późną nocą), jak wracali obciążeni książkami i pomysłami. Sugestia Patience mu się spodobała. Gdyby wynajął mieszkanie, mógłby dokładać się do jej rachunków.

– Jestem na tak – rzucił.

Wrócił na komendę przy Great London Road i spędził w niej jeden dzień, bo budynek stanął w płomieniach i zrównano go z ziemią.

PODZIĘKOWANIA

Na początku muszę przyznać, że okręg wyborczy Północny i Południowy Esk został wymyślony przez autora. Nie trzeba być jednak Mungo Parkiem, by stwierdzić, że istnieją podobieństwa między Północnym i Południowym Esk a światem rzeczywistym, przy czym Edynburg jest prawdziwym miastem, a „południe i wschód od Edynburga” – niejasno zdefiniowanym obszarem geograficznym.

W rzeczywistości Północny i Południowy Esk przypomina nieco okręg Midlothian – przed zmianami wprowadzonymi w 1983 roku przez Komisję Graniczną – tyle że obejmuje jeszcze niewielki południowy kawałek obecnego okręgu Edinburgh Pentlands oraz zachodnią część okręgu East Lothian.

Gregor Jack również jest postacią fikcyjną, a wszelkie podobieństwa do autentycznych posłów są absolutnie przypadkowe.

Pragnę podziękować następującym osobom za ich nieocenioną pomoc: Alexowi Eadiemu, który do czasu przejścia na emeryturę był członkiem Parlamentu z okręgu Midlothian; posłowi Johnowi Home'owi Robertsonowi; profesorowi Busuttilowi, dziekanowi Wydziału Medycyny Sądowej Uniwersytetu Edynburskiego; Policji Lothian and Borders; Policji Miejskiej Edynburga; pracownikom Edinburgh Room, Centralnej Biblioteki w Edynburgu oraz Biblioteki Narodowej Szkocji; personelowi i klientom pubów Sandy Bell's, Oxford Bar, Mather's (West End), Clark's Bar i Green Tree.